

ZESZYT STO CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2004

ZESZYT STO CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2004

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 528

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0196-7

Editeur: ASSOCIATION INSTITUT LITTERAIRE KULTURA
91 av. de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Imprimé en France.

Ś † P

CZESŁAW MIŁOSZ

Urodzony 30 czerwca 1911 roku w Szetejniach na Litwie

Zmarł w Krakowie 14 sierpnia 2004 roku

INSTYTUT LITERACKI – KULTURA

Good-bye Czesiu i do zobaczenia...

Henryk Giedroyc

[Maisons-Laffitte, maj 1951]

Drodzy Rodacy!

Jako poeta polski, którego każde słowo jest pisane z myślą o jego ojczyźnie, czuję się w obowiązku podać moim słuchaczom przyczyny, dla których zdecydowałem się nie wracać do kraju.

Jak wszystkim wiadomo, pisarze w Polsce zajmują pozycję uprzywilejowaną. Ich zarobki są liczone w tysiące, a nie w setki złotych. Korzystają, pod każdym względem, z licznych przywilejów. Byłem jednym z najbardziej cenionych poetów i mieszkając w Warszawie byłbym otoczony dobrobytem i sławą.

Odrzucając te przywileje i dobrobyt, wiedziałem, że idę na życie pełne trudów i niedostatku. Godziłem się z myślą, że będę zarabiał na chleb codzienny ciężką fizyczną pracą. Wiedziałem również, że moje nazwisko zniknie z łamów pism i książek wydawanych w kraju i że nie ma takiej obelgi, która by nie padła pod moim adresem z ust oficjalnych władców polskiej literatury. Zdecydować się na podobny krok, przekreślić swój poetycki dorobek i swoje literackie nazwisko, oznaczało dla mnie to samo, co rzucić się na bruk z szóstego piętra. Nikt nie popełnia samobójstwa dlatego, że jest mu słodko. Jeżeli to zrobiłem to widać byłem doprowadzony do ostateczności.

Byłem dumny z osiągnięć mego narodu w dziele odbudowy kraju. Cieszyłem się, że rosną nowe domy Warszawy i dymią kominy Śląska. Chciałem służyć memu krajowi tak jak umiałem najlepiej. Nie jestem reakcjonistą i nie marzę o powrocie do gospodarczych i społecznych stosunków sprzed 1939 roku. Ojczyzna moja, wierzę w to, powinna należeć do polskiego ludu, a nie do jaśniepanów.

Do zrobienia tego kroku zmusił mnie jeden, ale podstawowy, wzgląd. Jestem głęboko przekonany, że człowiek nie powinien kłamać. Kłamstwo jest przerażającą rzeczą i źródłem wszelkich zbrodni. Najwspanialszy nawet system społeczny, jeżeli jest oparty na ciągłym kłamstwie, musi przynieść ludziom tylko nieszczęście. Żadna, nawet najrzęczniejsza dialektyka, żadne powoływanie się na uczone książki, nie potrafi sprawić, żeby to, co czarne, stało się białe. Największą plagą naszych czasów jest podstępny użytek, jaki został zrobiony z ludzkiej mowy. Ci, którzy posługują się mową, aby przy pomocy kłamstw realizować swoje cele, zatracają wreszcie zdolność rozróżniania co jest kłamstwem, a co prawdą. Każdy, kto jak ja, spędził okupację hitlerowską w Polsce, wie do jakich straszliwych czynów popchnęło naród niemiecki planowo uprawiane kłamstwo propagandy. Ludzkość w dwudziestym wieku jest narażona na bezgraniczne cierpienia, bo zbyt często usta sprawiedliwych są zamknięte. Zmusza się ich siłą, aby milczeli. W ten sposób żaden głos rozważliwy nie przeszkadza hasłom przez aklamację, pochodom i transparentom.

Naczelnym obowiązkiem poety jest mówić prawdę. Jeżeli on, któremu jest dany wielki dar, dar słowa, zgodzi się na rolę płatnego nadwornego błazna, któż będzie spełniał zaszczytną funkcję mówienia prawdy, jaka od wieków była powołaniem poetów? Naród polski żył książkami Mickiewicza, Słowackiego i Norwida. Ale oni nie zastanawiali się pisząc swoje wiersze, czy wiersze te są zgodne z instrukcjami obowiązującymi w tym właśnie miesiącu. „Biada ludom, co swoje mordują proroki” – mówi Mickiewicz. Biada Rosji, która wpędziła Majakowskiego w samobójstwo. Biada władcom, którzy tępią niezależne słowo.

Dopóki w Polsce nie było, ani w życiu ani w literaturze, niewolniczego naśladowania wzorów rosyjskich – można było działać i pisać. Dzisiaj jednak wiemy, że wszystko, co się dzieje w Rosji jest uważane za doskonałe i jest kopiowane w Polsce w najdrobniejszych szczegółach. Ja, godząc się na stanowisko dobrze płatnego poety, musiałbym, tak jak inni pisarze, wziąć na swoje sumienie pochwałę Rosji i przekonywać moich czytelników, że ustrój, który tam się ustalił daje ludziom szczęście. Ja wiem, że to jest nieprawda. Wiem, że w trzydzieści trzy lata po rewolucji podstawowymi pierwiastkami w życiu sowieckiego obywatela są strach i kłamstwo. Zbyt wielu moich znajomych, których słowom ufam, spędziło tam lata w więzieniach i obozach pracy przymusowej, abym mógł nie współczuć cierpieniom rosyjskiego narodu. Ze zbyt wielką ilością Rosjan, Polaków i Ukraińców, którzy tam długo mieszkali i pracowali rozmawiałem, aby zalecać dzieciom i młodzieży mojej ojczyzny ten kraj jako część świata, w której realizują się marzenia pokoleń. Co więcej, nie wierzę, żeby drzewo wolności mogło kiedykolwiek, nawet w odległych latach jutra, wyrosnąć z zatrutego ziarna.

Zanim powziąłem decyzję, przeżyłem lata rozterki. Myślałem ze zgrozą o tym, jaki użytek i ja, i moi koledzy, robimy z własnego życia. Człowiek żyje krótko i nie powinna go opuszczać myśl o własnej śmierci. Kiedy myśli o śmierci, zapytuje siebie, czy wolno mu przemknąć się wygodnie przez życie, kupując spokój i bezpieczeństwo za cenę wyrzeczenia się prawdy. Wiem, że moi koledzy boją się sądu historii. Choć rozumieją, że biurokratyczna rewolucja rozpowszechni

niana ze Wschodu jest zła, sądzą, że dla ludzkości nie ma innego wyjścia i są ulegli, bo wierzą w historyczny fatalizm. Czy jednak nie jest obowiązkiem człowieka wyzywać los i nieść w sercu wizję ludzkości naprawdę braterskiej i sprawiedliwej? Uważam, że tak. A jednak, myśląc podobnie, nie mogłem zdecydować się na czyn, który wydawał mi się brzydkim odstępstwem. Przez pięć lat pracowałem lojalnie dla kraju, który, choć przekształcany powoli w prowincję nowego wielkiego imperium, jest niemniej przecież moją ojczyzną. Dopiero pomoc ze strony ludzi rządzących w Warszawie ułatwiła mi zerwanie więzów. Pomoc ta wyraziła się w tym, że użyto wobec mnie podstępów, zastawiono pułapki, zmuszono stosując siłę, do ohydnych kłamstw i otoczono mnie szpiclami. Jednym słowem użyto wszelkich klasycznych metod, które ongiś w Rosji doprowadziły do śmierci Puszkina, Lermontowa i Majakowskiego.

Jeżeli będą wam mówić, że jestem zimnym estetą, który wolał wybrać wygodne życie na Zachodzie, chytrym lisem, który wprowadzał wszystkich w błąd, bo był łasy na rządowe pieniądze, nie wiercie im. Moje serce jest gorące i jest w nim wielka miłość do ludzi. Moje życie na Zachodzie będzie dziesięć razy trudniejsze niż byłoby w Warszawie, gdzie dostałbym piękne mieszkanie i tłumaczyłbym Szekspira. Że musiałem uciekać do chytrości, do której mam wstręt, nie jest moją winą. Niech obwinia siebie o to ci, którzy co dzień zmuszają ludzi do kłamstwa. Nie wiercie, jeżeli będą wam mówić, że wybierając Zachód stałem się faszystą. Nie jest faszystą Tomasz Mann, który powiedział, że nie zniósłby atmosfery Wschodnich Niemiec. Nie jest faszystą wielki pisarz włoski Ignazio Silone, choć walczy przeciwko Stalinowi piórem i słowem. Nie hołduje faszyzmowi murzyński powieściopisarz Richard Wright, ani tylu innych pisarzy amerykańskich, angielskich i francuskich, którzy odrzucają ideał społeczeństwa oparty na panowaniu strachu.

Nie dlatego poszedłem na wygnanie, aby zamykać się w swoich drobnych, prywatnych sprawach. Chociaż dygnitarze w Warszawie nazwą mnie zdrajcą, ja byłbym zdrajcą dopiero wtedy, gdybym zaprzeczył dwóm słowom, którymi zakończyłem moją książkę „Ocalenie” wydaną w Warszawie. Słowa

te brzmią: „prawda i sprawiedliwość”. Jestem świadomy moich obowiązków, a ich ogrom mnie przygniata. Nie jestem tytanem. Być może zadania, które, jak sądzę, mi przypadły, przekraczają moje siły. Będę się jednak starać iść za moim powołaniem poety i kto wie, czy moje pióro nie zdoła choć w pewnym stopniu pomścić bólu tych Polaków czy Rosjan, którzy opłakują swoich najbliższych. Mogę przegrać. Ale mam tylko jedno życie i nie mogę go strawić na dialektycznym udowadnianiu, że strach jest godnością ludzką, a donosicielstwo cnotą. Wierzę, że nadzieja wielkich polskich poetów się spełni i że powstanie wspólnota wolnych i równych narodów, które nie będą już musiały drzeć przed obliczem jednego wszechpotężnego władcy. Ktokolwiek twierdzi, że konieczność historyczna przemawia za dyktaturą jednego kontynentalnego mocarstwa, niech raczy sobie przypomnieć, że historia tworzona jest przez ludzi. Ludzie są wielką potęgą, ale pod warunkiem, że nie ulegają ślepo konieczności.

Zostać wygnańcem jest dla mnie większą tragedią, niż ktoś może sądzić. Lepiej jest jednak zostać poetą na wygnaniu, niż ulegać i szukać uczonych argumentów, aby wobec siebie usprawiedliwić własną hańbę, jak to robi tylu pisarzy w Warszawie

Czesław MIŁOSZ

[List „Drodzy Rodacy!” został przygotowany na krótko przed oficjalnym ujawnieniem – podczas konferencji w Paryżu 15 maja 1951 roku – zerwania z władzami Polski Ludowej. Pisany był równocześnie z opublikowanym w *Kulturze* nr 5/43 „Nie”. Wydrukowany – w formie facsimile – został rozesłany do kilkuset dziennikarzy i literatów w Polsce a także czytany na antenie Voice of America.]



[Maisons-Laffitte, styczeń 1952]

Drogi Panie Jerzy,

Opuszczając Maisons Laffitte chcę powiedzieć Panu kilka słów – a łatwiej mi napisać, niż powiedzieć. Słowa moje w krótki i zwięzły sposób powinny wyrazić moje mieszane uczucia, jakie mam w stosunku do Pana. Te uczucia określiłbym tak: jest to wielka wdzięczność za to, że przyszedł mi Pan z pomocą w tak trudnym okresie mego życia i za to, że dzięki Panu napisałem książkę. Jest to wdzięczność również za to, że stał Pan twardo przy mnie, pomimo wszelkich przykrości, jakie z tego powodu Pana spotykały. Czyli są to uczucia, jakie ma się, kiedy się spotka człowieka dobrego i prawego. Z drugiej strony, przyglądając się Panu i widząc w Panu tyle zranionej dumy, którą Pan w sobie zamyka i takie pokłady serdeczności, które kryją się w Pana milczeniu, nieraz odczuwałem wielki żal, że nie mogłem Pana „skóry” przebić i stać się Pana osobistym przyjacielem. Jeżeli przebijałem tę skórę, to tylko po to chyba, aby Pana ranić. Rozumiałem to wszystko dobrze i wiem, że wina była po mojej stronie. Czasem jest jednak bardzo trudno, nawet rozumiejąc, znaleźć właściwą drogę: wszystko zdawało się składać na to, aby ją utrudnić. Niewątpliwie byłem w ciągu tego roku w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji. Moja tęsknota za żoną i dziećmi osiągała chwilami natężenie zupełnej wewnętrznej tortury i kiedy siadałem rano do śniadania byłem jak człowiek, który nie widzi dziennego światła, cóż mówić ludzi. Poza tym, jestem szczery, na mieszkańców Maisons przetrzucałem moją niechęć do Polaków emigracyjnych, jakże niesprawiedliwie. Także nie tylko mój egocentryzm wchodził tutaj w grę – również szczególne, nigdy dotychczas w życiu moim nieznanne w tym stopniu – skoncentrowanie egocentryzmu, obronność wynikająca z poczucia, że cały świat jest przeciwko mnie. Jednakże, jeżeli byłem ślepy, to jakimś trzecim okiem notowałem wszystko uważnie i kiedy Pan był najbardziej najeżony, chciało mi się podejść do Pana i powiedzieć: „Drogi Jerzy, przecież ciebie tak dobrze rozumiem,

zrzućmy te maski i bądźmy przyjaciółmi”. Niech ten mój list w jakimśkolwiek stopniu da Panu poznać, że Pan miał „sprawę Miłosza”, a ja „sprawę Giedroycia” i że mam zakątek serca, w którym figuruje Pan nie tylko jako człowiek dźwigający swoją samotność i samotny upór, który postanowił iść „oby nie zbyt daleko od ścieżki honoru” – jak mówi Stefan George.

Niech mi Pan wybaczy, drogi Jerzy, że nie byłem taki jakim powinienem był być i – nawet z moją naturą – mógłbym być. Chciałbym, żeby nasze stosunki w przyszłości tak się układały, aby od czasu do czasu ujawniło się w nich coś, co dotychczas rzadko się ujawniało. Co nie znaczy, że nie możemy spierać się intelektualnie – ale niech Pan pamięta, że ja wiem, iż pod skórą, którą Giedroyć nosi na twarzy, kryje się tyle ciepła wewnętrznego i tyle miłości – a przecież i Pan, drogi Jerzy, wie, że pomimo mego sarkazmu i ironii tego tylko szukam i przed tym tylko klękam.

Całuję Pana w oba policzki

Czesław MIŁOSZ

[Korespondencja Jerzego Giedroycia i Czesława Miłosza z lat 1951-2000 jest – zgodnie z wolą autorów – przygotowywana do wydania w serii „Archiwum *Kultury*” SW „Czytelnik”.]

Piotr WANDYCZ, Jerzy BORZĘCKI

ROZMOWY PIŁSUDSKIEGO Z WOJKOWEM. FRAGMENTY RAPORTÓW

W rosyjskich archiwach i zbiorach znajdujemy wciąż nieznanne dokumenty i materiały. Wśród nich figurują raporty posła sowieckiego w Warszawie, Piotra Łazariewicza Wojkowa. W jednym z nich mamy relację o długiej rozmowie, jaką Wojkow odbył z Marszałkiem Piłsudskim wkrótce po przewrocie majowym. Pierwsza wzmianka o niej figurowała we wspomnieniach Augusta Zaleskiego, na których oparł się P. Wandycz w swym: „August Zaleski, Minister Spraw Zagranicznych RP 1926-1932”, (Paryż 1980) s. 35, a następnie w: „Z Piłsudskim i Sikorskim. August Zaleski, minister spraw zagranicznych w latach 1926-1932 i 1939-1941”, (Warszawa 1999) s. 48-49. W tekście tym czytamy:

Zaleski starał się przekonać Rosję o bezpodstawności obaw przed agresywną polityką polską ... i w tym celu zaaranżował spotkanie u siebie z posłem sowieckim w Warszawie, Piotrem Wojkowem. Zaleski pisze: „Zaprosiłem tylko posła rosyjskiego i Marszałka. Jak tylko usiedliśmy przy stole, Piłsudski wziął byka za rogi mówiąc: «Przypuszczam, że w waszym kraju wiele osób podejrzewa mnie o przygotowywanie nowej wojny przeciw Rosji. Jeśli tak jest, to mogę tylko stwierdzić, że ludzie ci muszą mnie uważać za głupca. Co za interes może mieć Polska w wojnie w ogóle? Jej głównym celem jest rekonstrukcja życia gospodarczego i kulturalnego, nie ma ona żadnych rewindykacji terytorialnych wobec Rosji, nie jest też zainteresowana w zmianie ustroju komunistycznego w Rosji, gdyż każdy inny ustrój będzie prawdopodobnie mniej zycziwy dla Polski. Osobiście ja sam mogę tylko stracić w wypadku wojny. Teraz jestem zwycięzcą, a w wypadku nowej wojny mogę tylko ryzykować utratę tej pozycji». Wojkow był

wyraźnie zdumiony tak gwałtowną argumentacją. Wydawało się, że przyjmuje argumenty Marszałka jako bardzo uspokajające zapewnienia i powiedział, że jest absolutnie przekonany o ich szczerości, ale trudno było powiedzieć, czy naprawdę w nie wierzył”.

Tyle Zaleski, rekonstruując tę rozmowę po kilkudziesięciu latach.

Jeśli chodzi o publikowane źródła sowieckie, to jedyny ślad tego, że spotkanie takie mogło nastąpić, znajduje się w raporcie z 8 czerwca 1926 r., w którym Wojkow wspomina o spotkaniu z Piłsudskim. W tekście figuruje słowo „propozycja”, więc czytelnik nie wie, czy spotkanie to nastąpiło („Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich”, t. V, Warszawa 1966, s. 12). Kilkakrotnie ponawiane próby znalezienia raportu, zawierającego relację z tej rozmowy, nie dawały rezultatów. Dopiero kwerenda J. Borzęckiego podczas jego pobytu w Moskwie wczesnym latem 2004 r.¹ doprowadziła do odkrycia tego dokumentu. Poza zasadniczą rozmowę, podaną tu jako druga, Wojkow rozmawiał z Marszałkiem jeszcze dwukrotnie, wobec czego uznaliśmy za właściwe przytoczenie też fragmentów tych raportów, które figurują tu jako pierwsza² i trzecia rozmowa. Tłumaczenia tekstu z rosyjskiego na polski dokonał J. Borzęcki³.

Piotr WANDY CZ, Jerzy BORZĘCKI



Rozmowa pierwsza

[...] W niedzielę⁴ wieczorem odbyło się w teatrze⁵ uroczyste przedstawienie na cześć nowo wybranego Prezydenta⁶.

1. Kwerenda ta była możliwa dzięki funduszom udzielonym przez Social Sciences and Humanities Research Council of Canada.

2. Rozmowa ta zawiera fragmenty ze wspomnianego raportu Wojkova z 8 czerwca 1926 r., pominięte w „Dokumentach i materiałach”.

3. W tłumaczeniu niektórych idiomów pomocy udzielił dr Jerzy Waszkiewicz.

4. 6 czerwca 1926 r.

5. W Teatrze Wielkim w Warszawie.

6. Ignacego Mościckiego.

Zaproszony był cały korpus dyplomatyczny. Obok łoży Prezydenta zasiadał Piłsudski wraz ze swymi adiutantami. [...] Podczas antraktu Prezydent przyjmował korpus dyplomatyczny w salonie obok swej łoży. [...] W pokoju tym znajdował się minister spraw zagranicznych [August] Zaleski oraz minister handlu i przemysłu [Hipolit] Gliwic, obaj nadzwyczaj uprzejmi w stosunku do mnie. Zaleski przedstawił mnie Piłsudskiemu, stojącemu tam z częścią swojej świty i robiącemu wrażenie pewnego siebie, choć jednocześnie bardzo zmęczonego. W odpowiedzi na moje powitanie po francusku, marszałek odpowiedział uprzejmie po rosyjsku. Wyraziłem zadowolenie, że słyszę od marszałka mowę rosyjską, na co marszałek mi odpowiedział: „Mój Boże, przecież ukończyłem wileńskie gimnazjum i tyle mieszkałem na terenach, gdzie mówi się po rosyjsku”. Skorzystałem z tej okazji, by powiedzieć marszałkowi komplement, mówiąc: „Panie marszałku, wiele nam wiadomo na temat pańskich spraw i pańskiego życia”. Marszałek był bardzo zadowolony i powiedział: „Ja także wiele słyszałem o panu i bardzo się cieszę, że mogę pana poznać”. Jeszcze raz podaliśmy sobie ręce. [...] [Wkrótce potem] podjął ze mną rozmowę Zaleski; najpierw mówił o sprawach nie mających znaczenia, a następnie powiedział mi, że bardzo chciałby urządzić u siebie rozmowę pomiędzy trójką: Zaleski, ja i Piłsudski. Odpowiedziałem, że zawsze jestem do jego dyspozycji, Zaleski zaś dodał, że gdy tylko wszystko się ułoży – najwyraźniej mówił o ostatecznym sformowaniu gabinetu – to da mi znać i urządzi taką rozmowę, którą bardzo by chciał zorganizować. [...]

[Fragmenty raportu z 8 czerwca 1926 r., nr 79, Archiwum Polityki Zagranicznej Federacji Rosyjskiej (AWPRF), Fond 122 (Referentura po Polsce), Opis 10, Defo 34, Listy 109-111.]

Rozmowa druga

[...] Moje spotkanie z Piłsudskim odbyło się wreszcie wczoraj⁷ wieczorem w prywatnym mieszkaniu ministra spraw

7. Poniedziałek, 12 lipca 1926 r.

zagranicznych Zaleskiego. Zupełnie nieoczekiwanie Zaleski zadzwonił do mnie wczoraj rano i przeniósł to spotkanie z wtorku na poniedziałek, co spowodowało, że nie otrzymałem na czas Waszego telegramu z dodatkowymi instrukcjami. Jednakże nie umniejsza to znaczenia samej rozmowy, ze względu na to, że wątpliwym jest, czy w rozmowie z Piłsudskim udałoby mi się poruszyć wszystkie podane przez Was tematy, gdyż – jak zobaczycie poniżej – starał się on nie mówić o zagadnieniach technicznych, pozostawiając rozmowy o nich Zaleskiemu.

Prywatne spotkanie z Piłsudskim wzbudzało, w każdym razie, duże zainteresowanie. Gdy przyjechałem o dokładnie oznaczonej porze, Piłsudski już tam był i na schodach sterczał jakiś ordynans, najwyraźniej z obstawy marszałka. Marszałek zdecydował się poświęcić mi cały wieczór, w następstwie czego rozmowa ze mną trwała bez przerwy ponad 3 godziny, tak że przyszedłszy o wpół do dziewiątej, wyszedłem po wpół do dwunastej. Pewne moje próby wyjścia wcześniej w obawie, by nie zmęczyć marszałka, nie zostały przyjęte i kontynuował on rozmowę. Jednakże zagadnieniom politycznym poświęcił on jedynie stosunkowo niewielką część rozmowy; resztę czasu wypełniały opowiadania marszałka o samym sobie w różnych okolicznościach jego życia, przy czym był on ogromnie uprzejmy i nadzwyczaj ożywiony. Jego ożywienie dało się wyjaśnić zarówno niewielką kolacją, jaką ugościł nas Zaleski, zakropioną paroma kielichami wina, jak i najwidoczniej szczególnym pragnieniem, by do końca okazać swą sympatię i wyjątkową uprzejmość. Pozostał on już takim do końca rozmowy, opowiadając niezliczoną ilość anegdot ze swego życia oraz przyjmując ze szczególnym zadowoleniem moje komplementy, odnoszące się do jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Nie podaję wszystkich wątków rozmowy, lecz muszę powiedzieć, że jej całokształt jest bardzo znamieny w sensie zarówno charakterystyki marszałka, jak i jego pragnienia, by okazać wyjątkową życzliwość czy to w stosunku do mnie, czy też w ogóle do nas. Rozmowa była prowadzona cały czas po rosyjsku, choć od czasu do czasu marszałek przechodził na polski lub francuski. Na język francuski przechodził on przede wszystkim wtedy, gdy chciał wyróżnić jakąś

myśl polityczną odnoszącą się do stosunków z nami.

Rozmowa na tematy polityczne zaczęła się od tego, że scharakteryzowałem *osobę samego marszałka, jako osobę, która – w moich oczach – trzeźwą myślą dawno i zdecydowanie stwierdziła związek pomiędzy rewolucją rosyjską i niezależnością Polski*⁸. Oświadczwszy, że u nas – w tych kręgach, które nie piszą, lecz myślą i decydują – uważają marszałka za jednego z największych polskich patriotów na przestrzeni całej historii Polski, powiedziałem, że marszałek – trzeźwo i realnie myśląc – dawno uświadomił sobie ten związek rewolucji z losami samodzielnego rozwoju Polski i wykażał to w praktyce. Powiedziałem, że u nas nie mogą zapomnieć tego bardzo szczególnego stanowiska, jakie marszałek zajął w czasie wojny Denikina z nami, i że pamięć o tym jest u nas traktowana jako rękojmia zaufania również i na przyszłość.

Marszałek odpowiedział mi, że bardzo sobie ceni to moje oświadczenie i że chciałby ze mną porozmawiać otwarcie i szczerze⁹. Nie jest on zwolennikiem jakiegokolwiek wojny z nami i nie będzie zwolennikiem takiej wojny. On w pełni rozumie, że jego przeszłość może wywoływać u nas pewien niepokój, szczególnie po tym, gdy wziął rzeczywistą władzę w swoje ręce środkami niezupełnie legalnymi. Przewrót, czy też – jak się wyraził – mała perturbacja, był dokonany przy pomocy armii. Dojście do władzy człowieka, który prowadził z nami wojnę, a ponadto jego dojście do władzy na skutek takiego pragnienia armii, niewątpliwie mogło wywołać zaniepokojenie nie tylko u nas, ale i wszędzie. Marszałek nazwał przewrót małą perturbacją i wyjaśnił mi, że jest to mała perturbacja oczywiście dlatego, że ostatecznie zginęło w sumie jedynie 200 ludzi, a w sprawach militarnych jest to liczba zdecydowanie mała. Odpowiedziałem mu stosownie, że istotnie w czasie bitwy liczba ta odnosi się do jakiejś małej potyczki i dlatego zgadzam się z tą myślą. Marszałek był

8. Kursywą oddany został w tym artykule tekst zaznaczony na marginesie pionową kreską przez czytającego raporty Borysa Spiridonowicza Stomoniakowa, członka Kolegium NKID (Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych).

9. W oryginale „priamo na czistotu”.

zadowolony i kontynuował: Staram się obecnie tymi środkami, jakie mam do dyspozycji, dać do zrozumienia i wiadomości wszystkim, że moje dojście do władzy przy pomocy armii nie oznacza wojny. Rozumiem niepokój, który ogarnął nie tylko was, ale i innych. W stosunku do was – rzekł marszałek – powiem panu zupełnie otwarcie: Po co mi wojna z wami? Ja już prowadziłem z wami wojnę i z tej wojny wyszedłem okryty sławą. Uważam, że okazałem się w tej wojnie zwycięzcą. Dlaczego więc miałbym teraz szukać rewanżu? Ja nie muszę szukać rewanżu. To wam, być może, należy szukać rewanżu¹⁰. Zaprotestowałem i powiedziałem, że w sprawach wojny nie mówimy ani o zwycięzcach, ani o zwyciężonych i w ogóle nie stawiamy tego zagadnienia w ten sposób. W każdej sytuacji nasze naturalne podejście do sprawy i nasze pragnienie nie jest pragnieniem jakichkolwiek wojen lub jakichkolwiek rewanżów, lecz wyłącznym pragnieniem pokoju. W takim razie – powiedział marszałek – nie może być żadnej kwestii jakiegokolwiek mojego pragnienia wojny z wami. Oczywiście – powiedział – będę musiał się bronić, jeśli na mnie napadną. Ale któż nie musiałby się bronić? Ponieważ jednak wszystko to jest całkowicie nierealne, to oświadczam panu, że żadnej wojny nie chcę i nie będę chciał. Uważam – kontynuował marszałek – że Polska jeszcze długo będzie musiała urządzać swoje życie wewnętrzne i gromadzić swoje siły wewnętrzne po to, by zorganizować swoje życie, szczególnie zaś po to, by przeciwstawić się wszelkiemu naciskowi z zewnątrz. U nas w Polsce – powiedział on – do momentu, gdy teraz właśnie przejąłem władzę, nadmiernie poddawano się naciskowi (mówił on po francusku i cały czas używał słowa „pression”) z zewnątrz. Polska była słaba i poddawała się wszelkiego rodzaju naciskom. Uważam, że moim zadaniem jest pobudzić¹¹ Polskę do takiego nagromadzenia swoich sił, by żaden nacisk z zewnątrz nie mógł jej zagrażać. Polska nie może służyć żadnym celom pod wpływem nacisku z zewnątrz.

Powiedziałem, że zarówno wrogom, jak i swoim przy-

10. Wszystkie podkreślenia w tekście pochodzą od czytającego raporty Stomoniakowa.

11. W oryginale „zastawit”.

jaciołom, zarówno w Polsce, jak i u nas, marszałek znany jest jako człowiek, na którego rzeczywiście nie oddziałuje żaden nacisk z zewnątrz. Powiedziałem żarliwie¹² i stanowczo, że takie panuje u nas przekonanie, wypływające z całego życia marszałka. Marszałek był nadzwyczajnie wzruszony i w ogóle przyjmował wszystkie moje komplementy nadzwyczaj chętnie i życzliwie¹³, nawet jeśli mi przychodziło mówić je wprost¹⁴.

//¹⁵ Jak pan widzi – kontynuował marszałek – mówię zupełnie otwarcie, że nie mam żadnych powodów ani przyczyn, by w jakimkolwiek stopniu myśleć, nawet w przyszłości, o jakiegokolwiek wojnie z wami. Kwestia Białorusi i Ukrainy wcale mnie nie pociąga. Uważam, że mamy i tak wystarczająco dużo Białorusinów i Ukraińców, i że powinniśmy w każdym razie ułożyć sprawę z tą liczbą Ukraińców i Białorusinów, jaka się u nas znajduje. To wy działacie przeciwko nam wśród Białorusinów i Ukraińców, a nie my przeciwko wam – powiedział marszałek. W każdym razie ja nie będę, a nawet nie mogę myśleć o jakichkolwiek dążeniach w kierunku waszej Białorusi i Ukrainy. Powtarzam raz jeszcze, musimy się jakoś ułożyć z tym, co mamy. – Tu marszałek przerwał, pomyślał patrząc na mnie spode łba i powiedział: Niech pan posłucha, po co będę prowadził wojnę? Obecnie przekazuję swoje imię moim dzieciom, mojemu potomstwu, jako imię zwycięzcy oraz imię człowieka, który okrył się sławą na wojnie z wami. W przypadku wojny z wami, kto może powiedzieć, jaki będzie wynik? Tak więc po co będę ryzykował swoim imieniem i wszystkim, co zdobyłem? Ryzykuję, że przekazę potomstwu imię człowieka, który postawił Polskę przed wielkim nieszczęściem (powiedział on po francusku „désastre”) i stracił wszystko, co zdobył.

Wysłuchałem marszałka uważnie i z powagą – nie wie-

12. W oryginale „goriaczo”.

13. W oryginale „dobrosowestno” (sumiennie), co jest niewątpliwie błędem. Prawdopodobnie chodzi o „dobroserdeczno” (życzliwie).

14. W oryginale „priamo w upor”.

15. Ten symbol oznacza dwie ukośne kreski, które Stomoniakow stawiał najwidoczniej dla oznaczenia bardziej istotnych, jego zdaniem, momentów.

dząc w gruncie rzeczy, jak ustosunkować się do tak ryzykownej argumentacji – i zdecydowałem się od razu przejść do zagadnienia, mającego bardziej praktyczny charakter. – W takim razie, panie marszałku – powiedziałem – skoro nie widzi pan z waszej strony żadnych przeszkód, by otwarcie oznajmić swoje pragnienie pokoju i skoro my także tego pragniemy, to wydaje mi się, że należałoby przejść do zagadnienia, jak to utrwalić, tak żeby w psychologii narodów obu krajów odcisnęło się to wyraźnie i niewzruszenie. // Jeśli chodzi o pakt, o którym cały czas tyle się mówiło, to obecnie nie ma jeszcze żadnej definitywnej odpowiedzi i nie ma jeszcze żadnego definitywnego porozumienia. To, co do tej pory dzieliło nas z poprzednim rządem i z poprzednią polityką, polegało na tym, że nie mogliśmy się porozumieć w kwestii krajów bałtyckich. Obecnie uspokajające oświadczenia pana ministra Zaleskiego – który na samym początku uspokoił mnie co do tego, że ze strony nowego rządu nie będą kontynuowane te kroki, które miały miejsce wcześniej – dają, jak się wydaje, podstawę, by sądzić, że tym samym ma miejsce zmiana stanowiska Polski wobec zagadnienia krajów bałtyckich. Tego rodzaju zmiana ma niewątpliwie miejsce i z naszej strony w tym sensie, że¹⁶ niektóre swoje propozycje przedstawiłem w rozmowie z panem [Romanem] Knollem¹⁷, który się nimi nadzwyczaj zainteresował i obiecał zainteresować nimi pana ministra. Rozmawiałem z panem Knollem o tym, że w naszym pakcie byłoby możliwe pójść na pewne sformułowanie w stosunku do krajów bałtyckich, które zażegnałoby obawy rządu polskiego, wynikające z jego możliwych przypuszczeń w sprawie naszej linii postępowania w krajach bałtyckich. Choć przedstawiałem to jako swoje przypuszczenia, to jednak uważam, że z tego wszystkiego, co miałem szczęście i przyjemność słyszeć, powinna wyniknąć możliwość porozumienia między nami w sprawie paktu, tak żeby kwestia krajów bałtyckich nie stanowiła tutaj

16. Stomoniakow wykreślił słowa „w tym sensie, że”.

17. Podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

przeszkody. Uważam, że w tym sformułowaniu dotyczącym krajów bałtyckich, które można projektować, można byłoby mówić o możliwości z waszej strony nieuważania Polski za związaną w przypadku jakiegokolwiek naszej problematycznej napaści na kraje bałtyckie. To samo, oczywiście, w odniesieniu do waszej napaści na kraje bałtyckie. Uważam wszakże, że *kwestia waszej czy naszej napaści na kraje bałtyckie jest zagadnieniem czysto teoretycznym i tylko takim. Piłsudski przerwał mi i śmiejąc się powiedział, że zgadza się całkowicie, iż jakakolwiek napaść Polski na kraje bałtyckie jest zagadnieniem czysto teoretycznym, lecz za to, że my na nie nie napadniemy, nie ręczyłby głową na wieki wieków.* Powiedziałem, również śmiejąc się, że ja w każdym razie ręczyłbym za to i głową, i czymkolwiek, o ile by chodziło o moje własne życie. W każdym razie wszystkie moje wysiłki sprowadzają się do tego, by uspokoić Polskę w tym względzie i znaleźć odpowiednie sformułowanie dla paktu, który ma być zawarty między naszymi dwoma wielkimi narodami.

Piłsudski odpowiedział mi, że jeśli chodzi o praktyczne przeprowadzenie jego myśli, to nie mógłby wchodzić w szczegółowe rozmowy ze mną, gdyż to już należy do ministra spraw zagranicznych. Uważa on, że wysunął już ideę swojego niezmiennie pokojowego nastawienia i że wprowadzenie jej w życie należy już do ministra spraw zagranicznych, który odpowiada przed rządem swoją głową. W tym momencie trochę pożartowaliśmy na temat głowy pana ministra. **X**¹⁸ Dzięki Bogu – powiedział Piłsudski – minister nie jest teraz odpowiedzialny przed Sejmem. My również zaśmialiśmy się. Przed kim więc jest pan teraz odpowiedzialny? – zapytał Piłsudski Zaleskiego. Przed narodem – odpowiedziałem za Zaleskiego. Przed opinią publiczną – powiedział Zaleski i zaraz pośpiesznie dodał – o ile ona istnieje. Świetnie pan to ujął¹⁹ – powiedział mu, śmiejąc się, marszałek – osobiście, ja również mam co do tego poważne wątpliwości. Tak więc sądzę – kontynuował marszałek – że jeśli chodzi o szczegóły,

18. Duży znak w kształcie iksa, postawiony przez Stomoniakowa.

19. W oryginalu: „Ja Was pozdrawiaju s takim somnieniem”.

to dojdzie pan do porozumienia z panem ministrem – na co Zaleski od razu potwierdził, że wkrótce przeprowadzi ze mną rozmowę i sądzi, że porozumienie będzie osiągnięte.

Ja jednakże nie chciałem się na tym zatrzymać i dość zapalczywie powiedziałem marszałkowi, że ja oczywiście nie chciałbym niepokoić pana marszałka tą rozmową, którą z brzemieniem pełnej odpowiedzialności będzie prowadził ze mną pan minister spraw zagranicznych, tu obecny i zapewniający, że porozumienie na bazie tego, co oświadczył marszałek i o czym mówiłem ja, jest w pełni możliwe – ja tylko dlatego zacząłem mówić o krajach bałtyckich, że do momentu, gdy marszałek wziął władzę w swoje ręce, cały czas uważano u nas, iż kwestia krajów bałtyckich oraz stanowiska rządu polskiego w stosunku do nich była kwestią nacisku z zewnątrz. Nigdy nie sądziliśmy – powiedziałem – że to podejście do kwestii krajów bałtyckich, które reprezentował poprzedni rząd polski, jest samodzielnym polskim podejściem. Cały czas panuje u nas głębokie przekonanie, że za tym kryje się ten sam nacisk, przeciwko któremu z takim przekonaniem i szczerością wypowiadał się tutaj pan marszałek. Do tej pory, już po przewrocie, kwestia ta wzbudzała u nas niepokój, właśnie jako kwestia dowodząca istnienia nacisku z zewnątrz. Ta polityka bariery, jak ją u nas i nie tylko u nas nazywają, jest oczywiście wynikiem oddziaływania z zewnątrz.

Marszałek od razu mi na to odpowiedział. Nie może być żadnej polityki bariery – powiedział – w żadnym tego słowa znaczeniu. Polska jest krajem waszego tranzytu w sensie ekonomicznym i to tym bardziej dowodzi niemożliwości żadnej polityki bariery. Jeśli chodzi o politykę bariery w związku z krajami bałtyckimi, to mogę panu oświadczyć – powiedział marszałek – że polityki bariery więcej już nie będzie.

Powiedziałem, że jestem nadzwyczaj szczęśliwy słysząc to zapewnienie i, co za tym idzie, nie ma żadnych przeszkód co do tego, by po należnych oświadczeniach moje rozmowy z panem ministrem przebiegały szybko i owocnie. Rozmowa przeszła na inne tematy. //

W toku dalszej rozmowy marszałek jeszcze raz poruszył kwestię dowodów swojego pokojowego nastawienia dla

wszystkich, którzy się niepokoją. Powiedział, że zdecydował się zmienić wszystkich attaché wojskowych we wszystkich krajach. Zwolni także [ppłk. Tadeusza] Kobyłańskiego, attaché wojskowego u nas. [...]

Opuszczam szczegóły długiej rozmowy, w której głos zabierał przede wszystkim marszałek. Był on w doskonałym nastroju, opowiadał masę anegdot i oczekiwał takowych ode mnie. Zaprezentowałem wszystko, co znałem, i bardzo się wszyscy w trójkę uśmialiśmy ze wszystkich najróżniejszych wypadków życiowych. [...] Cała ta rozmowa stwarzała atmosferę szczególnej życzliwości i szczeroci.

// [...] Nie wdaję się w szczegółową analizę mojej rozmowy z Piłsudskim. Rozmowa jest wystarczająco jasna sama w sobie, a wnioski można z niej wyciągnąć niewątpliwie różnorakie. Jak widzicie, Piłsudski dość kategorycznie zapewnił nas o swoim pokojowym nastawieniu, lecz jednocześnie zupełnie przemilczał Litwę. Właśnie to jego przemilczenie Litwy uważam za o wiele bardziej niepokojące, niż jakąkolwiek możliwą rozmowę²⁰ o Litwie, którą w jednym ze swoich listów przewidywaliście.

Ostatnim razem pisałem z niejaką obawą o tych szeroko zakrojonych planach pewnych kręgów z otoczenia Piłsudskiego, dotyczących Ukrainy i Litwy. Obecnie można już z większą dokładnością powiedzieć, że przynajmniej w stosunku do Litwy nasze wszelkiego rodzaju obawy są jak najbardziej uzasadnione. Nie uważam za wykluczone, że w najbliższym czasie, tzn. jeszcze do późnej jesieni, Piłsudski może spróbować w ten czy inny sposób zlikwidować kwestię samodzielnej Litwy. Czy będzie to rezultatem ustalonego już planu, czy też nie, trudno mi teraz powiedzieć. Jednakże niewątpliwie myśl o tym, by przyłączyć Litwę do Polski, w pełni obecnie dojrzeła. Ten fakt, że mówi się o tym w czasie tajnych rozmów z Litwą na temat możliwości federacji, być może również wskazuje, jak mi się wydaje, że takimi pogłoskami próbuje się Litwę zastraszyć. Lecz, jak wiecie, zastraszanie takimi pogłoskami może przy

20. W oryginale: „daże samyj wozmożnyj razgowor”.

uporze Litwy doprowadzić w końcu do tego, że trzeba będzie te pogłoski potwierdzić w praktyce. Pod tym względem często bardzo trudno odróżnić groźbę od samego spełnienia tej groźby. Prawica jest obecnie bardzo zaniepokojona zamysłami, przypisywanymi Piłsudskiemu w stosunku do Litwy. Niepokój prawicy wynika w istocie nie z obawy o Litwę – gdyż prawica zjadłaby ją, tak samo jak i lewica – lecz z obawy przed tym, jak my na to odpowiemy. To jest właśnie pytanie, które zadaje sobie prawica, gdy się mówi o możliwej awanturze Piłsudskiego. To samo pytanie najwyraźniej przychodzi do głowy także i Piłsudskiemu i, być może, każe mu mówić zarówno o jego pokojowych zamiarach w stosunku do nas, jak i o naszej Białorusi i Ukrainie jako o ziemiach, których nie chciałby ruszać. Dlatego też, choć może się to wydawać dziwne, na pierwszy rzut oka dosyć mnie niepokoi ta wzmianka o Białorusi i Ukrainie połączona z zupełnym brakiem w rozmowie z Piłsudskim jakiegokolwiek aluzji do Litwy, szczególnie w świetle tego potwierdzenia, jakie znajduje to w istniejących pogłoskach. Sam fakt, że mówi się o możliwych działaniach przeciw Litwie właśnie jesienią, wskazuje jak gdyby na to, że sądzi się, iż jesienią nie przystąpimy do wojny z powodu Litwy, gdyż niemożliwe jest prowadzenie wojny zimą. //

Jednocześnie z kwestią Litwy mówi się też o kwestii Górnego Śląska w sensie jakiegoś projektu wydzielenia niemieckiego i polskiego Śląska w oddzielny okręg Górnego Śląska. Przytacza się to w związku z możliwością porozumienia z Niemcami, którzy podniósłszy szum w sprawie Litwy, dostaną swoją kompensację w postaci protektoratu nad tym okręgiem Górnego Śląska. Sądząc po wszystkim, jest to projekt, *o którym nie było jeszcze rozmów z Niemcami, a jeśli były, to w każdym razie nie miały charakteru nawet półoficjalnego. Byłoby ciekawe sprawdzić to przez Berlin.* [...]

[Fragmenty raportu z 13 lipca 1926 r., nr 84, AWPRF, F. 122, Op. 10, D. 34, L. 1-9.]

Rozmowa trzecia

[...] Knoll, [Stanisław] Patek, Piłsudski i ja przesiedzieliśmy w „przyjemnej” rozmowie przy herbacie równo trzy i pół godziny. [...] Z tych trzech godzin nie więcej niż 1/4 godziny mówił on [Piłsudski] o polityce. [...] A oto ono [jego oświadczenie polityczne] w całości²¹: [...] Część I: [...] Patek wyjeżdża do was do Rosji²² i chciałbym wskazać, że nie jedzie on ode mnie osobiście, ale od rządu polskiego. [...] Oczywiście, że jesteśmy z Patkiem starymi przyjaciółmi. [...] Niemniej jednak Patek jedzie oficjalnie z ramienia rządu i reprezentuje rząd. Część II: Obecnie [...] zaczną się rozmowy w sprawie paktu o nieagresji. Rozmowy te będą bardzo trudne [...] ze względu na to, że będzie wiele kłopotu ze znalezieniem sformułowań, na które obie strony mogłyby się zgodzić. Ta trudność znalezienia sformułowań wynika z naszego członkostwa w Lidze Narodów [której święte sformułowania zapisane są na nie mniej, niż 15 tysiącach kartek] [...] wy również macie 15 tysięcy kartek swoich sformułowań, także dla was świętych. Uzgodnić to wszystko będzie dosyć trudno. Dlatego też chciałem powiedzieć od siebie – moja baza jest następująca: ni kłótni, ni wojny; to właśnie stawiam jako podstawę naszych stosunków. Szukać sformułowań i prowadzić rozmowy będą oni [Patek i Knoll], a także Zaleski, gdy przyjedzie²³. Oni będą to robić i za to będą odpowiedzialni. A ja oświadczam, że moja baza – ni kłótni, ni wojny. [...]

[...] Całą tę szaradę rozumiem tak, że Piłsudski chce uspokoić nas na wypadek, gdyby wydało nam się od razu na początku, że rozmowy na temat paktu nie prowadzą do żadnego celu. [...] Dlatego też, pomimo tego, że w ogóle będzie gra na zwłokę i pomimo tego, że Patek też będzie prowadził tę grę na zwłokę, nie powinniśmy się niepokoić, ponieważ Piłsudski nie pragnie ni kłótni, ni wojny. [...]

[Fragmenty raportu z 14 grudnia 1926 r., nr 106, AWPRF,
F. 122, Op. 10, D. 38, L. 24-27.]

21. Piłsudski, podobnie jak w czasie drugiej rozmowy z Wojkowem, wypowiadał się na tematy polityczne po francusku.

22. W charakterze nowego posła.

23. Chodzi o powrót Zaleskiego z konferencji Ligi Narodów w Genewie.

Rafał WNUK

„POWSTANIE CZORTKOWSKIE”

21 I 1940

21 stycznia 1940 r. w znajdującym się pod okupacją sowiecką Czortkowie doszło do ataku miejscowych konspiratorów na stacjonujące tam siły sowieckie. To mało znane wydarzenie określane jest niekiedy „powstaniem czortkowskim”¹. Do tej pory o tym zdarzeniu wiedzieliśmy głównie dzięki relacjom uczestników oraz wybranych dokumentów NKWD opublikowanych w czasopiśmie historycznym *Karta*². Obecnie w archiwum IPN dostępne są dokumenty sowieckie, głównie materiały procesowe uczestników „powstania”, poważnie uzupełniające naszą wiedzę na ten temat. Tekst niniejszy jest próbą odtworzenia przebiegu wydarzeń na podstawie dostępnych obecnie źródeł. Choć nie pozwalają one na szczegółowe odmalowanie całego obrazu, to umożli-

1. Uczestnicy antysowieckiego wystąpienia, które miało miejsce 21 I 1940 w Czortkowie, nazywają całe zdarzenie „powstaniem”, zaś siebie „powstańcami”. Tę nomenklaturę przyjęło też wielu badaczy. Ponieważ mam poważne wątpliwości, czy wydarzenia czortkowskie były faktycznie powstaniem, a nie incydentalnym wystąpieniem zbrojnym, w tekście tym określenia „powstanie” i „powstańcy” mają charakter umowny i są umieszczone w cudzysłowie.

2. P. Młotecki, „Powstanie w Czortkowie” [w:] *Karta*, 1991, nr 5, s. 28-42; J. Tucholski, „Powstanie w Czortkowie – wersja NKWD”, [w:] *Karta*, 2000, nr 31, s. 92-110.

wiają uzyskanie wyobrażenia o tym, co zaszło 21 I 1940 r. w Czortkowie.

Po zajęciu obszaru wschodniej Polski przez Armię Czerwoną, w Czortkowie, podobnie jak w innych miastach Kresów Południowo-Wschodnich, szybko powstały pierwsze inicjatywy konspiracyjne. W październiku 1939 r. peowiak z czasu I wojny światowej, komendant czortkowskiego Hufca Harcerzy Kresowych i jednocześnie kierownik kształcenia harcerzy Lwowskiej Komendy Harcerzy Józef Opacki rozpoczął tworzenie siatki Polskiej Organizacji Walki z Wrogiem (POWW), występującej później jako Polska Organizacja Wojskowa. Organizacja ta składać się miała z dwu grup, dorosłej – wojskowej, oraz młodzieżowej – Szarych Szeregów. Co za tym idzie konspiratorzy

realizowali program harcerski, a równocześnie zajmowali się szkoleniem wojskowym, wywiadem i kontrwywiadem, gromadzeniem broni, zbieraniem i kolportowaniem informacji³.

Używanie przez konspiratorów nazwy POWW wskazuje, że prawdopodobnie była to część siatki stworzonej z inicjatywy gen. Mariana Januszajtisa struktury posługującej się nazwami Polska Organizacja Wojskowa (POW), Polska Organizacja Walki o Wolność lub Polska Organizacja Walki Wolnościowej⁴. To właśnie w oparciu o kadry POWW na przełomie 1939 i 1940 r. zbudowany został Obszar Lwów Związku Walki Zbrojnej⁵.

Również w październiku 1939 roku ppor. Heweliusz

3. P. Młotecki, *op.cit.*, s. 29.

4. J. Panecki, „Koncepcje Rządu RP na emigracji w kwestii włączenia Polonii w Europie Zachodniej do walki podziemnej z Niemcami (1940-1944)”, [w:] *Wojskowy Przegląd Historyczny*, 1984, nr 3; też: J. Węgiński, „Lwów pod okupacją sowiecką 1939-1941”, Warszawa 1991, s. 24; też: G. Mazur, „Walka NKWD ze Związkiem Walki Zbrojnej na Kresach Południowo-Wschodnich w świetle dokumentów polskich archiwów w Londynie”, [w:] „Europa nieprovincialna. Non-provincial Europe. Przemiany na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej (Białoruś, Litwa Łotwa Ukraina, wschodnie pogranicze III Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1772 – 1999)”, Warszawa – Londyn 1999, s. 669-678.

5. Archiwum Wojskowego Instytutu Historycznego [dalej AWIH], sygn. III/33/6, s. 2-4, Raport Organizacyjny z 1 I 1940 r.

Malawski⁶ (znany powszechnie jako Gizek Malawski), Henryk Kamiński i Tadeusz Bańkowski założyli organizację konspiracyjną która działała pod kryptonimem „Orzeł Biały”. Dostępne dokumenty NKWD nie zawierają żadnych informacji o harcerskiej grupie J. Opackiego, natomiast potwierdzają istnienie siatki konspiracyjnej ppor. Heweliusza Malawskiego. W założeniu miała ona zajmować się przerzutem młodych, chętnych do walki ludzi do polskiego przedstawicielstwa w Rumunii, następnie polskich formacji wojskowych we Francji. Podczas tworzenia organizacji ppor. Malawski podawał się za osobę działającą z upoważnienia dowództwa konspiracyjnego we Lwowie⁷.

Prawdopodobnie 6 I 1940 r. do Czortkowa przybyło dwóch oficerów reprezentujących jakoby „lwowskie centrum”: instruktor w Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu por. Janusz Kowalski, ppor. Woszczyński (wg innych Wołoszański lub Wołszyński) z Żółkwi. Zamieszkali oni w mieszkaniu Aleksandry Wasilewskiej, gdzie wynajmował też pokój ppor. Malawski. Wieczorem 9 I 1940 r. odbyło się zebranie przywódców czortkowskiego podziemia. Oprócz gospodarzy i dwu przyjezdnych oficerów byli na nim obecni uczniowie starszych klas miejscowego gimnazjum: Henryk Kamiński, Tadeusz Bańkowski, Tadeusz Hankiewicz, Bolesław Kunik, Tadeusz Nowicki, Kazimierz Wasilewski oraz Jerzy Koleuszek. W jego trakcie Malawski poinformował zebranych, że:

przed naszą organizacją stoi zadanie opanowania Czortkowa. Jeśli to zadanie zakończy się sukcesem, wtedy do powstania przystąpi Stanisławów i Lwów. Potem Malawski powiedział, że choć organizacja czortkowska jest dostatecznie duża, to każdy z nowo przystępujących powinien koniecznie przystąpić obecnie do werbunku nowych członków, bo im więcej będzie uczestników, tym łatwiejsze będzie wypełnienie powierzonego zadania. [...] Podczas

6. Heweliusz Malawski, „Michał”, technik dentystryczny, w aktach występuje jako podporucznik, jednak według niektórych przekazów był kapralem rezerwy.

7. AIPN 177/358 (UI/393/F), Sprawa karno-śledcza Tadeusza Schodnickiego i in.; Tarnopol 1940 [dalej: 177/358 (UI/393/F)] t. 1. Protokół przesłuchania Aleksandra Czajkowskiego s. Franciszka z 24 I 1940 r., k. 175.

werbunku nie używać nazwisk, mówić, że przygotowywane jest powstanie w Czortkowie, którego celem jest obalenie władzy sowieckiej, że dowodzą nim ludzie godni zaufania. Zwerbowanych należy uprzedzić, że powinni być przygotowani na to, że powstanie może wybuchnąć w każdej chwili, że moment powstania będzie ogłoszony bezpośrednio przed powstaniem. [...] jeśli operacja w Czortkowie zakończy się sukcesem, to organizacja będzie prowadziła dalej działania dwoma grupami. Jedna pójdzie na Jagodnicę, Zaleszczyki, Borszczów, druga pójdzie na Buczacz i Monasterzyska. Następnie powinna wkroczyć polska armia z Rumunii⁸.

Kolejne spotkania, czy raczej odprawy, odbyły się 13 i 16 I 1940 r. w tym samym miejscu⁹.

Inne przekazy potwierdzają, że opanowanie Czortkowa zostało zaplanowane jako część antysowieckiego zrywu zbrojnego w Galicji Wschodniej lub nawet na obszarze całej okupacji sowieckiej. Organizatorzy „powstania” utrzymywali członków siatki w całkowicie błędnym przekonaniu, jakoby ich działania były skorelowane z planami uderzenia jednostek WP stacjonujących w Rumunii oraz ofensywą armii rumuńskiej. Rzecz jasna, w tym okresie na terenie Rumunii nie było żadnych formacji polskiej armii.

W sporządzonym na podstawie zeznań raporcie Sierowa do Berii czytamy:

Podczas werbunku [do siatki konspiracyjnej] dowódcy informowali, że działają z polecenia zagranicy, że ich wystąpienie wspomogą polskie legiony stacjonujące na rumuńskiej granicy, że jednocześnie z wystąpieniem w Czortkowie rozpoczyna się wystąpienia we Lwowie, Stanisławowie i innych miastach¹⁰.

Uczestnik tych wydarzeń Franciszek Syzdek zeznał, że konspiratorzy planowali:

8. AIPN 177/378 (UI/415/F), Sprawa karno-śledcza Henryka Kamińskiego i in. Tarnopol, t. I-III [dalej: AIPN 177/378 (UI/-413/F-UI/415/F)], Protokół przesłuchania Henryka Kamińskiego z 23 I 1940 r., k. 236-237.

9. AIPN 177/378 (UI/413/F), Protokół przesłuchania Tadeusza Bańkowskiego z 24 I 1940 r., k. 42-43.

10. AIPN 177/309 (UI/344/F), Meldunki specjalne NKWD USRS – 6 dokumentów; Kijów 1939-1940 [dalej: AIPN 177/309 (UI/344/F)], Meldunek narkoma NKWD USRS Sierowa do narkoma NKWD ZSRS Berii z 12 III 1940 r., k. 2.

jak wybuchnie powstanie to zabijemy wszystkich przedstawicieli władzy sowieckiej i my będziemy musieli zorganizować swoją władzę¹¹.

Z przesłuchania Wacława Zdunka dowiadujemy się, iż w trakcie przygotowań poinformowano go, że:

w Czortkowie garnizon jest bardzo mały, można go zaatakować, odebrać broń. [...] na 21 stycznia tego roku przygotowywane jest we wszystkich wsiach i miastach Zachodniej Ukrainy powstanie zbrojne, będziemy budować własne państwo, tzn. polskie państwo. A w skrajnym przypadku, jeśli nie opanujemy garnizonu, możemy uciec do Rumunii.¹²

Tak więc plan zakładał wywołanie powstania, a w razie jego niepowodzenia zbiorową ucieczką do Rumunii. Plan przeprowadzenia ucieczki potwierdza też artykuł Rudolfa Fałkowskiego, w którym czytamy:

Celem było – wykorzystując fakt, że połacie południowo-wschodniej Polski były ogołoczone z wojsk, odtransportowanych na front fiński – rozbroić pozostałości garnizonów i ze zdobytą bronią zrobić tyle zamieszania na Podolu, żeby otworzyć więzienia wypuszczając na wolność tysiące niewinnych ludzi. A potem z dołączoną młodzieżą, i w ogóle z byle kim, kto tylko chciał uciekać, wycofać się na niedaleką Rumunię i Węgry¹³.

Początek „powstania” zaplanowano na noc z 21 na 22 I 1940 r., a więc w rocznicę wybuchu powstania styczniowego. Zgodnie z poleceniami Malawskiego, pomiędzy 9 a 21 I 1940 r. odbył się masowy nabór nowych członków, tak że w przeciągu kilku dni organizacja rozrosła się do 150-200 ludzi. Według Sierowa konspiratorzy wywodzili się ze środowiska:

byłych strzelców, osadników, podoficerów KOP stacjonujących dawniej w Czortkowie, [...] w przygotowaniach brało też udział środowisko młodzieżowe¹⁴.

11. AIPN 177/358 (UI/393/F), Protokół przesłuchania F. Syzdka z 13 II 1940 r., k. 32.

12. Protokół przesłuchania Wacława Zdunka 25 I 1940 r., k. 8.

13. R. S. Fałkowski, „Prawdziwa polska głupota”, [w:] *Tygodnik Powszechny*, nr 28 (2002), s. 17.

14. AIPN 177/309 (UI/344/F), Meldunek narkoma NKWD USRS Sierowa do narkoma NKWD ZSRS Berii z 12 III 1940 r., k. 2-3.

Do działań miało się też włączyć co najmniej kilkudziesięciu ludzi z komórek organizacji z podczortkowskich wsi oraz Borszczowa¹⁵. Czortkowska siatka nawiązała też kontakt z niezidentyfikowaną siatką konspiracyjną w Zaleszczykach. Łączność z nią zapewniali Maria Eichel oraz Bolesław Topolski¹⁶.

Równoległe do grupy ppor. Malawskiego powstała organizacja Młoda Polska założona przez pchor. Jerzego Koleuszka (niekiedy występuje też jako Koleszuk) ze wsi Biała pod Czortkowem. W końcu 1939 r. rozpoczął on tworzenie organizacji podziemnej opartej na kadrach Stronnictwa Narodowego. Jak zeznał jeden z członków tej siatki:

Zadaniem organizacji [...] była organizacja młodzieży od 16 do 20 lat, w celu przerzutów przez rumuńską granicę, potem do Francji, gdzie formowane są polskie legiony i wstępowanie do Legionów¹⁷.

Zaś przywódca Młodej Polski J. Koleuszek twierdził, że:

we Francji powstał nowy polski rząd składający się z członków partii Stronnictwo Narodowe i że osoby, które przekroczą granicę powinny jechać do Francji [...] kiedy Niemcy zostaną rozbite, powstanie nowe państwo polskie bez mniejszości narodowych¹⁸.

Choć w aktach Młoda Polska określana jest niekiedy jako podziemne Stronnictwo Narodowe, to analiza materiału wskazuje, że nie była to podziemna partia polityczna lecz or-

15. AIPN 177/378 (UI/415/F), Protokół przesłuchania Henryka Kamińskiego z 23 I 1940 r., k. 237.

16. AIPN 177/378 (UI/417/F), Uzasadnienie wyroku na Michała Henena i dziesięciu innych z 16 VII 1940 r., k. 121. J. Tucholski pisze, iż M. Eichel kontaktowała się w z mieszkającym w Zaleszczykach Janem Eichelem, który był powiadomiony o dacie powstania. Nie wiadomo jednak, czy J. Eichel był reprezentantem jakiejś organizacji konspiracyjnej. Patrz: J. Tucholski, *op.cit.*, s. 99.

17. AIPN 177/358 (UI/393/F), Sprawa karno-śledcza Tadeusza Schodnickiego i in. Tarnopol 1940. T. I-III [dalej: AIPN 177/358 (UI/393/F)], Protokół przesłuchania Aleksandra Czajkowskiego z 24 I 1940 r., k. 177.

18. AIPN 177/358 (UI/393/F), Protokół przesłuchania Tadeusza Schodnickiego z 23 I 1940 r., k. 18.

ganizacja zbrojna stworzona przez działacza SN, zrzeszająca głównie młodzież gimnazjalną, głównie harcerzy, i członków „Strzelca”¹⁹. Prawdopodobnie na początku stycznia pchor. Koleuszek podporządkował Młodą Polskę siatce H. Malawskiego.

W przygotowaniach brali udział członkowie obu siatek. W dniu 21 stycznia 1940 r. w niedzielę, o 11.00 w kościele spotkali się organizatorzy „powstania”: por. J. Kowalski, ppor. Malawski, pchor. J. Koleuszek, sierż. Kiejstura, plut. KOP Magierski, kpr. Stanisław Sikora, plut. Szymczak i kilka innych osób. J. Kowalski i H. Malawski poinformowali pozostałych, że do wybuchu „powstania” dojdzie o godz. 21.30 czasu warszawskiego a na jego czele stanie gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski²⁰. Następnie przedstawili plan działań, wyznaczyli dowódców i rozdzielili zadania. Podali też hasło, które miało umożliwić odróżnienie „swoich” od wrogów, hasło brzmiało „Z krzyżem”, zaś odzew „Kopyczyńce”. W trakcie spotkania ustalono, iż „powstańcy” wystąpią jako „Polski Legion w Czortkowie”. Równoległe miały zostać podjęte działania zbrojne w Borszczowie, Kopyczyńcach i Zaleszczykach²¹. Co ciekawe, kilku uczestników zebrania miało przy sobie czarne berety z wyszytymi trupimi czaszkami²².

Plan przewidywał, że „powstańcy” będą działać w trzech grupach. Pierwsza, w sile około 60 ludzi, miała zaatakować

19. Do organizacji tej należeli m.in.: Adamczuk, Tadeusz Bańkowski, Adam Brykiel, Bieński, Aleksander Czajkowski, Bronisław Czajkowski, Władysław Dębowski, Zbigniew Gaura, Zdzisław Jerzewski, Bolesław Jurczyszyn, Kazimierz Jurczyszyn, Julian Basaraba, Michał Hen, Henryk Kamiński, Zygmunt Kaznowski, Leon Kołodnicki, Stefan Kornikowski, Kazimierz Korczyński, Krzaklewski, Roman Kuś, Jan Korecki, Dominik Lipiński, Alojzy Piotrowski, Eugeniusz Piotrowski, Zbigniew Mroczek, Jan Mądry, Mieczysław Niewiadomy, Tadeusz Schodnicki, Serafin, Józef Zajac, Adam Zgoda, Franciszek Zygiel, Tadeusz Zylbert.

20. W rzeczywistości gen. M. Karaszewicz-Tokarzewski przebywał wtedy w Warszawie i nie miał żadnego kontaktu z Czortkowem.

21. AIPN 177/379 (UI/416/F), Sprawa karno-śledcza Michała Hena i in., Tarnopol 1940. T. I-II [dalej: AIPN 177/379 (UI/416/F–UI/417/F)], Protokół przesłuchania Stanisława Skowronka z 22 II 1940 r., k. 25-27.

22. AIPN 177/309 (UI/344/F), Meldunek narkoma NKWD USRS Sierowa do narkoma NKWD ZSRS Berii z 12 III 1940 r., k. 3. Trupie głowy na przynajmniej części beretów wyszyła Aleksandra Wasilewska, która następnie z tego powodu została aresztowana.

garnizon Armii Czerwonej stacjonujący w południowo-zachodniej części miasta (tzw. koszary dolne), druga, licząca ok. 120 ludzi miała zostać użyta w celu opanowania koszar położonych na południe od Czortkowa (koszary górne), trzecia grupa w sile 120-150 „powstańców”, podzielona na kilkunasto-kilkudziesięciosobowe zespoły, miała zająć wszystkie ważniejsze punkty w mieście, m.in.: pocztę, szpital, siedzibę NKWD i więzienie²³.

W środowisku konspiratorów wrzało od pogłosek i domysłów. O całkowicie oderwanych od realiów wyobrażeniach na temat ówczesnej rzeczywistości i gorącej atmosferze świadczy zeznanie uczestnika wydarzeń z 21 stycznia 1940 r. Emiliana Słobodziana:

o 5 wieczorem wyszedłem z domu do swojego kolegi Tośka Pelczara. Około 8-9 wieczorem do mieszkania przybiegli spoceni Prażanowski Edward i Szykulski Piotr. Prażanowski powiedział nam, że przynosi nam ważną wiadomość, a mianowicie, że pod Czortków przysłała polska armia [...]. O godzinie 10 Armia Czerwona, na podstawie porozumienia pomiędzy dowódcami obu armii, złoży broń. My mamy jeszcze dziś zająć wszystkie ważne obiekty w mieście Czortkowie i utrzymać je do następnego dnia, to znaczy do 22 lutego tego roku. A 22 lutego będzie przeprowadzona powszechna mobilizacja w celu sformowania armii. Na zakończenie Prażanowski powiedział, że kto nie pójdzie z nimi będzie rozstrzelany. [...] Moja mama, kiedy usłyszała, że w mieście nie już ma władzy sowieckiej, kazała mi wziąć sowieckie pieniądze, zanieść do miasta i wymienić na polskie pieniądze²⁴.

Po godz. 20.00, po wieczornym nabożeństwie, na chórze kościoła oo. Dominikanów spotkała się kilkudziesięciosobowa grupa konspiratorów. Zebranych podzielono na grupy, przedstawiono dowódców i wyznaczono cele ataku. Spod kościoła grupy rozeszły się na wyznaczone miejsca zbiórek, położone w bezpośrednim sąsiedztwie przeznaczonych do opanowania obiektów. Tam też mieli przyjąć członkowie organi-

23. AIPN 177/378 (UI/415/F), Protokół przesłuchania Henryka Kamińskiego z 23 I 1940 r., k. 241.

24. AIPN 177/369 (UI/404/F), Sprawa karno-śledcza Bolesława Witkowskiego i in., Tarnopol 1940, T. I-III, Protokół przesłuchania Emiliana Słobodziana z 27 I 1940 r., k. 32.

zacji, którzy nie brali udziału w spotkaniu w kościele. Trzeba dodać, że z powodu obfitych opadów śniegu i mrozu na miejsce zbiórki nie zdołało dotrzeć wielu konspiratorów z odleglejszych miejscowości.

Punktem koncentracji wyznaczonej do opanowania szpitala ośmioosobowej grupy ppor. Malawskiego był plac pomiędzy budynkiem poczty a kinoteatrem „Kasyno”²⁵. O godz. 21.00 wszyscy pojawili się w punkcie zbornym. W całej grupie broń palną posiadali Malawski – pistolet „brauning”, oraz jeden z konspiratorów z Borszczowa. Pozostali uzbrojeni byli w noże lub nie posiadali żadnej broni. Grupa przeszła w okolice wejścia do szpitala, gdzie ppor. Malawski rozdał zadania. Jadwiga Kozak, Włodzimierz Żuk oraz mężczyzna o nieustalonym nazwisku z Borszczowa mieli pozostać na zewnątrz, by w razie potrzeby ostrzec członków grupy atakującej o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Reszta „powstańców” otrzymała polecenie wejścia do środka i rozbrojenia wartowników.

Atak rozpoczął się około godz. 21.30. Pierwsi do budynku weszli ppor. Malawski i sierż. Kiejstura, za nimi Edward Starowski, Leon Kozak, Jan Szykułski, Michał Hen i nieznanany z nazwiska mieszkaniec Borszczowa. Po chwili dołączył do nich W. Żuk. Uzbrojony w nóż sierż. Kiejstura wszedł z korytarza do najbliższej z sal. Późniejsze wydarzenia W. Żuk opisał następująco:

Potem usłyszałem krzyk i Kiejstura wyszedł z dwoma karabinami²⁶.

Zeznanie to nie jest dokładne, w rzeczywistości Kiejstura przyniósł trzy karabiny. Jeden zostawił sobie, a pozostałe otrzymali Edward Starowski i Włodzimierz Żuk. Wówczas z sali obok wybiegło dwóch żołnierzy Armii Czerwonej, z których jeden trzymał w rękach karabin. Konspirator z Borszczo-

25. W składzie grupy byli: Edward Starowski, Włodzimierz Żuk, Leon Kozak, Jadwiga Kozak, Jan Szykułski, Michał Hen, Kiejstura i jeden NN z Borszczowa.

26. AIPN 177/439 (UI/494/F), Sprawa karno-śledcza Leona Kozaka i in. Tarnopol 1940-1941, Protokół przesłuchania Włodzimierza Żuka z 13 II 1940 r., k. 47.

wa natychmiast wystrzelił z pistoletu do uzbrojonego czerwonoarmisty. Ten raniony upadł na podłogę koło drzwi, a drugi podniósł ręce do góry. Pozostali członkowie grupy ppor. Malawskiego weszli do sypialni wartowników, zabrali broń i schowane pod poduszkami naboje. Powstałe przy okazji zamieszanie wykorzystał wzięty do niewoli Sowieci i zaczął uciekać w głąb budynku. Kilku konspiratorów pobiegło za nim. Po krótkim przeszukaniu znaleźli czerwonoarmistę, wywiązała się walka, w wyniku której sowiecki żołnierz został ranny²⁷. Odebrano mu broń i pozostawiono na podłodze. Ochrona szpitala została rozbrojona, a konspiratorzy zdobyli cztery karabiny, pistolet i pewną ilość amunicji. Tak dobrojona grupa wyszła na ulicę. Tuż za bramą stojąca na czatach dwójka poinformowała H. Malawskiego i jego podkomendnych, że do szpitala zbliża się grupa żołnierzy sowieckich. Grupa wycofała się więc ulicą Szpitalną pod kinoteatr. Ponieważ nie udało im się nawiązać kontaktu z członkami pozostałych grup, a w mieście pojawiły się sowieckie patrole konspiratorzy rozeszli się do domów. Mieszkańcy Borszczowa poszli spać do domu Jana Szykulskiego²⁸.

Odmienne w wielu punktach wersję wydarzeń zawiera relacja Stanisława Muszyńskiego. Opis ów brzmi wiarygodnie. Problem tkwi w tym, że S. Muszyński występuje w relacji jako dowódca grupy. Tymczasem wszyscy przesłuchiwani w tej sprawie twierdzą, że dowódcą był ppor. Malawski, a nazwisko Muszyński nie pada ani razu. Nie można wykluczyć, że Malawski i S. Muszyński to ta sama osoba, równie prawdopodobne jest to, że S. Muszyński poznał przebieg akcji z przekazów jej uczestników, a następnie sporządził relację, już ze sobą w roli dowodzącego. S. Muszyński pisze m.in.:

Na punkt zborny koło szpitala o godzinie dziewiątej zgłosiło się zaledwie kilku żołnierzy. Podeszliśmy pod drzwi szpitala, gdzie miał nas oczekiwać sanitariusz, były plutonowy KOP. Na wszelki wypadek miałem „zakrwawioną” rękę. Zapukałem do drzwi.

27. Znane są nazwiska obu ranionych czerwonoarmistów, byli to: E. F. Zwierkow i Ł. M. Smimow.

28. AIPN 177/439 (UI/494/F), Protokół przesłuchania Włodzimierza Żuka z 13 II 1940 r., k. 46-48, Protokół przesłuchania Michała Hena z 26 I 1940 r., k. 42-44.

Otworzył nam sanitariusz. Po wymienieniu hasła i odzewu poinformował mnie, że wejdzcie najpierw do gabinetu dyrektora, bo ma tam coś „załatwić”. I kiedy krzyknie „Zwiezda”, ja z częścią ludzi wtargnę do dyżurki, gdzie znajduje się pięciu strażników. Po ich sterroryzowaniu przejdziemy do dalszej akcji. Po niedługim czasie usłyszałem „Zwiezda”. Gdy wpadłem do dyżurki czterech ludzi spało na pryczy, a jeden czuwał przy stoliku. Najpierw przewróciłem pryczę ze śpiącymi i krzyknąłem: „Ręce do góry”. Czuwający strażnik rzucił się na mnie i złapał mnie w pól, jednak chłopcy szybko obezwładnili wszystkich strażników, po czym zabraliśmy karabiny i zapasową amunicję. W tym czasie siostry zaczęły wydawać oficerom ubrania, szykując ich do przejścia na dworzec. Na schodach pojawił się oficer NKWD, z odbezpieczonym naganem w ręku. Jeden z chłopców, chyba Starczewski, błyskawicznie strzelił do niego. Enkawudzista zwałił się na podłogę. Nie ochłonęliśmy jeszcze po pierwszym starciu, gdy chłopak z ubezpieczenia zameldował, że ulicą Klasztorną zbliża się do szpitala tyralierą znaczny oddział milicji. Wydałem rozkaz wycofania się z budynku za mur pobliskiego cmentarza żydowskiego. Ostrzeliwując się zajęliśmy stanowiska obronne. Usłyszałem, jak dowódca sowiecki wydał rozkaz atakowania muru cmentarnego, ale milicjanci nie wykazywali chęci wykonania rozkazu. Obawiając się ewentualnego okrążenia [...] postanowiliśmy się wycofać za Seret. Po lodzie przedostaliśmy się na drugi brzeg. Z oddali, z okolicy koszar słychać było pojedyncze strzały. Od wycofującego się powstańca walczącego w rejonie więzienia dowiedzieliśmy się, że cała akcja się załamała²⁹.

Równoległe z atakiem na szpital podjęła działania licząca ponad czterdzieści osób grupa por. Janusza Kowalskiego. Jej członkowie przeszli przez park na teren cmentarza. Następnie por. Kowalski wygłosił krótkie przemówienie, w którym poinformował obecnych, że zadaniem ich grupy jest opanowanie górnych koszar, a powodzenie akcji zależy od szybkości i skoordynowania ataku. Spodziewano się tam zdobyć większą ilość broni, której „powstańcy” mieliby użyć w celu opanowania reszty miasta. Dowodzenie akcją powierzono Skowronkowi i pchor. Koleuszkowi³⁰. Kilkanaście minut przed godz. 21.30, obie grupy wyszły na miejsca, skąd planowano uderzenie.

29. S. Muszyński, relacja [w:] P. Młotecki, *op.cit.*, s. 33-34.

30. AIPN 177/358 (UI/393/F), t. 1, Protokół przesłuchania Wacława Zdunka z 24 I 1940 r., k. 10-11.

Krótką broń palną posiadali kpr. S. Skowronek, pchor. Koleuszek, Kazimierz Kratus, Henryk Kamiński i Bronisław Czajkowski; pozostali byli uzbrojeni w noże i bagnety, zaś Wilhelm Strojewski przyszedł z szablą³¹. Grupa dowodzona przez pchor. Koleuszkę miała zająć bramę prowadzącą do koszar od strony parku, podkomendni kpr. S. Skowronka otrzymali zadanie uderzenia na koszarę od strony ul. Mickiewicza³². Prawdopodobnie z grupą Koleuszkę udał się por. Kowalski. Plan atakujących opierał się na założeniu, że gdy atakujący podejda w pobliże strażnika, to członek grupy Michał Pawluk odciągnie uwagę samotnego wartownika, a wówczas pozostali bez wystrzału go obezwładnią i cicho wejdą do koszar³³. Około godz. 21.30, w pewnej odległości od bramy koszar niespodziewanie natknęli się na wartownika. Zobaczywszy kilkudziesięciu ludzi trzymających w rękach noże lub pistolety zaczął uciekać w kierunku domu oficerskiego i schował się w bramie. W pogoń rzuciło się około dziesięciu członków grupy. Tadeusz Bańkowski zeznał:

Stojący w bramie wartownik, kiedy nas zobaczył, zapytał idącego przodem plutonowego: „Sztó wy diełajetie”. Plutonowy coś powiedział, słów jego nie słyszałem, potem plutonowy rzucił się na stojącego wartownika [Gienadija Samsonowa] i odebrał karabin. W tym czasie porucznik [Wolszański ?] rzucił się na wartownika, złapał go i jednocześnie uderzył bagnetem w brzuch. Wartownik oparł się o bramę. Plutonowy jeszcze 5 razy uderzył go bagnetem w brzuch i klatkę piersiową. W tym czasie przybiegł do wartownika Piotrowski, który 4 razy uderzył w krasnoarmiejca nożem, następnie przybiegł podoficer, nazwiska jego nie znam,

31. Tamże, t. 1, Protokół przesłuchania Wacława Zdunka z 25 I 1940 r., k. 12. Protokół przesłuchania Zbigniewa Mrocza z 2 II 1940 r., k. 18.

32. W grupie tej znaleźli się między innymi: Tadeusz Bańkowski, Tadeusz Brückner, Budziński, Aleksander Czajkowski, Edward Chorzępa, Antoni Doliński, Tadeusz Grondalski, Zygmunt Kaznowski, Stefan Kornikowski, Kazimierz Kratus, Krzaklewski, Włodzimierz Kaczan, Tadeusz Koper, Komarnicki, Henryk Kamiński, Wieńczysław Marecki, Adam Marcinków, Jan Mądry, Henryk Misko, Zbigniew Mroczo, Tadeusz Nowicki, Alojzy Piotrowski, Zenon Rościskie, Syzdyj, Tadeusz Schodnicki, Traczko, Wacław Zdunek, Adam Zgoda, Franciszek Zygiel, Tadeusz Zylbert.

33. AIPN 177/358 (UI/393/F), Protokół przesłuchania Michała Pawluka z 22 I 1940 r. k. 58.

miał bagnet i uderzył wartownika dwa razy, potem doskoczyłem ja, w tym czasie krasnoarmiejec już upadał, i uderzyłem go raz w rękę. Jak krasnoarmiejec upadł na ziemię, porucznik rozkazał „za mną do koszar”³⁴.

Wydarzenie to opisał również S. Skowonek:

Po podejściu pod koszary od ul. Mickiewicza nasza grupa natknęła się na strażnika krasnoarmiejca. Któryś z idących na przedzie członków mojej grupy krzyknął „Stój!”, wtedy tamten zaczął uciekać. Czterech członków mojej grupy pobiegło za nim, a ja z pozostałymi poszedłem do bramy koszar. Jak mi się wydaje, wspomniany krasnoarmiejec był bez broni i o jego późniejszym losie nic powiedzieć nie mogę.

Kiedy podeszliśmy blisko do strażnika pilnującego bramy [W. Pasicznika], szybko do niego podbiegłem i wyrwałem mu karabin, a trzech ludzi z mojej grupy złapali go i nie dali mu krzyknąć [strażnik W. Pasicznik został zabity nożem]. W tym czasie pod bramę wrócili moi powstańcy, którzy pobiegli za krasnoarmiejcem, i razem weszliśmy do koszar. Po wejściu na korytarz zauważyłem przez drzwi, że w kuchni siedzą [...] komendant i dwóch krasnoarmiejców – kucharzy. Uzbrojony w zabranej wartownikowi karabin nakazałem komendantowi podnieść rękę do góry, a moi powstańcy, którzy weszli za mną, rzucili się na kucharzy. Co z nimi zrobili – nie wiem.

Siedzący w kuchni komendant [politruk Konstantin Tyrtyszny] początkowo wypełnił polecenie, ale kiedy kazałem mu oddać broń, on chwycił mój karabin, przewrócił mnie na ziemię i zaczęła się między nami walka. Zobaczyłem, że moje życie znajduje się w niebezpieczeństwie, bo komendant zdołał wziąć w rękę swój rewolwer, więc krzyknąłem „Ratujcie!” i momentalnie na komendanta rzuciło się dwóch powstańców³⁵. Wzięci do niewoli krasnoarmiejcy wyskoczyli przez okno. Komendanta zaczęliśmy kłuć bagnietami i nożami w nogi, ale kiedy on zaczął strzelać, musieliśmy uciekać. Ja uciekłem przez cmentarz w las, po drodze wyrzuciłem karabin w śnieg. W drodze do domu zostałem zatrzymany przez krasnoarmiejców i aresztowany³⁶.

34. AIPN 177/378 (UI/413/F), Protokół przesłuchania Tadeusza Bańkowskiego z 24 I 1940 r., k. 46-47.

35. AIPN 177/379 (UI/416/F), Protokół przesłuchania Stanisława Skowronka z 22 II 1940 r., k. 32-33.

36. AIPN 177/375 (UI/410/F), Sprawa karno-śledcza Stanisława Skowronka, Kirowograd 1940, Protokół posiedzenia sądu z 21 X 1940 r., cytat z przesłuchania Stanisława Skowronka, k. 64.

Do wejścia do koszar szykowała się grupa pchor. Koleuszka. Tadeusz Schodnicki tak zrelacjonował bieg wydarzeń:

Koleuszek J. rozkazał „naprzód”, wszyscy ruszyliśmy na koszary, kilka metrów od koszar usłyszałem okrzyk strażnika „Stoj, kuda bieżysz”, wiedziałem, że po tym ostrzeżeniu strażnik zacznie strzelać, odwróciłem się i zacząłem uciekać, ze mną uciekali: Zygiel Franciszek, Zgoda Adam, Marcinków, Czajkowski Aleksander, Zdunek Wacław i ja – Schodnicki³⁷.

Strzały zaalarmowały stacjonujące w koszarach siły. W tej sytuacji podkomendni pchor. Koleuszka rozbiegli się we wszystkie strony i stracili ze sobą łączność. Atak na koszary zakończył się niepowodzeniem. Sowieci stracili dwóch zabitych i jednego rannego oraz dwa karabiny.

W chwili kiedy atakujący koszary przystąpili do działania, inna grupa, której składu i nazwiska dowódcy nie znamy, wyruszyła w stronę urzędu pocztowo-telegraficznego³⁸. Nim jej członkowie dotarli do budynku poczty, na wysokości ul. Zielonej zostali zaskoczeni przez oddział Sowieców nadchodzących od strony kościoła. Nie posiadający odpowiedniej broni „powstańcy” rozbiegli się nie stawiając oporu³⁹.

Kilkunastu członków grupy wyznaczonej do opanowania stacji kolejowej i ochraniającej kolej jednostki NKWD, pod dowództwem Edwarda Prażanowskiego zebrało się w jednym z mieszkań w centrum miasta. Około godz. 21.30 dowódca oraz kilkunastu „powstańców” opuściło dom i ruszyło w stronę stacji kolejowej. Pistolety i niewielką ilość naboju posiadali E. Prażanowski, Bolesław Witkowski i Józef Pelczar⁴⁰.

37. AIPN 177/358 (UI/393/F), Protokół przesłuchania Tadeusza Schodnickiego s. Jakuba z 8 II 1940 r., k. 100.

38. „Polskie podziemie na terenach zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi w latach 1939-1941”, Warszawa–Moskwa 2001, 23 stycznia 1940 r., Moskwa, Raport nr 322/B Ł. Berii dla J. Stalina, W. Mołotowa i K. Woroszyłowa o wypadkach w Czortkowie, s. 257.

39. E. Chorzępa, relacja [w:] P. Młotecki, „Powstanie w Czortkowie”, *op.cit.*, s. 36.

40. AIPN 177/378 (UI/414/F), Protokół przesłuchania Bolesława Witkowskiego, z 22 I 1940 r. W grupie tej znaleźli się też: Edward Butyra, Stanisław Brandys, Wacław Federyszyn, Henryk Komarnicki, Emil Słobodzian, Jan Szykułski, Bolesław Witkowski.

Jak zeznał później ten ostatni:

Nim doszliśmy do kościoła, usłyszeliśmy z dala dobiegające odgłosy wystrzałów, potem Prażanowski poprowadził nas za róg domu i zaczął strzelać ze swojego rewolweru. Ja też, razem z Prażanowskim wystrzeliłem do biegnących krasnoarmiejców, chciałem wystrzelić jeszcze raz, nacisnąłem na spust, ale pistolet nie wypalił [...]. Wtedy Prażanowski krzyknął, abym uciekał do domu, co też zrobiłem i pobiegłem w dół rzeki Seret, pobiegłem na stację kolejową, gdzie zostałem zatrzymany przez krasnoarmiejców⁴¹.

W pobliżu dworca kolejowego zebrała się około czterdziestoosobowa grupa „powstańców” złożona częściowo z osób, które wzięły wcześniej udział w spotkaniu na cmentarzu. Dowodził nią dyżurny stacji kolejowej Jarosz. Posiadamy sprzeczne informacje dotyczące uzbrojenia. Według zeznań E. Starowskiego jej członkowie posiadali aż cztery karabiny i cztery pistolety⁴². Jeśli dodamy do tego trzy pistolety będące własnością „powstańców” zatrzymanych pod kościołem, otrzymujemy razem jedenaście sztuk broni palnej. Oznaczałoby to, że większość broni posiadanej przez „powstańców” przeznaczono na opanowanie dworca. Proporcje te sugerowałyby, iż organizatorzy antysowieckiego wystąpienia przywiązywali szczególną wagę do opanowania tego obiektu, zatem liczyli się z niepowodzeniem „powstania” i starali się zapewnić jego uczestnikom drogę szybkiej, masowej ucieczki za odległą o około 40 km granicę z Rumunią. Przy założeniu takiego rozwoju wydarzeń opanowanie dworca kolejowego było zadaniem kluczowym.

Według J. Tucholskiego w grupie jedynie Ludwik Czosik posiadał pistolet⁴³. Jeśli to prawda, to oznaczałoby, iż plan

41. AIPN 177/378 (UI/414/F), Protokół przesłuchania Bolesława Witkowskiego z 24 I 1940 r., k. 29. Członkami tej grupy byli uzbrojeni w karabiny: Józef Bartajczuk, T. Brückner, Michał Hen, W. Kaczan; uzbrojeni w broń krótką: Adam Barowski, Brückner (młodszy brat T. Brücknera), Józef Pogalski, Kazimierz Starowski, Tadeusz Starowski oraz uzbrojeni w noże: Eugeniusz Piotrowski, Adam Aksańczuk i Włodzimierz Dżus, Wiesław Marenin, Jan Staszkiw.

42. AIPN 177/378 (UI/414/F), Protokół przesłuchania Edwarda Starowskiego z 1 II 1940, s. 153-154.

43. J. Tucholski, *op.cit.*, s. 106.

uderzenia na stację był budowany na tych samych zasadach, co na inne obiekty. Co więcej, kilka relacji mówi o niedotarciu na miejsce koncentracji osoby mającej dowodzić uderzeniem. Np. według złożonej w 1942 r. relacji żołnierza II Korpusu Tadeusza Hermana czytamy:

Ja byłem przy grupie, która miała zdobyć stację kolejową, ale nie przyszedł dowódca. Przed rozpoczęciem powiedziano nam – wszyscy biorący udział będą mogli uciec za granicę pociągiem⁴⁴.

Z tej przyczyny do walki nie przystąpiła też komórka konspiracyjna złożona z pracowników kolei. Według Bolesława Kratusa on i Czesław Noworylski celowo tej nocy zgłosili się do pracy na zwrotnicy i oczekiwali na mających przybyć pozostałych „powstańców” przy pustych składach kolejowych⁴⁵. Na podstawie istniejących przekazów nie można ustalić, czy osoba wyznaczona na dowódcę akcji nie dotarła na miejsce, czy też zawiodła łączność pomiędzy grupami. Z pewnością natomiast nieprawdziwe są informacje zawarte w relacji Klotylda Atamaniuka. Według niego do ataku na stację doszło i zakończył się on sukcesem. Sowieci jakoby nie stawiali oporu i dwóch lub trzech z nich zostało rozbrojonych⁴⁶.

Do akcji nie zdążyły też przystąpić grupy wyznaczone do opanowania górnych koszar, siedziby NKWD, posterunku policji, budynku sądu i szeregu innych obiektów⁴⁷.

44. Polski Instytut i Muzeum im. Gen. W. Sikorskiego w Londynie [dalej: PIMS], sygn. A. 9. III. 2a/58. Akta Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Dział Społeczny. Relacja Tadeusza Hermana ur. w 1922 r. w Czortkowie.

45. P. Młotecki, *op.cit.*, relacja B. Kratusa, s. 35.

46. Tamże, relacja K. Atamaniuka, s. 36.

47. Wśród osób, które wzięły udział w powstaniu, a nie udało się ustalić, do jakich zadań zostały przydzielone, znajdują się: Klotyld Atamaniuk, plut. Franciszek Baranowski, Karol Bednarczuk, Stanisław Brandys, Piotr Bratkiw, Butra, Leon Bandurnik, Tadeusz Dębicki, Rudolf Dębicki, Tadeusz Öhlberger, Tadeusz Gankiewicz [Hankiewicz?], Tadeusz Herman, Jaszko, Kazimierz Janowicz, Jarosz, Tadeusz Kocer, Stefan Kornikowski, Kowalski, Leon Kozak, Bolesław Kunik, Leon Kuchnio, plut. Magierski, Markowski, Edward Malewski, Tadeusz Mental, Władysław Markiewicz, Kazimierz Mielnik, Zbigniew Micholec, Mirosław Mojaśnik, Kazimierz Noworolski, Tadeusz Nabiereżyński, Jan Pajęczkowski, Włodzimierz

Jak wynika z relacji uczestników ataku, bezpośrednio po jego rozpoczęciu część Sowietów wpadła w panikę. Według E. Chorzępy w dolnych koszarach:

Zaskoczeni czerwonoarmiści, ostrzeliwując się, zaczęli w popłochu uciekać do koszar. Na ulicach pojawili się wystraszeni Rosjanie, w tym cywile, niektórzy w białym⁴⁸.

Jak opisał to przebywający w tym czasie na stacji kolejowej Bolesław Kratus, pół godziny po ucichnięciu strzelaniny

Do dworca zaczęły nadchodzić grupki zbiegów. Były to przeważnie żony Rosjan, niektóre uciekały bosą, w nocnych koszulach⁴⁹.

Fakt zaskoczenia pośrednio potwierdza też meldunek Mierkułowa i Sierowa do Berii z 25 stycznia 1940 r. Według niego rozbrojenie i zabicie kilku wartowników

nastąpiło wyłącznie wskutek wyjątkowego niedbalstwa w pełnieniu służby wartowniczej i jej zupełnego osłabienia⁵⁰.

Dowództwo sowieckie szybko zaalarmowało stacjonujące w mieście siły. Przez całą noc prowadziły one poszukiwania osób biorących udział w „powstaniu”. Nad ranem z Kopyczyńiec przyjechał pociąg pancerny z żołnierzami Armii Czerwonej, którzy z miejsca przystąpili do przeczesywania miasta i aresztowania podejrzanych⁵¹. Część „powstańców” została aresztowana, nim dotarli do domów. Wielu innych

Pater, Wiktor Przyszlak, Zenon Rowicki, Michał Rawluk, Tadeusz Schodnicki, Józef Sikorski, Solecki, Jan Stryński, Władysław Surma, Kazimierz Sylewski, Franciszek Syzdek, Tadeusz Elbert, Henryk Szawryluk, plut. Szumidora, Jan Szykułski, Stanisław Szykułski, Franciszek Szemdała, Bolesław Topolski, Zygmunt Topolski, Karol Wolański, Henryk Zatyły, por. Zbyszek [?], Roman Zeromski.

48. P. Młotecki, *op.cit.*, relacja E. Chorzępy, s. 36.

49. Tamże, relacja B. Kratusa, s. 36.

50. Meldunek operacyjny narkoma spraw wewnętrznych USSR Iwana Sierowa i zastępy spraw wewnętrznych ZSSR Wsiewołoda Mierkułowa z 25 stycznia 1940 r. [w:] J. Tucholski, *op.cit.*, s. 94.

51. P. Młotecki, *op.cit.*, relacja B. Kratusa, s. 28-31.

zatrzymano w okresie bezpośrednio po „powstaniu”.

Nastroje, jakie zapanowały zaraz po klęsce „powstania” wśród Polaków, świetnie oddają słowa Stefanii Mikołajczyk z podczortkowskich Kołędzian:

Mąż wrócił z powstania w berecie czarnym, z trupią główką bardzo zmartwiony i powiedział: „Teraz na pewno mnie już wezmą”. Wywieźli nas 28 stycznia⁵².

Jak wynika z meldunku Sierowa do Berii w krótkim czasie uwięzionych zostało 128 ludzi, z których 91 przyznało się do winy. W związku z tym, co się zdarzyło w Czortkowie, Sierow nakazał podjąć następujące „działania operacyjne”:

W celu zapobieżenia podobnym wydarzeniom w rejonach obłasti tarnopolskiej zamieszkanym przez najbardziej zarażoną antysowieckimi nastrojami ludność wydano rozkaz natychmiastowego sprawdzenia wszystkich spraw agenturalnych i doniesień, w celu aktywizacji i podjęcia działań. [...] do wszystkich powiatów zostali wysłani pracownicy operacyjni z obłastnych oddziałów NKWD, w celu okazania praktycznej pomocy w pracy wywiadowczej i operacyjnej⁵³.

Pomimo podjęcia szeroko zakrojonych działań służb sowieckich część uczestników wydarzeń czortkowskich zdołała przekroczyć granicę z Rumunią czy to szlakiem prowadzącym przez góry, czy to przez zamarznięty Dniestr. NKWD nie zdołało złapać żadnego z głównych organizatorów ataku na Sowietów. Por. Janusz Kowalski, ppor. Woszczyński oraz ppor. Malawski, pomimo intensywnych poszukiwań, zdołali uniknąć aresztowania. Ich późniejsze losy pozostają nieznanne. Wśród uwięzionych większość stanowili ludzie młodzi, w wieku od osiemnastu do dwudziestu dwóch lat.

Interesujące, że aresztowani wywodzący się ze środowiska uczniowskiego nie starali się na ogół uchylić od odpowiedzialności, wręcz przeciwnie, z protokołów przesłuchań prze-

52. PIMS, sygn. A. 9. III. 2a/58, Akta Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Dział Społeczny. Relacja Stefanii Mikołajczyk z Kołędzian pow. Czortków, woj. Tarnopol.

53. AIPN 177/309 (UI/344/F), Meldunek narkoma NKWD USRS Sierowa do narkoma NKWD ZSRS Berii z 12 III 1940 r., k. 4.

bija lekko maskowana дума. I tak Tadeusz Schodnicki oświadczył:

Państwo polskie wychowało mnie na dobrego polskiego patriotę i z tego powodu przyjscie władzy sowieckiej na Zachodnią Ukrainę było przeze mnie niechciane i dlatego postanowiłem walczyć z władzą sowiecką i wziąłem udział w kontrrewolucyjnym powstaniu⁵⁴.

Tadeusz Grondalski przyłączył się do powstania, bo jak stwierdził:

od najmłodszych lat byłem wychowywany w duchu narodowym, w duchu wierności Polsce, i byłem jej patriotą. Z drugiej strony, podczas 13 lat nauki w gimnazjum ukształtowana została we mnie nienawiść do ZSRS, wrogość do bolszewizmu i wszystkiego, co sowieckie. [...] z chęcią się przyłączyłem, bo powstanie to w pełni się zgadzało z moimi poglądami⁵⁵.

Natomiast Zbigniew Mroczek zeznał:

Do powstania poszedłem z własnej woli, nikt mnie nie zachęcał, wziąłem udział w powstaniu dlatego, że [...] wychowany byłem w polskim, burżuazyjnym duchu i czułem nienawiść do władzy sowieckiej⁵⁶.

12 lutego miała miejsce pierwsza deportacja. Wśród wywiezionych znalazła się duża grupa konspiratorów, której nie aresztowano bezpośrednio w ostatniej dekadzie stycznia 1940 r. Według R. S. Fałkowskiego w Czortkowie:

Najgorsi okazali się nie tyle NKWD-yści, co ich skaptowane miejscowe szumowiny trzech nacji. Ukraińcy (ich najwięcej), Żydzi i wielu Polaków. Wskazywali domy ludzi przeznaczonych na wysyłkę, ale do drzwi kołatali żołdaci NKWD. Jeden kołatał na zewnątrz ukrywało się 2-3 ludzi z karabinami. Widocznie mieli dobre doświadczenie i nie byli pewni, co się działo za drzwiami.

54. AIPN 177/358 (UI/393/F) t. 1, Protokół przesłuchania Tadeusza Schodnickiego z 22 I 1940 r., k. 37.

55. Tamże, t. 1, Protokół przesłuchania Tadeusza Grondalskiego z 8 II 1940, k. 126.

56. Tamże, Protokół przesłuchania oskarżonego Zbigniewa Mrocza z 26 I 1940 r., k. 209.

Ale nawet między tymi, co wpadali do mieszkań z wrzaskiem: „padnijcie! Sobiras z wieszczami! dawaj, dawaj! znaleźli się tacy, co pomagali i doradzali, co zabrac z sobą. Zauważono nawet parę wypadków, jak wynosili pierzyny, rzucali je na sanie i kazali dzieciom owijać nogi⁵⁷.

Podsumowując, w próbie opanowania Czortkowa wzięło udział od 150 do 250 ludzi. Jak wynika z dokumentów sowieckich, podczas walki zabitych zostało 3 żołnierzy Armii Czerwonej, a dwóch kolejnych zostało rannych. Atakujący zdobyli co najmniej 6 karabinów. To wszystko, co można zaliczyć po stronie sukcesów. Po stronie strat zaś mamy ponad 120 aresztowanych, z których większość otrzymała wyroki wieloletniej zsyłki, a dwudziestu jeden zostało skazanych na karę śmierci. Wyroki te wykonano⁵⁸. Trudna do oszacowania jest liczba osób, które w związku z „powstaniem” czortkowskim „profilaktycznie” deportowano. W efekcie Czortków i okolice zostały pozbawione lokalnych elit przywódczych oraz dużej, ideowej grupy młodych ludzi.

Z wojskowego punktu widzenia, jeśli cała akcja miała minimalne szanse powodzenia, to wymagała ona precyzyjnego skoordynowania działań w czasie, sprawnego dowodzenia i perfekcyjnie zorganizowanej łączności. Z zeznań oraz wspomnień uczestników akcji wynika, że miała ona całkowicie żywiołowy charakter. Nie przeprowadzono wyprzedzających działań ubezpieczających, bez których dowódca nie powinien wydać rozkazu uderzenia. Nie przerwano linii łączności telefonicznej i telegraficznej dochodzących do miasta. Wreszcie, z przebiegu działań jednoznacznie wynika, iż przed

57. R. S. Fałkowski, *op.cit.*, s. 17.

58. Skazani na karę śmierci to: Ludwik Czosik (ur. 1912), Tadeusz Öhlberger (ur. 1919), Tadeusz Schodnicki (ur. 1920), Aleksander Czajkowski (ur. 1920), Bronisław Czajkowski (ur. 1921), Tadeusz Kądzielewski (ur. 1921), Kazimierz Kratus (ur. 1919), Eugeniusz Komarnicki (ur. 1921), Stefan Kornikowski (ur. 1919), Tadeusz Nowicki (ur. 1919), Władysław Pettecki (ur. 1898) Eugeniusz Piotrowski (1922), Edward Prażanowski (ur. 1916), Michał Rawluk (ur. 1921), Stanisław Skowronek (ur. 1904), Bronisław Wayda (ur. 1918), Bolesław Witkowski (ur. 1920), Karol Wolański (ur. 1918), Edward Zając (ur. 1917), Wacław Zdunek (ur. 1919), Roman Żeromski (ur. 1920). Patrz: J. Tucholski, *op.cit.*, s. 100-107.

akcją nie przeprowadzono należytego rozpoznania wywiadowczego, nie przygotowano zaplecza medycznego (sanitariuszki i lekarze), nie zbudowano niezbędnego dla dowodzenia tak skomplikowanym przedsięwzięciem, opartego na gońcach, systemu łączności, zaś w chwili rozpoczęcia działań nie uruchomiono sieci czujek. Z analizy źródeł wynika, iż organizatorzy wystąpienia zbrojnego do końca nie wiedzieli, czy chcą wywołać powstanie powszechne, czy też raczej urządzić lokalne rozruchy pozwalające im uciec za granicę. Niezależnie od tego, który z wyżej wymienionych celów miał zostać osiągnięty, plany te, przy tak słabym uzbrojeniu i braku jakiegokolwiek odpowiedniego doświadczenia należy uznać za całkowicie utopijne, a nawet absurdalne.

Uderzający jest rozdźwięk pomiędzy rzeczywistością tamtego okresu a wyobrażeniami o niej czortkowskich konspiratorów. Powszechne przekonanie o stacjonowaniu na granicy silnych polskich legionów, gotowych w każdej chwili wkroczyć na teren okupacji sowieckiej, czy wiara w to, że słaba militarnie Rumunia zaatakuje Związek Sowiecki, dobitnie świadczą o całkowicie fałszywym obrazie świata tych ludzi. Wybór daty – rocznica powstania styczniowego, hasła – „pod krzyżem”, czy wyjęty jakby z rysunków Grottgera klimat spotkania „powstańców” – czarne berety z trupimi główkami, nocne zebrania w kościele i na cmentarzu, sugerują, że organizatorom „powstania” bliskie było myślenie kategoriami religijno-symbolicznymi, odległymi od niezbędnej przy planowaniu racjonalności. Stan ten jedynie częściowo usprawiedliwia brak dostępu do informacji płynących z Wielkiej Brytanii lub Francji. W styczniu 1940 r. w Czortkowie doszło do zderzenia myślenia zdroworozsądkowego z myśleniem życzeniowym, w którym to pierwsze poniosło całkowitą klęskę.

Rafał WNUK

Andrzej FRISZKE

POCZĄTKI KLUBU KRZYWEGO KOŁA

Klub Krzywego Koła w Warszawie należał do najważniejszych inicjatyw polskiej inteligencji w połowie lat pięćdziesiątych. Stanowił ważny ośrodek krystalizacji opinii i ocen tej części inteligencji, która współtworzyła Październik 1956, a następnie liczyła na „drugi etap Października”. Choć Klub został rozwiązany przez władze w 1962 r., to jednak pozostało po nim nieformalne środowisko, w którym następnie będą się skupiać różne pomysły i inicjatywy opozycyjne, czy tylko zmierzające do poszerzenia ram wolności słowa i podtrzymywania postaw nonkonformizmu.

W 1963 r. jeden z organizatorów jego prac Witold Jedlicki, emigrant z PRL, opublikował w Instytucie Literackim w Paryżu książkę będącą obszerną relacją o Klubie, a także sytuacji politycznej w Polsce owego czasu. Książka Jedlickiego, nielegalnie przemykana do kraju, należała do najpopularniejszych lektur w środowisku opozycyjnym lat sześćdziesiątych. Autor postawił także szereg tez, których – wobec braku dostępu do dokumentacji władz PRL – nie sposób było zweryfikować. Dotyczyło to zarówno wstępnego szkicu „Chamy i Żydy”, jak też okoliczności powstania i rozwiązania KKK.

W aktach KC PZPR zachowało się niewiele wzmianek o Klubie (przynajmniej w tych fragmentach przepastnej do-

kumentacji, którą historycy zdołali przejrzeć). Stan wiedzy o KKK został radykalnie poszerzony w wyniku przejęcia akt dawnego UB i SB przez Instytut Pamięci Narodowej. Znalazły się tu bowiem dokumenty o Klubie „wyprodukowane” przez aparat bezpieczeństwa, jak i trochę dokumentów Klubu, przejętych w wyniku rewizji lub w inny sposób „pozyskanych” przez tajną policję.

Witold Jedlicki mocno podkreślał, że u swoich początków historia Klubu była mętna:

Istnieją poważne powody, żeby przypuszczać, że KKK był powołany do życia w r. 1955 nie tylko nie wbrew władzom – i to władzom policyjnym – ale raczej za ich wyraźną zachętą. Nie znaczy to bynajmniej, że utworzenie Klubu było prowokacją. W tym niespokojnym okresie policja chciała mieć możliwości sondażu nastrojów panujących w niektórych środowiskach i zapewne wołała, żeby nastroje te były wyrażane jawnie, pod okiem agentów, niż skrycie w sposób niekontrolowany. W tym okresie jednak policja Klub kontrolowała naprawdę, mając swoich ludzi w jego władzach i jego aktywie¹.

Ocenę tę Jedlicki wiązał przede wszystkim z Ewą i Juliuszem Garzteckimi, w których mieszkaniu przy ulicy Krzywe Koło w Warszawie jesienią 1955 r. Klub został zawiązany. Stosunkowo szybko jednak osoby te zostały przez „rozpęzdzone koło historii” z władz wyeliminowane, a Klub przejęty przez grono młodej inteligencji krytycznej wobec PRL-owskiej rzeczywistości.

Klub Garzteckich

We wrześniu 1963 r., a więc w półtora roku po rozwiązaniu Klubu, relację o jego początkach złożyła władzom bezpieczeństwa osoba podpisana pseudonimem „Tkanina”. Już pierwsze zdania tego opracowania wskazują na autorkę: „Wczesną wiosną 1955 r. otrzymaliśmy z mężem mieszkanie przy ul. Krzywe Koło. (...) Nowe mieszkanie było okazją – pierwszą w życiu – przyjmowania przyjaciół u siebie. (...)”

1. W. Jedlicki, „Klub Krzywego Koła”, Paryż 1963, s. 13.

Chyba był to pomysł mojego męża, żeby towarzyskie spotkania «skomasować», ogłosić wśród przyjaciół czwartek dniem przyjęć – jak u Króla Stasia”².

Ewa i Juliusz Garztecy mieli już za sobą dość niezwykłą drogę życiową. Juliusz w czasie okupacji służył w kontrwywiadzie AK. Jednocześnie działał w kilku lewicowych organizacjach konspiracyjnych, m.in. w partii Polskich Socjalistów, Polskim Związku Wolności i w Związku Syndykalistów Polskich, związanym z Centralnym Komitetem Ludowym. Po „wyzwoleniu” zweryfikowany jako kapitan, został oficerem Ludowego Wojska Polskiego i jako korespondent *Polski Zbrojnej* wyjechał do Rzymu. Jednocześnie pracował w wywiadzie wojskowym. Po demobilizacji, przeniesiony do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, został w 1947 wicekonsulem w Rzymie zajmującym się sprawami repatriacji, jednocześnie pracował w wywiadzie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. „Zdekonspirowany w Rzymie przeniesiony zostaje na równorzędne stanowisko do Paryża” – czytamy sporządzonej blisko 30 lat później notatce służbowej³. Ewa Garztecka, od lat okupacji członek PPR, po wojnie pracowała najpierw na odpowiedzialnym stanowisku w ambasadzie w Rzymie, następnie w UNESCO w Paryżu. Garzteckiego aresztowano w lutym 1949 r. w związku ze śledztwem dotyczącym „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” w partii i Centralnego Komitetu Ludowego⁴. Wkrótce potem w więzieniu znalazła się także jego żona. Z więzienia wyszli w 1954 r., na progu „odwilży”, z pierwszą falą zwolnionych. Ewa zatrudniła się w „Orbisie”, potem w

2. Notatka „Tkaniny” dotycząca Klubu Krzywego Koła z 23 IX 1963, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów [dalej: AIPN BUiAD] 0236/175 t. 1, s. 380.

3. AIPN BUiAD 01322/192, s. 83. Notatka sporządzona w 1975 r. w Biurze „C” MSW na podstawie materiałów archiwalnych.

4. W cytowanej notatce podano 1950 jako rok uwięzienia, śledztwo dotyczyło referatu 994/B kontrwywiadu Komendy Głównej AK, w którym Garztecki pracował od 1942. Referat ten posiadał własną sieć informacyjną w małych organizacjach, które nie miały odpowiedników w strukturze politycznej II Rzeczypospolitej. Dostarczał także prasę różnych odcieni. M. Ney-Krwawicz, „Komenda Główna Armii Krajowej 1939-1945”, Warszawa 1990, s. 105.

Sztandarze Młodych, Juliusz do 1955 r. pozostawał „na kontakcie” Departamentu III Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego⁵. Otrzymał pracę w tygodniku *Po prostu* jako redaktor działu kulturalnego. Mieszkanie pod adresem Krzywe Koło 26/28 m. 4 uzyskali w miejsce zajętego po ich aresztowaniu.

W swojej relacji dla SB Garztecka wymienia krąg przyjaciół, których zaczęli regularnie zapraszać do mieszkania na Krzywym Kole: Stefan Król, pracownik Wydziału Historii Partii KC PZPR i instruktor KC, Zbigniew Sufin z *Po prostu*, Janina Kłopocka, Marek Perlman, pracownik Ministerstwa Kultury i Sztuki następnie redakcji *Po prostu*, Janina Olszewska zatrudniona w „Orbisie”, Wanda Baranowska, studentka Akademii Sztuk Pięknych, Eugeniusz Pichel, plastyk, Krystyna Arciuch, prawnik, dawna sąsiadka Garztecckich, Andrzej Lam, młody polonista, jego była żona Danuta Kępczyńska i Krystyna Mazur, obie dziennikarki z *Trybuny Ludu*. Większość z tych osób Garzteccy poznali krótko przedtem, w najróżniejszych okolicznościach (np. Króla w sanatorium na początku 1955 r.). Wśród uczestników „od czasu do czasu” spotkań na Krzywym Kole Garztecka wspomina Jana Strzeleckiego i Marcina Czerwińskiego, znanych jej od okupacji⁶.

Inicjatorem zagajania spotkań wprowadzeniem o charakterze referatu był Garztecki: „Jest wiele spraw nabrzmiałych, które nas bolą, na które się skarżymy, które chcielibyśmy zmienić. (...) Proponuję, aby na każdym kolejnym spotkaniu jeden z nas zreferował pewne bolące i dotychczas nie rozwiązane zagadnienia ze swojej dziedziny. Wspólnie je potem omówimy, przedyskutujemy. (...) Jest nas tu kilku dziennikarzy. Żeby cała taka dyskusja nie pozostawała bierną tylko i bezcelową gadaniną zobowiązujemy się dziennikarze – wyniki każdej dyskusji przenieść w formie artykułów na wszelkie możliwe łamy pism”. To wystąpienie – wspominała Garztecka – było wcześniej uzgodnione z nią, a zapewne także z Królem, Sufinem i Perlmanem. Pozostali zaakceptowali

5. AIPN BUiAD 01322/192, s. 83.

6. Notatka „Tkaniny”, s. 380-382.

tę propozycję. Uznano także, że dotychczasowi uczestnicy spotkań będą starali się przyprować następnych.

W tym samym dokumencie Garztecka wymienia tematy kolejnych zebrań i ich uczestników. Przy pierwszym, które miało się odbyć 28 kwietnia 1955 r., nie notuje konkretnego tematu. Większość dalszych poświęcona była określonym problemom: praca polityczna Związku Polskich Artystów Plastyków (12 V), artystyczne wzornictwo przemysłowe (26 V), teatr w Polsce i w Indiach (2 VI), tradycje postępowe w kulturze polskiej (9 VI z referatem Jerzego Mikke, wtedy związanego z PAX-em, znajomego S. Króla), sztuka ludowa (16 VI), upowszechnienie muzyki (23 VI z referatem Stefana Wysockiego), upowszechnienie książki (30 VI, nie zanotowano referenta, ale na tym zebraniu po raz pierwszy był obecny Władysław Bieńkowski). Ostatnie przedwakacyjne spotkanie odbyło się 7 lipca, ale tematu nie zanotowano⁷. Zwraca uwagę pozornie niewinna tematyka referatów i dyskusji, dotyczących głównie kultury. Trzeba jednak zauważyć, że w owym czasie – a obowiązywały jeszcze przecież dogmaty socrealizmu – także dyskusja o kulturze miała wymiar światopoglądowy i ideowy, a przez to polityczny.

„Kiedy spotkania czwartkowe zaczęły się odbywać regularnie, mój mąż oświadczył mi, że zasięgnął opinii i otrzymał «błogosławieństwo» władz bezpieczeństwa. Czy w tym czasie ja sama, przez swoje kontakty także składałam meldunki – nie przypominam sobie dokładnie, wydaje mi się jednak, że tak” – pisała „Tkanina”⁸. Niestety, nie jesteśmy obecnie w stanie stwierdzić, czy to Departament III aparatu bezpieczeństwa i na jakim szczeblu dał „błogosławieństwo” na powstanie klubu dyskusyjnego⁹.

7. *Ibidem*, s. 385-387. Nieco inaczej, choć dotyczy to szczegółów, podano wykaz zebrań w biuletynie *Nowy Nurt* (nr 1 z 1956).

8. Notatka „Tkaniny”, *op.cit.*, s. 383. W innym miejscu notatki stwierdza: „Cała impreza od początku była wiadoma władzom bezpieczeństwa. Sama miałam przez cały czas kontakty. Pisywałam jakieś sprawozdania. Pamiętam – choć dość mgliście – że w naszych rozmowach z czynnikami partyjnymi i bezpieczeństwa publicznego chodziło o ujawnienie pewnych odłamów inteligencji, o integrację tej inteligencji w pozytywną, twórczą pracę dla Polski Ludowej”. *Ibidem*, s. 389.

9. W. Jedlicki *op.cit.*, s. 74 przypuszcza, że była to inicjatywa natolińczy-

Powiązania Garzteckich ze służbami specjalnymi były oczywiście tajne, o rozmowach w UB i udzielonym „błogosławieństwie” uczestnicy spotkań nie mogli być informowani. Uznano więc za konieczne uzyskanie oficjalnej, jawnej, politycznej, akceptacji dla odbywania dyskusji. Zajął się tym zespół, który Garztecka określa jako „nieoficjalny jeszcze zarząd”. Tworzyli go Ewa i Juliusz Garzteccy, Stefan Król, Zbigniew Sufin, Marek Perlman i „może też” Krystyna Mazur. Złożyli oni wizytę w gmachu KC PZPR, „zdaje się tow. Werblanowi (?)”¹⁰. Mieli też udać się do Heleny Jaworskiej, przewodniczącej Zarządu Głównego ZMP. „Jaworska zachowywała się wyczekująco, nie dając «pełnego błogosławieństwa», ale też nie odradzając nam naszej pracy społecznej”. Radziła zwrócić się do Stołecznej Rady Narodowej, formalnie uprawnionej do rejestrowania wydarzeń kulturalnych, wystaw, spotkań dyskusyjnych¹¹.

Latem 1955 spotkania się nie odbywały. Po wakacjach przyprowadzony na kilka zebrań kierownik Staromiejskiego Domu Kultury Stefan Wajcman zdecydował się zaprosić „klub” do swojej siedziby. Od tej pory zbierano się w Staromiejskim Domu Kultury na Rynku Starego Miasta. Postanowiono jednak zachować nazwę nawiązującą do pierwszych zebrań – Klub Krzywego Koła. Tam, jak wspomina Garztecka, przyjęto wiele nowych osób¹². Dyskutowano o wystawie młodej plastyki w Arsenale, o „Poemacie dla dorosłych” Ważyka, socjolog Stanisław Manturzewski przedstawił wyniki badań nad folklorem band chuligańskich, młoda absolwentka reżyserii Dolly Korewa mówiła o szkolnictwie teatralnym w Polsce¹³.

ków. Ujawnione w notatce „Tkaniny” kontakty wskazują raczej na grupę puławską w kierownictwie PZPR, której politykę Jedlicki niesłusznie diabolizował.

10. A. Werblan w relacji złożonej autorowi w marcu 2004 zaprzecza, by spotkał się z delegacją. Sprawy klubów podlegały Wydziałowi Propagandy KC PZPR, w którym zaczął pracować, stając na jego czele, w kwietniu 1956 r. Bezpośrednio klubami zajmował się Leon Stasiak, zastępca kierownika Wydziału.

11. Notatka „Tkaniny”, s. 384.

12. Notatka „Tkaniny”, s. 384.

13. *Nowy Nurt* nr 1, Archiwum Akt Nowych [dalej: AAN] PZPR 237/XVIII-161, s. 46.

Oficjalnym obserwatorem ze strony władz była Henryka Broniatowska, która pojawiła się już wcześniej na dyskusjach w mieszkaniu na Krzywym Kole¹⁴. Broniatowska była wicedyrektorem wydawnictwa „Nasza Księgarnia”, w istocie jednak związana była ściśle z aparatem partii jako nieetatowy instruktor KC¹⁵, a przez męża z MSW (płk Mieczysław Broniatowski był w okresie 1954-58 dyrektorem departamentu społeczno-administracyjnego MSW).

Kolejna relacja o początkach KKK pochodzi od Romana Szczurkowskiego, w 1955 r. pracownika Wydziału Organizacyjnego Centralnego Zarządu Świećlic i Domów Kultury w Ministerstwie Kultury i Sztuki. O istnieniu KKK Szczurkowski dowiedział się, gdy z racji swych kompetencji wyraził zgodę na wypożyczenie Klubowi sali w Staromiejskim Domu Kultury. Wówczas też do Klubu wstąpił, by wkrótce zostać jednym z jego działaczy, a także organizatorów Krajowego Ośrodka Współpracy Klubów Inteligencji. W 1958 wyemigrował z Polski do Izraela, następnie przeniósł się do Francji. Tam, w 1961 r. przekazał I departamentowi MSW (wywiad) bardzo obszerną relację na temat działalności Klubu¹⁶.

Jako jego inicjatorów KKK Szczurkowski wymieniał Ewę i Juliusza Garzteckich oraz Stefana Króla¹⁷. Ponadto twier-

14. Notatka „Tkaniny”, s. 384.

15. Taką identyfikację zawiera list J. Garzteckiego do „Szanowny Towarzyszu” (brak danych do bliższej identyfikacji adresata) z 4 IV 1958, AIPN BUiAD 0236/175, t. 2, s. 22.

16. Trudno obecnie stwierdzić, kiedy nawiązał on współpracę z SB. W materiałach KKK nie natrafiłem na notatki lub meldunki R. Szczurkowskiego z okresu jego pracy w klubie. Przekazane w 1961 r. relacje są natomiast wyjątkowo obszerne (ponad 100 stron maszynopisu). Wiele wskazuje na to, że dla emigranta Szczurkowskiego przekazanie owych relacji było formą zarobkowania. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że swoją relację sprzedał on dwa razy – najpierw w formie bardziej ogólnych artykułów dla Adama Ciołkosza do miesięcznika *Robotnik* w Londynie, następnie – z mnóstwem nazwisk – dla wywiadu PRL.

17. R. Szczurkowski dodawał sensacyjny szczegół. Otóż, na początku 1955 r. Garzteccy przebywali na wypoczynku w Krynicy i tam poznali Stefana Króla. „Pobyty ich w Krynicy zbiegał się w czasie z pobytem w tymże domu tow. Gomułki, po jego wyjściu z więzienia. Kiedy nieraz Garztecka Ewa mówiła o tym okresie, to z opowiadania tego wynikało, jakoby właśnie wtedy powstała inicjatywa powołania do życia «Klubu Krzywego Koła» i właśnie od tow. Gomułki. Powtarzam, że wyraźnie tego

dził, że do pierwszej dziesiątki założycieli Klubu należał Władysław Bieńkowski, choć na liście figuruje na dalszej pozycji, gdyż tak sobie życzył¹⁸. Bieńkowski był czołowym działaczem PPR w latach 40-tych bliskim współpracownikiem Gomułki, wraz z nim w 1948 r. został oskarżony o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne” i usunięty z władz partii, od 1948 był dyrektorem Biblioteki Narodowej. Po Październiku 1956 r. należał ponownie do bliskich współpracowników Gomułki, był ministrem oświaty, ponadto uczestniczył w niektórych zebraniach Klubu i niewątpliwie mu sprzyjał. Wypowiadał się za pogłębieniem demokracji, a w 1959 r. podał się do dymisji. Nie można wykluczyć, że wskazanie nazwiska Bieńkowskiego wśród 10 inicjatorów KKK miało obciążyć byłego ministra, na którego SB zaczęła już zbierać kompromitujące *dossier*. Jako kolejną osobę ważną wśród założycieli KKK Szczurkowski wymienił Anielę Mariańską, pracownicę Wydziału Propagandy KC PZPR. Garztecki i Król „w każdej trudnej sprawie, sprawach wymagających interwencji, odnosili się do niej i ona udzielała im pomocy”. Do najczynniejszych w 1955 r. członków Klubu Szczurkowski zaliczał Jana Strzeleckiego. Był on znanym kiedyś działaczem PPS, autorem artykułów o socjalizmie humanistycznym, które w 1948 r. były przedmiotem propagandowych ataków publicystów PPR. Podobno już na pierwszych zebraniach Klubu Strzelecki proponował powołanie sekcji specjalistycznych, w tym szczególnie sekcji badań społecznych. Powstanie ona jednak dopiero na początku 1956 r.¹⁹

Na podstawie – jak się wydaje – głównie informacji Szczurkowskiego w notatce informacyjnej sporządzonej przez SB w lutym 1963 r. jako „pierwszą dziesiątkę” wymieniano – w następującej kolejności: Garzteckich, S. Króla, W. Bieńkowskiego, A. Mariańską, J. Strzeleckiego, M. Perlmana, R.

nie formułowała. Problem jednak przedstawiała tak zrećnienie i w takim świetle, że właśnie taki wniosek należało wyciągnąć z tego, co mówiła”. W istocie w Krynicy przebywała jedynie Ewa Garztecka z kilkuletnim synem. Zaprzecza ona, jakoby miała jakieś kontakty z Gomułką.

18. Informacja nr 1 od „N” z 13 IV 1961. AIPN BUiAD 0236/175 t. 2, s. 92-95.

19. *Ibidem*, s. 95-96.

Szczurkowskiego, Z. Sufina. „Wspomniana grupa niejawnie organizowała działalność klubową jeszcze przed oficjalnym powstaniem KKK. Osoby te prowadziły akcję terenową inspirowaną powołaniem do życia klubów o celach podobnych do celu działalności KKK”²⁰. Trzeba przyznać, że zdanie to brzmi jak wyjęte z aktu oskarżenia. A zatem wykaz i kolejność nazwisk w tym dokumencie zapewne miały nieprzypadkowe znaczenie.

Najbardziej wiarygodnym dokumentem z listą założycieli i datą podjęcia inicjatywy legalizacji Klubu jest pismo skierowane 21 września 1955 r. do KC PZPR na ręce Jakuba Bermana i Jerzego Morawskiego, a podpisane przez E. i J. Garztekich, K. Arciuchową, S. Króla, M. Perlmana, Z. Sufina i aktorkę Krystynę Karkowską-Krauze. „Poczyniwszy obserwacje w środowiskach inteligenckich i doszedłszy do pewnych wniosków, uważamy za nasz obowiązek przedstawić Wam, towarzysze, uwagi, które nasunęły się nam, i problemy, które wydają się istotne – pisano w memoriale. Przedmiotem naszego zainteresowania były prywatne grupy inteligenckie, stanowiące formę podziemia intelektualnego. Dla bliższego zorientowania się w zagadnieniu poczyniliśmy doświadczenia z jedną z prywatnych grup dyskusyjnych, utworzoną wiosną 1955 r. Jako problem postawiliśmy sobie zbadanie przyczyn powstawania takich grup wśród inteligencji oraz próbę opracowania środków przeciwdziałających zjawisku powstawania i szerzenia się podziemia intelektualnego. (...) Wykorzystując tę grupę jako teren pracy politycznej z inteligencją o różnych poglądach i zainteresowaniach, doszliśmy do wniosku, że praca w formie klubowej jest celowa i możliwa”. Wnioski wyciągnięte z doświadczeń Klubu i obserwacji poczynionych w innych grupach inteligencji, brzmiały:

– że możliwe i potrzebne jest przedsięwzięcie środków zaradczych przeciw szerzeniu się niezalegalizowanych prywatnych grup inteligenckich,

– że wzmożenie zorganizowanej i systematycznej pracy politycznej wśród inteligencji jest palącą potrzebą,

20. „Informacja dotycząca b. Klubu Krzywego Koła” z 27 lutego 1963 r. AIPN BUiAD 0236/175 t. 2, s. 260-261.

– że tworzenie klubów jest jedną z celowych form takiej pracy wśród inteligencji²¹.

Do pisma dołączono obszerny memoriał podpisany przez te same osoby, a opatrzony na piśmie przewodnim datą 4 października. Oceniano w nim negatywnie przedwojenne tradycje inteligencji jako przeważnie nacjonalistyczne lub sanacyjne. Tradycje te nadal na inteligencję oddziałują, osłabiają jej związki z ustrojem, zwiększają podatność na przyjmowanie burżuazyjnych idei płynących z Zachodu. Kadry nowej inteligencji, formowanej w Polsce Ludowej, w części szybko się wykruszyły wobec braków wykształcenia ogólnego, ponadto z reguły nie łączą się towarzysko ze starą inteligencją. Nauczanie w wyższych szkołach, choć zmierza do uwolnienia młodych od oddziaływania ideologii reakcyjnych, nie zachęca do samodzielnego myślenia i zdobywania wiedzy, kształtuje „typ studenta o wąskich horyzontach i zainteresowaniach, myślącego schematycznie, jałowymi szablonami”. Po ukończeniu studiów absolwenci tracą kontakt z ze środowiskiem uczelnianym. Młoda inteligencja jest także obiektem ofensywy środowisk klerykalnych i paxowskich, która zmierza do jej wyrwania spod ideowego kierownictwa partii. Przyjęcie podziału na inteligencję partyjną i bezpartyjną jest uproszczeniem, gdyż wśród bezpartyjnych występują najróżniejsze tendencje ideowe. Faktem natomiast jest silnie odczuwane przez młodą inteligencję zagubienie, bierność, brak perspektyw (zwłaszcza na prowincji), w środowiskach twórczych uleganie reakcyjnym poglądom starej inteligencji. „Proces kształtowania się nowej inteligencji postępuje zbyt wolno i należy dopomóc inteligencji w wyzbyciu się naleciałości ideologii reakcyjnych, uprzedzeń i kompleksów. (...)”

Dotychczas nie próbowano jeszcze zorganizować inteligencji jako całości i prowadzić wśród niej pracy polityczno-wychowawczej, która by pozwoliła nam na systematyczne przekształcanie jej światopoglądu. Organizacje tego typu istnieją w innych państwach demokratycznych, najlepszym przykładem jest Kulturbund w NRD. (...)”

21. AIPN 0236/175 t. 1, s. 4-5. Także egzemplarz z AAN, kopia bez sygnatury.

Zadaniem inteligencji w Polsce Ludowej jest praca dla ludu – słuzenie klasie robotniczej i chłopstwu pracującemu”. Należy zatem wyrabiać w niej właściwy pogląd na jej rolę za pomocą określonej pracy społeczno-wychowawczej.

Charakterystyczną cechą inteligencji, zwłaszcza o wyraźnych zainteresowaniach kulturalnych, jest tworzenie grup towarzyskich, które zbierają się w domach prywatnych dla prowadzenia dyskusji. „Znaczna ich część powstaje w atmosferze negacji. Przykładami mogą być: grupa «Olimp» w Warszawie pozostająca pod wpływem A[rtura] Sandauera, grupa towarzyska [Stefana] Kisielewskiego w Krakowie i inne. Ale powstają też grupy klubowe ciekawe i twórcze, np. grupy, które utworzyły Studenckie Teatry Satyryków w Warszawie i Gdańsku, grupa plastyków, która wystąpiła z inicjatywą Wystawy Młodej Plastyki, grupa filmowców skupiona koło [Jerzego] Kawalerowicza i inne”. Z doświadczeń jednej z takich grup warszawskich oraz obserwacji innych wynika, że forma klubu jest dla inteligencji szczególnie atrakcyjna. Umożliwia bowiem prowadzenie swobodnej dyskusji w atmosferze twórczej krytyki, „która jest podstawą wszelkiego rozwoju”, poszukiwanie rozwiązań uważanych w środowisku za ważne, wymianę doświadczeń między różnymi środowiskami zawodowymi, a zatem przekraczanie kręgu jednej specjalności i rozszerzanie horyzontów.

Istnienie grup nieformalnych, podziemnych, często wrogich jest niezdrowe i niepożądane. Niewykorzystywanie pracy i doświadczeń pozytywnych grup klubowych jest „marnotrawieniem sił społecznych i pozostawieniem ich w stanie żywołowości, bez kierownictwa”.

Po tej obszernej części ogólnej pisano, że grupa zwana roboczo Klubem Krzywego Koła powstała wiosną 1955 r. liczy około 30 osób: działaczy kulturalnych, plastyków, architektów, naukowców, historyków sztuki, dziennikarzy, pracowników kultury; składa się z członków PZPR i bezpartyjnych o różnych zapatrywaniach „od postępowych do całkowicie reakcyjnych”.

Doświadczenia paromiesięcznej pracy wykazały, że
– Klub stał się silnym ośrodkiem oddziaływania politycznego na inteligencję bezpartyjną nastawioną niechętnie do państwa

ludowego. W atmosferze prywatnych spotkań z partyjnymi lub stojącymi na gruncie marksizmu działaczami kultury stwarzał się natychmiast wspólny język przez zrozumienie wspólnych celów kulturalnych. (...)

– Klub kierowany politycznie nie tylko nie wykazuje tendencji rozpadowych, lecz przeciwnie, ujawnia się tendencja do przerastania z formy spontanicznej w zorganizowaną.

– Klub nie tylko rozrasta się liczebnie, ale oddziałuje też na zewnątrz, czego objawem jest spontaniczne zgłaszanie się do Klubu osób nie zaproszonych, które słyszały o charakterze zebrań od uczestników oraz spontaniczne dołączanie się grup filialnych w Warszawie i na prowincji.

– Spoistość organizacyjna klubu wzrasta silnie z powodu wykorzystywania wyników dyskusji w postaci publikowanych w prasie artykułów będących wynikami dyskusji klubowych.

Następnie podawano trzynaście dotychczasowych tematów spotkań oraz wymieniano siedem osób tworzących „aktyw polityczny” Klubu Krzywego Koła, które podpisały memoriał (jako jedynych bezpartyjnych wskazywano Garzteckich).

Wymieniano przykładowo szereg innych nie zalegalizowanych klubów pozawarszawskich, dowodząc, że ruch klubowy staje się coraz szerszy. „Zawężenie ruchu klubowego do klubów młodej inteligencji czy młodych twórców ZMP – pisano w zawaolowanej polemice z *Po prostu* – jest równoznaczne z wyrzeczeniem się tej formy pracy jako formy ogólnointeligenckiej, równoczesne ze zwężaniem bazy masowej pracy politycznej wśród inteligencji. Słuszne jest natomiast wysuwanie problematyki kulturalnej jako specjalnie atrakcyjnej w środowisku inteligenckim”. Płaszczyzną spotkania inteligencji partyjnej nawet z reakcyjną (z wyłączeniem tylko nieprzejednanej) jest hasło obrony pokoju. Proponowano zatem utworzenie Centralnego Klubu Kulturalnego przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju jako ośrodka organizacyjno-metodycznego oraz terenowych klubów przy Komitetach Obrońców Pokoju, względnie utworzenie organizacji na wzór Kulturbundu w NRD.

Projekt zawierał też szereg szczegółowych propozycji dotyczących organizacji klubowej przy Komitecie Obrońców Pokoju, m.in. podkreślano że klub centralny mógłby kon-

trolować kluby terenowe: zasady członkostwa kształt organizacyjny zarządu, formy pracy²².

Grupa inicjatorów stawiała więc sobie cele szersze, niż tylko zalegalizowanie KKK. Niestety, dotychczas nie udało się odnaleźć śladu dalszego biegu sprawy w KC PZPR. W niepodpisanej notatce dla Sekretariatu KC czytamy, że po uzyskaniu ustnej aprobaty od Bermana i Morawskiego grupa przystąpiła do dalszej pracy²³.

W udzielonej współcześnie relacji Juliusz Garztecki stwierdza, że memoriał był autorstwa jego i Króla. Koncepcja stworzenia forum pracy z inteligencją była ich wspólna, dla potrzeb memoriału „argumentację merytoryczną dostarczył Król, a opracowanie stylistyczne ja”. Podkreśla, że zamiarem twórców Klubu było wsparcie partii. Wspomina, że na spotkaniu z Bermanem po dostarczeniu memoriału był on, Król i może jeszcze dwie osoby. „Myśmy jemu w krótkich słowach powtórzyli argumentację z memoriału. Na co – zauważyłem, bo to było charakterystyczne – Berman się odwrócił, pogapił w okno ze 20 sekund i powiedział: «zgoda, dam wam Staromiejski Dom Kultury. Zasada będzie taka: partyjni i bezpartyjni będą mieli równe prawo głosu na terenie klubu, to raz. Dwa, nikt nie będzie represjonowany w żadnej formie za wypowiedzi na terenie klubu. I trzy, dookooptujecie do zarządu obserwatora politycznego z ramienia KC»”²⁴.

Zatajenie w doniesieniach Garzdeckiej i Szczurkowskiego informacji o „zalegalizowaniu” Klubu przez Bermana i Morawskiego może dziwić, ale tylko do pewnego stopnia. O spotkaniu na tak wysokim szczeblu Szczurkowski mógł nie wiedzieć, ale nie mogło ono być tajemnicą dla Garzdeckiej. Wymienianie obu nazwisk w tym kontekście w 1963 r. mogło jej jednak być „nie na rękę”. Berman już wiosną 1956 r. został usunięty z kierownictwa PZPR jako obciążony odpowiedzialnością za wypaczenia stalinowskie, natomiast

22. AAN, PZPR 237/XVIII-161, s. 6-23; także AIPN BUiAD 0236/175 t. 1, s. 7-24.

23. AAN PZPR 237/XVIII-161, s. 24.

24. Zapis rozmowy J. Garzdeckiego z M. Garzdeckim z 13 IV 2004, w posiadaniu autora.

gwiazda „młodego sekretarza” KC Morawskiego błyszczała tylko do 1959 r., kiedy odszedł z kierownictwa PZPR pomawiany o sprzyjanie „rewizjonistom”. Odwołanie się do takich autorytetów w notatce dla SB mogło być obciążeniem, zapewne więc „Tkanina” postanowiła rzecz przemilczeć.

„Zielone światło” z KC umożliwiło szybki rozwój zarówno KKK, jak i szerszych prób koordynowania ruchu klubowego. W grudniu 1955 r. wybrano formalny zarząd w składzie: Stefan Król – przewodniczący, Juliusz Garztecki – wiceprzewodniczący, Stefan Wajcman – sekretarz, Ewa Garztecka, Zbigniew Sufin – członkowie²⁵. Do połowy marca w zarządzie nastąpiły zmiany: sekretarzem została Garztecka, skarbnikiem Szczurkowski, członkami zarządu Mieczysław Jurgielewicz i Szczepan Baczyński. Wajcman stanął na czele trzyosobowej komisji rewizyjnej²⁶. Dnia 1 stycznia 1956 r. Klub liczył 78 osób, w tym dużą grupę stanowiła młodzież – absolwenci humanistycznych wydziałów uniwersytetu. Część z nich odegra znaczną rolę w późniejszej historii Klubu oraz zaznaczy swą obecność w polskiej kulturze następnych dekad²⁷.

Stefan Wysocki wprowadził do Klubu działający dotąd półkonspiracyjnie młodzieżowy Jazz-Klub, który stał się odrębną sekcją. Jej aktywność polegała „prawie wyłącznie na przesłuchiowaniu z taśm muzyki jazzowej – wówczas oficjalnie jeszcze nie grywanej”. O historii i powstawaniu różnych stylów jazzu opowiadał Leopold Tyrmand. Powstała sekcja wydawnicza planująca bibliofilskie wydania m.in. Mickiewicza, Sekcja Plastyczno-Wystawiennicza z Marianem Boguszem na czele, która następnie przerodziła się i wyemancypowała w Galerię Krzywego Koła²⁸. Dużą autonomię wywalczyła sobie

25. Lista członków KKK wg stanu na dzień 1 stycznia 1956. AIPN BUiAD 0236/175 t. 1.

26. Informacja nr 1 od „N” [R. Szczurkowskiego], *op.cit.* Skład zarządu podano za biuletynem *Nowy Nurt* nr 3, s. 35.

27. Byli wśród nich: Marcin Czerwiński, Stanisław Manturzewski, Andrzej Dobosz, Stefan Nowak, Krzysztof Pomian, Andrzej Osęka, Zygmunt Skórzyński, Aleksander Matejko, wśród kandydatów Jan Józef Lipski.

28. W Sekcji Plastyki na początku 1956 r. byli m.in. Zbigniew Dłubak, Kajetan Sosnowski, Barbara Zbrożyna.

szybko zainicjowana przez Jana Strzeleckiego Sekcja Społeczna skupiająca młodych socjologów – Czesława Czapowa, Stanisława Manturzewskiego, Zygmunta Skórzyńskiego i innych. „Prace Sekcji Społecznej były znane zarządowi KKK tylko z referatów przygotowywanych na dyskusję ogólną” – pisała Garztecka²⁹. Utworzono także Sekcję Teatralną z Dolly Korewą jako przewodniczącą³⁰.

Już pierwsze tygodnie działalności Klubu w nowej siedzibie przyniosły więc radykalne poszerzenie liczby członków i form działania. Utrzymanie nad Klubem kontroli – jak to sobie wcześniej wyobrażano – było niezmiernie trudne. Co więcej, ambicje twórców Klubu, zwłaszcza Garzteckiego i Króla, sięgały znacznie dalej. Zmierzała ona do inicjowania ruchu klubowego w skali ogólnopolskiej i zbudowania nadrzędnej instytucji koordynującej. Miał temu służyć m.in. biuletyn *Nowy Nurt*, do którego wydawania Garztecki przystąpił na początku 1956 r. Skupienie się na działaniach „wyższego szczebla” przez inicjatorów Klubu musiało ułatwić jego stopniowe przejmowanie przez młodszych członków, mniej związanych z Garzteckimi i Królem. Nie bez znaczenia był także rozpad małżeństwa Garzteckich jesienią 1955 r., co przekreślało możliwość ich zgranego współdziałania. Najważniejszą jednak okolicznością było polityczne ożywienie, które nadeszło wraz z XX Zjazdem KPZR i słynnym referatem Chruszczowa o zbrodniach Stalina, rozpowszechnianym następnie w Polsce (także w kręgu KKK). Referat Chruszczowa był dyskutowany co najmniej na czwartkowym spotkaniu Klubu 22 marca, ale według relacji Garzteckiej także 29 marca i 5 kwietnia.

29. Notatka „Tkaniny”, *op.cit.*, s. 390-392. Szczurkowski pisał, że Sekcja „stanowiła zamknięte grono ludzi. Dobierał ich sobie sam Strzelecki. Sekcja miała zebrania w Staromiejskim Domu Kultury, ale nie tylko tam. Praca tej Sekcji nie była kontrolowana przez nikogo”. Sekcja znajdowała się pod opieką socjologów z uniwersytetu, a wysunęła m.in. program badań nad zjawiskiem chuligaństwa. Informacja nr 1 od „N”, *op.cit.*, s. 104.

30. Notatka „Tkaniny”, *op.cit.*, s. 392. Członkami Sekcji Teatralnej byli m.in. August Kowalczyk, Mariusz Dmochowski, Jacek Sempoliński.

W 1956 r. Klub Krzywego Koła stawał się szczególnie aktywnym, ale jednym z wielu klubów dyskusyjnych. Inicjatywę tworzenia klubów młodej inteligencji w różnych, także małych miastach, rzucił tygodnik *Po prostu* we wrześniu 1955 r. „Tworzenie ruchu młodej inteligencji stało się jednym z podstawowych elementów programu *Po prostu*” – pisali Zbysław Rykowski i Wiesław Władyka w swej monografii roku 1956³¹. Powstawanie klubów było naturalną i popularną formą łączenia się grup inteligencji, które – po latach krępowania wypowiedzi – mogły teraz dokonywać wymiany myśli, dawać początek różnym inicjatywom podobnym do tych, które pączkowały wokół Klubu Krzywego Koła.

Spór o prymat w ruchu klubowym między redakcją *Po prostu* a dotychczasowymi kierownikami KKK trwał – według Szczurkowskiego – od stycznia 1956 r., kiedy ukazał się pierwszy numer *Nowego Nurtu*. Redaktor naczelny *Po prostu* Eligiusz Lasota widział w klubach zaplecze pisma, liczył na powstanie wokół niego ruchu skupiającego młodą inteligencję. Ukazanie się *Nowego Nurtu* oraz podjętą przez Garzteckiego i Króla próbę skupiania powstających klubów terenowych uznał nie tylko za konkurencję, ale chyba też za rodzaj dywersji³². Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że Garztecki był etatowym pracownikiem *Po prostu*. Jak pisała później Garztecka „Król i Garztecki – działając początkowo w podwójnej roli – członków Zarządu KKK i wysłanników *Po prostu* przyciągali kluby terenowe do KKK oraz starali się związać te kluby z KKK także organizacyjnie, po to, aby stanąć na czele pewnej, określonej już siły społecznej”. Garztecka wspomina, że z takim zamierzeniem jechała między innymi do organizujących się klubów w Kraśniku Fabrycznym i w Gdańsku. W tym okresie i do tych celów „potrzebny był «protektor» – czyli jakaś ogólnopaństwowa organizacja,

31. Z. Rykowski, W. Władyka, „Polska próba. Październik '56”, Kraków 1989, s. 106.

32. Informacja nr 1 od „N”, *op.cit.*, s. 101-102.

która byłaby potężniejsza od *Po prostu* i pozwalałaby na całkowite uniezależnienie się od *Po prostu*. O ile sobie przypominam, protektora tego szukano najpierw w Zarządzie Głównym ZMP, lecz tam nie udało się. Wówczas powstał projekt – później zrealizowany – przyłączenia klubów do Frontu Narodowego³³.

Szczurkowski w swojej relacji mocniej nawet, niż Garztecka, podkreśla konflikt z *Po prostu*. Pisze, że Krajowy Ośrodek Współpracy Klubów Inteligencji powstał z inicjatywy Garzteckich i Króla na kilka dni przed zamierzonym utworzeniem przez redakcję *Po prostu* Centralnego Ośrodka Klubów Młodej Inteligencji. Zatarciem, który powstał na tym tle, „zajmował się w odpowiednim czasie Wydział Propagandy KC i Zarz. Gł. ZMP (personalnie tow. Jaworska)”. Spór został uregulowany tak, że „odtąd Krajowy Ośrodek zajmował się problemami Klubów Młodej Inteligencji pracującej już zawodowo. Natomiast redakcja *Po prostu* – Klubami Młodej Inteligencji, które powstały na wyższych uczelniach w Warszawie i w kraju”. W następstwie tego konfliktu w kwietniu Garztecki został usunięty z redakcji *Po prostu*³⁴.

Deklarację o utworzeniu Krajowego Ośrodka Współpracy klubów, grup, kół i zespołów inteligencji podpisali 15 kwietnia przedstawiciele siedmiu klubów: Krzywego Koła (S. Król), Komitetu Organizacyjnego Klubu Inteligencji w Krakowie i redakcji *Szkice* (Barbara Kwaśniewska), Klubu Towarzysko-Dyskusyjnego w Poznaniu (Wanda Goebel), Klubu Dyskusyjnego Inteligencji i Grupy „R-55” w Poznaniu (Zygmunt Skrzydlewski), „Grupy 14” z Rzeszowa (Adolf

33. Notatka „Tkaniny”, *op.cit.*, s. 393.

34. Informacja nr 1 od „N”, *op.cit.*, s. 107. Garztecka twierdzi, że walcząc o uzyskanie wpływu na kluby jej były mąż poszedł ze skargą na redakcję *Po prostu* do przewodniczącej ZMP H. Jaworskiej. Przez kierujących KKK zostało to potępione jako wielka nielojalność wobec pisma, którego był jeszcze pracownikiem. Jaworska miała wezwać przedstawicieli *Po prostu* do siebie i „omówić z nimi tę sprawę”. Garztecki od tej chwili miał zamknięty wstęp do redakcji. Dalej Garztecka pisze, że „dochodziło do «wyłapywania» delegatów klubów terenowych, którzy przyjechali do redakcji *Po prostu*, udzielania im przez «ośrodek» fałszywych informacji dezorientujących, byle «przeciagnąć» te kluby do «ośrodka»”. Notatka „Tkaniny”, *op.cit.*, s. 395.

Jakubowicz), klubu dyskusyjnego „Zamiast Korytarza” (Sokołowski) i warszawskiego Klubu Dyskusyjnego „Spalony Bezpiecznik” (Irena Kurman), ponadto w imieniu zarządu Jazz-Klubu w Warszawie Lech Laudański oraz redakcji *Nowego Nurtu* J. Garztecki. Częścią umowy była deklaracja, w której podkreślano wzrost aktywności społecznej i organizacyjnej inteligencji znajdujące wyraz w masowym i spontanicznym powstawaniu klubów, kół dyskusyjnych, grup twórczych. Rozwój tego ruchu „doprowadził do konieczności stworzenia form współpracy, wzajemnej pomocy i wspólnego reprezentowania klubów i grup inteligencji”. W minionym roku taką współpracę zainicjował KKK, ale rozwój ruchu przekracza możliwości jednego klubu. Zadaniem Krajowego Ośrodka jest: „1) udzielanie pomocy organizacyjnej i wszelkiego poparcia klubom i grupom nowopowstającym, 2) reprezentowanie interesów ruchu wobec władz i instytucji, 3) dalsze prowadzenie i rozszerzanie współpracy międzyklubowej, wymiany doświadczeń, materiałów i informacji o życiu i formach pracy klubów i grup inteligencji”. KKK zobowiązywał się do zorganizowania Sekretariatu Ośrodka na podstawie istniejącego już Ośrodka Współpracy Międzyklubowej przy KKK oraz przekazania mu biuletynu *Nowy Nurt*. Podpisujące umowę kluby stawały się członkami Krajowego Ośrodka, delegując do współpracy z nim swoich przedstawicieli. Stwierdzano, że Ośrodek będzie ściśle współpracował z Ogólnopolskim Komitetem Frontu Narodowego³⁵.

Jak wspominał Szczurkowski, w skład Krajowego Ośrodka, który otrzymał siedzibę przy OK FN w hotelu sejmowym przy ul. Wiejskiej 4, weszli: S. Król jako przewodniczący, J. Garztecki jako wiceprzewodniczący i redaktor *Nowego Nurtu*, R. Szczurkowski jako kierownik działu organizacyjnego oraz – reprezentujący grupę frondy z PAX tworzącą Klub Okrągłego Stołu – Janusz Zabłocki³⁶. Pod koniec czerwca 1956 r. (28-30 VI) odbył się zjazd klubów, na którym wybrano Sekretariat

35. AAN PZPR 237/XVIII-161, s. 27.

36. W redakcji *Nowego Nurtu* byli: Ewa Brzozowska, Ernest Bryll, J. Garztecki – redaktor naczelny, Bożena Kowalska, S. Król, Sławomir Kryski, Andrzej Lam, Jerzy Mikke, Michał Stalski, Renata Strzeszewska, Wojciech Wieczorek, Danuta Zabłocka.

KOWKI w dotychczasowym składzie, dodając tylko jako sekretarza do spraw kultury Romana Broszkiewicza³⁷. Szczurkowski podkreśla, że „kluby w terenie działały na własną rękę i w oparciu o swoje komitety Frontu Narodowego. Krajowy Ośrodek w myśl swoich zasad zajmował się tylko udzielaniem pomocy na żądanie klubów i w takiej formie, jak kluby jej żądały. Nie było mowy o narzucaniu klubom tematyki zajęć, problemów itd.”, jednocześnie jednak „kluby dzieliły się doświadczeniami poprzez Krajowy Ośrodek”³⁸.

Kluby stawały się ważnym elementem sytuacji politycznej roku 1956, budzącym niepokój przynajmniej znacznej części aparatu władzy. W notatce o ruchu klubowym sporządzonej zapewne w MSW czytamy:

Mamy zatem do czynienia z nową rozrastającą się, bardzo aktywną i prężną polityczną organizacją ogólnokrajową. Organizacja ta niewątpliwie wyrasta z potrzeby społecznej, z usprawiedliwionych dążeń inteligencji do znalezienia odpowiednich form kulturalnego i politycznego wyżycia się. Jednak kierownictwo jej zostało przechwycone przez antypartyjne i reakcyjne żywioły.

Organizatorzy klubów formalnie komunikują i «uzgadniają» swe poczynania z instancjami partyjnymi, ale w gruncie rzeczy nie są w stanie panować nad tym, co się dzieje w klubach, bądź też sami uprawiają wobec partii dywersję, prowadząc dwulicową grę.

Taktyka niektórych działaczy klubów polega na tym, by wykorzystać Komitety Frontu Narodowego jako legalny parawan i stworzyć z klubów bazę organizacyjną dla «demokratyzacji» pojętej jako swoboda działania politycznego dla reakcyjnych [i] przeważnie klerykalnych elementów.

Według określenia Bolesława Piaseckiego (którego ludzie są często inicjatorami klubów i który stwierdza, że trudno mu przeciwdziałać szybkiemu przesuwniu się jego środowiska na prawo) program klubów da się streścić następująco: 1) Przeprowadzić «rewolucję w rewolucji», 2) Pogłębić demokratyzację i traktować ją jako stały proces, 3) Usamodzielić się od ZSRR, 4) Zerwać z monopolem światopoglądu marksistowskiego, 5) Przygotować się do akcji wyborczej³⁹.

37. Zastępcami członków Sekretariatu KO zostali B. Nietyksza, M. Kosińska, K. Marlikowska, B. Michalak, M. Stalski.

38. Informacja nr 1 od „N”, *op.cit.*, s. 114.

39. AIPN BUiAD 0236/175 t. 2, s. 7-8. „Notatka o klubach inteligencji” z 12 VII 1956, bez podpisu i adresata.

Sygnalem rosnącego znaczenia klubów było wygłoszenie przez przedstawiciela Krajowego Ośrodka Jerzego Mikke na Plenum Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego 14 sierpnia dłuższego referatu charakteryzującego ruch. Mikke nie krył, że celem klubów jest ożywianie inteligencji, także w społecznościach lokalnych, stymulowanie inicjatyw kulturalnych, społecznych, oświatowych. Nie wspominał jednak oczywiście o żadnych zadaniach wprost politycznych⁴⁰.

Koordinowanie działań rozwijającego się ruchu dawało podstawę do przypuszczeń, że w szybko zmieniającej się sytuacji politycznej Krajowy Ośrodek nabierze istotnego znaczenia. Zapewne takie przeświadczenie stało się podłożem konfliktu i rywalizacji między Królem i Garzteckim, który – jak twierdzi Szczurkowski – szukał oparcia i pomocy przeciw swemu bliskiemu dotąd współpracownikowi w Wydziale Propagandy KC, a także w Zarządzie Głównym ZMP. Równoległe Garztecka miała opowiadać się za usunięciem obu rywalizujących działaczy i zastąpieniem ich postaciami bardziej odpowiednimi na nowym zakręcie politycznym. Do szczytowego napięcia miało dojść we wrześniu, a spór – jak twierdzi Szczurkowski – rozstrzygnął kierownik Wydziału Propagandy KC Andrzej Werblan, który zalecił, by do Krajowego Ośrodka wszedł Julian Hochfeld oraz by nawiązać bliższą współpracę z *Po prostu*. Dnia 9 września na zebraniu Sekretariatu z udziałem Klubów warszawskich i redakcji *Nowego Nurtu* postanowiono przyjąć rezygnację Garzteckiego z pełnionych funkcji, do Sekretariatu powołać Hochfelda oraz przedstawicieli redakcji *Po prostu* – Wiesława Szynclera i Zbigniewa Sufina oraz podjąć ścisłą współpracę z *Po prostu*⁴¹. Najwyraźniej jednak ten kompromis nie został „skonsumowany”, skoro adres Sekretariatu Krajowego Ośrodka do VIII Plenum KC PZPR podpisali Broszkiewicz, Kosińska, Król, Mikke, Maria Staniszkis i Szczurkowski (brak nazwiska Hochfelda i przedstawicieli *Po prostu*)⁴².

40. *Nowy Nurt* nr 8 – sierpień 1956, s. 2-8.

41. *Nowy Nurt* nr 9 – listopad 1956, s. 52.

42. AIPN BUiAD 0236/175 t. 1, s. 101-102; *Nowy Nurt* nr 9 – listopad 1956. Doszło także do głębokiej zmiany w redakcji *Nowego Nurtu*. Numer 9 zredagował zespół: J. Mikke – redaktor naczelny, R. Broszkiewicz –

Andrzej Werblan potwierdził w rozmowie z autorem, że namówił Hochfelda, by zaangażował się w działalność klubową. „Chciałem dodać element powagi i odpowiedzialności politycznej” – wspomina. Hochfeld po wahaniach zgodził się, ale potem czynniejszego udziału w sprawach klubowych nie brał, gdyż poświęcił się aktywności w Sejmie (w styczniu 1957 r. został posłem)⁴³.

O konflikcie między Garzteckim i Królem pisze także Ewa Garztecka: „Wiem z rozmów i planów, że marzyła im się kariera posłów na Sejm z ramienia klubów inteligencji. Poza tym Garztecki zakładając (...) biuletyn klubów inteligencji *Nowy Nurt* wierzył w przekształcenie *Nowego Nurtu* w prawdziwe czasopismo, którego automatycznie stałby się redaktorem naczelnym”. Konflikt między liderami Ośrodka wynikał z tego, iż „zrozumieli, że o ile istnieje szansa jednego mandatu poselskiego z ramienia klubów inteligencji, to nie ma nadziei na dwa mandaty. Żaden z nich nie chciał zrezygnować. Pozostała więc druga ewentualność – utracenia konkurenta. Dwaj nierozłączni dotąd przyjaciele zaczęli więc intrygować przeciwko sobie takimi środkami i sposobami, że konflikt ich stał się szybko publiczny, a nawet gorszący”. Szczurkowski, wedle Garzteckiej, uczestniczył żywo w intrygach, popierając raz jednego, raz drugiego adwersarza. Konsekwencją tej sytuacji było wystąpienie KKK z Ośrodka, co zresztą Garztecka uważała za słuszną⁴⁴.

Konflikty i intrygi w kierownictwie KOWKI nie przekreślały przecież jednak znacznej i pozytywnej roli, jaką była możliwość wymiany informacji, pomysłów, inspirowania pewnych działań, podkreślenia autonomicznej roli inteli-

sekretarz, Andrzej Hausbrandt, B. Kowalska, M. Stalski, Andrzej Szperl, Mieczysław Ubysz, W. Wieczorek.

43. Relacja A. Werblana z kwietnia 2004.

44. Notatka „Tkaniny”, s. 396. J. Garztecki zaprzecza jakoby on lub Król zamierzali kandydować do Sejmu. Twierdzi natomiast, że Król zamierzał powiązać silniej KOWKI z radami robotniczymi, co stworzyłoby nową siłę polityczną. Garztecki uważał, „że ten numer nie przejdzie. I stąd konflikt”. Relacja J. Garzteckiego udzielona M. Garzteckiemu, *op.cit.* W tej samej rozmowie wspomina, że z redakcji *Nowego Nurtu* ustąpił, gdyż nie zgadzał się na cenzurowanie numerów pisma przez S. Kalinowskiego z OK FJN.

gencji. Kluby stawały się w wielu miejscowościach załączkami obywatelskiej aktywności, niekontrolowanej i nieinspirowanej przez partię. Mogły być pierwszym etapem w odbudowie niezależnego ruchu oświatowego i kulturalnego, także w środowisku robotniczym i wiejskim. Roli tej odegrać nie mogły wobec wyhamowywania oddolnych inicjatyw przez kierownictwo PZPR w okresie popaździernikowym.

Przejęcie Klubu przez „młodych”

Powstanie Krajowego Ośrodka Współpracy Klubów Inteligencji ułatwiło wymianę ekipy kierowniczej Klubu Krzywego Koła. Na zebraniu plenarnym KKK 10 maja 1956 r. Garztecki, Król i Szczurkowski poprosili o zwolnienie z prac w Klubie. Wybrano nowy zarząd z Janem Strzeleckim jako przewodniczącym, E. Garztecką wiceprzewodniczącą, Michałem Stalskim jako sekretarzem i Danutą Kępczyńską – skarbnikiem. Do dziesięcioosobowego zarządu weszła zwarta grupa młodych: socjologowie Czesław Czapów, Stefan Nowak, Zygmunt Skórzyński i historyk Aleksander Achmatowicz⁴⁵.

Nie tylko w zarządzie, ale w ogóle w Klubie, zaznaczyły swą odrębność dwie grupy – umiarkowana, skupiająca jego założycieli, związana z PZPR, względnie – niektórzy – ze służbami specjalnymi oraz radykalna, złożona głównie z osób bezpartyjnych, zdecydowanie popierających radykalny nurt przemian demokratycznych i unikających kontaktów z establishmentem partyjno-państwowym. Liderem pierwszej grupy była Garztecka, która zaliczała do niej również prezesa Strzeleckiego, a nadto Broniatowską, Jurgielewicz, Kępczyńską, Lama, Kosińską, Perlmana, Arciuch, Olszewską. Jak przyznawała Garztecka „oprócz Jana Strzeleckiego nie było wśród tych ludzi ani jednej osoby o takim ciężarze gatunkowym samego nazwiska, ani też tak prężnej i rzutkiej organizacyjnie, ani też potrzeby wielkiej «walki» politycznej wewnątrz KKK, która by mogła równoważyć impet i wolę

45. Informacja nr 1 od „N”, s. 109.

grupy «radykalnej». W grupie „radykalnej” postaciami szczególnie wyrazistymi byli: Jan Józef Lipski, Czesław Czapów, Witold Jedlicki i Mieczysław Sroka⁴⁶ oraz Stanisław Manturzewski, Zygmunt Skórzyński i Stefan Kurowski. Garztecka pisze, że jej grupa dopuszczała do krytyki politycznej, ale dążyła „aby linia Partii miała «ostatnie słowo» i odpierała ataki krytyczne. Tamta grupa zaś zainteresowana była w najostrożniejszym wydobywaniu w dyskusji momentów krytyki i skompromitowania linii Partii”. Za ich lidera Garztecka uważała Czapowa, który „wydawał się być sprężyną tej grupy przeprowadzając wybory i wszelkie ważniejsze zebrania”. Może być zaskakujące, że Garztecka w memoriale dla SB dawała Lipskiemu pozytywną ocenę jako człowiekowi: „wydawał mi się zawsze (może obok Manturzewskiego) najbardziej przyzwoity, uczciwy i prostolinijny. Nie krył się ze swymi poglądami, bronił je [ich] otwarcie, nie robił intryg ani «rozróbek» na terenie KKK”⁴⁷.

Część młodych związana była kilka lat wcześniej z konspiracyjnymi zespołami dyskusyjnymi. Według notatki SB z 1958 r. Czapów należał do grupy, która – opierając się na zachodniej katolickiej myśli personalistycznej – zmierzała do stworzenia polskiej wersji socjalizmu personalistycznego przeciwstawianego marksizmowi. „Organizacja ta – streszczał oficer SB – miała na celu zmianę obecnego ustroju państwowego drogą ideologicznego oddziaływania, organizowania strajków, poprzez strajk generalny aż do buntu w kraju włącznie”. Prace grupy zostały przerwane przez aresztowania we wrześniu 1953 r.⁴⁸ Notatka ta upraszcza problem w sposób typowy dla oficera bezpieczeństwa. W istocie – jak opowiada o tym Mirosława Puchalska – chodziło o krąg dyskusyjny młodych ludzi związanych z prof. Stanisławem Ossowskim, w części z uczestników jego seminarium. Postacią numer jeden owego klubu był Czapów, z Krakowa przyjeżdżał Adam Podgórecki, aktywni byli: Jan Józef Lipski, Zygmunt Skórzyński, Jerzy Kubin, Wacław Makarczyk, Stanisław Mantu-

46. Notatka „Tkaniny”, *op.cit.*, s. 393-394.

47. *Ibidem*, s. 402.

48. Notatka bez podpisu i adresata z 7 V 1958, AIPN BUiAD 0236/175 t. 2, s. 34-35.

rzewski, Andrzej Raźniewski, Witold Jedlicki. Znajdowali się oni pod wpływem myśli Ossowskiego, który wskazywał na komunistyczne wynaturzenia myśli lewicowej. Zajmowano się również problemem „nowej klasy”⁴⁹. Zygmunt Skórzyński wśród uczestników tych dyskusji wymienia także Aleksandra Matejkę i Jerzego Kubina i dodaje, że spotykali się w mieszkaniu Czapowa lub Lipskiego⁵⁰.

W liście do Jerzego Giedroycia z 1957 r. Lipski przyznawał, że w owym zespole dyskusyjnym wypracowano koncepcje „nowej klasy” nawiązujące do prac Croslanda i Seringa (R. Löwenthala). „W okresie odwilży szeroko spopularyzował je po wyjściu z więzienia Czapów w dużym powielonym maszynopisie, kolportowanym przez KKK”⁵¹.

Nieformalna grupa dyskusyjna spotykała się od czerwca 1950 do września 1953, kiedy Czapów i Skórzyński zostali aresztowani. Uwolniono ich 10 grudnia 1953, a śledztwo umorzono. Nachodzony i szantażowany przez bezpiekę Czapów w październiku 1954 r. upozorował własną śmierć (utonięcie) i pozostawał w ukryciu do grudnia 1955 r.⁵² Młodych socjologów łączyła więc wspólnota zainteresowań teoretycznych i wspólne doświadczenie konspiracji, niepozabawionej akcentów dramatycznych. Tworzyło to solidny grunt przyjaźni, zaufania i pozwalało występować jako zwarta grupa na terenie Klubu.

Po wstąpieniu do Klubu na przełomie 1955 i 1956 r. stanowili oni trzon sekcji badań społecznych stworzonej przez Jana Strzeleckiego i współpracującej z prof. Ossowskim. Te związki wyznaczały też ideową tożsamość grupy, którą można określić jako antytotalitarną lewicowość, odrzucenie komu-

49. M. Puchalska, „Wczesny Lipski”, [w:] „Jan Józef. Spotkania i spojrzenia”, Warszawa 1996, s. 200.

50. Z. Skórzyński, „O klubach opozycyjnej młodzieży i o popaźdiernikowych inicjatywach badawczych Czesława Czapowa”, [w:] „Czesław Czapów 1925-1980. Świadectwa trzech pokoleń”, red. W. Kaczyńska, Warszawa 2003, s. 65.

51. Archiwum *Kultury*. List J. J. Lipskiego do J. Giedroycia z 20 VIII 1957.

52. „Czesław Czapów”, *op.cit.*, s. 62-63, 66-67, 71-72, 420-422, także A. Kaczyński, „Między małym a wielkim gangiem”, *Rzeczpospolita. Plus-Minus* 27-28 marca 2004.

nizmu, szukanie inspiracji w dawniejszej i współczesnej demokratycznej myśli socjalistycznej. W pierwszych tygodniach 1956 r. zespół przystąpił do opracowywania analizy socjaldemokratycznych teorii totalitaryzmu, zawartych w pismach m.in. Burnhama, Mannheima, Rauschninga, Lasky'ego, Croslanda, Piverta, Bevana, Ollenhauera, Mocha, Weissberga-Cybulskiego. Powstało, wspomniane wyżej przez Lipskiego, opracowanie pt. „Socjaldemokratyczna «teoria totalizmu» w świetle faktów (pytania i wątpliwości)”, liczące 70 stron maszynopisu⁵³. Głównymi autorami opracowania byli – według Szczurkowskiego – Strzelecki, Ossowski i Czapów, a „patronem” tej inicjatywy Hochfeld (można przypuszczać, że mógł on dostarczyć autorom wiele niezwykle trudno dostępnych w Polsce książek i artykułów). Materiał ten, jako przeznaczony wyłącznie do użytku wewnętrznego, zdołano powielić w 50 (według innych dokumentów 100) numerowanych egzemplarzach, dzięki zgodzie kierownika Wydziału Propagandy KC Andrzeja Werblana. Opracowanie miało służyć jako podstawa do dyskusji na ogólnym zebraniu Klubu. Tak atrakcyjne opracowanie „wyciekło” jednak na zewnątrz, poza Klub, było przepisywane i szerzej rozpowszechniane⁵⁴. Dyskusja na podstawie memoriału odbyła się 14 czerwca, po referacie wprowadzającym Czapowa⁵⁵.

W charakterystyce KKK opracowanej w kilka lat potem przez SB pisano: „Według posiadanych przez nas danych – w sekcji tej pod kierunkiem J. Strzeleckiego przygotowywano się do wystąpień na zebraniach czwartkowych KKK. Zajmowano się sprawą rad robotniczych. Poruszano takie problemy, jak zagadnienie dyktatury proletariatu, przy czym podważano jej słuszność, wysuwano hasła stworzenia pełnego niezależnego samorządu robotniczego, przywrócenia prawa swobodnego stowarzyszania się, niezależności ruchu zawodowego,

53. AIPN BUiAD 0236/175 t. 1, s. 31-100.

54. Informacja nr 1 od „N”, s. 105. A. Werblan w relacji z kwietnia 2004 potwierdza, że udzielił takiej zgody. „Liczyliśmy wtedy na «konstruktywny» kierunek prac klubowych. Sądziliśmy, że staną się one stałym elementem sceny politycznej”. Było to związane z szerszymi nadziejami na demokratyzację w PRL.

55. Por. „Wykaz spotkań” w aneksie.

przywrócenia prawa strajku robotnikom itp. Wszystkie te hasła rodziły się w sekcji badań społecznych i były transmitowane przez Strzeleckiego na zebraniach. (...) Strzelecki narzucał swoje koncepcje socjaldemokratyczne. Sekcja ta za pośrednictwem niektórych osób utrzymywała kontakty z placówkami państw zachodnich”, m.in. Czapów z dyrekcją Instytutu Brytyjskiego w Warszawie⁵⁶.

Krąg sekcji badań społecznych istotnie zmierzał do inicjowania i wspierania oddolnych ruchów społecznych, czy to inteligencji, organizującej się w formie klubów, czy robotników, inicjujących rady robotnicze. Nawiązano kontakty z Fabryką Samochodów Osobowych na Żeraniu, gdzie formowała się pierwsza rada robotnicza. Redaktorem pisma zakładowego *Fakty – M20* wydawanego przez FSO został Aleksander Małachowski, który także stanie się jednym z liderów grupy „młodych” w KKK. Bezpośredniego sojusznika widziano w *Po prostu*. W redakcji pracował m.in. Lipski. Bliskimi sojusznikami byli organizatorzy biblioteczki *Po prostu*, o podobnym profilu ideowym, jaki ożywiał sekcję badań społecznych.

W Październiku 1956 r., podczas wielkiego poruszenia społecznego towarzyszącego obradom VIII Plenum, inteligencja związana z KKK była niezwykle aktywna. Na zebraniu 18 X większością 58 głosów przy jednym wstrzymującym przyjęto rezolucję żądającą wykluczenia z Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego Bolesława Piaseckiego⁵⁷. Żądanie to było bezpośrednią konsekwencją opublikowania przez przywódcę PAX-u artykułu „Instynkt państwowy”, który został powszechnie odczytany jako propozycja zduszenia siłą ruchu demokratyzacyjnego. W dniach następnych członkowie KKK byli licznie obecni podczas wiecu na Politechnice, niektórzy kontaktowali się z żerańską FSO.

Przemiany, które dokonały się w Polsce, budziły wielkie nadzieje na przełamanie oporu stalinistów i głębokie prze-

56. AIPN BUiAD 0236/175 t. 2, s. 263. „Informacja dotycząca b. Klubu Krzywego Koła” z 27 II 1963. Jest interesujące, że „Informacja” w tym punkcie dokładnie streszcza cytowany wielokrotnie raport Szczurkowskiego.

57. *Nowy Nurt* nr 9 – listopad 1956, s. 47.

obrażenia ustrojowe. Świadczy o tym treść zebrań 18 października z referatem Lipskiego o ordynacji wyborczej i projekcie powołania przedwyborczego komitetu, a następnie 13 grudnia o przebiegu akcji „Frontu Październikowego”⁵⁸.

W takiej atmosferze 26 października wyruszyła do Berlina na konferencję klubów inteligencji NRD delegacja Ośrodka i KKK złożona z Ewy Garzteckiej, Mariana Stalskiego i Jana Józefa Lipskiego. Wizytę przygotował jeszcze wcześniej Garztecki, który utrzymywał kontakt z *attaché* kulturalnym ambasady NRD w Warszawie. Delegację – jak wspomina Garztecka – przyjęto niezwykle uroczyście, a na konferencji posadzono za stołem przydzielonym obok dygnitarzy NRD. Podczas konferencji w polskiej delegacji wybuchł konflikt, gdy okazało się, że Lipski zamierza wygłosić przemówienie. W trakcie obrad za stołem przydzielonym doszło do ostrej dyskusji (na wymienianych kartkach) między Lipskim a Garztecką, która żądała tekstu wystąpienia do akceptacji i miała się powoływać na swoje szczególne prawa ze względu na członkostwo PZPR, formalną pozycję w klubie, starszy wiek itp. Lipski odmówił poddania się cenzurze, ale zgodził się złagodzić niektóre tezy swego wystąpienia. W imieniu polskich klubów przemówili Garztecka, po niej Lipski. Delegacja polska po zakończeniu zjazdu była obwożona po niektórych klubach NRD-owskich. Podczas tych spotkań dominowała Garztecka, gdyż Lipski nie dość dobrze posługiwał się niemieckim, a Stalski w ogóle nie mówił w tym języku. Po powrocie do Berlina „Lipski usamodzielniał się i przebywał w kręgu osób, których ja nie poznałam – pisała potem Garztecka. – Jak dowiedziałam się później, Lipski w tym czasie kontaktował się z Harichem i jego grupą”⁵⁹. Filozof Wolfgang Harich był najbardziej znanym wschodniemieckim rewizjonistą, skazanym w 1957 r. na karę więzienia⁶⁰.

58. Por. „Wykaz spotkań” w aneksie.

59. Notatka „Tkaniny”, *op.cit.*, s. 399-401.

60. Por. H. Olschowsky, „Rok 1956 w literackim krajobrazie NRD”, *Więź* 2003, nr 11, s. 115-117. Tam także relacja o spotkaniu z niewymienionym z nazwiska warszawskim „dziennikarzem” 30 października 1956. Jest prawdopodobne, że był nim właśnie Lipski, choć przeczyłaby temu wzmianka: „przez lata siedział po wojnie w obozie”.

W ostatnich tygodniach 1956 r. Lipski był szczególnie aktywny w *Po prostu*, gdzie był redaktorem działu kulturalnego. Istotniejsze jednak, że był inicjatorem „Frontu Październikowego”, jak nazwano grupę, która miała dążyć do przeprowadzenia w sposób możliwie najbardziej demokratyczny nadchodzących wyborów do Sejmu. Partnerami w tej akcji miały być kluby, *Po prostu*, rady robotnicze. Jeszcze tuż przed VIII Plenum na zebraniu czwartkowym KKK dyskutowano referowany przez Lipskiego projekt przedwyborczego komitetu porozumiewawczego, który promowałby listę społeczną inteligencji z klubów i robotników z Żerania. Popierany przez *Po prostu* projekt wywołał sprzeciw aparatu i ataki w prasie partyjnej. Artykuł Lipskiego i Jerzego Płudowskiego o wyborach ukazał się w wersji okrojonej przez cenzurę, a druk deklaracji wzywającej do poszerzenia listy wyborczej w ogóle uniemożliwiono. W połowie grudnia w KKK dyskutowano przebieg akcji „Frontu Październikowego”, niestety, nie znamy przebiegu ani tonu tych obrad⁶¹. Jak jednak pisał wkrótce potem Juliusz Garztecki „w zimie 1956/57 grupa «wściekłych» kierująca wówczas Klubem postawiła zupełnie wyraźnie na jednym z zebrań klubowych tezę, że Klub Krzywego Koła powinien stać się legalną formą opozycji politycznej w kraju. Ta teza nie została ani przyjęta do końca, ani zwalczona, sytuacja w Klubie podlegała fluktuacjom zależnie od aktualnego biegu wypadków politycznych”⁶².

Nadzieje na odegranie przez kluby znaczącej roli w wyborach styczniowych 1957 roku zostały zawiedzione. W Sejmie nie znalazł się żaden z liderów ruchu, „Front Październikowy” nie zdołał wywrzeć wpływu na kształt list wyborczych, a możliwość skreślania kandydatów lub ich przeniesienia na miejsca „niemandatowe” tworzyła sito, przez które nie mogły przejść osoby niezaakceptowane przez aparat partyjno-państwowy.

Polityczno-ideową transformację Klubu Krzywego Koła,

61. Por. „Wykaz spotkań” w aneksie; M. Puchalska, *op.cit.*, s. 202-203.

62. List adresowany do „Szanowny Towarzyszu” z 4 IV 1958, AIPN BUiAD 0236/175 t. 2, s. 23. Słowa te niemal bez zmian zostały powtórzone w notatce SB z 10 I 1959, AIPN BUiAD 0236/175 t. 2, s. 38.

jaka następowała w 1956 roku, zamykało walne zebranie 10 lutego 1957 r. Przewodniczącym zebrania, na które przybyło 33 członków, wybrano Mieczysława Srokę. Garztecka „przekazała sugestie co do dalszej działalności Klubu”, po czym rozpoczęła się dyskusja, w której wzięło udział 27 osób. „Zarysowały się wyraźnie dwa odrębne stanowiska, dwa różne poglądy na charakter Klubu” – czytamy w protokole zebrania (a nie w notatce SB!). Andrzej Lam, Marian Bogusz, Danuta Kępczyńska, Juliusz Garztecki, Kajetan Sosnowski, Jan Tarłowski, Ernest Bryll i Ewa Garztecka reprezentowali pogląd ustępującego zarządu: „Klub Krzywego Koła odegrał pozytywną rolę w poprzednim okresie włączając się w walkę polityczną toczoną w naszym kraju i angażując się po stronie odnowy. Jednakże w obecnym okresie kontynuowanie takiej działalności skazane jest na niepowodzenie, ponieważ członkowie Klubu nie są na tyle przygotowani do prowadzenia dyskusji ze specjalistami na tematy ogólnopolityczne, ekonomiczne czy społeczne, by nadać dyskusjom poważniejszy charakter”. Postulowano skoncentrowanie się na działalności sekcji skupiających fachowców danej dziedziny. Wskazywano na niebezpieczeństwo przekształcenia Klubu – jeśli będą kontynuowane dyskusje ogólnopolityczne – w rodzaj ośrodka szkolenia politycznego lub dublowania Towarzystwa Wiedzy Powszechnej.

Przeciwnie stanowisko reprezentowali Czesław Czapów, Zygmunt Skórzyński, Jan Józef Lipski, Andrzej Walicki, Mieczysław Sroka, Andrzej Brzeski, Stefan Kurowski, Jerzy Płudowski, Jan Puget i Aleksander Achmatowicz, czyli „młodzi” (w dokumentach SB określane też jako „wściekli”), do których dołączyła Henryka Broniatowska. Stanowisko tej grupy najlepiej wyraził Lipski: „Klub powinien odgrywać nadal rolę swego rodzaju polskiego Hyde Parku, miejsca, gdzie ma możliwość ujawnić się opinia publiczna. Jednak Klub nie powinien ograniczyć się do tej roli i wyjść na zewnątrz, niosąc pomoc dla młodych i niedoświadczonych klubów robotniczych”. Broniatowska uznała, że z punktu widzenia kierownictwa partii i państwa Klub może odegrać pozytywną rolę jako miejsce ujawniania się opinii publicznej. Inni mówcy postulowali samodzielne rozwijanie myśli teoretycznej,

poszukiwanie nowych rozwiązań z zakresu polityki, stosunków społecznych, gospodarki, kultury, nauk społecznych. Pośrednie stanowisko zajęli Stanisław Manturzewski, Rudolf Gołębiewski i Henryk Sęczykowski, którzy „szukali proporcji dla problematyki kulturalnej i politycznej”. Podkreślano w sprawozdaniu, że dyskusja była polemiczna, ostra, nie wolna od osobistych wycieczek i epitetów.

Ożywioną dyskusję wzbudziło też sprawozdanie komisji regulaminowej, która przygotowała projekty uchwał o władzach i członkostwie Klubu. Spór był bezpośrednią konsekwencją debaty dotyczącej charakteru KKK. Część broniła koncepcji, by zarząd składał się z delegatów wysuniętych przez niezależne sekcje, większość opowiadała się za wyborami na walnym zebraniu dokonywanymi przez formalnych członków, posiadających legitymacje KKK. Przyjęto kompromisową propozycję Manturzewskiego, że zarząd powinien być wybierany przez ogół członków Klubu, ale żywo działające sekcje winny mieć w nim swoich przedstawicieli. W konsekwencji przyjęto wniosek Perlmana, by zarząd składał się z 4 osób wybranych przez ogół członków oraz delegatów sekcji.

W tajnym głosowaniu spośród 10 zgłoszonych wybrano 4 członków zarządu: Jana Józefa Lipskiego, Czesława Czapowa, Andrzeja Lama i Ernesta Brylla. Decydowała liczba oddanych głosów, przy czym progiem było 16 z nich. Sekcja plastyczna zgłosiła Mariana Bogusza, pozostałe miały wyznaczyć delegatów w późniejszym terminie⁶³. Prezesem Klubu został J.J. Lipski.

Chociaż formalnie wydawać się mogło, że obie grupy są w zarządzie reprezentowane, w istocie był to przełom. Niewybranie do zarządu Garzdeckiej, której zabrakło 1 głosu, przy przejściu prezesury przez Lipskiego, wspieranego przez silną grupę podobnie myślących, oznaczało zdominowanie Klubu przez „młodych”, wolnych od powiązań z aparatem władzy, zdecydowanych budować ośrodek wolnej myśli demokratycznej.

W następnych miesiącach większość klubów inteligencji

63. AIPN BUiAD 0236/175 t. 1, s. 121-127. „Protokół walnego zebrania członków Klubu Krzywego Koła odbytego dnia 10 lutego 1957 roku”, fotokopia.

upadła, gdy nowa ekipa kierownicza PZPR uznała ich istnienie za zbędne, a nawet szkodliwe. Krajowemu Ośrodkowi Klubów Inteligencji cofnięto subwencje i poparcie. Przestał się ukazywać *Nowy Nurt*. Po utracie siedziby w hotelu sejmowym Ośrodek przeniósł się do siedziby KKK i wegetował czas jakiś, nim zamarł całkowicie.



Omówiona tu dokumentacja potwierdza wyrażone przez Witolda Jedlickiego przekonanie, że Klub Krzywego Koła w pierwszym okresie swego istnienia był nie tylko kontrolowany, ale też inspirowany przez aparat bezpieczeństwa, choć założenie Klubu nie było prowokacją Bezpieki.

Realia totalitarnego państwa wymagały, aby wszelka aktywność obywateli znajdowała się pod kontrolą i była odpowiednio inspirowana, także dyskusje nad koncepcjami artystycznymi, a tym bardziej nad problemami ideowymi, czy sytuacją w kraju. W okresie stalinizmu tworzenie nieformalnych kół dyskusyjnych kończyło się często aresztowaniem. Gdy nastąpiła „odwilż”, a wraz z nią ograniczenie represji, pojawił się problem, co zrobić z takimi kręgami inteligencji. Powstawanie KKK odbywało się – jak przyznaje „Tkanina” – za wiedzą i pod kontrolą Bezpieki. Nie była to jednak prowokacja policyjna, ale próba zebrania i poddania kontroli różnych nieformalnych środowisk dyskusyjnych. KKK miał służyć ujawnieniu podziemia kulturalnego i wprowadzeniu go w legalne życie społeczne. „Tkanina” pisała w 1963 r.: „chodziło [nam] o stwarzanie możliwości, jakby platformy, gdzie spotykali się ludzie różnych światopoglądów, różnych przekonań – o możliwość «wygadania się» ludzi nie stojących też na naszym gruncie światopoglądowym – i aby te wypowiedzi – szczerze, bo w gronie prywatnym, przyjacielskim – mogły spotkać się ze sprostowaniem, z właściwym oświetleniem partyjnym”⁶⁴. Nie ma powodu, by podważać prawdziwość tych stwierdzeń. Była to jednak koncepcja naiwna, gdyż wynikała z silnego wśród ówczesnych komunistów przekonania, że mają oni całkowitą rację, istnieje jedynie problem przekonania do

64. Notatka „Tkaniny”, *op.cit.*, s. 389.

tych racji. W istocie przewaga strony partyjnej w dyskusjach była dotąd wsparta argumentem strachu, groźbą represji wobec opornych. W KKK argument strachu nie działał, nie służyła temu ani sytuacja w kraju, narastanie podziałów w partii, ani też sposób działania grupy partyjnej w KKK, która nie uciekała się do groźby spowodowania represji. A zatem przewaga grupy partyjnej musiała być coraz słabsza, w końcu straciła ona kontrolę nad Klubem.

Istnieje również problem, jak określić partyjne, czy policyjne, powiązania inicjatorów Klubu. Witold Jedlicki wyrażał przypuszczenie, że KKK został zainicjowany przez Informację Wojskową, z którą wiązał Garzdeckiego⁶⁵. Oprócz dawnych powiązań Garzdeckiego nic na to nie wskazuje. W jego życiorysie jest natomiast wzmianka o kontaktach w 1954-55 r. z Departamentem III Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. W ówczesnej sytuacji między aparatem bezpieczeństwa i wyższym aparatem partyjnym nie było wyraźnych barier. Na czele obu pionów państwa stali przedwojenni jeszcze komuniści, łączyły ich związki ideowe i towarzyskie. Rozpoczęta w 1954 r. „odwilż” została zadeklarowana przez kierownictwo partii, a realizować ją mieli także towarzysze z bezpieczeństwa. Z całą pewnością uwagi te odnoszą się do kierującej III Departamentem Julii Brystigerowej, byłej działaczki KPP, podczas wojny wpływowej postaci środowiska komunistycznego w ZSSR, od czasu Polski Lubelskiej jednej z najbardziej eksponowanych postaci Bezpieki, a zarazem członka władz PPR i PZPR. Trudno przy obecnym stanie badań stwierdzić, czy miała ona coś wspólnego z powstaniem KKK, natomiast całkowicie mylne jest wiązanie inspiratorów KKK z grupą natolińską w PZPR. Kontakty przywoływane w notatce „Tkaniny”, a także argumentacja złożonego w KC memoriału, wskazują jednoznacznie na grupę puławską, która sprzyjała „odwilży”⁶⁶.

65. W. Jedlicki, *op.cit.*, s. 74.

66. Na naradzie aktywu partyjnego w KC PZPR 3 marca 1956 r. Brystigerowa mówiła o powstawaniu „w ostatnich miesiącach czy nawet tygodniach całego szeregu nowych form organizacyjnych wśród inteligencji, wśród młodzieży, głównie ujętych w kluby dyskusyjne itp. formacje. Właściwie dzisiaj z punktu widzenia czysto formalnego powstaje nowe podziemie organizacyjne. Daleka jestem od tego, by je kwalifikować jako wro-

Klub w swoich pierwszych miesiącach miał służyć poszerzeniu granic „odwilży”, ale przy zachowaniu kontroli przez partię nad formami pracy i składem członków. Następujący w ciągu 1956 r. rozkład systemu kontroli nad społeczeństwem, podziały na szczytach PZPR, gotowość do eksperymentowania z poszerzaniem granic wolności, wszystko to służyło wyłamywaniu się Klubu z przyjętych początkowo ram i ograniczeń. Zwarta grupa młodych bezpartyjnych inteligentów okazała się siłą zdolną do narzucenia Klubowi nowej linii i odsunięcia od steru założycieli powiązanych z aparatem władzy. Dokonało się to bez przeciwdziałania wyższych instancji PZPR, a wysłana jako „kontroler” Klubu Broniatowska wręcz opowiedziała się po stronie młodych. Tę zaskakującą z pozoru sytuację tłumaczy głębokość październikowego zwrotu, który także wśród części komunistów rozbudził nadzieje na jakąś wielką zmianę i studził obawy przed oddolną spon-taniczną aktywnością.

Wizja wielkiej odnowy ogarniała jednak tylko część rządzących komunistów. Nie mniej silne były obawy przed organizowaniem się społeczeństwa w nowe instytucje i ruchy. Zacytowana opinia o groźbach, jakie z sobą niesie ruch klubów inteligencji, była reprezentatywna dla wielkiej, zapewne przeważającej części aparatu PZPR. Toteż KOWKI nie osiągnął dynamiki, o jakiej początkowo marzono, nie doczekał się możliwości szerokiego działania, nie miał mieć repre-

gie podziemie, którym bezpieczeństwo powinno się zająć. O czym to jednak świadczy? Na przykład o czym to świadczy, jeżeli w Gorlicach zbiera się 18 absolwentów gimnazjum i zakłada klub, wydaje gazetkę, dyskutuje zagadnienia i w duchu takim, który bezwzględnie możemy ocenić jako pozytywny? O czym świadczą fakty, że klub taki powstał nie tylko w jednych Gorlicach, ale setki takich klubów powstało w przeciągu kilku ostatnich tygodni? Jest to zjawisko świadczące o dużym zaktywizowaniu się życia politycznego, społecznego i kulturalnego u nas, ale równocześnie jest to sygnałem, że te formy, które ZMP-owska młodzież organizuje są niedostateczne, zawodne, albo nieodpowiadające młodzieży”. Brystigerowa mówiła, że „musimy wyciągnąć wnioski jak pokierować tym ruchem”, bo „widzimy niebezpieczeństwo, że te kluby dyskusyjne stają się domeną oddziaływania katolickich i innych obcych elementów. [...] A działać aktywnie, to znaczy działać nie w formie komenderowania, ale po nowemu kierować. To znaczy żyć życiem tych skupisk nowych”. AAN PZPR 237/V-231, s. 144.

zentanta w Sejmie, nie otrzymał nawet własnego, normalnie rozpowszechnianego pisma (*Nowy Nurt* był raczej powielanym biuletynem). Tym bardziej zmarginalizowano koncepcję Frontu Październikowego, choć wspierały ją, silne przejściowo, redakcja *Po prostu* i niektóre grupy samorządu robotniczego.

Klub Krzywego Koła był enklawą, eksperymentem. Przejęcie w nim kontroli przez grupę „młodych” z Lipskim na czele mogło nastąpić, gdyż w ciągu kilku miesięcy podzielona partia nie kontrolowała wielu oddolnych inicjatyw, a część jej działaczy im sprzyjała. Szerokie plany działania KKK stopniowo w 1957, a zwłaszcza w roku następnym zostały zawiedzione. Kontrola władz stała się ponownie bardziej wnikliwa, a oceny jego działalności nieprzychylnie. W omawianych materiałach brak notatek, które by wskazywały na posiadanie przez MSW informatorów w grupie „młodych”, czy w zarządzie kierowanym przez Lipskiego. Tajni współpracownicy SB o pseudonimach „Warszawski”, „Jerzewski”, „Góral”, „Mohort”, „Krakus”, „Monika”, „Jan”, „33” i inni informowali o przebiegu dyskusji na zebraniach czwartkowych, natomiast brak relacji z posiedzeń zarządu. SB zdołała także pozyskać niektóre dokumenty oficjalne Klubu, np. omawiany protokół walnego zebrania, nie wiemy jednak, w jaki sposób to nastąpiło.

Warto zauważyć również, że syntetyczne materiały MSW na temat Klubu, poszczególnych wydarzeń czy osób, powstały już po omawianych tu wydarzeniach. Opierają się one bezpośrednio na pisemnych informacjach Juliusza Garzteckiego, Ewy Garzteckiej oraz – w stopniu jeszcze większym – Szczurkowskiego. Z tych „notatek” i relacji oficerowie SB przynosili do swych opracowań nieraz całe zdania, niezbyt troszcząc się o ich zweryfikowanie. Przepisywano również zwykle oceny generalne, także dla dalszej egzystencji Klubu korzystne, jak sformułowana przez Garzteckiego w kwietniu 1958 r.: „Obecnie sytuacja wygląda tak, że w razie podwyższenia się napięcia politycznego w kraju, Klub stanie się automatycznie politycznym ośrodkiem organizacyjnym, wówczas zaś jego rozwiązanie byłoby niepożądane jako wzmagające napięcie. Obecnie zaś jego rozwiązanie jest niepotrzebne, gdyż w takim wypadku dyskusje, które odbywają się jawnie i gdzie poglądy ścierają się publicznie, przeniosą się w małe grupki w domach prywatnych

tworząc coś w rodzaju «podziemia intelektualnego»⁶⁷.

Przez kilka lat Klub był najważniejszym forum dyskusyjnym warszawskiej inteligencji, o czym daje wyobrażenie zamieszczony poniżej wykaz spotkań. Został zamknięty w 1962 r., gdyż władze uznały, że taki ośrodek niezależnych dysput jest zbędny, a inteligencja powinna być ponownie włączona do aktywności w budowanym przez partię jednolitym „froncie ideologicznym”⁶⁸.

Andrzej FRISZKE

Wykaz spotkań czwartkowych Klubu Krzywego Koła
sporządzony przez Jana Józefa Lipskiego⁶⁹

Klub Krzywego Koła
Czwartki dyskusyjne

1956

5 I Krzysztof Pomian „O inteligencji francuskiej”
19 I [?] Jan „O sytuacji w kinematografii”

67. List do „Szanowny Towarzyszu” z 4 IV 1958, AIPN BUiAD 0236/175 t. 2, s. 43. W tym wypadku raport wicedyrektorów departamentu III, pułkowników Filipiaka i Morawskiego, paczył myśl informatora: „w razie podwyższenia się napięcia politycznego w kraju, Klub stanie się automatycznie politycznym ośrodkiem organizacyjnym, wówczas zaś jego rozwiązanie jest niepotrzebne, gdyż w takim wypadku dyskusje, które odbywają się jawnie i gdzie poglądy ścierają się publicznie, przeniosą się w małe grupki w domach prywatnych tworząc coś w rodzaju «podziemia intelektualnego»”. AIPN BUiAD 0236/175 t. 2, s. 38.

68. Por. A. Friszke, „Polityka czy ideologia? Polityka kulturalna PZPR w latach 1957-1963”, [w:] „Władza a społeczeństwo w PRL. Studia Historyczne”, Warszawa 2003.

69. Wykaz jest rękopisem zachowanym w postaci niewielkich kartek. Przechowywany był długie lata przez Annę Rudzińską. Za jego udostępnienie dziękuję pani Teresie Bochwic. Luki oznaczone wy kropkowaniem względnie – w wypadku nazwisk – znakiem zapytania wynikają z niemożności odczytania rękopisu. Uzupełnienia tekstu podano w nawiasach kwadratowych. Źródło uzupełnień merytorycznych w każdym przypadku zostało podane. Dziękuję Pawłowi Kądzieli za udostępnienie kilkunastu egzemplarzy zaproszeń na zebrania czwartkowe. Poczynione wg nich uściślenia zostały odnotowane w przypisach.

Część referatów była następnie drukowana – nieraz w wersji zmienionej z uwagi na cenzurę lub pod wpływem dyskusji – w prasie. Autor zrezygnował z próby ustalania odnośników bibliograficznych.

- 26 I Spotkanie z Janem Brzechwą (na temat lit[eratury] dziecięcej)
[wg. E. Garzteckiej]
- 7 II zebranie Jazz-klubu z dyskusją nad problemem „szmiry”⁷⁰
- 16 II Dyskusja nad „Obroną Grenady” [Kazimierza] Brandysa
[wg E. Garzteckiej]
- 15 III dyskusja o XX Zjeździe KPZR, zebranie odwołane]
- 22 III Zebranie pośw[ięcone] XX Zjazdowi KPZR
- 29 III Jan Garewicz: Zagajenie dyskusji nad art[ykułem]
[Stanisława] Ossowskiego [Ossowskich] (o sytuacji w nauce)
- 5 IV d.c. [Wg E. Garzteckiej dyskutowano też o XX Zjeździe]
- 19 IV Andrzej Lam „O warunkach powstawania nowych organów
prasowych”
- 26 IV Słuchowisko [Bronisława] Wiernika „Automaty pana mi-
nistra” [Wg E. Garzteckiej dyskusja nad „Złym” L. Tyr-
manda]
- 3 V Jerzy Hryniewiecki „Wrażenie architektoniczne ze Szwecji”
- 10 V Walne Zebranie (wybr[anie] Zarządu [Jana] Strzeleckiego)
- 17 V Stefan Kurowski „O sytuacji w ekonomii politycznej”
- 24 V dysk[usja] nad referatem] Kurowskiego
- 7 VI Stefan Nowak „Antysemityzm”
- 14 VI Czesław Czapów „Poglądy teoretyków socjaldemokracji za-
chodniej na strukturę klasową Zw[iązku] Radzieckiego”
- 28 VI [Artur] Hajnicz „Wrażenia z Jugosławii”
- 8 IX [Marian] Bogusz i [Jerzy] Łoziński „Plany sekcji plast[ycznej]
i urbanist[ycznej]”
- 13 IX Plan pracy KKK
- 20 IX Grzegorz Jaszuński „Wrażenia z USA”
- 11 X Czesław Czapów „Projekt samorządu robotniczego na Że-
raniu” (z udz[aniem] deleg[acji] z Żerania)
- 18 X J[an] J[ózef] Lipski „Ordynacja wyborcza i projekt przedwy-
borczego komitetu porozumiewawczego”
- 25 X Andrzej Brzeski „Wydarzenia VIII Plenum [PZPR]”
- 15 XI Stan[isław] Manturzewski „Chuligaństwo – katolicyzm i
ekonomia”
- 22 XI Wł[odzimierz] Hagemajer „Książka Bobrowskiego o Jugo-
sławii”
- 29 XI Jan Strzelecki „Sytuacja na lewicy francuskiej”
- 13 XII [Jan Józef] Lipski i [Jerzy] Płudowski „Przebieg akcji
«Frontu Październikowego»”
- 20 XII [Władysław] Bieńkowski „Światopogląd i religia w szkołach”

1957

- 3 I Spotk[anie] przedwyborcze z [Henrykiem] Korotyńskim

70. Z opracowania „Tkaniny”, cytowanego w powyższym artykule. Dopiski „wg E. Garzteckiej” za tym samym źródłem.

- 10 I Józef Kuśmierk „Obserwacje reportażysty z «terenu»”
 24 I Jan Wyka „Wybory”
 31 I Zebr[anie] Walne

Moja kadencja

- 7 II [Maksymilian] Berezowski i [Edmund] Bora „Dwugłós na temat Egipt–Izrael”
 14 II [Leszek] Kołakowski – na temat marks[izmu] [wg Hanny Rewskiej dyskusja nad artykułem Kołakowskiego „Aktualne i nieaktualne pojęcie marksizmu”, *Nowa Kultura* 27 I 1957]⁷¹
 21 II [Andrzej] Brzeski i [Stefan] Kurowski „Problemy modelu gosp[odarczego]”
 28 II [Jan] Wolski „Struktura samorządu pracy”
 14 III [Marian] Bogusz „Funkcje społeczne sztuki nowoczesnej”
 21 III [Edda] Werflowa „Polemika z Putramentem”
 28 III Andrzej Nowicki i pani [Anna] Straszewicz „O Tow[arzystwie] Szk[oty] Św[ieckiej]”
 4 IV Wit[old] Trzeciakowski „Problemy ekonomiczne repatriacji”
 25 [lub 20] IV [Jan Józef] Lipski: polem[ika] z[e Stefanem] Żółkiewskim – moral[ność] życia kult[uralnego] w Polsce
 9 V [Zygmunt] Gostkowski „O badaniu opinii publ[icznej]”
 16 V O art[ykule Bolesława] Piaseckiego
 8 VI Mieczysław Bibrowski „Algeria a intelektualiści francuscy”
 15 VI Dario Tosi „Stosunki ekonomiczno-społeczne na wsi włoskiej”
 22 VI Kontynuacja dyskusji nad problemem kary śm[ierci] (Machowichów przypomniał tezy Kotarbińskiego)
 3 X Jan Strzelecki i Leszek Kołakowski „Rencontre Internationale” w Genewie
 10 X Czesław Bobrowski „Sytuacja gospodarcza Polski” [wg H. Rewskiej treść referatu pokrywała się z artykułem C. Bobrowskiego w *Życiu Warszawy* 20 X 1957]
 17 X Dyskusja nad „Próba diagnozy” [Jana] Szczepańskiego
 24 X Paweł Hertz „O europejskości i europeizmie” [w literaturze polskiej – uzupełnienie za listem H. Rewskiej]
 31 X Władysław Orzoń [? lub Orion] „O perspektywach reformy organizacyjnej szkolnictwa”
 7 XI Krzysztof Pomian „O egzystencjalizmie” [wg H. Rewskiej „Etyka Sartre’a”]
 14 XI Henryk Jankowski „System etyki prof. Kotarbińskiego”
 21 XI Mieczysław Grad „Problemy społeczne wsi”
 28 XI Czesław Czapów „Ankieta wśród radnych i urzędników Rad Narodowych”

71. Za materiałem H. Rewskiej przesłanym J. Giedroycowi, Archiwum Kultury w Maisons-Laffitte. Dalsze uzupełnienia H. Rewskiej za tymże źródłem.

- 5 XII Włodzimierz Brus „Model gospodarczy wczoraj, dziś i w perspektywie”
 12 XII Danuta Malewska „Leninowskie koncepcje dyktatury proletariatu 1917-1918”
 19 XII Antoni Rajkiewicz „Problem zatrudnienia w Polsce”

[1958]

- 9 I Stanisław Ossowski „Idee i programy. Zagadnienia współczesnej kultury socjalistycznej”
 16 I Tadeusz Kobylański „Problem Niemiec Zachodnich”
 23 I Jan Błoński „O «Bez taryfy ulgowej» Sandauera”
 30 I Jan Malanowski „Badania nad sytuacją życiową robotników w WFM”
 6 II Józef Chałasiński „O roli inteligencji”
 13 II Jan Szczepański „Ankieta *Po prostu* na temat inteligencji”
 20 II Witold Jedlicki „Historycyzm i jego konsekwencje polityczne”
 27 II Michał Stalski „Z zagadnień gospodarki morskiej”

I prezesura Małachowskiego (1958/9)

- 13 III Maria Ossowska „Czy moralność zależy od religii?”
 20 III Edward Lipiński [brak tematu w oryginale zapisu]
 27 III Wojciech Natanson „O niebezpieczeństwie komercjalizacji życia kulturalnego”
 10 IV Henryk Greniewski „Nauka i państwo”
 17 IV Andrzej Malewski „Empiryczny sens materializmu historycznego”
 24 IV Jerzy Łoziński i Henryk Sęczykowski „Warunki zdrowotne miast polskich”
 8 V Władysław Ozga „Problemy reformy oświaty”
 15 V Roman Zimand „O książce prof. Kuli”
 22 V Jan Bądkowski „Popaździernikowe orzecznictwo Sądu Najwyższego”
 29 V Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki „Reaktywizacja Zespołu Literackiego «Przedmieście» i jego program”
 19 VI Juliusz Poniatowski „Niektóre osobliwości współczesnej wsi polskiej”
 26 VI Maria Dąbrowska i Nela Samotykowa „W 30 rocznicę śmierci [Edwarda] Abramowskiego”
 4 IX Stefan Nowak i Anna Pawełczyńska „O postawach studentów warszawskich”
 11 IX Paweł Jasienica „Polski początek II wojny światowej”
 18 IX Jerzy Leopold Toeplitz „Projekt ustawy o samorządzie robotniczym”
 25 IX Lech Rożański i Władysław Winawer „Projekt ustawy o samorządzie adwokackim”

- 2 X Juliusz Bardach „Zjazd Historyków Polskich” [w Krakowie⁷²]
 9 X Zofia Kietlińska „Projekt ustawy o szkolnictwie wyższym”
 23 X Kazimierz Koźniewski i Jerzy Sawicki „Projekt ustawy zabezpieczającej prawo prasy do krytyki” [wg zaproszenia: prof. Jerzy Sawicki „Swoboda krytyki a założenia nowego projektu ustawy prasowej”]
 30 X Aleksander Jackiewicz „«Popiół i diament» [Andrzeja] Wajdy i [Jerzego] Andrzejewskiego”
 6 XI Aniela Steinsberg i Adolf Dąb „O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych dla państwa w okresie odbudowy i budowy socjalizmu”
 13 XI Jerzy Zdanowicz „Sytuacja gospodarcza w Europie”
 20 XI Tadeusz Jaroszewski „Humanizm a problemy laicyzacji”
 27 XI Czesław Bobrowski „O aktualnej sytuacji gospodarczej w Polsce”
 11 XII Andrzej Malewski „Postawy warszawskiego świata pracy wobec zagadnienia różnicowania dochodów”
 18 XII Melchior Wańkowicz „Polskie kompleksy narodowe na emigracji i w kraju”

[1959]

- 8 I Jan Wyka „Refleksje w 40 rocznicę KPP”
 15 I Aleksander Ziemny „Chiny 1958 r.”
 22 I Adam Schaff „Polityka kulturalna po XII Plenum [PZPR]”
 5 II Antoni Rajkiewicz „Badania społeczne w ZSRR”
 12 II Halina Paczesna „Sytuacja poszukujących pracy w Warszawie”
 19 II Stefan Nowakowski „Refleksje i wrażenia z USA”
 26 II Dominik Morawski „O niektórych problemach amerykańskich”
 5 III Jerzy Zawieyski „Chrześcijaństwo wobec podstawowych problemów współczesności”
 12 III Wojciech Sulewski „Niektóre problemy najnowszej historii Ukrainy”

II prezesura Małachowskiego

- 2 IV Mieczysław Tomala „Polityka wschodnia NRF”
 9 IV Helena Hagemajer „Nowy okres kapitalizmu”
 16 IV Mieczysław Sroka „Sprawa Stanisława Brzozowskiego”
 23 IV Julian Hochfeld „Próba socjologicznej analizy Sejmu”
 30 IV Adam Machnowski „Płace realne w Polsce 1955-1958”
 14 V Oskar Lange „Nauki ekonomiczne wobec praktycznych zagadnień gospodarki socjalistycznej”
 21 V Andrzej Kijowski „O polskiej prozie współczesnej”

72. Uzupełnienie za egzemplarzem zaproszenia.

- 4 VI Remigiusz Bierzanek „Spółdzielczość u nas – próba diagnozy”
 11 VI Maria Ossowska „Próba systematyzacji etyki marksowskiej”
 25 VI Leszek Kołakowski „Teologiczne dziedzictwo współczesnego myślenia”
 3 IX Jan Strzelecki „Uwagi o Ameryce współczesnej”
 10 IX Aleksander Matejko „Psycho-społeczne skutki industrializacji w niektórych krajach kapitalistycznych”
 17 IX Włodzimierz Brus „Problem sprzeczności ekonomicznych w socjalizmie”
 24 IX Artur Sandauer „Kultura polska widziana z Paryża”
 1 X Franciszek Ryszka „Nauka i polityka w Niemczech Zachodnich”
 8 X Paweł Jasienica „Mała Encyklopedia [Powszechna] PWN”
 15 X Zdzisław Szpakowski „Z aktualnych problemów wsi”
 22 X Aleksander Małachowski „Trzecia rocznica Października”
 29 X „Ubu Król” [Bogusława] Chocińskiego i [Jana] Gałkowskiego (tzn. manifestacje po zakazie odczytu] Lipskiego „Idea Katolickiego Państwa Narodu Polskiego”)73
 5 XI Jerzy Bossak „Polski film dokumentalny (zag[ajenie] do projekcji)
 12 XI Stanisław Ossowski „Utopie i wektory. O ekonomii socjalizmu i motywacji działań”
 19 XI Witold Jedlicki „Co sądzić o freudyzmie i psychoanalizie?”
 26 XI Edward Lipiński „O przyszłości kapitalizmu”
 3 XII Jan Malanowski „Z badań nad rozwodami”
 17 XII Andrzej Sołtan „O nowoczesnej architekturze”

[1960]

- 7 I Henryk Greniewski „Twórczość i losowanie” [lub luzowanie]
 14 I Jerzy Stadnicki „O zaangażowaniu klerka”
 21 I Jerzy Płazewski „Sytuacja w kinematografii polskiej”
 28 I Wojciech Sulewski „Czy zmierzch badacza–samouka?”
 4 II Juliusz Starzyński „Polska sztuka współczesna w kraju i w świecie”
 11 II Henryk Bereza „Uwagi o młodej prozie”
 18 II Wacław Makarczyk „Demokracja w związkach zawodowych”
 25 II Klemens Szaniawski „Matematyka i socjologia”
 3 III Jerzy Kleer „O «Ekonomii politycznej» Oskara Langego”
 10 III Maria Turlejska „Zagadnienie mniejszości narodowych w Polsce przed II wojną światową”
 17 III Halina Kurkowska „O ortografii polskiej i żądaniach jej reformy”

73. Na egzemplarzu zaproszenia dopisek odręczny „ONR-Falanga”.

III prezesura Małachowskiego

- 31 III Stefan Kisielewski „Funkcja ideowa sztuki nowoczesnej w Polsce powojennej”
7 IV Stanisław Manturzewski „Bernard Wilk – Żywy Bóg na Śląsku i jego wyznawcy”
14 IV Krzysztof Teodor Toeplitz „Zezowate szczęście” [Andrzeja] Munka i [Jerzego S.] Stawińskiego
21 IV Andrzej Wielowieyski „Dzieło Simone Weil”
28 IV Andrzej Wierciński „Człowiek w świetle ostatnich danych antropologii”
5 V Zdzisław Sadowski „Problem zacofania gospodarczego we współczesnym świecie”
19 V Stefan Morawski „O realizmie jako kategorii estetycznej”
26 V Marian Falski „O ustroju szkolnictwa”
2 VI Władysław Bieńkowski „Młodzieżowy dylemat”
9 VI Ryszard Turski „Chłopi–robotnicy”
23 VI Zdzisław Szpakowski „Kultura ludowa dziś”
7 VII Czytanie [Historii] „Fryzjera Vasco” [Georges] Schegade
15 IX Aleksander Gieysztor „«Polska Piastów»” [Pawła] Jasienicy
22 IX Andrzej Oseka „Konfrontacje 1960” (podsumowanie dorobku Galerii KKK)
29 IX Hanna Malewska „Z badań seksuologicznych”
6 X Andrzej Wróblewski „Teatr Byrskich”
13 X Antoni Rajkiewicz „Niemcy 1960”
20 X Jerzy Kornacki „Orzeszkowa – pisarka niepodległa”
27 X Jan Wolski „Wnioski z doświadczeń ustrojowo-organizacyjnych samorządu pracy”⁷⁴
3 XI Stefan Manczarski „O parapsychologii”
10 XI Tadeusz Kowalik „Próba oceny austromarksizmu”
17 XI Aleksander Matejko „Postawy młodych inżynierów wobec pracy i zawodu”
24 XI Janusz Kuczyński „«Doktor Faustus» i ideologia niemiecka”
15 XII Władysław Tatarkiewicz „O klasycznym i nowoczesnym rozumieniu estetyki”⁷⁵

[1961]

- 5 I Sławomir Kozłowski „Rzut oka na filozoficzną problematykę współczesnej biologii”
12 I Jan Józef Lipski „[Jerzego] Pomianowskiego «Sezon w czyścju»”

74. Wg opracowania MSW – AIPN BUiAD 175/2, s. 219 - 22 X referat na temat rocznicy Października 1956 przedstawił prof. Michał Kalecki.

75. Wg zaproszenia temat referatu „Klasyczne a nowoczesne rozumienie sztuki”.

- 19 I Adam Podgórecki „O społecznym działaniu prawa”
 26 I Pokaz filmów dokumentalnych⁷⁶
 2 II Włodzimierz Hagemajer „O «The Organisation Man» [William] Whyte’a”
 9 II Edward Lipiński „Wymiar sprawiedliwości a opinia publiczna”
 23 II Stanisław Ehrlich „Lobby – grupy nacisku w parlamencie amerykańskim”
 2 III Tadeusz Mrówczyński „Personalizm [Emmanuela] Mouniera a kultura współczesna”
 9 III Władysław Bienkowski „Niektóre zagadnienia moralności”
 16 III Ludwik Hass „Analiza wyborów sejmowych i samorządowych w 1919 r.”
 23 III Paweł Beylin „Fenomenologia kiczu”
 30 III Jerzy Afanasjew „Projekcja filmu «Białe zwierzęta»”
 6 IV Władysław Bartoszewski „Na marginesie sprawy [Adolfa] Eichmanna”

Prezesura Jasienicy
 Przed wakacjami

- 20 IV Powtórzenie insc[enizacji] Czyżewskiego z dyskusją
 27 IV Tadeusz Kotarbiński „Zagadnienie śmierci umyślnej”
 4 V Bohdan Horodyski „Biblioteka Narodowa – stan i perspektywy”
 11 V Mieczysław Sroka „Czemu nie była obchodzona rocznica [Stanisława] Brzozowskiego”
 18 V Zdzisław Szpakowski „Z problematyki badań nad świadomością narodową”
 25 V Roman Karst „Z problematyki współczesnej prozy zachodnioeuropejskiej”⁷⁷

Po wakacjach

- 7 IX „Z publicystyki politycznej [Andrzeja] Stawara w latach 30-tych”
 14 IX Aleksandra Majewska „W drodze na niebezpieczne ulice”
 21 IX Artur Sandauer „O Gałczyńskim bez taryfy ulgowej”
 28 IX Paweł Jasienica „Wrzesień 1939 w «Przepustce do historii» [Zbigniewa] Żałoskiego”
 5 X Marcin Czerwiński „Metropolitalizacja kultury?”
 12 X Pokaz filmów dokument[alnych] [Andrzeja] Munka
 19 X Stefan Nowak „Światopogląd studentów po 3 latach”

76. Wg raportu MSW - AIPN BUiAD 0204/175, t. 2, s. 165 – oglądano filmy „Budowa szosy w Bieszczadach”, „Wczasy w Zakopanem”, „Siedliszcze”.

77. Na zaproszeniu „Z problematyki współczesnej prozy europejskiej”.

- 26 X Józef Chałasiński „Socjologiczny problem szkoły młodego pokolenia i subkultury młodzieżowej w USA”
- 2 XI Bohdan Korzeniewski „Teatr ogromny czy bulwarowy?”
- 9 XI Władysław Bartoszewski „Polacy–Żydzi–okupacja”
- 16 XI Stefan Kisielewski „Perspektywy kultury masowej”
- 23 XI Juliusz Poniatowski „3 etapy rozwoju ideologicznego społeczności polskiej w ostatnich 150 latach”
- 30 XI Adam Podgórecki „O radach [?] robotniczych”
- 7 XII Krzysztof Dunin-Wąsowicz „Z zagadnień polskiej kolaboracji 1939-1945”
- 14 XII Marian Falski „Reforma programowa szkoły 8-letniej”
- 21 XII Adam Kersten „Tradycja narodowa a nauki historyczne”

[1962]

- 4 I Jan Nepomucen Miller „Technika a humanizm”
- 11 I Aleksander Matejko „Dysponujący i dysponowany. Z zagadnień biurokracji”
- 18 I Tadeusz Kotarbiński „Podsumowanie dyskusji o wolności słowa”
- 25 I Paweł Jasienica „O polskiej anarchii”
- 1 II Adam Schaff „Konflikt humanizmów”

OKRUCHY HISTORII

Edward KOSSOY

CHYBIONA PARADA. DZIEJE PEWNEJ FOTOGRAFII

Każda relacja o przeżyciach ludzkich w czasie Drugiej Wojny Światowej w ogóle, a pod okupacją hitlerowską w szczególności, opiera się w zasadzie na zeznaniach świadków. Oficjalne dokumenty tworzą niezbędny szkielet tych relacji, jednakże dopiero powoływanie się na wiarygodne zeznania umożliwia odtworzenie żywego obrazu tych wydarzeń. Fabrykowanie rzekomych autentycznych zeznań, a jeszcze bardziej takich, których treść nie zgadza się ze znanym biegiem wydarzeń, zatruwa zarówno prawdziwy obraz przeszłości, jak i badania tej przeszłości. Przede wszystkim wtedy, kiedy tego rodzaju „zeznania” otrzymują aprobatę krytyki zbyt łatwowiernej lub stronnicej¹.

13 maja 1943 r. z polecenia generała SS Jürgena Stroopa fotograf uwieczniał zwycięstwo nad ostatnimi obrońcami warszawskiego getta. Starannie wybrane najbardziej „udane” 53 zdjęcia Stroop zaopatrzył własnoręcznie swoim cyzelowanym gotyckim pismem w komentujące zdarzenia podpisy. Jako „Bildbericht” („Sprawozdanie obrazowe”) zdjęcia te załączone zostały do osławionego „Raportu” Stroopa dla jego szefa Himmlera zatytułowanego „Es gibt keinen jüdischen Wohnbezirk in Warschau mehr!” („żydowska dzielnica mieszkaniowa w Warszawie przestała istnieć”). Po klęsce niemieckiej w 1945 r.

1. M. Borwicz, „Le cas de Marek Halter”, Paris 1984, s. 9.

„Raport” Stroopa wraz z dołączonym „Bildbericht” dostał się w ręce aliantów. W norymberskim procesie głównych zbrodniarzy wojennych (IMT) oskarżenie przedłożyło „Raport” jako USA Exhibit-275 (Vol. XXVI, s. 628 i nast.). Wydana przez Żydowski Instytut Historyczny (ŻIH) w Warszawie reprodukcja „Raportu”, w szczególności jego części fotograficznej, była przez pewien czas rodzajem bestsellera.

Wśród 53 zdjęć powszechną uwagę i w następstwie największą popularność zdobyła fotografia zaopatrzona podpisem Stroopa: „Mit Gewalt aus Bunkern hervorgeholt” („Gwałtem wydobyli z bunkrów”). Na fotografii widać większą grupę mężczyzn, kobiet i dzieci – wszyscy z podniesionymi do góry rękami – eskortowanych przez czterech SS-mańców uzbrojonych w karabiny. Całość na tle szarych murów spalonych domów, w głębi skłębionego czarnego dymu i jezdni zarzuconej gruzem.

Na pierwszym planie w środkowej dominującej pozycji stoi chłopczyk z podniesionymi rękami i przerażonym wyrazem bladej twarzy, w czapce „cyklistówce” na głowie, ubrany w krótkie paletko i wysokie do kolan skarpetki. Ten właśnie chłopiec przeszedł do historii Shoah jako symboliczny „Ghetto boy”. Niezliczone reprodukcje tej fotografii włączone zostały do dzieł dokumentujących Shoah i zajmują honorowe miejsce w związanych z tym zjawiskiem publikacjach, muzeach i okolicznościowych wystawach.

W pierwszych latach powojennych podjęte zostały próby zidentyfikowania osób widocznych zarówno na tym, jak i na pozostałych z 53 zdjęć zbioru Stroopa. Badaniami pod egidą ŻIH kierował profesor UW Paweł Horoszowski, ówczesny dyrektor głównego Laboratorium Kryminologicznego w Warszawie, późniejszy profesor kryminologii DeKalb University w Illinois. Według zeznań postawionego w międzyczasie przed polskim sądem Stroopa i jego wynurzeń więziennych²,

2. K. Moczarski, „Rozmowy z katem”, Warszawa 1977. Autor siedział w więzieniu mokotowskim w jednej celi z Jürgenem Stroopem, który opowiadał mu historię swojego życia. Stroop został skazany za mordowanie zakładników przez amerykański trybunał wojenny w Dachau w 1947 r. na karę śmierci. Następnie wydany Polsce i tu sądzony za liczne zbrodnie popełnione w Polsce. Skazany ponownie na śmierć i powieszony w Warszawie 8 września 1951.

„ostatni Mohikanie” getta warszawskiego albo zostawali rozstrzelani na miejscu, albo uśmierceni gazem w Treblince, albo deportowani do obozów pracy w Poniatowie i Trawnikach³. W wyniku przeprowadzonego dochodzenia zdołano pozytywnie zidentyfikować na fotografii z chłopcem tylko jedną osobę: jednego z czterech widocznych na zdjęciu Niemców SS-Rottenführera Josefa Blösche. Odnaleziony i zdemaskowany w 1967 roku, przed sądem ówczesnej DDR w Erfurcie przyznał się do niezliczonych mordów w getcie warszawskim i skazany na karę śmierci, został 29 lipca 1969 stracony⁴.

Nikogo z mężczyzn i kobiet nie odnaleziono wśród tych nielicznych, którym w jakikolwiek sposób udało się przeżyć powstanie w warszawskim getcie. Co do chłopca, to wkrótce po wojnie dwie kobiety, każda z nich niezależnie od drugiej, twierdziły, że chłopiec jest synem zamożnych rodziców nazwiskiem Siemiątek, zamieszkałych przed wybuchem wojny w Łowiczu. Zadekretowane w Łowiczu w maju 1940 przez Niemców getto zostało 17 czerwca 1941 zlikwidowane, a mieszkańcy przeniesieni do getta w Warszawie. W ten sposób Siemiątkowie z synem znaleźli się w warszawskim getcie, ukryci w czasie powstania w jednym z podziemnych bunkrów. Jednakże zeznania te nie zostały urzędowo uznane za wystarczające dla ustalenia tożsamości chłopca. W rezultacie pozostał symbolem jako powszechnie znany, ale anoni-

3. Określone oficjalnie jako obozy pracy, obozy w Poniatowie i Trawnikach pozostawały pod bezpośrednim zarządem generała SS Odila Globocnika, obok Stroopa innego notorycznego himmlerowskiego kata. Jednym z wyrafinowanych podstępów gestapo było zapewnienie, że w Poniatowie i w Trawnikach rodziny, włączając dzieci, mogą pracować razem i mają wszelkie szanse przeżycia. W rzeczywistości „przedsiębiorstwo” Globocnika po kilkumiesięcznym wykorzystywaniu żydowskiej siły roboczej i wzbogaceniu Globocnika oraz SS o dalsze kilkaset milionów marek zostało z kolei zlikwidowane w wypróbowany sposób. W pierwszych dniach listopada 1943 więźniowie wypędzeni zostali do kopania rowów, rzekomo jako przygotowania do obrony przed nadciągającą Armią Czerwoną. 3 i 4 listopada wszyscy zostali wpędzeni do tych samych rowów i rozstrzelani. Zaledwie kilku udało się przeżyć tę masakrę (G. Reitlinger, „The Final Solution”, London 1953, s. 273, 278, 279, 294 i S. Hoffenberg, „Le Camp de Poniatowa, la liquidation des derniers Juifs de Varsovie”, Paris 1988).

4. H. Schwan, H. Heindrichs, „Der SS-Mann, Josef Blösche – Leben und Sterben eines Mörder”, Munchen 2003, s. 9, 344; niedawno ukazał się przekład polski.

mowy „Ghetto boy”. Z upływem czasu fotografia z jego tragiczną sylwetką nie przestawała zyskiwać coraz większej popularności...

To, że ta popularność „zapałała” pewne wyobrażenie, należy chyba uważać za dość normalne zjawisko. I tak na pierwszej stronie poczytnej i poważanej jako półoficjalny organ brytyjskiego związku gmin żydowskich londyńskiej *Jewish Chronicle* ukazał się 11 sierpnia 1978 zaopatrzony w liczne ilustracje ze znaną fotografią chłopca z warszawskiego getta na czele, artykuł zatytułowany „Ghetto boy lives here” (Chłopiec z getta żyje tu). Autor artykułu Joseph Finklestone, naczelny reporter *Jewish Chronicle*, zrobił sensacyjne odkrycie: chłopiec z warszawskiej fotografii żyje, mieszka w Londynie jako cieszący się powodzeniem zamożny, liczący sobie 43 lata przedsiębiorca.

Cała prasa światowa, od nowojorskiego poprzez londyński *Times*, aż do *Życia Warszawy*, jak i radio oraz telewizja informowały o „odkryciu” Finklestone’a, który zapowiedział dalsze reportaże z bliższymi szczegółami. Jednak nic z tego nie wyszło: Finklestone nie zadał sobie trudu, by przestudiować historyczne tło wydarzenia. W rezultacie jego „odkrycie” szyte było zbyt grubymi nićmi. Chociaż, jak wspomniano na wstępie, rzeczona fotografia jest jedną z 53 „Raportu” Stroopa z maja 1943 r. Finklestone i jego londyński pupil datują zdarzenie i fotografię na 1941 r. (sic!). Podobnie niewiarygodny jest cały szereg innych szczegółów, wyraźnie wskazujących na to, że Finklestonowski „Ghetto boy” w rzeczywistości nigdy w warszawskim getcie nie był, a lata wojny spędził w bezpiecznym Turkiestanie. Artykuły dezawuuujące sensacje Finklestone’a ukazały się w prasie izraelskiej⁵ i niemieckiej. W rezultacie wydawca *Jewish Chronicle* po krótkim wahaniu zdystansował się wyraźnie od swego reportera i zrezygnował z dalszych reportaży o rzekomym „Ghetto boy”⁶. Na tym sprawa tymczasowo ucichła. Ale tylko tymczasowo.

5. *The Jerusalem Post*, 1 września 1978.

6. Niepobawiony pikanterii szczegół: „gwoździem do trumny” pupila *Jewish Chronicle* okazało się jego opowiadanie o noszeniu w czasie rzekomego zdarzenia zbyt wielkich butów na gołych nogach. Prawdziwy „Ghetto boy”, nosi do kolan sięgające skarpetki.

W parę lat później żyjący i praktykujący w podmiejskim Rockland Country NY, urodzony w Palestynie w roku 1935 dentysta, niejaki doktor Zvi Nussbaum oświadczył, że uważa za możliwe, że on i „Ghetto boy” ze sławnej fotografii, to jedna i ta sama osoba. Do tego wniosku doszedł po tym, jak jeden z jego pacjentów przyniósł mu reprodukcję fotografii i wskazał na jego zdaniem uderzające podobieństwo chłopca do jednej z czterech córek dentysty (sic!). Rzeczywiście uderzającym jest, jak na podstawie wątpliwej i przypadkowej identyfikacji, chętnie podchwyconej przez zawsze ciekawe nowych „odkryć”, ale nie uważających za potrzebną krytyczną ocenę, media potrafią uprawdopodobnić i spopularyzować skąd indziej oczywistą mistyfikację.

A to, że chodzi o oczywistą mistyfikację, nie powinno było od pierwszej chwili budzić żadnych wątpliwości. Nussbaum oświadczył, że 13 lipca 1943 r. jako siedmioletni chłopiec był w warszawskim Hotelu Polskim przy ul. Długiej ze swoim stryjostwem bezpośrednio przed wysłaniem całej grupy do tzw. Austauchlager Bergen-Belsen. Według tego, co opowiadał, po wywołaniu swego nazwiska, wysunął się naprzód i wówczas SS-man wymierzył w niego karabin i kazał podnieść ręce. Wystarczy rzucić okiem na oryginalne zdjęcie, aby stwierdzić, że opowiadanie Nussbauma jest wymyśloną bajką. Pomijając fakt, że chłopiec na fotografii wygląda zdecydowanie na więcej niż siedem lat, jak wytłumaczyć to, że nie tylko on, a bez wyjątku wszyscy mają podniesione ręce? I jak wytłumaczyć to, że na fotografii nie ma ani stryjostwa Nussbauma, ani nikogo ze znajomej mu grupy, a wyłącznie zupełnie mu nieznani ludzie? Nie mówiąc o tym, że każdy i każdej chwili mógł stwierdzić, że sławna fotografia znajduje się jako oficjalny dokument zarówno w aktach procesu norymberskiego, jak i szeregu innych, między nimi Jürgena Stroopa. Wszędzie z oficjalnym ustaleniem, że zdjęcie to zostało zrobione między 19 kwietnia a 16 maja 1943 r. W żaden więc sposób 13 lipca 1943 r. Zvi Nussbaum nie mógł być na tej fotografii.

Mimo to już cztery lata po zdemaskowaniu londyńskiego kandydata, w poczytnym *New York Times* ukazał się w 1982 r. artykuł popierający dotychczas raczej wstrzemięźliwe roszczenia

dr. Nussbauma. Rzekomym „Ghetto boy” zajęła się z kolei telewizja: najpierw w szeregu kilkakrotnie wyświetlanych wywiadów, następnie w 1990 r. francusko-fiński zespół nakręcił 50-minutową krótkometrażówkę zatytułowaną „Tsvi Nussbaum. A Boy From Warsaw”. Fachowo sporządzony montaż jest mieszaniną dość znanych zdjęć z archiwów Drugiej Wojny Światowej, w szczególności „Raportu” Stroopa, z zaktualizowanymi reportażami z Polski i Izraela oraz z otoczenia dr. Nussbauma.

Nussbaum opowiada, niewątpliwie bardzo dramatyczne, dzieje swojego życia. Urodził się w roku 1935 w ówczesnej „mandatowej” Palestynie z rodziców pochodzących z Sandomierza. Latem 1939 r. rodzice zabrali go ze sobą na odwiedzin u sandomierskiej rodziny. Wybuch wojny uniemożliwił ich powrót. W ciągu pierwszych trzech lat okupacji Niemcy zgładzili jego rodziców, dziadków i jedynego brata. Ukrywający się w Warszawie z żoną poza gettem na „aryjskich papierach” brat ojca zdołał w październiku 1942 sprowadzić osieroconego chłopca do siebie.

W miesiąc po ostatecznym zdławieniu powstania w getcie warszawskim gestapo zorganizowało sławną akcję rzekomej (i tylko w małej części rzeczywistej) wymiany Żydów – obcokrajowców na internowanych Niemców⁷. Stryjstwo Zvi, podając się za jego nieżyjących „palestyńskich” rodziców, zgłosił się razem z nim do gestapowskiej centrali wymiany w Hotelu Polskim przy ulicy Długiej w Warszawie. Wszyscy troje zostali wpisani na tzw. „listę palestyńską” i wywiezieni do Bergen-Belsen.

Do tej chwili i tego miejsca opowiadanie dr. Nussbauma ma wszelkie cechy autentyczności i jest też takim niewątpliwie. Inaczej jest, kiedy dr. Nussbaum chce poznać siebie na sławnej fotografii i mówi: „Ilekcroć widzę tę fotografię,

7. Oparta o Hotel Polski w Warszawie gestapowska „akcja wymienna” i dzieje wpisanych na „palestyńską listę” są opisane szczegółowo m.in. w moim artykule pt. „Ziarno i plewy” w nr. 114 *Zeszytów Historycznych*. W trzech transportach po około 1500 osób każdy zostało przewiezionych z Hotelu Polskiego w Warszawie do tzw. Austausch lager w Bergen-Belsen pod Hanowerem około 4500 osób. Z tego przeżyło około 500, w większości z tzw. „listy palestyńskiej”. Reszta, z wyjątkiem kilku zmarłych śmiercią naturalną w Bergen-Belsen albo francuskim Vittel, została wymordowana w Auschwitzu.

przypomina mi się jeden dzień mojego życia, 13 lipca 1943. To był dzień, kiedy wzięto nas z Hotelu Polskiego do Bergen-Belsen. To wówczas rozkazano mi podnieść ręce... Chciałem wystąpić, bo moje nazwisko było na liście. Przede mną był niemiecki żołnierz z karabinem wymierzonym na mnie. On rozkazał mi podnieść ręce...”

Całe to opowiadanie jest oczywistym wytworem fantazji. Jak już wspomniałem, fotografia jest jedną z 53 ze zbioru Stroopa dołączonego do jego „Raportu” o zniszczeniu getta warszawskiego dla Himmlera w maju 1943. Nussbaum zjawił się w Hotelu Polskim poza murami spalonego getta całe dwa miesiące później i dlatego w żaden sposób na tej fotografii figurować nie może. Na dodatek, jak już także wspomniałem, oryginalna fotografia jest zaopatrzona podpisem Stroopa „Gwałtem wydobyli z bunkrów”. W Hotelu Polskim żadnych bunkrów nie było. Na oryginalnej fotografii widać wyraźnie, że grupa jest sfotografowana na tle otoczonych kłębamii czarnego dymu szerniałych od pożogi spalonych domów getta. Na jezdni wyraźnie widać nieuprzątnięty gruz. Ale Hotel Polski był przy ulicy Długiej, która nigdy nie należała do getta i będąc poza jego granicami nie była ani burzona, ani palona przed Powstaniem Warszawskim w sierpniu 1944 r. Wspomniany wyżej SS-man Blösche sfotografowany razem z „Ghetto boy” nigdy w Hotelu Polskim nie był i nie mógł być fotografowany z Nussbaumem. Ani on, ani jego szef, Jürgen Stroop z gestapowską „akcją wymienną” w Hotelu Polskim nie miał nigdy nic wspólnego⁸.

8. Po zdławieniu powstania w getcie Blösche został jeszcze w maju 1943 przeniesiony do centrali gestapo w Alei Szucha i przydzielony najpierw do ochrony folksdojców, a następnie do prac w registraturze („SS-Man...”, s.195). Niezależnie od tego istnieje wiarogodny opis przebiegu zdarzeń w Hotelu Polskim w dniu 13 lipca 1943. Transport, w którym Zvi Nussbaum i jego stryjostwo opuścili Warszawę, liczył około 1500 Żydów, w Hotelu Polskim nie było żadnych bunkrów ani zniszczenia, tylko kawiarnia, z której korzystali zgromadzeni w hotelu Żydzi. W czasie przygotowywania transportu w hotelu „roito się od SS-manów i gestapowców”, ale nikomu nie kazano podnosić do góry rąk. Na Dworzec Gdański przewieziono wszystkich samochodami ciężarowymi i ulokowano w wagonach osobowych. Po dwu dniach podróży wylądowano ich w Bergen-Belsen (H. Rufeisen-Schüpper, „Pożegnanie z Miłą 18”, Warszawa 2004, s. 127).

Z powyższego wynika jasno, że dr Zvi Nussbaum, chociaż należy niewątpliwie do ciężko przez los doświadczonych ofiar Holocaustu, nie jest i nie może być chłopcem z fotografii. W rzeczywistości jego noga nigdy nie stała w warszawskim getcie i jego utożsamianie się z warszawskim „Ghetto boy” ze sławnego stroopowskiego zdjęcia jest jeżeli nie świadomą mistyfikacją, to co najmniej całkowicie niewiarygodnym wytworem bujnej fantazji. Biorąc pod uwagę, że jego kontakt z Warszawą, zresztą według własnej relacji, ograniczył się do kilkumiesięcznego ukrywania się „na aryjskich papierach” poza gettem, już sam tytuł krótkometrażówki „Tsvi Nussbaum. A Boy From Warsaw” nabiera raczej ironicznego brzmienia.

Jednak jak długo dr Nussbaum paradował w glorii „Ghetto boy” przed swoimi pacjentami i otoczeniem, można było traktować to z pobłażaniem i wyrozumieniem dla prywatnych fantazji. Inaczej, gdy sprawą zajęły się środki masowego przekazu – prasa, radio i telewizja. Już choćby ze względu na różnorodność komentarzy towarzyszących wiadomości o stwierdzonym jakoby przeżyciu dotychczas uważanego za wydanego śmierci i zgłodzonego w Shoah chłopca. Między komentatorami znaleźli się i tacy, którzy zapytywali nie bez cienia ironii, czy nie jest prawdopodobne lub przynajmniej możliwe, że nie tylko „Ghetto boy”, ale co najmniej niektórzy z jego i z innych grup, uważani dotychczas za zmarłych, w rzeczywistości żyją i doczekali się doczesnych sukcesów. I skoro tak, czy nie należy rzeczywiście odnosić się z pewną dozą sceptycyzmu do podawanych powszechnie liczb⁹.

Jak się niebawem okazało, rozgłoszone przez media fantazje Nussbauma, pomimo ich oczywistej niedorzeczności, zaczęły coraz bardziej znajdować uznanie jako odpowiadające rzeczywistości fakty. Tak na przykład, w Muzeum Holocaustu w Melbourne w Australii, wystawiona na honorowym miejscu duża reprodukcja rzeczonej fotografii została zaopatrzona następującym podpisem: „Getto Warszawa. Wysiedlenie. Sześćoletni Artur Siemiątek (chłopiec z podniesionymi

9. Tak na przykład znany negacjonista Mark Weber w *The Journal of Historical Review*.

rękami) cudem przeżył”. Napis nie wymienia wprawdzie nazwiska Nussbaum, ale dopasowuje do niego chłopca wiekiem i „cudownym przeżyciem”. Zresztą oficjalny przewodnik muzeum nie pozostawia wątpliwości, że chodzi o Zvi Nussenbauma z Nowego Jorku.

Wydawałoby się, że w tym stadium bardzo by się przydała interwencja instytucji statutowo powołanych do zachowania pamięci o Shoah i pogłębiania znajomości związanych z tym wydarzeń. Do najbardziej znanych spośród tych instytucji należy zaliczyć Yad Vashem w Jerozolimie, Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie i Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie. Na moje zwrócenie się do tego ostatniego z prośbą o zajęcie stanowiska, otrzymałem w styczniu 1999 pismo wyjaśniające, że zadanie Muzeum jest ograniczone do nabywania, przechowywania, badania i katalogowania związanego z Shoah materiału i udostępniania go szerokiej publiczności. Natomiast Muzeum nie interweniuje w debatach rodzaju tożsamości „Ghetto boy”. Przy tej okazji stwierdziłem raz jeszcze, że według akt Muzeum (nr 481902 W/S nr 26543) zdjęcie zostało zrobione między 19 kwietnia a 16 maja 1943, a więc co najmniej na dwa miesiące przed podanym przez Nussbauma 13 lipca. Poza SS-manem Blösche Muzeum zidentyfikowało na podstawie uznanych za wiarygodne zeznań widoczne na lewym skraju fotografii kobietę z małą dziewczynką jako Matyldę Lamet i jej córkę Hankę. Chłopiec z podniesionymi rękami nie został zidentyfikowany. W każdym razie nikt z nich nie przeżył: wszyscy zginęli w Shoah.

Miarą rozpowszechnienia i spopularyzowania bredni Nussbauma może posłużyć dla przykładu to, że w kwietniu 2003 roku w ramach zorganizowanego przez merostwo Paryża forum dla uczczenia 60-tej rocznicy powstania w getcie warszawskim francusko-fińska krótkometrażówka o Nussbaumie włączona została jako autentyczny film dokumentalny do oficjalnego programu. Co gorzej, te brednie zdołały dotrzeć także do podręczników szkolnych. I to nie tylko w Niemczech, ale nawet w Polsce, jak można stwierdzić w popularnym i zalecanym podręczniku „Holocaust – zrozumieć dlaczego”.

Jak się niedawno dowiedziałem, źródłowe studia nad losami sławnej fotografii podjął profesor Richard Raskin z wydziału studiów nad środkami przekazu (Department of Information and Media Studies) Uniwersytetu w Aarhus, Dania. Jesienią 2004 rezultat jego studiów będzie opublikowany przez Aarhus University Press pod tytułem „A Child at a Gunpoint. A Case Study in the Life of a Photo” („Dziecko na celowniku karabinu. Dzieje życia pewnej fotografii”). Od niego dowiedziałem się o „nieurzędowej” identyfikacji dalszych dwu osób na zdjęciu: kobiety widocznej tuż nad chłopcem jako Gołdy Stawarowskiej i starszego chłopca na lewo od niej jako Leona Kartuzińskiego. Trzeba dodać, że nikt ze zidentyfikowanych osób nie przeżył prześladowań. Prof. Raskin wydaje się obchodzić łagodnie z dr. Nussbaumem, z którym rozmawiał osobiście. Wskazując na to, że Nussbaum rzekomo nigdy nie twierdził, że jest chłopcem z fotografii, a tylko utrzymywał, że istnieje taka możliwość. Co więcej, rzekomo sam wskazywał na niezgodności czasu i miejsca w jego i oficjalnych relacjach. Na tej podstawie prof. Raskin uważa Nussbauma za człowieka uczciwego. Wydaje mi się, że bardzo liczni są lub będą innego zdania i uważali za długo trwającą paradę Nussbauma za najprawdopodobniej świadomą i niewątpliwie chybną.

Prof. Raskinowi zawdzięczam zwrócenie uwagi na cytowaną przeze mnie na wstępie książkę „O życiu i śmierci mordercy Józefa Blösche”. Wszystkim tym, którzy mają jakiegokolwiek wątpliwości co do rzeczywistego stanu rzeczy, polecam tę dokumentarną lekturę.

Na jej okładki składają się znamienne powtórzenia stroopowskiej fotografii z chłopcem. Napis głosi: „Fotografia z chłopczykiem, który w przerażeniu podnosi swoje ręce do góry, obiegła cały świat. SS-man z wycelowanym karabinem to Josef Blösche, małe, ale ważne kółko w niszczycielskiej maszynerii Trzeciej Rzeszy. Brał czynny udział w deportacjach i masowych egzekucjach i zamordował własnoręcznie setki ludzi, między nimi niemowlęta, ciężarne kobiety, kaleki i starców”. Treść tej iście wstrząsającej książki oparta jest głównie na aktach procesu sądowego, w wyniku którego niemiecki sąd w Erfurcie skazał Blösche na śmierć. Nazajutrz po

aresztowaniu, 12 stycznia 1967 Blösche, którego sędzia śledczy skonfrontował z reprodukcjami stroopowskich fotografii ostatnich godzin likwidacji warszawskiego getta w połowie maja 1943 r., bez wahania rozpoznał siebie na zdjęciu z chłopcem i oświadczył, że widoczne na tym zdjęciu ofiary wysłano niezwłocznie na Umschlagplatz, a stamtąd do Treblinki, gdzie zostali wymordowani. Fotografia z oświadczeniem Blösche na odwrocie własnoręcznie przez niego napisanym i podpisanym została dołączona do akt sądowych¹⁰. Dalsze komentarze wydają się zbędne.

Miarą wyrządzonych tą paradą szkód może służyć list w numerze 19 *Polityki* profesora Uniwersytetu Opolskiego Adama Suchońskiego, uznanego specjalisty w dziedzinie podręczników. Prof. Suchoński podaje „opierając się na informacjach w niemieckich podręcznikach historii, że chłopiec na zdjęciu nazywa się Tusi Nussbaum” i ocalał wraz z rodziną. Miałem okazję przekonać się, że takiego zdania są dotychczas także inni wybitni polscy historycy.

W tym stanie rzeczy wydaje mi się dla sprostowania tej mylnej i szkodliwej opinii konieczną interwencją autorytatywnej instytucji badawczej. Taką jest na przykład Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie. W odróżnieniu od archiwalnego waszyngtońskiego Muzeum, ŻIH jako jeden z organów Polskiej Akademii Nauk jest instytucją badawczą. W maju 2003 prosiłem archiwum ŻIH o fotokopie dokumentów związanych z fotografią „Ghetto boy”. Ku mojemu zdumieniu, jedyną, którą otrzymałem była, reprodukcją wspomnianego wyżej w odnośniku artykułu negacjonisty Webera, z satysfakcją potwierdzającą identyfikację Nussbauma. Jeżeli jest to wyrazem oficjalnego stanowiska ŻIH w tej sprawie, to równa się to, moim zdaniem, dyskwalifikacji tego Instytutu jako miarodajnej placówki badań historycznych.

Nie trzeba jednak tracić w tym stanie rzeczy nadziei na to, że nie ma w Polsce instytucji powołanej do poważnego zajęcia się dostatecznie ważnym problemem autentyczności sławnej fotografii. Mam tu w szczególności na myśli powołane do życia 2 lipca 2003 r. rozporządzeniem Dyrektora

10. „SS-Man...”, s. 246 i 247.

Instytutu Filozofii i Socjologii PAN Centrum Badań nad Zagładą Żydów.

Urzędujący w Warszawie w krótkim okresie pruskiego panowania (1796-1806) prawnik i romantyczny pisarz Ernst Wilhelm Hoffmann pozostawił w swojej literackiej spuściźnie szereg fantastycznych opowieści. W pół wieku później stały się one podstawą do wciąż popularnych „Opowieści Hoffmanna”, mistrza operetek Offenbacha. Popularność opowieści Nussbauma być może mogłaby kiedyś skrytalizować się w podobny operetkowy sposób jako „Brednie Nussbauma”... Tyle, że związane z Holocaustem tematy chyba nie nadają się do operetek.

Edward KOSSOY

POWSTANIE '44

Jan M. CIECHANOWSKI

ZMARNOWANA SZANSA

(UWAGI I REFLEKSJE NAD POLSKIM WYDANIEM
KSIĄŻKI NORMANA DAVIESA „POWSTANIE '44”

Powstanie Warszawskie, którego 60 rocznicę wybuchu obchodziliśmy ostatnio w Warszawie w tak uroczysty i podniosły sposób, było w istocie jedną z naszych największych, najboleśniejzych klęsk i katastrof, jakich doznaliśmy w czasie naszych ponad tysiącletnich, często tak tragicznych dziejów.

Dla gen. Władysława Andersa, legendarnego dowódcy II Korpusu i zdobywcy Monte Cassino, Powstanie Warszawskie było po prostu „wrażną zbrodnią”, a jego wywołanie uważał on za największe „nieszczęście dla Polski”¹.

Gen. Anders był „na kolanach przed walczącą Warszawą”, ale uważał, że „gen. Komorowski i szereg innych osób” winno za wywołanie Powstania Warszawskiego stanąć przed sądem.

W jego opinii Powstanie to leżało jedynie w interesie Niemców i bolszewików.

Nie było należycie przygotowane. Nie miało najmniejszych szans powodzenia. Kosztowało setki tysięcy ofiar, straszliwe

1. O szczegóły patrz: J. M. Ciechanowski, „Powstanie Warszawskie: zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego”, Pułtusk 2004, s. 458 i dalsze – [dalej: Ciechanowski 2004].

cierpienie milionowej rzeszy ludności. Zniszczenie stolicy i wielowiekowego dorobku kultury i pracy. Zniszczyło ośrodek dyspozycyjny w kraju, zniszczyło inteligencję, zniszczyło puls walki o niepodległość w kraju, ułatwiając tym sowietyzację kraju.

Ocena sytuacji [militarnej – JMC] była fałszywa, nie zapytano nawet sztabu NW o możliwość przesunięcia rezerw niemieckich, a które to wiadomości były w posiadaniu II Oddziału.

Nie uzgodniono powstania z Aliantami. Nie upewniono się, jaką pomoc mogli dać alianci walczącej stolicy².

Gen. Władysław Anders podkreślał, że „opinia publiczna [...] obwiniała o to gen. Bora-Komorowskiego i sprawa na pewno znajdzie się przed sądem. Obok gen. Komorowskiego odpowiadać będą i inni”³.

Niestety, w tej druzgocącej krytyce gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego i jego najbliższych współpracowników, głównych autorów Powstania Warszawskiego, kryje się wiele gorzkiej i oczywistej prawdy.

Powstanie Warszawskie nie było „wyróżną zbrodnią”, jak twierdził gen. Anders, ale przede wszystkim wielką narodową tragedią i dramatem. A straszliwe straty, jakie podczas Powstania ponieśliśmy, były wręcz przerażające i niczym niepowetowane.

Powstanie było głównie dziełem trzech generałów – gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, dowódcy AK, gen. Tadeusza Pełczyńskiego („Grzegorza”), jego zastępcy i szefa sztabu Komendy Głównej oraz gen. Leopolda Okulickiego („Kobry”), zastępcy szefa sztabu Komendy Głównej ds. operacyjnych – a przede wszystkim tego ostatniego.

Gen. „Kobra” wymusił – czy jak on sam twierdził – „przeforsował” decyzję rozpoczęcia walki o Warszawę 1 sierpnia 1944 roku na swym „chwijnym” dowódcy – gen. Tadeuszu Borze-Komorowskim. Decyzję zatwierdził Delegat Rządu Jan Stanisław Jankowski⁴.

Niestety, gen. „Kobra” nie był najlepszym kandydatem na głównego autora Powstania Warszawskiego, gdyż jego wielka odwaga, tupet, pewność siebie, granicyła z bez-

2. Tamże, s. 459-460.

3. Tamże, s. 460.

4. Ciechanowski 2004, s. 391 i dalsze.

myślnością i brakiem rozważli oraz intelektualnej dyscypliny, która powinna cechować wysokiej rangi oficera sztabowego.

Co więcej, aresztowany przez NKWD, jako komendant ZWZ na okupację sowiecką, we Lwowie w nocy z 21 na 22 stycznia 1941 roku, poddany torturom załamał się w śledztwie. Złożył obszerny i szczegółowy „zeznania własne” na temat działalności, organizacji i kadr podziemnego wojska na całym obszarze Polski oraz zadeklarował swoją gotowość pójścia na ścisłą i szeroko zakrojoną współpracę polityczną i wojskową z władzami sowieckimi i NKWD⁵. Gen. „Kobra” ujawnił m.in., że gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski („Doktor”) szedł do Lwowa na komendanta ZWZ na okupację sowiecką pod nazwiskiem Fatniej Michajłowicz Mirowoj. Jak wiemy, gen. Karaszewicz-Tokarzewski aresztowany przez Rosjan przy przechodzeniu granicy sowiecko-niemieckiej jako dr Tadeusz Mirowyj i nierozpoznany, został zesłany do łagru⁶. Zeznanie gen. Okulickiego przyczyniło się do rozpoznania gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego na początku 1941 roku i przewiezienia go na ciężkie śledztwo do Moskwy na Łubiankę⁷.

Gen. Okulicki, składając tego rodzaju zeznania i oferty współpracy Rosjanom, łamał wszelkie zasady wojskowej dyscypliny i sprzeniewierzał się żołnierskiej przysiędze złożonej na wierność Rzeczypospolitej. Musiało to być później wielkim osobistym dramatem i plamą na jego żołnierskim honorze. Nie mogło pozostać bez wpływu na jego dalsze postępowanie i późniejszy pęd do wywołania powstania w Warszawie mógł być z jego strony próbą jakiejś osobistej rehabilitacji.

Norman Davies nie wspomina o tym wszystkim ani słowa, co wskazuje najlepiej, jak niewiele wie o głównym autorze Powstania Warszawskiego. Zdaniem Daviesa „Niedźwiadek” to był najwyższej klasy *chevalier sans peur et sans reproche* – prawdziwy rycerz bez trwogi i zmyy, którego NKWD nigdy nie potrafiło „złamać”. Niestety, jak już wie-

5. Ciechanowski 2004, s. 416 i dalsze.

6. Tamże, s. 418.

7. „Polskie Podziemie 1939-1941. Od Wołynia do Pokucia”, t. 3, cz. I, Warszawa-Kijów 2004, s. 21 i dalsze.

my, było inaczej. NKWD „złamało” gen. „Niedźwiadka” już wiosną 1941 roku – chociaż wolałbym, żeby tak nie było – a wiosną 1945 roku prowadziło z nim „stosowną grę”. Wszystko to uszło uwadze autora „Powstanie ‘44”.

Obraz gen. Leopolda Okulickiego, jaki maluje Davies, jest niestety obrazem fałszywym – jest w nim zbyt wiele jasnych, złocistych promieni a zbyt mało cieni⁸.

Autor prześlizguje się nad sprawą decyzji i okoliczności, jakie doprowadziły do wybuchu tego tragicznego Powstania, chociaż było ono, zdaniem jednego z polskich historyków, „ostatnim suwerennym aktem dawnej Rzeczypospolitej, podjętym decyzją Polaków”, przekonanych, że wymagała tego polska racja stanu.

Polacy mają pełne prawo do „prowadzenia własnej polityki, a nawet popełniania własnych błędów”⁹. Davies woli jednak, abyśmy stale byli „igraszką” w rękach wielkich mocarstw i za wybuch Powstania wydaje się winić brytyjskie władze, gdyż nie zabroniły Polakom jego przeprowadzenia, a ostateczną decyzję pozostawiły w rękach dowództwa Armii Krajowej.

Norman Davies twierdzi, wbrew opiniom gen. Władysława Andersa, gen. Mariana Kukieła, ministra obrony narodowej w latach 1942-45, płk. dypl. Janusza Bokszczanina, ostatniego Szefa Sztabu Komendy Głównej AK i wielu innych, dobrze znających się na rzeczy wyższych oficerów¹⁰, że decyzja wywołania Powstania Warszawskiego była słuszna i uzasadniona. A samo Powstanie było udane, gdyż trwało 63, a nawet jak Davies twierdzi 65 dni, a upadło głównie dlatego, że nasi zachodni alianci – Wielka Brytania i Stany Zjednoczone – nie udzielili mu odpowiedniego, koniecznego, dyplomatycznego i militarnego wsparcia, a co jeszcze ważniejsze, nie zmusili do tego Moskwy swoimi naciskami, chociaż mieli do tego aż dwa miesiące czasu. Ponadto autor „Powstania ‘44” uważa, że Stalin do połowy 1944 roku był gotów pójść na kompromis z rządem polskim w Londynie,

8. Ciechanowski 2004, s. 385 i dalsze.

9. A. K. Kunert, „Rzeczpospolita Walcząca. Powstanie Warszawskie 1944: kalendarium”, Warszawa 1994, s. XII.

10. Ciechanowski 2004, s. 241 i dalsze.

„gdyby zachodni przywódcy zdecydowanie poparli swojego polskiego sojusznika”¹¹.

Niestety, teza Daviesa jest wręcz nie do utrzymania, chociaż przez wielu Polaków jest przyjmowana z entuzjazmem i wielką satysfakcją.

A więc Powstanie było udane, było wielkim polskim sukcesem, zmarnowanym przez naszych niewiernych zachodnich aliantów, którzy po prostu znowu nas zdradzili i nie udzielili nam koniecznej pomocy. Tak sądzi wielu Polaków po pobieżnym nawet zapoznaniu się z głównymi, ahistorycznymi tezami Daviesa, który podsycą i podgrzewa nasze wszystkie antyzachodnie, a przede wszystkim antybrytyjskie, fobie, uprzedzenia i urazy.

Norman Davies nie chce w żaden sposób zrozumieć, że klęska Powstania Warszawskiego tkwiła już w samych zarodkach, celach oraz źle wykalkulowanych i nieracjonalnych elementach decyzji jego wywołania, oraz sposobie wprowadzenia jej w życie.

Davies prześlizguje się nad sprawą straszliwych, wręcz przerażających strat, jakie ponieśliśmy w toku oraz na skutek Powstania, co czynią zresztą również polscy apologetyci Powstania, rozwodzący się, podobnie jak czyni to Davies, nad jego rzekomymi osiągnięciami dla „pokrzepienia serc” oraz udowodnienia, że było ono potrzebne.

Tymczasem Powstanie umożliwiło Niemcom uczynienie z Warszawy drugiej Kartaginy, a Rosjanom pozbycie się ich polskich przeciwników politycznych rękami niemieckich siepaczy i ich wschodnich najemników, pod których ciosami zginęło przeszło 200 000 ludzi.

Nawet gen. „Kobra”, główny autor i apologeta Powstania oraz bohater Daviesa, przyznawał po jego upadku, że tragedia stolicy była jedną z „największych katastrof”, jaką ponieśliśmy w naszych dziejach.

W gruzy i popiół obrócone zostały bezcenne, niezastąpione i nieodtworzalne skarby naszej kultury. Na szeregu odcinków kultura polska poniosła rany, których zablźnienie trwać będzie stulecia, niekiedy zaś zablźnić się nie da zupełnie.

11. „Powstanie ‘44’”, s. 839.

Rozbity został główny ośrodek polskiej woli, polskiej myśli, polskiej polityki i polskiej gospodarki. Przestał istnieć kierowniczy ośrodek całości polskiego życia [...]. Straciliśmy sam kwiat naszej młodości, niewątpliwie elity naszego narodu. Skutki tego nieszczęścia wydają się dziś wprost tragicznie katastrofalne.

Całe morze cierpień zawiera w sobie los 800 000 rzeszy wysiedlonej, rozbitej, rozproszonej, skazanej na niesłychaną poniewierkę, nędzę i śmierć [ludności].

Jeśli chodzi o zniszczenie materialne miasta, to wystarczy powiedzieć, że podobnej ruiny nie przeżyło w czasach nowożytnych żadne duże miasto polskie ani żadna stolica Europy...

Wymowa tych słów jest wręcz przerażająca. Upadek i zniszczenie Warszawy spowodowały ogromny szok, który przekształcił się w głęboki uraz, trwający do dziś. Dla Polski i Polaków Powstanie Warszawskie jest jeszcze nadal wydarzeniem politycznym raczej niż tylko historycznym, które, jak to dowiodły bezsprzecznie tegoroczne obchody jego rocznicy ma bezpośredni, wielki wpływ na nasze życie polityczne, społeczne i na stosunki międzynarodowe. Czemu trudno się zresztą dziwić ze względu na znaczenie Powstania w naszym narodowym życiu.

Dla Państwa Podziemnego, Armii Krajowej i rządu polskiego w Londynie i całego „oboju niepodległościowego”, upadek Powstania po 63 dniach daremnej, samotnej w istocie walki był druzgocącą klęską polityczną, militarną i psychologiczną.

Powstanie Warszawskie ani o dzień nie skróciło wojny czy niemieckiej okupacji w Polsce i nie zapobiegło, jak to planowali jego autorzy, a raczej ułatwiło polskim komunistom objęcie władzy w całym kraju, po jego upadku, przy wydatnej pomocy Stalina.

A „wolność”, którą rzekomo cieszyli się mieszkańcy Warszawy na terenach zajętych przez powstańców – zaledwie jednej trzeciej całego miasta – była podszyta śmiercią i nie-ludzkimi cierpieniami, o czym przypomina nam raz jeszcze Joanna Hanson w swej świeżo wznowionej, znakomitej pracy o dziejach ludności cywilnej w czasie tej insurekcji „Nadludzkiej poddani próbie”, (Warszawa, Czytelnik 2004).

„Wolność” ta była po prostu, dla większości cywili ży-

jących i chroniących się przez cały prawie okres walk w zatłoczonych, ciemnych, cuchnących piwnicach i schronach, narażonych w każdej chwili na śmierć lub zasypanie pod gruzami własnych mieszkań i domów, pozbawionych świeżego powietrza, światła, żywności, lekarstw a nawet często wody, zawszonych i brudnych, wielką ułudą i nadludzką udręką. O czym apologeci tego tak tragicznego Powstania, z Normanem Daviesem na czele, nigdy nie powinni zapominać, gdyż czyniąc to, fałszują jego obraz.

Powstanie było straszliwą tragedią i dramatem, o którym trzeba pisać całą prawdę, chociażby najstraszniejszą i najbardziej bolesną.

Dla Niemców wybuch Powstania stał się sygnałem do krwawej, bezlitosnej rozprawy ze stolicą Polski i jej krnąbrnymi mieszkańcami. Uważali oni, z Heinrichem Himmlerem na czele, że chociaż Powstanie Warszawskie wybuchło w „nieodpowiedniej” dla nich chwili, to niemniej, z „historycznego punktu widzenia”, to, co robili Polacy, było dla nich – Niemców – „błogosławieństwem”. „Za pięć, sześć tygodni – Himmler zapewniał Hitlera – Warszawa, stolica, głowa narodu, który od siedmiuset lat zagradzał nam drogę na Wschód, będzie zgładzona, historycznie rzecz biorąc, problem Polski dla naszych dzieci, dla nas wszystkich, przestanie być wielkim problemem”.

Jednocześnie szef SS i gestapo wydał rozkaz, aby stolicę Polski „zrównać z ziemią”, zniszczyć ją raz na zawsze i pozbawić przez to Polaków samego rdzenia ich narodowego życia, czego na szczęście nie udało się im osiągnąć. Warszawa żyje, ale nie jest to już to samo miasto, które istniało i tętniło życiem przed wybuchem Powstania Warszawskiego.

W październiku 1944 roku Warszawa zamarła i dopiero w drugiej połowie stycznia 1945 roku zaczęła powoli powracać do życia.

Dla Stalina Powstanie Warszawskie było, jak to słusznie określił Andrzej Janowski w 50 rocznicę jego wybuchu, „podarunkiem od losu o nieprawdopodobnym znaczeniu”, gdyż Niemcy, jego główni przeciwnicy, usłużnie jakby rozprawili się krwawo i doszczętnie z jego polskimi przeciwnikami politycznymi – Państwem Podziemnym i Armią Krajową

– którzy w żaden sposób nie chcieli mu się podporządkować. A wręcz przeciwnie, chcieli pokrzyżować plany usadowienia w Warszawie rządów jego polskich popleczników przy pomocy zwycięskiej Czerwonej Armii, która nadal, nawet po alianckiej inwazji Francji, wiązała *gros* niemieckich sił lądowych.

W czerwcu 1944 roku Armia Czerwona wiązała 163 dywizje niemieckie, w tym 32 pancerne. Siły angloamerykańskie wiązały we Francji 38 dywizji, w tym 8 pancernych, a we Włoszech około 23 dywizji niemieckich, w tym 2 pancerne i 4 grenadierów pancernych. W tym samym czasie, na Bałkanach było 14 niemieckich dywizji, a w Norwegii i Finlandii 21.

W sumie siły anglosaskie wiązały we Francji i we Włoszech w przełomowym lecie 1944 roku nieco ponad 61 dywizji niemieckich, w tym 10 pancernych. Armia Czerwona na froncie wschodnim wiązała prawie trzykrotnie większe siły niemieckie, z czego wszyscy przywódcy Wielkiej Trójki, z Rooseveltem na czele, dobrze zdawali sobie sprawę. Co więcej, kiedy połączone sztaby angloamerykańskie przewidywały, że użyją 80 dywizji – 60 amerykańskich i 20 brytyjskich – przeciwko Niemcom w Europie Zachodniej, 450 dywizji sowieckich walczyło już od lat z powodzeniem z Niemcami na froncie wschodnim, bez czego anglosaska inwazja Francji w 1944 roku byłaby niemożliwa, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Zarówno Churchill, jak i Roosevelt dobrze wiedzieli, że bez Rosji pobić Niemców nie było można.

Po Stalingradzie, Kursku i letnich zwycięstwach Armii Czerwonej na Białorusi, które pod koniec lipca 1944 doprowadziły ją do samych bram Warszawy, i po dyplomatycznych ustaleniach w Teheranie Stalin nie zamierzał już iść na żadne kompromisy w polskich sprawach, gdyż był święcie przekonany, że dalsze losy Polski, jak i charakter jej rządów oraz kształt jej powojennych granic spoczywał już przede wszystkim w jego rękach, za pozwoleniem Waszyngtonu i Londynu, czego Powstanie Warszawskie nie mogło już w żaden sposób odmienić.

Pierwszego sierpnia po południu 1944 roku, w biały dzień, jak podaje Adam Borkiewicz „około 20 000 powstań-

ców, w wieku przeważnie poniżej 20 lat, w 75% nie uzbrojonych nawet w broń szturmową [pistolety maszynowe i granaty – JMC] przystąpiło do walki przeciw takiej samej liczbie Niemców, nie uwzględniając niewspółmiernej przewagi ognia, pancerza i organizacji wojska niemieckiego z jednej strony i także niewspółmiernej przewagi ducha i determinacji z polskiej strony”¹².

Oddziały nacierały tak, jakby były szkolone – dodaje Borkiewicz – jakby je osłaniała noc. Całe plutony i kompanie biegły w szyku „gęsım” lub rojami nawet przez otwarte przestrzenie, dopóki nie kładł ich i rozprasał ogień maszynowej broni wroga. Niemcy byli bowiem przygotowani do obrony w swych blokach...¹³.

Stąd więc w istocie 5000, a może nawet tylko 3500 uzbrojonych, młodocianych, w większości nie ostrzelanych jeszcze powstańców podjęło śmiertelny bój o Warszawę z silnym, nie pobitym jeszcze, dobrze uzbrojonym i wyposażonym garnizonem niemieckim, obsadzającym silnie ufortyfikowane obiekty, którego w żaden sposób nie można było pokonać bez wydatnej, natychmiastowej pomocy Armii Czerwonej.

Nic więc dziwnego, że Niemcy odparli pierwszy szturm. Powstańcy stracili około 2000 ludzi i dużo drogocennej broni i nie zdobyli prawie żadnego większego i ważniejszego niemieckiego obiektu, jak np. lotnisk, mostów, dworców kolejowych, komendy placu, dzielnicy policyjnej, Pasty itd.¹⁴

12. A. Borkiewicz, „Powstanie Warszawskie 1944. Zarys działań natury wojskowej”, Warszawa 1964, s. 41; [dalej: Borkiewicz]. Aleksander Skarżyński podaje, że 1 sierpnia 1944 roku zaledwie 3500 powstańców posiadało jakkolwiek bądź broń – patrz A. Skarżyński, „Polityczne przyczyny Powstania Warszawskiego”, Warszawa 1964, s. 343.

Autor tych słów wyruszył na Powstanie z opaską, opatrunkiem osobistym i jednym granatem, a zastępca dowódcy jego zgrupowania ze szczyrykiem. Zgodnie z ustalonymi wcześniejszymi planami Powstania pierwsze natarcie miało się odbyć pod osłoną nocy – o świcie. Plan ten zmieniono na wniosek gen. Antoniego Chruściela 29 lipca 1944 roku i nakazano oddziałom nacierać w dzień. Por. Ciechanowski 2004, s. 295 i dalsze.

13. Borkiewicz, s. 43.

14. Ciechanowski 2004, s. 13-14.

Zdołano opanować dużą, nie bronioną przez Niemców część miasta, przede wszystkim na Starym Mieście i w Śródmieściu, ale były to sukcesy złudne, gdyż już trzeciego dnia Niemcy przeszli do kontrofensywy na Woli i Ochocie i zaczęli systematycznie wyrzucać powstańców z zajmowanych obszarów dzielnica po dzielnicy.

Od tej chwili zaczęła się golgota ofiarnej, powstańczej młodzieży, która niosła na swych barkach bezpośredni ciężar nierównej walki, i gehenna cywilnej ludności Warszawy. „Bo myśmy mogli tylko walkę rozpocząć – zawsze podkreślał słusznie gen. Tadeusz Pełczyński («Grzegorz»), zastępca Dowódcy AK i jej Szef Sztabu – ale my ich [Niemców – JMC] wykończyć nie mogliśmy – tak zarozumiali nie byliśmy [...] Nie sądziłem że możemy sami tę walkę rozpocząć i sami skończyć”¹⁵.

Od pierwszego dnia było więc jasne, że jedynie szybkie wejście Armii Czerwonej do stolicy Polski może uratować ją od zagłady i uchronić Powstanie od upadku. A tymczasem Stalin odnosił się do rządu polskiego i Armii Krajowej, jak już wiemy, wrogo. Warszawa – stolica Polski – znalazła się w stalowej pułapce, bez wyjścia.

Na ulicach Warszawy w sierpniu i wrześniu 1944 roku odezwały się znowu złowieszcze, zgubne dla nas echa paktu Ribbentrop-Mołotow. A co gorsze, prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt gotów był poświęcić Warszawę, jak i zresztą całą Polskę na ołtarzu amerykańsko-sowieckiej współpracy politycznej i militarnej, bez której nie wyobrażał sobie wręcz szybkiego pobicia III Rzeszy. Czemu Winston Spencer Churchill, premier Wielkiej Brytanii, w żaden już sposób zapobiec nie był w stanie, jako już w tym czasie najstarszy członek Wielkiej Trójki, który do walki z Niemcami we Francji mógł wystawić zaledwie 20 dywizji, w tym jedną polską – 1. Dywizję Pancerną.

Norman Davies robi, co tylko może, aby przypodobać się swoim polskim czytelnikom i podbić ich serca. Podkreśla z wielką emfazą:

15. Tamże, s. 466.

Gdybym jako chłopak w odpowiednim wieku znalazł się w 1944 roku w Warszawie, to z całą pewnością byłbym wstąpił do Armii Krajowej.

W czasie wojny byłbym szczęśliwym działaczem konspiracji – zapewnia nas Norman Davies – i niewiele się zastanawiając wstąpiłbym razem z moimi rówieśnikami do „Baszty” czy „Parasola”. Nie potrafię powiedzieć, czy miałbym dość siły psychicznej i fizycznej, aby przejść „próbę ogniewą” [chyba „chrzest bojowy” – JMC], ale przy mojej atletycznej budowie i naturze skłonnej do rywalizacji byłbym dobrym w przedzieraniu się przez ruiny i polowaniu na Niemców. Jednocześnie obawiam się jednak, że jako człowiek dość gwałtowny i mało praktyczny, szybko bym się dał zabić. I właśnie z tego powodu szczególnie mnie wzrusza życie i legenda Krzysztofa Kamila Baczyńskiego¹⁶.

Słowa te pięknie brzmią i wiele mówią o naszym brytyjskim historyku, ale mają niewiele wspólnego z Powstaniem Warszawskim i jego dziejami. Poza tym może, że Norman Davies za wszelką cenę stara się przenikać do legendy Powstania i stać się jej nieodzowną częścią, nie tylko jako jego historyk i apologeta, ale również jako jego „wirtualny”, niemalże „rzeczywisty” uczestnik, który na dodatek szybko w nim ginie i staje się jego niedoścignionym symbolem.

Ginie bohatersko, walcząc o wolność z nazistowską i sowiecką tyranią wbrew wszystkim i wszystkiemu, stając się przez to świetlaną postacią, godną naśladowania przez przyszłe pokolenia. Co więcej, ginie jako żołnierz doborowego, elitarnego oddziału i wielce utalentowany twórca.

W tym momencie dzieje Powstania Warszawskiego stają się w rękach Daviesa jego własną „igraszką” i tworem jego nad wyraz wybujałej imaginacji, wielkiego tupetu i ogromnej fantazji. Tymczasem jego wiedza o Powstaniu Warszawskim jest w istocie ograniczona i nie wychodzi właściwie poza ustalenia zawarte przede wszystkim w anglojęzycznych pracach o insurekcji Joanny Hanson, Janusza Kazimierza Zawodnego oraz Jana Mieczysława Ciechanowskiego¹⁷.

16. „Powstanie ‘44’”, s. 7, podkreślenia moje.

17. J. K. M. Hanson, „The Civilian Perturbation and the Warsaw Uprising of 1944”, Cambridge 1984 i 2004; J. K. Zawodny, „Nothing but Honour: The Story of the Warsaw Uprising 1944”, London 1978; J. M. Ciechanowski, „The Warsaw Rising of 1944”, Cambridge 1974, 1975, 2002.

Praca Daviesa niestety nie wnosi wiele nowych, nieznanych elementów do naszej wiedzy o Powstaniu, jej układ jest niejasny i zawiły, a podejście do poszczególnych zagadnień w niej poruszanych jest złe, niewłaściwie rozłożone i wyważone.

Albowiem w książce liczącej aż 957 stron, zaledwie 255, czyli nieco więcej niż jedna czwarta jest poświęcona samemu Powstaniu, a reszta – 702 strony – dotyczy głównie dziejów Polski, w czasie ostatniej wojny, lub też stanowi różnego rodzaju dywagacje autora na temat stosunku do Powstania Warszawskiego w powojennym, pojałtańskim świecie, zarówno na Wschodzie, jak i Zachodzie, a szczególnie w PRL-u, oraz opisy losów niektórych powstańców, którym udało się je szczęśliwie przeżyć. Sporo miejsca Davies poświęca też „polowaniom” na różnego rodzaju rzekome „czarownice”, szczególnie w angielskiej wersji swej pracy o Powstaniu Warszawskim¹⁸.

Wiele miejsca i uwagi Norman Davies poświęca polsko-żydowskim stosunkom w całym zeszłym stuleciu, bez względu na to, czy miały one coś wspólnego z Powstaniem Warszawskim, czy też nie. Jest to zagadnienie niezmiernie ważne i delikatne, ale wymagające z pewnością osobnego, szerszego omówienia, którego nie sposób jest łączyć na siłę z dziejami Powstania Warszawskiego¹⁹. Nie sądzę też, aby Norman Davies był najlepszą osobą do opracowania stosunków polsko-żydowskich w XX wieku, a szczególnie w jego pierwszej połowie. W pierwszym angielskim wydaniu swej pracy o Europie Davies pisząc o zagładzie europejskich Żydów stwierdza²⁰:

A view might be entertained that the Nazi gas chambers reflected a humanitarian approach, akin to that of well – regulated abattoirs. If the inmates had to die, it was better that they die quickly rather than in protracted agony or from cold and starvation.

Można by powiedzieć, że nazistowskie komory gazowe

18. N. Davies, „Rising ‘44: The Battle for Warsaw”, London 2003, np. s. 619 – [dalej: „Rising ‘44”].

19. „Powstanie ‘44”, s. 115 i dalsze.

20. N. Davies, „Europe: A History”, Oxford 1996, s. 706 – [dalej: „Europe”].

przedstawiały „humanitarne podejście” [do zagłady Żydów – JMC], podobne do tego jaki obowiązuje w dobrze prowadzonych rzeźniach²¹.

Bo jeśli więźniowie musieli zginąć – dodawał Davies, to lepiej było, że ginęli szybko, raczej niż po długich cierpieniach, z zimna i głodu.

But shooting or gassing might have been regarded as a blessed reprieve from death by clubbings, by immersion in boiling cauldrons, or by decapitation with saws²².

Stąd, rozstrzeliwanie i zagazowywanie [przez Niemców Żydów na śmierć – JMC] mogłoby być uważane za błogosławieństwo i wybawienie od śmierci zadanej pałkami lub przez wrzucanie do kotłów z wrzącą wodą oraz ucinanie głów piłami²³.

Niestety, jest niezwykle trudno powiedzieć, czy tego rodzaju dość dziwne rozważania, są najlepszym wprowadzeniem do opisu stosunków polsko-żydowskich w czasie ostatniej wojny.

W „Powstaniu ‘44” Davies pisze, że w czasie Powstania było bardzo wiele polsko-żydowskich nieporozumień „natomiast niewiele przypadków gwałtów i morderstw popełnianych na Żydach”²⁴.

Tu muszę się przyznać, że chociaż brałem udział w Powstaniu od samego początku, aż do tragicznego końca, oraz badam jego dzieje od przeszło lat czterdziestu, nigdy się nie spotkałem czy też słyszałem o rzekomo licznych polsko-żydowskich „nieporozumieniach”, nie mówiąc już o „mordowaniu” czy „gwałceniu” Żydów przez żołnierzy AK w czasie walk o stolicę.

Pragnę zaręczyć Normana Daviesa, że dla nas, powstańców, trwających na pierwszych liniach nie było żadnych „problemów polsko-żydowskich” czy „nieporozumień”. Nie interesowało nas wtedy, kto kim był, czy też jego społeczne czy etniczne pochodzenie oraz poglądy polityczne czy też

21. „Europe”, s. 707.

22. Tamże.

23. Tamże.

24. „Powstanie ‘44”, s. 391 – wszystkie podkreślenia moje – JMC.

przekonania religijne, a interesowała nas rzecz tylko jedna – przydatność do walki.

Norman Davies nie przytacza żadnych przekonujących dowodów w sprawie rzekomego „gwałcenia” Żydów, a więc niejako i Żydówek, przez żołnierzy AK. W związku z czym zarzuty te można uznać za bezpodstawne i spodziewać się, że będą one usunięte z następnych angielskich, niemieckich i polskich wydań pracy Daviesa.

Na potwierdzenie rzekomych mordów dokonanych przez żołnierzy AK na Żydach, Davies przytacza relację Henryka Bursztyna:

W trzecim lub czwartym tygodniu Powstania weszło do bunkra kilku powstańców i kazali obecnym sześciu mężczyznom pójść ze sobą na komendę. Wyprowadzili ich jednak tylko za bramę, porucznik powstańców powiedział im: „Panowie jesteście Żydami, czekacie na bolszewików. Bolszewicy przyjdą, ale wy ich nie zobaczycie”. I dał rozkaz swoim ludziom (podobno ośmiu lub dziesięciu) zastrzelenia wszystkich sześciu. Trupy wrzucono do dołu wyrwanego przez pocisk, znajdującego się niedaleko domu. Następnie zeszli do bunkra i pozostałe tam kobiety na miejscu zastrzelili.

Brat zamordowanego Ignacego [Bursztyna – JMC] Abram Bursztyn, stale przebywający razem z rodziną w bunkrze, był przypadkiem wtedy nieobecny, a gdy zszedł do piwnicy i usłyszał szmery w bunkrze, cofnął się i ukrył. On to przedstawił przebieg zajścia, a potem dowiedział się, że morderstwa dokonali powstańcy z oddziału Chrobrego²⁵.

Davies nie podaje niestety jednak w przypadku tego tak poważnego zarzutu żadnych innych dokumentów czy relacji, które by go potwierdzały lub odrzucały, co jako historyk powinien obowiązkowo uczynić. Inaczej bowiem trudno jest uznać relację Abrama Bursztyna za wystarczające świadectwo tej rzekomej zbrodni, szczególnie, że nie wspomina o niej ani słowem kpt. Wacław Zagórski („Lech Grzybowski”), dowódca jednego z batalionów zgrupowania „Chrobry II”, w którym służyło kilkunastu żołnierzy pochodzenia żydowskiego o zdecydowanie semickim wyglądem, cieszących się

25. „Powstanie ‘44’”, s. 389-390.

„ogólną sympatią i przyjaźnią współtowarzyszy broni”²⁶. Kpt. Wacław Zagórski nie tolerował pod żadnym pozorem wszelkich przejawów rasizmu i antysemityzmu. Stąd nie ulega kwestii, że nie tolerowałby w swym zgrupowaniu „Chrobry II” rzekomych morderców Żydów z oficerem na czele.

Z drugiej strony, Zagórski podaje, że 27 września 1944 roku doszło na ulicy Twardej, odcinku batalionu kpt. „Hala”, Stanisława Stykowskiego do zamordowania siedmiu Żydówek na tle rabunkowym, ale nie ustalono, kto tej zbrodni dokonał²⁷.

Sprawa rzekomych morderstw Żydów przez powstańców jest sprawą niezwykle zagmatwaną i wymagającą dalszych szerokiach badań i wnikliwych analiz.

Tymczasem jeden z recenzentów „Rising ‘44”, Simon Sebag Montefiore, zapytuje: „czy jest prawdą, że powstanie miało antysemickie aspekty, które polscy historycy ukrywają?”²⁸ Inny recenzent „Rising ‘44”, John Connely twierdzi już, że powstańcy wymordowali kilkudziesięciu Żydów – *several dozen Jews were killed* – oraz szeroko się rozwodzi nad rzekomym polskim antysemityzmem²⁹.

Davies poruszając szeroko sprawę stosunków polsko-żydowskich i wiążąc ją z dziejami Powstania Warszawskiego, wyrządził nam wszystkim, można tak powiedzieć, niedźwiedzią przysługę.

Poglądy i opinie Daviesa o Powstaniu Warszawskim zawarte w „Powstaniu ‘44”, odbiegają całkowicie od jego wcześniejszych ocen Powstania, prezentowanych w jego „God’s Playground” („Bożym igrzysku”) z 1981 roku, co budzi zrozumiałe zdziwienie u czytelnika, znającego obie te prace, szczególnie, że Davies nie wyłuszcza nam, dlaczego jego opinie, zawarte w „Powstaniu ‘44” różnią się diametralnie od głoszonych w „God’s Playground”. W angielskim wydaniu

26. W. Zagórski, „Wicher wolności. Dziennik Powstańca”, Londyn 1957, s. 213.

27. Tamże, s. 293.

28. S. S. Montefiore, „A Great Betrayal”, *New York Review of Books*, Volume LI, Number 12, 15 July 2004, s. 14.

29. J. Connely, „Those Streets over There”, *London Review of Books*, 20 June 2004.

„Bożego igrzyska” (Oxford 1981, t. II, s. 474-475) Davies podkreśla, że Powstanie Warszawskie było największym i „najtragiczniejszym błędem, jaki Polacy popełnili w swych najnowszych dziejach”, oraz że z oczywistych względów nie miało ono żadnych szans powodzenia. Zasady taktyczne na jakich się opierało, były nie tylko błędne, ale wręcz żałosne, a cele polityczne wyzute z wszelkiego realizmu. Ponadto w „God’s Playground” Davies utrzymywał, że gdy Bór-Komorowski wydawał swój rozkaz do Powstania, to jak tonący chwycił się brzytwy.

Norman Davies zaznaczał przy tym, że Bór-Komorowski wiedział wkrótce po wydaniu rozkazu do walki, że jego decyzja była przedwczesna i błędna, a Powstanie było z góry skazane na klęskę, oraz że nie było już czasu na zmianę rozkazów („God’s Playground”, s. 475). Stąd Davies obarczał gen. „Bora” odpowiedzialnością i winą za przedwczesne wywołanie Powstania Warszawskiego i jego nieuniknioną klęskę, chociaż uważał dowódcę AK za człowieka niezwykle odważnego i oddanego sprawie. Ponadto, nieco wcześniej, w londyńskim *The Observer*, w niezmiernie pochlebnej recenzji o pracy o Powstaniu Warszawskim Jana M. Ciechanowskiego, Davies mówiąc o Komendzie Głównej AK z gen. „Borem” na czele, silnie podkreślał, że „wszczęli oni powstanie jako desperacki i nie w porę podjęty akt «prywatnej Realpolitik»”:

Zamierzali oni – kategorycznie stwierdzał Norman Davies – wyrzucić Niemców i uprzedzić Rosjan, ale udało im się jedynie zniszczyć sam kwiat Ruchu Oporu oraz stolicę własnego kraju.

Co więcej, Davies powołując się na gen. Władysława Andersa, wydawał się zgadzać z opinią generała, że „Powstanie było wyraźną zbrodnią³⁰”.

Norman Davies był więc do niedawna bezlitosnym krytykiem Powstania, które było dla niego bezsensownym aktem politycznym i militarnym, a za jego przedwczesny wybuch i upadek winił dowódcę AK i jego ścisły sztab, a nie naszych zachodnich aliantów, jak to obecnie czyni.

30. N. Davies, „The Heroic Self-Destruction”, *The Observer*, 24 February 1974.

Można by więc sądzić, że ówczesne poglądy na Powstanie Warszawskie i jego głównych autorów, z gen. „Borem” na czele, dalekie były od pochlebnych i wydawały się przypominać te, które były głoszone przez oficjalną propagandę w całym bloku sowieckim. Oczywiście Normanowi Daviesowi wolno było zmienić o całe 180 stopni poglądy na Powstanie Warszawskie, ale ktoś inny mógłby powiedzieć, że tego rodzaju zmiany opinii czynią autorzy przewrotni i nader koniunkturalni.

Należy też podkreślić, że Brytyjczycy nigdy nie obiecywali, że udzielą pomocy Powstaniu w Polsce, a zgadzali się tylko i wyłącznie na wspieranie działalności sabotażowo-dywersyjnej i wywiadowczej AK, o czym Davies dzisiaj zapomina.

Dla Brytyjczyków największym wkładem AK do zwycięstwa nad Niemcami była jej na szeroką skalę prowadzona działalność wywiadowcza w Polsce, w Rzeszy i na terenach okupowanych przez Niemców w prawie całej Europie. Wystarczy nadmienić, że aż 44 procent wszystkich wiadomości wywiadowczych, jakie Brytyjczycy otrzymali w czasie całej wojny z terenów zajmowanych przez Niemców, pochodziło ze źródeł polskich, w tym *gros* od wywiadu AK.

Tak długo, jak toczyła się wojna z Niemcami, a Armia Czerwona niosła na swych barkach główny ciężar walk na lądzie, zaś Roosevelt przedkładał współpracę polityczną i militarną z Moskwą nad interesy Polski, a nawet Wielkiej Brytanii, nie mogło być żadnej nawet mowy o nakłonieniu czy zmuszeniu Stalina do udzielenia Warszawie niezbędnej pomocy wbrew jego planom i woli. Davies zapomina o tym wszystkim i twierdzi, że Londyn i Waszyngton mogliby to uczynić, gdyby tylko chcieli.

Polskie wydanie jego pracy wydaje się być – chociaż objętościowo rozszerzone – jakby „ocenzurowane”, gdyż znikły z niego różnego rodzaju rażące i niczym nieuzasadnione aluzje, których było sporo w wydaniu angielskim.

Na przykład z polskiego wydania zniknęła wzmianka Daviesa, że poglądy dwóch starszych profesorów w Oxfordzie polskiego pochodzenia – chodziło tu o Zbigniewa Pełczyńskiego i Leszka Kołakowskiego – przypominały poglądy Stalina na Powstanie Warszawskie, czemu obaj ci znani naukowcy publicznie zaprzeczali na łamach *Polityki* (13 marca

2004). Kardynał Stefan Wyszyński nie jest kapelanem żoliborskich i kampinoskich oddziałów, raczej z przypadku niż z przekonania³¹. A ostatnio zmarły Czesław Miłosz nie jest już pomawiany o kolaborację z Niemcami³².

Tylko mnie Davies nadal zarzuca, że zbyt ostro krytykowałem decyzję podjęcia walki o Warszawę i z tego powodu wydano moją pracę w PRL-u³³.

Zarzuca mi też, że książka moja o Powstaniu Warszawskim nie daje „wiarygodnego obrazu walki”, ale ja przecież o samej walce w czasie Powstania w ogóle nie pisałem. Wręcz przeciwnie, zastrzegałem się, że

Praca ta nie zajmuje się przebiegiem samego Powstania a czysto wojskowa działalność Armii Krajowej jest uwzględniona i omówiona o tyle, o ile wpływała na politykę, postawę i decyzje władz prołondyńskich, które odpowiedzialne były za wywołanie walk w stolicy³⁴.

Co do postawy Stalina wobec Powstania Warszawskiego to pisałem, że oceniał je „jako akt wrogi wobec Rosji”³⁵, oraz dokładnie opisałem postępowanie Rosjan wobec AK w okresie „Burzy” na Kresach Wschodnich – na Wołyniu, w Wilnie i we Lwowie³⁶. Pisałem też w 1971 roku, że bez dostępu do sowieckich źródeł i dokumentów, niezmiernie trudne jest lub wręcz niemożliwe napisanie pełnej historii Powstania Warszawskiego³⁷. Niestety, nawet dzisiaj nie mamy pełnego dostępu do rosyjskich dokumentów, napotykamy na tę samą trudność przy pisaniu historii Powstania, co sam Davies przyznaje³⁸.

Wreszcie, przeciwko publikacji mojej pracy w „integralnej”, „nieokaleczonej”, czyli nieocenzurowanej formie protestowała sowiecka ambasada w Warszawie, co najlepiej świadczy o jej charakterze.

31. „Rising ‘44”, s. 581.

32. Tamże s. 112.

33. Tamże, s. 585 oraz „Powstanie ‘44”, s. 774-775.

34. J. M. Ciechanowski, „Powstanie Warszawskie: Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego”, Londyn 1971, s. 7.

35. Tamże, s. 380.

36. Tamże, s. 221 i dalsze.

37. Tamże, s. 8.

38. „Powstanie ‘44”, s. 16.

Wszystkie te zarzuty Daviesa wobec mnie i mojej pracy są bezpodstawne i powinny zniknąć z jego wszystkich prac o Powstaniu Warszawskim, gdyż zwykła przyzwoitość to nakazuje.

Na koniec muszę, niestety, stwierdzić, że liczba różnego rodzaju błędów w pracy Daviesa jest zbyt duża, aby uważać jego historię Powstania za w pełni wiarygodną. Aby nie być gołosłownym, przytoczę parę jaskrawych przykładów. Józef Retinger nie spotkał się z szefem brytyjskiej dyplomacji, Anthonym Edenem, natychmiast po powrocie z Warszawy, jak tego chce Davies. Spotkał się tylko z Frankiem Robertsem, o czym pisałem jeszcze w 1994 roku, ale niestety Davies nie zna pełnej literatury na temat Powstania³⁹. Co więcej, cała ta historia z rzekomym truciem Retingera wydaje się zmyślona. Szef wywiadu AK, płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki, gorąco zaprzeczał, że miał zamiar zgładzenia Retingera. Janusz Zawodny nie był wcale młodym chłopcem, gdy służył w powstańczych szeregach, gdyż w dniu wybuchu Powstania miał skończonych lat 23. W Warszawie do AK wstąpiło zaledwie 15 procent dorosłych mężczyzn w wieku poborowym, a nie 40⁴⁰ procent, jak Davies podaje. Płk „Sławbor”, Jan Szczurek-Cergowski, nie był majorem i nie dowodził zgrupowaniem „Kryśka”. Był podpułkownikiem i dowodził obwodem Śródmieście – Południe⁴¹. Gen. „Nil”, August Emil Fieldorf nie brał udziału w Powstaniu, jak mylnie Davies utrzymuje⁴².

Więcej błędów nie będę już wyciągał, aby nie zostać oskarżonym o zbytnią pedanterię. Praca Daviesa jest w dużej mierze pracą niestety poronioną.

Jan M. CIECHANOWSKI

39. „Powstanie ‘44’”, s. 300 oraz J. M. Ciechanowski, „Pomoc lotnicza Wielkiej Brytanii dla Powstania Warszawskiego”, Warszawa 1994, s. 6-7 – „Ich rozmowy [Edena z Retingerem – JMC] chyba nie zapisano” – pisze Davies, („Powstanie ‘44’”, s. 300), co jest świętą prawdą, gdyż nigdy się w istocie nie odbyła. Niestety, Davies jest często „na bakier” z faktami.

40. „Powstanie ‘44’”, s. 297.

41. Tamże, s. 752.

42. Tamże, s. 753.

CENNY WKŁAD

Bardzo rzadko się zdarza, aby książka natychmiast po ukazaniu się spowodowała tak wielkie zainteresowanie, jak praca Daviesa, czego dowodem były liczne artykuły, które ukazały się głównie w Anglii, i osobne programy telewizyjne. Działo się to głównie dlatego, że Autor tragiczne dzieje Powstania Warszawskiego, tak mało lub prawie wcale nieznane poza Polską, często na Zachodzie mylone z powstaniem w getcie warszawskim, przedstawił na szerokim tle historycznym, ze szczególnym uwzględnieniem roli, jaką odegrali zachodni sojusznicy Polski – Anglia i Ameryka.

W pracy swej Autor krytykuje zachodnich aliantów Polski, którzy nie przygotowali ani politycznego, ani wojskowego gruntu na wejście Sowieców do Polski, a w czasie Powstania Warszawskiego nie uczynili ani kroku, aby Polsce pomóc.

Praca Daviesa ukazała się w Anglii latem ubiegłego roku, a 1 sierpnia 2004 roku – w 60-tą rocznicę Powstania Warszawskiego – ukazał się jej polski wariant o wiele szerszy od angielskiego i zawierający wiele nowych treści, bliskich czytelnikowi polskiemu. Liczne kopie dokumentów, zamieszczone w książce, mają wielkie znaczenie dla utrwalenia historii Powstania i losów wielu działaczy AK, uczestników Powstania.

Polscy recenzenci, jak np. Adam Zamojski, zwrócili szczególną uwagę na to, iż „prawdziwa zasługa tej książki polega na tym, że wyjmuje ona Powstanie z zaściankowego polskiego kontekstu zagadki, czy było słuszne czy nie, i lokuje je zdecydowanie w samym środku polityki alianckiej, gdzie jest jego prawdziwe miejsce” („Solving the Polish Conundrum”, *Spectator*, 3 XI 2003).

Praca ma charakter całokształtowy. Rozumiem przez to, że Powstanie Warszawskie zostało przedstawione w ścisłym związku z tragicznymi przeżyciami Polaków w latach okupacji

hitlerowskiej, a w końcowych rozdziałach traktuje o losach przywódców AK i uczestników Powstania ujętych przez NKWD i UBP i maltretowanych. Jakże wielu zginęło w więzieniach w Polsce i w ZSSR.

Autor wykazał, że Powstanie trwające 63 dni, dotąd pomijane w literaturze Zachodu, chociaż najdłuższe w Europie w czasie II wojny światowej, było wstępem do zimnej wojny i krokiem zmierzającym do realizacji planów Stalina, mających na celu podporządkowanie sobie Polski i krajów Europy południowo-wschodniej a koalicja zachodnich państw i jej rządy zachowywały się biernie i były pełne uznania dla Stalina. Dla Roosevelta był to „wujek Joe”, przed wyjazdem Mikołajczyka do Moskwy w lipcu 1944 zapewniał go o jak najlepszych intencjach Stalina. Po Stalingradzie i Kursku przywódcy zachodni zdali sobie sprawę z tego, że Armia Czerwona była jedyną właściwie siłą, zdolną do pokonania armii hitlerowskiej.

W nowej sytuacji Polska miała dla nich drugorzędne znaczenie. Nie chcieli dostrzec tego, że Polacy prowadząc walkę przeciw Niemcom chcieli jednocześnie zabezpieczyć Polskę przed planami Stalina, zmierzającego do wprowadzenia ustroju komunistycznego i włączenia Polski w strefę podległą Rosji Sowieckiej.

Stosunek Churchilla i Roosevelta do Powstania świadczy najlepiej, jak wielkie znaczenie miała egoistyczna polityka imperialna mocarstw zachodnich.

Problem ten został szczegółowo naświetlony w pracy, w oparciu o szeroką literaturę przedmiotu. Pewne korekty i uzupełnienia są możliwe w przyszłości, jeśli archiwa poszczególnych państw będą w końcu otwarte i dostępne dla historyków.

Haniebny stosunek państw zachodnich wobec Polski miał już miejsce na długo przed wybuchem Powstania, gdy na konferencji teherańskiej (28 XI - 1 XII 1943) zgodziły się one na żądania Stalina domagającego się przyznania ZSSR wschodnich ziem polskich do linii Curzona, tj. w istocie rzeczy respektowania postanowień paktu Ribbentrop-Mołotow. Ale premier Mikołajczyk nie został o tym powiadomiony aż do 13 X 1944, tj. 10 dni po upadku Powstania.

Churchill zamierzał zmusić Mikołajczyka do zaakceptowania 4 punktów w celu poprawy stosunków ze Stalinem, a mianowicie: przyjąć ustalenie granicy wschodniej wzdłuż linii Curzona, odżegnać się od tego, że Sowieci dokonali zbrodni katyńskiej, zawrzeć ze stworzonym przez Sowiety PKWN-em roboczy układ i wyłączyć z rządu „elementy uważane za reakcyjne i antysowieckie”.

W istocie rzeczy brytyjskie i amerykańskie kręgi rządowe nie wiedziały, jak postępować ze Stalinem, a jak oświadczył wiele lat po wojnie bliski współpracownik Churchilla sir William Deakin: „Polska stała się ponurym sprawdzianem całego brytyjsko-sowieckiego sojuszu”.

Praca Daviesa pozwala zmienić dotychczasowe stanowisko polskiej historiografii, w której dominował wątek obciążenia winą głównie, a nawet jedynie Polski za porażkę w Powstaniu.

Davies reprezentuje pogląd, że należało rozpocząć Powstanie. AK popełniła różne błędy, zwłaszcza na początku. Ale nie były one decydujące dla losu Powstania. Trwało ono 63 dni mimo tych błędów.

„W gruncie rzeczy – pisze on – tragedia Powstania Warszawskiego była skutkiem ogólnego załamania w łonie Wielkiego Sojuszu”.

„Odnieśliśmy – jak stwierdza – znaczne korzyści z podjętych przez Polskę trudów wojennych. Natomiast Polska nie odniosła korzyści z trudów poniesionych przez nas. I to trzeba było powiedzieć”.

Praca Daviesa stanowi cenny wkład do historii Polski w drugiej wojnie światowej.

Emanuel HALICZ



POWSTANIE, KTÓRE NIE POWINNO BYŁO WYBUCHNĄĆ

Na temat Powstania Warszawskiego istnieje obszerna literatura. Nie porusza ona jednak na ogół najbardziej kontrowersyjnego tematu: czy Powstanie miało szanse sukcesu, a jeżeli nie, co sprawiło, że do jego wybuchu dopuszczono? Opublikowana w 2003 r. książka o Powstaniu „Rising '44. The Battle for Warsaw” angielskiego historyka Normana Daviesa jest pod tym względem wyjątkiem. Jej autor sugeruje, że do tragedii upadku Powstania nie doszłoby, gdyby Zachodni alianci włożyli więcej wysiłku w negocjacje ze Stalinem.

Jest oczywiste, że tylko pełna współpraca wojsk sowieckich mogła zapewnić militarny sukces i, że bez niej, Niemcy mogli zdławić Powstanie przy użyciu niewielkiej siły zbrojnej. Zrzuty lotnicze, o które rząd polski i powstańcy zabiegali, mogły tylko przedłużyć agonię walki. Natomiast polityczny cel Powstania mógł być osiągnięty jedynie w wypadku, gdyby Związek Sowiecki uznał prawo Polski do niepodległego bytu.

Stosunki polsko-sowieckie podczas II Wojny Światowej¹

W miesiącach poprzedzających wybuch Powstania 1 sierpnia 1944 r. nie mogło być żadnych wątpliwości, że powyżej

1. Źródła i strony (względnie nr i data gazety), z których pochodzą cytaty lub tekst związany z omawianą sprawą, są zaznaczone literami (jak poniżej) i cyframi w nawiasach.

DP – *Dziennik Polski*, Londyn.

EH – Norman Davies „Europe: A History”, London 1997, 1365 s.

OR – Władysław Anders „Bez ostatniego rozdziału”, wyd. 2, Newton, Wales 1950, 447 s.

R – Norman Davies, „Rising '44. The Battle for Warsaw”, London 2003, 752 s.

SE – Norman Davies „Serce Europy. Krótka historia Polski”, Londyn 1995, 414 s.

SL – Edward Raczyński „W sojusznicy Londynie”, wyd. 2, Londyn 1974, 451 s.

wymienione warunki nie były dla Sowietów do przyjęcia i że, w konsekwencji, tragiczny koniec Powstania był przesądzony.

23 sierpnia 1939 r. Sowiety zawarły układ z Niemcami (pakt Ribbentrop–Mołotow) stanowiący o czwartym rozbiórce Polski i podziale „sfery wpływów” w Europie wschodniej między sygnatariuszy. 17 września 1939 r. Czerwona Armia zaatakowała Polskę i ZSSR okupował przeszło połowę jej terytorium².

W październiku 1939 r. tereny okupowane przez Sowiety zostały anektowane przez Litwę (w 1940 r. włączone do ZSSR) i przez republiki Ukrainy i Białorusi, a polscy obywatele zmuszeni do przyjęcia obywatelstwa sowieckiego.

W 1940 roku Sowiety dokonały „czystki etnicznej” na całym obszarze zajętych w 1939 r. W czterech masowych deportacjach wywieziono w głąb Sowietów około 320 tysięcy polskich obywateli: mężczyzn, kobiet i dzieci. Stalin zastosował tu starą zasadę carów, tzw. *ubezhołowienia*, tj. dosłownie „pozbawienia głowy” polskiego społeczeństwa. Aresztowania, mordy i wywózka do obozów ciężkiej pracy objęły szczególnie pracowników państwowych, intelektualistów, polityków i osoby duchowne, ludzi wykształconych i przedsiębiorczych.

Zaatakowany przez Niemcy w czerwcu 1941 r. Związek Sowiecki przyłączył się do obozu aliantów. W lipcu 1941 r. rząd polski na wygnaniu nawiązał stosunki dyplomatyczne ze Związkiem Sowieckim i zawarł 30 lipca 1941 r. układ podpisany w Londynie przez premiera gen. Władysława Sikorskiego³ i Iwana Majskiego, ambasadora ZSSR, w którym Sowiety udzielały „amnestii” deportowanym obywatelom polskim i zezwalały na formowanie spośród nich wojska polskiego. Jednakowoż układ ten nie wspominał nic o powrocie Polski do jej granic z Sowietami z 1939 r. Brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych stwierdziło, że W. Brytania

2. Należy tu zwrócić uwagę na fakt, że pakt Ribbentrop–Mołotow jest prawdopodobnie jedynym układem jakiego Stalin dotrzymał. Granica, którą przywrócił w 1945 r., przebiegała częściowo tak, jak granica ustalona paktem Ribbentrop–Mołotow w 1939 r.

3. Bez pełnomocnictw i wbrew woli prezydenta Władysława Raczkiewicza. (SL 120)

„nie uznała żadnych terytorialnych zmian po sierpniu 1939”, dodając równocześnie, że „nota nie zawiera żadnych gwarancji dotyczących granic” (R 40).

Wtedy otworzyła się możliwość organizowania Armii Polskiej na terenie Sowietów, a rzesze deportowanych Polaków odzyskały wolność. Jednakże współpraca wojskowa z władzami sowieckimi napotykała na ogromne trudności. Mimo to, począwszy od marca 1942 r. władze polskie zdołały wyewakuować z Sowietów 83 tys. wojskowych i 31 tys. ludności cywilnej na Środkowy Wschód.

W trakcie organizowania wojska polskiego na terenie Sowietów okazało się, że wśród jeńców wojennych wziętych do niewoli lub aresztowanych przez Sowiety po wrześniu 1939 r. i uwolnionych nie ma tysięcy oficerów, a usilne poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Zagadka została rozwiązana dopiero w kwietniu 1943 r., gdy Niemcy odkryli w Katyniu zbiorowy grób 4,5 tys. oficerów z obozu w Kozielsku zamordowanych przez NKWD już w 1940 r.⁴ Stalin oskarżył Niemców o te morderstwa, a na interwencję rządu polskiego, który zażądał dochodzeń w tej sprawie przez międzynarodowy Czerwony Krzyż, odpowiedział 25 kwietnia 1943 r. zerwanym stosunków dyplomatycznych.

Już od 1943 r. Związek Sowiecki był przygotowany na ustanowienie komunistycznego marionetkowego rządu w Polsce. W Moskwie został wówczas zorganizowany Związek Patriotów Polskich. W lipcu 1944 r. kiedy wojska niemieckie ustępowały w odwrocie na Zachód, ten wspierany przez Moskwę rząd tymczasowy (zwany później komitetem lubelskim) przeniósł się do Lublina.

Los Polski został przypieczętowany na konferencjach w Teheranie (28 listopada – 1 grudnia 1943 r.) i Jałcie (4 – 11 lutego 1945). W Teheranie Churchill zaproponował linię Curzona⁵ jako bazę dalszych dyskusji na temat granicy

4. W kwietniu i maju 1940 r. NKWD przeprowadziło likwidację polskich obozów oficerskich w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkwie. W jej wyniku wymordowano ponad 22 tys. osób, głównie oficerów, policjantów i żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza. Dopiero w 1991 r. odkryto zwłoki jeńców ze Starobielska i Ostaszkowa.

5. Sugerowana w lipcu 1920 r. przez lorda Curzona, brytyjskiego mi-

Sowietów z Polską, a Roosevelt zapewnił Stalina, że ustalenie granicy „nie będzie problemem”. Propozycja Churchilla była trzymana w tajemnicy. W parę tygodni później Stalin nie widział powodów, dla których jego plany nie miałyby być ogłoszone. W styczniu 1944 r. moskiewskie *Izwestia* opublikowały artykuł o powojennej granicy Sowietów z Polską i mapę, wskazującą granicę przebiegającą częściowo wzdłuż linii Curzona (R 143-144).

W początku 1944 r. Armia Czerwona, zwana później Sowiecką, przekroczyła raz jeszcze w marszu na zachód granicę Polski. Trzeba było wtedy ustalić odpowiednią strategię dla Armii Krajowej. Zgodnie z planem „Burza” Armia Czerwona miała być przyjaźnie przyjęta, a Podziemny Ruch Oporu miał atakować ustępujące wojska niemieckie i ujawniać się w miarę zbliżania się frontu niemiecko-sowieckiego. Tam gdzie było to możliwe, Podziemie powinno było przejąć zarząd terenów opuszczanych przez Niemców i ułatwiać bezpieczne przejście wojskom sowieckim.

Plan „Burza” był z góry skazany na klęskę.

Jednostki Armii Krajowej, które się ujawniły i usiłowały współpracować z wojskami sowieckimi, były przez nie rozbrajane pod groźbą karabinów i aresztowane, a oficerowie oddzielani od szeregowych. Taki też los podzieliły jednostki Armii Krajowej, które walczyły z Niemcami uwalniając Wilno (12-13 lipca 1944) i Lwów (27 lipca 1944) (R 221).

Nierealny scenariusz odzyskania niepodległości

Ten krótki przegląd lat II wojny światowej wskazuje, że stosunki polsko-sowieckie wciąż się pogarszały, wprowadzanie sowieckich planów ujarznienia Polski postępowało, a zatem jakakolwiek nadzieja na powstanie Polski jako niepodległego państwa w granicach sprzed 1939 r. znikwała. Nie można było

nistra spraw zagranicznych, jako linia demarkacyjna zawieszenia broni między Polską a Sowietami. Linia ta pozostawiała Wilno i Lwów po stronie sowieckiej i przebiegała częściowo (wzdłuż Bugu) tak, jak linia demarkacyjna paktu Ribbentrop-Mołotow z 1939 r. i jak powojenna granica sowiecka.

mieć żadnych złudzeń co do intencji Sowietów.

Jednakże nie tak widzieli przyszłość swojego kraju obywatele polscy, którzy po wrześniu 1939 r. znaleźli się na Zachodzie. Większość z nich wierzyła, że po pokonaniu Niemiec Polska odzyska niepodległość w nienaruszonych granicach z 1939 r. i że wojsko polskie na Zachodzie, rząd na wygnaniu i rzesze uciekinierów powrócą do ojczyzny, gdzie będą brać udział w odbudowie zniszczonego kraju.

Był to nierealny scenariusz, pobożne życzenia, które widziały tylko jednego wroga – Niemcy. Fakt, że połowa terytorium Polski była okupowana przez Związek Sowiecki, i problem odzyskania tych ziem nie były brane pod uwagę. Tym razem, inaczej niż po I Wojnie Światowej, nie było możliwości na utworzenie na terenie Polski wojsk, które mogłyby wyrwać kraj z rąk okupantów. Jedynie silna ofensywa aliancka z terenów pobitych Niemiec mogłaby wyprzeć sowieckiego najeźdźcę. Ale czy można było się spodziewać, że zachodni alianci uwikłają się w jeszcze jedną wojnę ze swoim wschodnim sprzymierzeńcem, którego wkład w pokonanie Niemców był ogromny, po to by uwolnić Polskę i inne państwa okupowane przez Sowiety?

Tragiczna klęska Powstania wymaga spojrzenia na rolę, jaką mógł odgrywać zbrojny opór w kraju przeciwko okupantom.

Zadanie AK i władz podziemnych w okupowanej przez Niemców i Rosjan Polsce było oczywiste: sprowadzało się do walki z najeźdźcami i ich nękania, chronienia narodu, udzielania mu rzetelnych informacji i podtrzymywania ducha. Sytuacja ta uległa drastycznej zmianie w 1944 r., kiedy to wojska sowieckie, znajdujące się od 1941 r. w obozie alianckim, przekroczyły granicę 1939 roku i znów weszły na terytorium Polski. Trudno było walczyć z najeźdźcą, który od kilku lat był sojusznikiem, a przecież równie niemożliwym było udzielanie mu wsparcia i współpracy w jego intencjach zagrabienia połowy ziem polskich i działania przeciw powstaniu niepodległej Polski. W tych warunkach, zbrojny opór możliwy był tylko na terenach zajętych przez Niemców i tylko w miarę ich odwrotu.

W przeciwieństwie do opinii rządu i władz wojskowych w Londynie, AK i władze podziemne nie mogły odegrać żad-

nej roli w uwolnieniu i odbudowie Rzeczypospolitej Polskiej.

Trudno pojąć, że rząd polski na wygnaniu, jego przedstawiciele w kraju i kierownictwo AK mogli do tego stopnia pomylić się w ocenie zamiarów i celów Związku Sowieckiego i pozwolić na wybuch Powstania. Ale już zaprzeczeniem wszelkiego rozsądku jest fakt, że znając historię stosunków polsko-sowieckich i jak najdalej posuniętą wrogość Sowieców do powstańców Warszawy, w ponad 5 miesięcy od upadku Powstania przedstawiciele i delegaci rządu w kraju przyjęli 20 marca 1945 r. sowieckie zaproszenie na rozmowy do Moskwy. Wpadli w pułapkę. Podstępnie aresztowani przez władze sowieckie, przewiezieni zostali do Moskwy, tam osądzeni i skazani na wieloletnie więzienie.

Próby zbliżenia z Sowiecami

Twierdzi się, że po latach niemieckich okrucieństw i przygotowań Podziemia do akcji powstańczej, odwrotu Niemców, a równocześnie obecności Czerwonej Armii na drugim brzegu Wisły, nastroje społeczeństwa były takie, że trudno było powstrzymać wybuch Powstania.

Byłoby to tylko łatwym usprawiedliwianiem polskich władz politycznych i wojskowych, które błędnie oceniały politykę Sowieców i tym samym dezinformowały Podziemie. Polscy przywódcy padli ofiarą własnej propagandy, która miała także wpływ na polską społeczność cywilną i wojskową na Zachodzie.

Premier gen. Władysław Sikorski i jego rząd, po upadku Francji, a następnie po ataku Niemiec na Sowiety w czerwcu 1941 r., próbowali zbliżenia z Sowiecami. Następca gen. Sikorskiego, premier Stanisław Mikołajczyk, kontynuował tę samą politykę.

Pierwszą próbą porozumienia z Sowiecami był memoriał do premiera Churchilla podsunęty gen. Sikorskiemu 19 czerwca 1940 r. podczas jego krótkiej wizyty w Londynie (18-20 czerwca), na trzy dni przed upadkiem Francji. Memoriał ten był opracowany przez Stefana Litauera, korespondenta Polskiej Agencji Telegraficznej w Londynie w wy-

niku jego kontaktów z prasowym agentem sowieckim, który sugerował nawiązanie nieoficjalnych kontaktów między rządem polskim a Moskwą w celu „wykorzystania wyszkolonego materiału wojskowego polskiego na wypadek starcia sowiecko-niemieckiego”.

Projekt memoriału zapewniał o przyjaznej polityce Polski w stosunku do Związku Sowieckiego (będącego wtedy sojusznikiem Niemiec!), wyrażał zgodę na częściową rewizję granicy sowiecko-polskiej z 1939 r. i na przemarsz sowieckich wojsk przez terytorium Polski okupowane wtedy przez Niemcy, mówił o możliwości utworzenia 300 tysięcznej armii z polskich obywateli znajdujących się na terenie Związku Sowieckiego w celu prowadzenia wojny przeciw Niemcom, wspólnemu (sic!) wrogowi.

Konsultowany przez gen. Sikorskiego Edward Raczyński, od listopada 1934 r. ambasador Polski w Wielkiej Brytanii, uznał, że „ten dokument jest nie do użycia i nie do przyjęcia”. Stonowana jego wersja, zredagowana przez Raczyńskiego na polecenie gen. Sikorskiego, była doręczona tegoż dnia Lordowi Halifaxowi, brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych. Nowy tekst podkreślał, że nie może być interpretowany jako zrzeczenie się przez Polskę nienaruszalności jej praw pogwałconych przez sowiecką agresję, nie mówił nic o rewizji granic i przemarszu wojsk sowieckich oraz sugerował utworzenie 300 tysięcznej armii polskiej w Związku Sowieckim. Delegat rządu polskiego przy ambasadzie brytyjskiej w Moskwie miał rozpatrzyć możliwości tego projektu z władzami sowieckimi.

Ta niefortunna inicjatywa nie wymagała od Sowietów odwołania agresji na Polskę. Powzięta przez gen. Sikorskiego bez wiedzy rządu ani ministra spraw zagranicznych A. Zaleskiego oceniona była jako krok prosowiecki. Zaalarmowanie tą wiadomością polskiej opinii w W. Brytanii spowodowało 25 czerwca wycofanie memoriału przez min. Zaleskiego (SL 70-75)⁶.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 r.

6. Sprawę memoriału omawia obszernie Władysław Pobóg-Malinowski: „Najnowsza Historia Polityczna Polski 1864-1945”, t. III, „Okres 1939-1945”, Londyn 1960, s. 150-158.

i natychmiastowa oferta Churchilla współpracy ze Związkiem Sowieckim dały gen. Sikorskiemu następną okazję szukania zbliżenia z Sowiecami. Już nazajutrz po wybuchu konfliktu gen. Sikorski oświadczył w przemówieniu do Kraju, że „w polityce międzynarodowej zniknie zagadnienie polsko-rosyjskie” i że „w tej chwili możemy chyba przypuszczać, że Sowiety uznają za niebyły pakt zawarty z Niemcami w roku 1939” (DP nr 292, 24.6.1941). Po podpisaniu umowy z Sowiecami powiedział 31 lipca 1941 r., że „Nie dopuszcza ona jednak sugestii, by stały pod znakiem zapytania granice państwa polskiego sprzed września 1939 r. Nie dopuszcza rezygnacji z czegokolwiek przez Polskę” (DP nr 325, 1.8.1941).

Dziennik *Izwestia* z miejsca zareagował na tę interpretację układu. W odpowiedzi gen. Sikorskiemu *Izwestia* stwierdziły 3 sierpnia 1941 r., że Polska padła w 1939 r. „gdy współpracowała z reakcyjnymi potęgami, dążącymi do niszczenia rewolucji... Jasnym jest, jak słusznie postąpił rząd sowiecki, nie pozwalając na zajęcie zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi przez faszyzm...” A co do granic, to „zmiany terytorialne nie są wieczne i nie są wieczne granice. Nie można twierdzić, że granica polsko-sowiecka z 1939 r. jest niewątpliwa... Sprawa przyszłych granic Polski z ZSSR to sprawa przyszłości...” (DP nr 330, 7.8.1941). Minister Stanisław Stroński, socjalista Herman Liberman i inni wtórowali pobożnym życzeniom gen. Sikorskiego. W odpowiedzi na artykuł *Izwestii* z 3 sierpnia, min. Stroński oświadczył, że to „wojskowo-polityczne pobudki chwilowe” tłumaczą zajęcie wschodniej Polski przez Sowiety (DP nr 330, 7.8.1941).

Ambasador Edward Raczyński w memoriale przesłanym 1 lipca 1941 r. do gen. Sikorskiego oraz ministra spraw zagranicznych A. Zaleskiego pisał (SL 120-121):

Przebieg wojny rosyjsko-niemieckiej, pozwalający przewidzieć w najbliższych już dniach wyparcie wojsk sowieckich z terytorium polskiego, nasuwa następujące uwagi... Decyzja co do naszych granic wschodnich nie będzie w chwili zwycięstwa zależała od ZSRR, który będzie w niedalekiej przyszłości już całkowicie rozgromiony i rozbity na kilka organizmów politycznych, lub będzie przynajmniej wyparty poza granice Polski z r. 1939. Będzie zależała od państw zwycięskich, a w tym gronie praw-

dopodobnie w pierwszym rządzie od Stanów Zjednoczonych obok Wielkiej Brytanii.

Czy można było się bardziej pomylić przepowiadając przyszłość granicy polsko-sowieckiej?

Pomimo zerwania przez Sowiety stosunków dyplomatycznych w 1943 r. po wykryciu grobów w Katyniu, premier Stanisław Mikołajczyk wciąż usiłował nawiązać stosunki ze Stalinem i uzyskać poparcie Churchilla i Roosevelta. Już w styczniu 1944 r. wysiłki te zostały stanowczo odrzucone przez Stalina, który odmawiał prowadzenia rozmów z polskim rządem. Stalin wymagał zgody Polaków na granicę oddającą Sowiетom połowę terytorium Polski i żądał zmian personalnych w rządzie i na stanowisku naczelnego wodza. Churchill i Roosevelt naciskali na Mikołajczyka, by uległ żądaniom Stalina. W czerwcu 1944 r. Mikołajczyk złożył wizytę Rooseveltowi. „Stalin nie jest imperialistą”, mówił Roosevelt, „jest on realistą. Stalin nie chce was pozbawić wolności. Nie odważyłby się na taki krok wiedząc, że rząd Stanów Zjednoczonych stoi twardo przy was. Ja dopilnuję by kraj wasz wyszedł z tej wojny bez uszczerbku”. Roosevelt nie wykluczał, że Stalin zaakceptuje jakieś kompromisowe rozwiązanie, by Lwów i Wilno nie musiały być utracone. Najwyższe dowództwo zachodnich sił alianckich zostało poinformowane o przygotowaniach do Powstania. Nikt nie sugerował, by te przygotowania zostały wstrzymane (R 66-67).

Pomimo że rząd polski w Londynie, jego delegaci w kraju i AK byli dobrze poinformowani o klęsce „Burzy” na terenach już okupowanych przez Sowiety w ich marszu na zachód, zdecydowano się na Powstanie. Na skutek zaleceń dowództwa Armii Krajowej decyzja taka zapadła 25 lipca 1944 r. na zebraniu rządu w Londynie i przekazana Warszawie nazajutrz. Akcja miała być ściśle ograniczona do Warszawy, a czas wybuchu i ostateczny rozkaz do rozpoczęcia Powstania zostawiono do decyzji delegata rządu w Warszawie (R 224). W dniu 1 sierpnia 1944 r. Powstanie wybuchło. Po 63 dniach krwawej walki, 2 października, Warszawa skapitulowała.

Hitler w furii rozkazał, aby w zbuntowanym mieście nie pozostał ani jeden kamień na kamieniu. Systematyczne wy-

burzanie trwało 3 miesiące, podczas których wojska sowieckie biernie się temu przyglądały z przeciwnego brzegu. Wstąpiły do pustych, milczących, śniegiem pokrytych ruin dopiero 17 stycznia 1945 r. (EH 1041-1042).

Wizyta Mikołajczyka w Moskwie, dokąd przybył 30 lipca 1944 r., tj. na dwa dni przed wybuchem Powstania, nie dała żadnych rezultatów. Ambasador brytyjski w Moskwie doradzał Mikołajczykowi, by przyjął wszystkie żądania Stalina włącznie z akceptacją linii Curzona oraz sowieckiej wersji morderstwa polskich jeńców w Katyniu. Stalin zaś zalecił premierowi porozumienie z komitetem lubelskim i nie czynił żadnych obietnic w sprawie niesienia pomocy Powstaniu w Warszawie (R 273-274).

Działalność Mikołajczyka, który w 1945 r. dołączył do Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zakończyła się w 1947 r. kiedy, denuncjowany jako szpieg, uciekł potajemnie z Polski do Stanów Zjednoczonych.

Naczelny Wódz i Powstanie

Gen. Kazimierz Sosnkowski, naczelny wódz, nie podzielał optymizmu premiera Mikołajczyka co do dobrej woli Stalina ani łaskawości Zachodu. Na naradzie z premierem i ministrem obrony narodowej w Londynie w dniu 3 lipca 1944 r. przedstawił swoje poglądy, streszczone poniżej:

1. Zbrojny opór AK przeciw Sowiecom jest zabroniony.
2. W wypadku gdyby Sowiety odmówiły uznania przedstawicieli rządu na wygnaniu, należy przerzucić jednostki AK na tereny okupowane przez Niemców.
3. Gdyby nie doszło do polsko-sowieckiego porozumienia, powszechne powstanie przeciw Niemcom jest wykluczone.

Ten ostatni punkt podsumowuje następujący cytat:

Powstanie bez uprzedniego porozumienia z Sowiecami zawartego na godziwych warunkach i bez pełnej, szczerzej i rzetelnej współpracy z Armią Sowiecką byłoby odruchem pozbawionym politycznego sensu, a pod względem wojskowym niczym innym jak aktem rozpacz (R 211).

Pod koniec powyższego spotkania, wbrew protestowi premiera i ministra, gen. Sosnkowski potwierdził swój zamiar wyjazdu do jednostek 2 Korpusu gen. Władysława Andersa we Włoszech; wyjechał 11 lipca (R 212), dwa tygodnie przed decyzją rządu zezwalającą na Powstanie.

Przed wyjazdem gen. Sosnkowski wysłał 7 lipca depeszę do gen. Bora-Komorowskiego, komendanta AK, która potwierdzała zalecenia uprzednio przedstawione premierowi, ale równocześnie informowała, że

w razie zmiany warunków, stan pogotowia powinien być utrzymany oraz, że jeśli przez szczęśliwy przypadek w ostatnich chwilach odwrotu Niemców a przed wkroczeniem oddziałów sowieckich powstaną szanse choćby przejściowego i krótkotrwałego opanowania przez AK jakiegokolwiek większego centrum lub pewnego ograniczonego choćby obszaru, należy to uczynić i wystąpić wobec Sowietów w roli pełnoprawnego gospodarza.

Jak zauważa prof. Davies, gen. Bór mógł uważać, że określenie „większe centrum” obejmuje też Warszawę (R 212).

W czasie pobytu na froncie włoskim gen. Sosnkowski pozostawał w stałym kontakcie z gen. Stanisławem Kopańskim, swoim szefem sztabu w Londynie, poprzez którego przysyłał instrukcje do gen. Bora. Jak się później okazało, depesze z dyrektywami naczelnego wodza były wysyłane ze skrótami, opóźniane lub zatrzymywane. I tak depesza naczelnego wodza wysłana z Ancony 23 lipca dotarła do Warszawy z trzydniowym opóźnieniem i trzema skrótami. Jedna z tych depesz mówiła: „W obliczu szybkich postępów okupacji sowieckiej należy dążyć to zaoszczędzenia substancji biologicznej narodu wobec podwójnej groźby eksterminacji”. Depesza z 28 lipca zawierająca zdanie „Powstanie zbrojne byłoby aktem pozbawionym politycznego sensu, mogącym spowodować niepotrzebne ofiary” została wstrzymana z powodu jej niezgodności z uchwałami rządu powziętymi bez udziału gen. Sosnkowskiego trzy dni wcześniej (R 213).

29 lipca gen. Sosnkowski wysłał jeszcze jeden telegram do gen. Bora, w którym raz jeszcze potwierdzał swoje twarde stanowisko przeciwne Powstaniu (OR 273). Jednakowoż

żadna z depeš do AK nie zawierała stanowczego rozkazu zabraniającego Powstania. Wyrażały one jedynie dyrektywy naczelnego wodza i ich uzasadnienia.

Dopiero po powrocie do Londynu 6 sierpnia, gen. Sosnkowski dowiedział się, że jego instrukcje dotyczące Powstania były ignorowane i że depeše do Kraju manipulowane. Złożył w tej sprawie ostry protest na ręce prezydenta, który pod naciskiem premiera, Brytyjczyków i Stalina, 30 sierpnia zdymisjonował go ze stanowiska naczelnego wodza i mianował na jego miejsce gen. Bora.

Usiłowania gen. Sosnkowskiego w kierunku powstrzymania wybuchu Powstania nie powiodły się. Mając do czynienia z premierem i rządem, którzy nie postępowali według jego dyrektyw, gen. Sosnkowski udał się do Włoch. Nie było go w Londynie w czasie najbardziej kluczowych zdarzeń podczas kilku tygodni przed wybuchem Powstania i nie brał już udziału w podejmowaniu decyzji, jakie zapadały w tym krytycznym okresie. Nic w tym dziwnego, że jego dyrektywy dla Armii Krajowej nie były przekazywane Warszawie, skoro nie zgadzały się one z linią obroną przez rząd.

A więc, jeżeli nie był w stanie przekonać rządu do uznania swojego punktu widzenia, to powinien był ustąpić ze stanowiska, a następnie publicznie ogłosić, że powodem rezygnacji była jego opozycja przeciw zezwoleniu na wybuch Powstania.

Alternatywy kłęski Powstania

W miesiącach i tygodniach przed wybuchem Powstania wśród polskich przywódców politycznych i wojskowych nie znalazł się nikt, kto posiadałby wizję przyszłości, kto miałby odwagę stwierdzenia beznadziejnej sytuacji politycznej Polski i podjęcia decyzji, która by zapobiegła niechybnej tragedii, jaką było Powstanie.

Można byłoby zastanowić się nad inną alternatywą zbliżenia ze Związkiem Sowieckim niż obroną przez gen. Sikorskiego i premiera Mikołajczyka. Chociaż inicjatywa gen. Sikorskiego okazała się polityczną kłęską (nie spowodowała re-

zygnacji Sowietów ze zdobyczy 1939 roku i nie doprowadziła do nawiązania przyjaznych stosunków), ale przynajmniej z punktu widzenia humanitarnego była sukcesem: przyniosła wolność tysiącom polskich obywateli, którzy w 1941 r. zostali zwolnieni z więzień i obozów pracy.

Ale nie wolno było prowadzić polityki układania się z Sowietami za wszelką cenę.

Być może, że gdyby premier Mikołajczyk nie starał się negocjować ze Stalinem po odkryciu grobów oficerów pomordowanych w Katyniu i zerwaniu przez Sowiety stosunków dyplomatycznych z rządem polskim, Armia Krajowa, nie wprowadzona w błąd, nie liczyłaby na wsparcie armii sowieckiej i może wówczas do Powstania by nie doszło. Uratowałoby to ponad 200 tysięcy istnień ludzkich przed śmiercią i stolica nie ległaby w gruzach.

Pobożne życzenia Normana Daviesa

Od przeszło trzydziestu lat dzieje Polski nie przestają być pasją brytyjskiego historyka profesora Normana Daviesa. Jego kolejna praca o tematyce polskiej. „Rising ‘44: The Battle for Warsaw” jest obszernym i bogato ilustrowanym studium Powstania Warszawskiego. Norman Davies nie tylko przedstawia szczegółowo przebieg Powstania, ale daje obraz sytuacji i odtwarza atmosferę, jaka panowała przed jego wybuchem i po kapitulacji, aż do roku 2000, to jest do kresu życia większości powstańców. Toteż dzieło to jest specjalnie cenne dla obcego czytelnika, któremu historyczne tło Powstania nie jest znane. Tekst dopełniają mapy, statystyki i dokumenty oraz kilkadziesiąt wyjątków wspomnień, listów i pamiątek, doskonale oddających ducha czasów Powstania.

W końcowym rozdziale „Rising ‘44” prof. Davies sugeruje, że klęski Powstania można było uniknąć, gdyby zachodni alianci wykazali większą inicjatywę w negocjacjach ze Stalinem. Ta zaskakująca konkluzja nie bierze pod uwagę niezmiennych celów polityki Sowietów w stosunku do państwa i narodu polskiego, szczególnie, że zachowanie się Sowietów i

próby negocjacji z nimi, opisane przez samego prof. Daviesa, zaprzeczają jego tezie.

Doprowadzenie do Powstania Warszawskiego, a potem nieudzielenie żadnej pomocy powstańcom były oczywiście zgodne z interesem Sowietów. Prowadziły – bez ich udziału i ofiar – do wyniszczenia najbardziej patriotycznego elementu społeczeństwa polskiego, do strat wśród armii niemieckiej i zburzenia Warszawy, stolicy niepodległej Polski. Czyż można przypuszczać, że negocjacje mogłyby skłonić Stalina do rezygnacji z tak korzystnych dla Sowietów perspektyw?

Według prof. Daviesa to nie brak pomocy ze strony Sowietów, ale „brak działania Koalicji Alianckiej zdecydował o klęsce Powstania” (R 622)⁷.

Jeżeli w Londynie i Waszyngtonie spodziewano się wybuchu Powstania, to dlaczego – zapytuje prof. Davies – nie zwrócono się zawczasu do Moskwy, aby otrzymać potrzebne zapewnienia dla izolowanego polskiego alianta? Albo dlaczego, ponieważ Moskwa niewątpliwie oczekiwała Powstania w stolicy sprzymierzeńca zachodnich mocarstw, sowieckie władze nie próbowały dyskusji w tej materii z przywódcami Zachodu, albo nawet nie usiłowały uzyskać lokalnego [?] porozumienia? (R 623-624)

Prof. Davies odpowiada na te pytania na następnej stronie, gdzie opisuje

niezwykle brutalną i stanowczą postawę Stalina od momentu wejścia [Armii Sowieckiej] na teren Polski zimą 1943-44. Celem Stalina było zajęcie połowy terytorium kraju i radykalna zmiana

7. Prof. Davies wymienia szereg elementów, które się odbiły negatywnie na przebiegu Powstania. Są to (R 620):

– Poważnieni przywódcy wychodzącego rządu w Londynie dali do wódcom Podziemia wolną rękę, jeżeli chodzi o czas i moment ostatecznego rozkazu, tracąc w ten sposób kontrolę nad rozwojem wypadków.

– Wybór godziny 17 jako „godziny W” spowodował wielkie zamieszanie i zmniejszył możliwość wykonania zadań, które mogły być osiągnięte przez zaskoczenie.

– Z powodu instrukcji o wyprowadzeniu broni z Warszawy, AK przystąpiła do walki z dotkliwie ograniczonym uzbrojeniem.

Ponieważ sukces Powstania zależał całkowicie od stanowiska Sowietów, powyżej wymienione braki przez prof. Daviesa mogły mieć wpływ na długość trwania walk, ale nie na ich wynik.

rządu. Zainstalował marionetkowy komitet, rozkazał wyeliminować wszystkich żołnierzy i funkcjonariuszy lojalnych wobec legalnych władz [polskich]... odrzucił plan Rokossowskiego uwolnienia Warszawy, przeciwdziałał wysiłkom Zachodu dostarczenia pomocy i zwrócił główną ofensywę Sowietów na Bałkany... (R 625)

A mimo wszystko prof. Davies wierzy, że może

Stalin... byłby bardziej skłonny do ustępstw gdyby spotkała go stanowcza postawa Zachodu... nie jest zupełnie wykluczone, że mógłby uzyskać porozumienie z premierem [Stanisławem] Mikołajczykiem na początku sierpnia [1944 r.] gdyby Mikołajczyk był odpowiednio pouczony i poparty... Można jedynie stwierdzić, że nieugięta postawa Stalina stawała się jeszcze bardziej twarda w miarę jak okazywało się oczywiste, że Zachodni partnerzy nie mają zamiaru proponować własnej alternatywy. Dopóki opanowanie Polski nie pociągało kosztów, Stalin nie zmieniałby swej postawy (R 625).

Dlaczego Stalin miałby ulegać naciskom aliantów? Cóż by uzyskał będąc przyjaznym polskiemu rządowi w Londynie, który sprzeciwiał się jego planom wobec Polski? Twarda linia Stalina nigdy się nie zachwiała od czasu układu z Hitlerem. Jaką alternatywę w sprawie Polski mógł Zachód zaproponować Stalinowi?

Prof. Davies nie daje odpowiedzi na te pytania, ale słusznie zauważa, że tylko determinacją Zachód mógł grozić Stalinowi (R 625). Byłoby jednak dużą naiwnością sądzić, że determinacja aliantów zmiękczyłaby determinację Stalina⁸.

Spekulacje prof. Daviesa należą do bardzo pobożnych życzeń i świadczą też o braku jego konsekwencji, jeżeli się zważy, że w pracy „Serce Europy: Krótka historia Polski”, która ukazała się po angielsku w 1984 roku, prof. Davies nie zauważa braku wysiłków negocjowania ze Stalinem zarówno przez rząd polski, jak i zachodnich aliantów. Píše, że chociaż

8. Zachodni Alianci mogli grozić Stalinowi jedynie wstrzymaniem pomocy. Byłoby to jednak sprzeczne z ich naczelnym celem, jakim było maksymalne wykorzystanie Sowietów do walki z Niemcami.

oficjalna linia rządu polskiego odkładała dyskusję nad zmianami terytorialnymi do planowanej konferencji pokojowej, faktem jest, że zarówno Sikorski, jak i Mikołajczyk prowadzili długie negocjacje na temat przyszłych granic Polski... Odkąd Stalin upewnił się w 1943 roku, że Sowiecka Armia zapanuje nad całą wschodnią Europą, ciągle odmawiał przyjęcia jakiegokolwiek innego rozwiązania [sprawy] granic Polski prócz tego, jakie sam podyktował. Kreml kategorycznie domagał się, aby państwa sprzymierzone przywróciły ZSRR dawną granicę carskiej Rosji (tak jak to uzgodniono z Niemcami w 1939 roku), nazwaną teraz uprzejmie linią Curzona. Co gorsza, w nielicznych miejscach, gdzie linię Curzona różnie można było interpretować, strona sowiecka wzbraniała się przed jakimkolwiek gestem wielkoduszności wobec swoich polskich oponentów. Na konferencji w Teheranie Anthony Eden, brytyjski minister spraw zagranicznych, był gotów poprzeć polskie żądania w sprawie Lwowa i Wilna. Mołotow z furią zaatakował tę propozycję. W rezultacie Polakom odmówiono choćby minimalnego ustępstwa, które mogłoby przywrócić zaufanie do przebiegu obrad Sprzymierzonych i nieco poprawić charakter stosunków polsko-sowieckich po wojnie (SE 108-109).

Prawdopodobieństwo sukcesu w negocjacjach ze Stalinem, zalecanych retrospektywnie przez prof. Daviesa, można ocenić przez spojrzenie na rozwój sytuacji w Polsce po Powstaniu, opisany w tejże samej pracy. W „Sercu Europy” czytamy:

Ostateczną rozprawę między obozem prosowieckim a zwolennikami rządu polskiego zainscenizowano w godzinie zwycięstwa Europy nad Niemcami hitlerowskimi. Ludzi polskiego ruchu oporu, którzy walczyli przeciwko tyranii hitlerowców dłużej niż ktokolwiek inny, wykańczał jeden ze Sprzymierzonych w czasie, gdy pozostałe państwa sojusznicze świętowały zwycięstwo... A przecież z... całą Polską powaloną przez armię sowiecką, Sowieci nie mieli obiektywnej potrzeby, aby się mścić... Wypróbowane kanony sowieckiej kultury politycznej wymagały jednak, aby pokonanych przeciwników rytualnie poniżyć i wychłostać... W czerwcu 1945 roku, gdy świętowano założenie [Organizacji] Narodów Zjednoczonych... przywódcy polskiego wojennego ruchu oporu zostali postawieni przed sądem w Moskwie jako przestępcy wojenni... napiętnowano [ich] publicznie jako „dywersantów i wywrotowców”, oskarżono o kolaborację z hitlerowcami i utrudnianie walki Aliantów z Niemcami. Sowieckie organy bezpieczeństwa aresztowały dziesiątki tysięcy [członków Armii Krajowej]... Wielu zesłano

do obozów w ZSRR, gdzie niektórzy pozostawali do niedawna. Znaczniejsze osobistości stawiano przed sądem i skazywano w tajnych procesach jeszcze w latach pięćdziesiątych (SE 102-103).

Podobny obraz maluje prof. Davies w „Rising ‘44”:

Polityczny program nowego reżymu... opierał się na nienawiści, fałszu i sile. Jak luminarze reżymu z czasem przyznali, było wykluczone aby pozwolili na margines wolności politycznej, gdyż wtedy utraciliby momentalnie władzę. A więc zachowywali fasadę demokratycznej odbudowy [kraju], opierając się na prymitywnym zniewoleniu. „Wolne i nieskrępowane” wybory, obiecane w układzie zawartym w Jałcie, nigdy się nie odbyły. Zastąpiło je w lipcu 1946 roku symulowane referendum, którego rezultaty były z góry ustalone. Wybory w styczniu 1947 roku były oczywiście wygrane przez blok rządowy; to było następne zwycięstwo partyjnego „departamentu matematyki”. Nastąpiła likwidacja, względnie przymusowe połączenie, wszystkich pozostałych partii opozycji, których członkowie byli systematycznie atakowani w kampanii pobić, niewytłumaczalnych zniknięć, zabójstw i sądowych morderstw. Gra dobiegła końca gdy w 1947 roku skończył się opór Podziemia, a były premier Mikołajczyk był zmuszony uciec aby ratować swe życie (R 511).

Jak to opisał prof. Davies, Stalin był brutalny i bezwzględny wprowadzając sowiecką „kulturę polityczną” w Polsce i nie dotrzymywał zobowiązań wobec aliantów. Jakżeż więc może prof. Davies wierzyć, że negocjacje ze Stalinem mogły doprowadzić do zmiany stanowiska Sowietów wobec Powstania? Jak w ogóle można było wierzyć w dobrą wolę Stalina, mordercy tysięcy polskich oficerów?

Zachodnie demokracje odkryły prawdziwe oblicze Sowietów dopiero po wojnie, gdy Stalin przystąpił do organizacji swych satelitów. Jest zadziwiające, że dzisiejsze poglądy prof. Daviesa odpowiadają poglądom zachodnich aliantów z czasu wojny, gdy uważano Sowiety za wiarygodnego partnera (zapominając, że tylko dzięki Hitlerowi stał się członkiem alianckiej koalicji), z którym można się układać i negocjować. Pobożne życzenia w tym względzie były wtedy udziałem Roosevelta i, może w mniejszym stopniu, Churchilla, ale także Sikorskiego i Mikołajczyka, którzy właśnie próbowali negocjować z Sowietami.

Najbardziej jaskrawym przykładem błędnej oceny postępowania Sowietów jest komentarz prof. Daviesa dotyczący obłudnych sowieckich emisji radiowych skierowanych na Warszawę (prof. Davies zamieszcza teksty emisji z 29 i 30 lipca 1944 r. – R 164-165).

Dwa dni przed wybuchem Powstania, 29 lipca moskiewska polskojęzyczna stacja radiowa wystąpiła z „Wezwaniem do Warszawy”, zachęcającym ludność stolicy do walki o wyzwolenie miasta:

Walczcie przeciwko Niemcom! Warszawa bez wątpienia słyszy już huk armat w bitwie, która wkrótce przyniesie jej wyzwolenie... Dla Warszawy, która nigdy się nie poddała i nigdy nie ustała w walce, godzina czynu wybiła... Nie wolno zapomnieć, że w potopie zagłady hitlerowskiej przypadnie wszystko, co nie będzie ocalone czynem, że bezpośrednio czynną walką na ulicach Warszawy, po domach, fabrykach, magazynach, nie tylko przyśpieszamy chwilę ostatecznego wyzwolenia, lecz ocalamy również majątek narodowy i życie naszych braci.

Następnego dnia sowiecka stacja „Kościuszko” nadała w języku polskim:

Warszawa drży w posadach od ryku dział. Wojska sowieckie nacierają gwałtownie i zbliżają się już do Pragi. Nadchodzą, by przynieść wam wolność. Niemcy, wyparci z Pragi, będą usiłowali bronić się w Warszawie... Ludu Warszawy! Do broni!... Uderzcie na Niemców... Milion ludności Warszawy niechaj się stanie milionem żołnierzy, którzy wypędzą niemieckich najeźdźców i zdobędą wolność” (OR 307-308, R 164-165).

Kontrolowane przez rząd sowiecki media – pisze prof. Davies – otrzymały polecenie zachęcania do Powstania. Rozmyślnie utwierdzały Warszawiaków w przekonaniu, że rząd sowiecki odnosi się do powstania przychylnie. A więc niemożność uzyskania dokładnych obietnic pomocy nie była krytycznym zagadnieniem. Takie obietnice były pożądane i mogły być otrzymane, gdyby Zachodni Alianci zwrócili się bardziej energicznie do Sowietów w odpowiednim czasie. Ale brak obietnic nie oznaczał, że pomoc nie mogła być nigdy otrzymana. Wojna jest pełna niespodzianek (R 623).

Chyba nie w tym wypadku.

Obłudne oświadczenia Sowietów popierające Powstanie prof. Davies interpretuje jako wskazanie, że pomoc mogłaby być otrzymana. Jakżeż można się spodziewać, że Sowiety będą wspierać „bandę kryminalistów”? – bo tak, jak zauważa prof. Davies (EH 1041), radio Moskwa nazywało przywódców Powstania po jego wybuchu.

A jeszcze bardziej zadziwiający jest porównywanie przez prof. Daviesa wyzwolenia Paryża do wyzwolenia Warszawy.

W lecie 1944 r. Paryż, tak jak Warszawa, oczekiwał wyzwolenia. Zbliżały się zwycięskie armie Aliantów. W ogólnej sytuacji było wiele podobieństw. Niemcy byli w ostrym odwrocie. Po okrutnej okupacji, wielu mieszkańców pragnęło zemsty. Ruch oporu miał nadzieję zadać decydujący cios i również uzyskać powojenne polityczne zyski (R 232, 234).

Przecież prof. Davies wie dobrze, że zwycięska armia alianta zachodu przynosiła Warszawie i Polsce nie wolność, ale okrutną okupację sowiecką i rząd na usługach Moskwy.

Rozważając stanowisko zachodnich aliantów wobec Sowietów, prof. Davies zauważa, że w ciągu całego okresu Powstania

nie dawały [one] wiary żadnym informacjom nieprzychylnym systemowi sowieckiemu. Po prostu odmawiały spojrzenia prawdzie w oczy (R 631).

Dlaczego więc idzie w ich ślady przypisując klęskę Powstania niedostatecznym wysiłkom Zachodu w negocjacjach z rzekomo przychylnym Stalinem, i dlaczego jest tak niekonsekwentny w swoich konkluzjach w „Rising ‘44”, skoro z cytowanych powyżej wyjątków jego prac wynika jasno, że żadne możliwości negocjacji z Sowietami nigdy nie istniały?

Ottawa, czerwiec 2004

Juliusz ŁUKASIEWICZ

LIST OTWARTY DO JACQUES'A MARITAINA I FRANÇOIS'A MAURIACA

Miałem szczęście znać Was w okresie moich studiów paryskich.

Podziwiałem Waszą prawość myślicieli, pisarzy, Waszą odwagę. Dla mnie, cudzoziemca, to nie był Maritain, to nie był Mauriac, to była Francja, to była tradycja rzetelności intelektualnej, atmosfera, którą się odczuwało u pisarzy francuskich od konserwatystów do rewolucjonistów (z wyjątkami naturalnie).

Cała opinia francuska została kiedyś rozgrzana do białości w obronie człowieka niesprawiedliwie zasądzonego, boście sądzili słusznie, że chodziło wówczas o zasadę, której złamanie pociągnęłoby za sobą obniżenie poczucia moralnego Francji. Mielście wówczas Zolę i mieliście Péguy.

Za moich, paryskich czasów prowadził Pan, Jakubie, rewizję całej filozofii, walczył Pan o filozofię i moralność katolicką, która była wówczas bardziej niż popularna w środowiskach intelektualnych Francji. A jednocześnie „kompromitował” się Pan podwójnie, pociągając ku swojej wierze... celników.

W tych właśnie czasach Benda mówił o „zdradzie klerków”, Halévy o „upadku wolności”, a Gide nas uczył, co znaczy „umysł nie uprzedzony”.

A później Bernanos i Pan, Panie Mauriac, broniliście Hiszpanów i Basków mordowanych przez frankistów, Pan Maritain bronił prześladowanych Żydów, a Gide, wierzący komunista, miał odwagę napisać swoją książkę „Powrót z ZSRR”. – Mogliśmy być „za” albo „przeciw” Waszym twierdzeniom, Waszym poglądom, ale byliście dla nas wzorem niezależności myślowej. [...]

Warszawa upadła w warunkach, które nie mają precedensu. Mamy prawo oczekiwać od pisarzy, myślicieli fran-

cuskich, takich, jakimi ich zawsze znaliśmy – słowa w obronie ofiar, które byłoby jednocześnie wystąpieniem w obronie honoru i sumienia chrześcijańskiej Europy. Nic podobnego do nas jeszcze nie doszło. Ale cóż się dzieje teraz:

W chwili Waszego powrotu do uwolnionej stolicy, nasza stolica powstała do walki przeciw gnębiicielom i upadła zamieniona w stos gruzów po 63 dniach walki.

Jest trudno mówić o Warszawie, bo to, co się tam dzieje, przechodzi naszą wyobraźnię. Miasto większe od przedwojennego Rzymu, większe niż Los Angeles, dwa razy większe od Lyonu, jest starte z oblicza ziemi; Armia Krajowa i cała ludność bije się bez broni, bez żywności, nie poddając się, pomimo że od tygodni Warszawa pozbawiona jest wody, dziesiątkowana przez tyfus i szkarlatynę, broniąc z szaloną determinacją każdego domu, dając świadectwo przed światem swej woli niepodległości.

Nasze kościoły, biblioteki, Uniwersytet Warszawski, zabytkowe pałace i tysiące domów, w których żyło 1,5 miliona ludzi, zostały zniszczone.

Liczba zabitych i rannych jest oceniana na dwieście tysięcy.

Przez obóz w Pruszkowie przeszło do dnia 23 września 243 000 ludzi ewakuowanych siłą przez Niemców (ten obóz – ogromny plac bez najmniejszych urządzeń sanitarnych, z setkami trupów, z egzekucjami dokonywanymi w tym samym obozie).

Ci nieszczęśni – to były matki, żony, dzieci żołnierzy polskich, którzy walczyli w Warszawie i walczą na wszystkich frontach.

Coś warci są ci żołnierze, skoro dowódcy armii alianckich robią im zaszczyt zlecając im właśnie zadania najtrudniejsze, najbardziej odpowiedzialne; to oni zdobyli Monte Cassino i Ankonę, to oni brali udział w najcięższych walkach pod Falaise i w Arnheim; i zawsze z tą samą nie wyrozumowaną wiarą, że jest sprawiedliwość na świecie, i że krew przelana nigdy nie jest krwią przelaną na darmo.

Skrót faktów. W październiku 1943 ruch podziemny w Polsce otrzymuje z Londynu rozkaz współdziałania z oddziałami sowieckimi. To współdziałanie zaczyna się od chwili

wejścia armii rosyjskich na teren Polski. Powstanie w Warszawie jest jego logicznym skutkiem.

Oddziały sowieckie wchodzą na Pragę, radio moskiewskie 30 lipca rzuca apel do ludności warszawskiej, z którego cytuję kilka zdań:

„Cała ludność miasta musi się skupić wokół Armii Krajowej. Obywatele Warszawy, do broni! Atakujcie Niemców i ułatwajcie wojskom sowieckim przejście przez Wisłę. Jeden milion mieszkańców – to jest milionowa armia, która walczy o wolność Polski”.

Jednocześnie władze niemieckie nakazują całkowitą ewakuację ludności miasta. Zagrożona eksterminacją przez Niemców, przynaglana przez radio sowieckie, Warszawa powstaje.

Warszawa jest głównym węzłem komunikacyjnym na całym froncie wschodnim. Powstanie blokuje sieć komunikacyjną, wywraca plan naczelnego dowództwa niemieckiego, wiąże na tym odcinku duże siły.

Taktyka sowiecka: główne dowództwo sowieckie odmawia jakiegokolwiek pomocy Warszawie, stawia przeszkody akcji pomocy podjętej przez aliantów, odmawia wykorzystania swoich baz lotniczych i utrzymuje tę odmowę w ciągu 49 dni decydujących dla losu Warszawy, gdy ta pomoc może być jeszcze skuteczna. Ostatecznie decyduje się na „gest wspańiałomyślności”, [...] na spóźnione i niedostateczne zrzuty broni i żywności, wtedy, kiedy jest już widoczne, że jest za późno, by uratować Warszawę.

Jedyny powód upadku Warszawy – to całkowity brak pomocy podczas pierwszego okresu ze strony tych, którzy mogli i powinni byli pomocy tej udzielić. [...] Jedyna próba pomocy w większych rozmiarach została dokonana 19 września przez lotnictwo amerykańskie, przez 400 latających fortec. Ale pomimo, że 80 proc. zrzuconego materiału trafiło do rąk Polaków, chodziło tu o żywność, która mogła wystarczyć zaledwie na dwa dni. Pomoc dostarczona bez zwłoki przez Sowiety podczas pierwszego okresu Powstania, pociągnęłaby zapewne za sobą uwolnienie Warszawy, ratując stolicę od całkowitego zniszczenia, oszczędzając mieszkańcom straszliwych cierpień i śmierci. [...]

Karmiona przez optymistyczne komunikaty radiowe

aliantów wiadomościami o ogromnych bombardowaniach Niemiec, ludność nie przestaje wierzyć w nadejście wielkiej pomocy i czeka na tę pomoc, tak jak powstańcy 1863 roku czekali na pomoc Napoleona III, a nawet na przybycie Garibaldiego z jego armią na ratunek. [...]

Trzeba znać te zabytkowe kościoły, dla nas drogie od dzieciństwa, te kawiarnie, w których spędzaliśmy wolne chwile, dziś zmienione w fortece, przechodzące z rąk do rąk, żeby sobie choć częściowo wyobrazić, czym były walki w naszej stolicy.

A jakąż była moralna pomoc, którą alianci przynieśli obrońcom Warszawy?

Warszawianie, dowiadując się przez radio o zwycięstwach alianckich na wszystkich frontach Zachodu, słuchali również mowy Churchilla, który nalegał na oddanie Rosji naszych ziem wschodnich.

„Czy za tak długie i krwawe męczarnie mamy utracić pół Polski?” – woła radio warszawskie. „Warszawa walczy o prawa, o wolność nie tylko swoją, ale i całej Polski. Warszawa słucha głosów dalekiego Zachodu”. Jednym z takich głosów była – mowa Churchilla... [...] Czyż nie jest zrozumiałe rozgoryczenie Warszawy: „Tak wiele daliśmy z siebie; a tak mało pomogliśmy sprawie polskiej”.

Po chwilowym wycofaniu się Rosjanie na nowo zajmują Pragę w drugiej połowie września. W Warszawie po pierwszym wybuchu nadziei na zbliżającą się pomoc rozchodzą się wiadomości o deportacjach, dochodzą wieści pewne o wywożeniu ludności na Syberię. [...] Wybucho oburzenie, żal do wszystkich aliantów. [...]

A więc dlategośmy się bili? A więc dlatego zniszczona została stolica? [...]

Jest bardzo możliwe, że mieszkańcy Warszawy nie orientują się dostatecznie, jakie trudności trzeba przezwyciężyć, by zorganizować pomoc realną dla aliantów. Niemniej jednak rozdzierający krzyk rozpaczony mordowanego miasta świat musi usłyszeć. [...] Ta ludność pamięta, że straciliśmy podczas walk powietrznych w Londynie 40 procent stanu naszego lotnictwa, które brało udział w obronie, że Polacy się biją na wszystkich frontach.

Krwawe wołanie Warszawy nie dochodzi do Was, bo jest autentyczne. O, gdyby ono było zredagowane w biurach propagandy, przy wygodnych biurkach w Moskwie, Berlinie, Londynie czy Waszyngtonie, wtedy usłyszelibyście je poprzez wszystkie radia, pisałyby o nich wszystkie pisma. Ale te krwawiące zdania, często niezręczne, te sprzeczne wołania goryczy i czułości wysyłane z miasta w ogniu, nie dochodzą do Was.

Komunikat z 2 X o 7 wieczór mówi: [...] „Wiedźcie, że już setki tysięcy Polaków zginęło przez Was. Musicie dać nam pomoc natychmiast. Giniemy... Nazwano nas «zmartwieniem walczących narodów». Za co? Czy za rzekę wylaną przez nas krwi? Czy za to, że jesteśmy narodem, który chce żyć i oddychać wolnym powietrzem? Mamy przed sobą już tylko jedną drogę: w zaświaty; zwróćcie uwagę, że apelują do Was nie ludzie, lecz raczej duchy jutrzejszych trupów. ...Zaginęła w nas wiara w człowieka; w jego uczucie, lojalność. Na dnie dusz naszych spoczywa śmiertelny żal do tych, którzy nas i nasz naród niszczyli”. I po tych zdaniach, pełnych krwawej goryczy, inne, prawie czułe: „My wiemy, że nie zrozumiecie nas źle, gdyż my, oszukiwani tak długo, a teraz oszukani najbardziej, jeszcze wierzymy”. [...]

Widzę już ludzi „współczesnych” i sceptyków, uśmiechających się z dobroduszną wyższością: „Cóż za naród romantyków, jakie przestarzałe marzenia o wolności ludów, o sprawiedliwości”. Ale wiem, że żaden z Was, Panowie, nie będzie miał ochoty się uśmiechać.

Cytuję kilka ustępów z apelu do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z 3 X:

„Nieszczęsna i nieujarzmiona Warszawa jeszcze walczy! Wiemy, że Anglia nic już zrobić nie może... W Warszawie została garstka wycieńczonych do ostatnich granic żołnierzy. Umierają z głodu starcy, dzieci i matki z niemowlętami. Wczoraj ogłoszono rozkaz Rokossowskiego, nakazujący ewakuację ludności Warszawy (Pragi). Mężczyźni od lat 14 do 60, kobiety do 50, idą na Sybir, żołnierze Armii Krajowej przeznaczeni do najcięższych robót, bohaterowie ginącej Warszawy. Gdzie ludzka doskonałość i lojalność? Żądamy od Was pomocy. Ta pomoc musi przyjść natychmiast. Już. Sły-

szycie: Natychmiast pomoc dla ginącej Warszawy. Nie ma czasu na zwłokę. Wam tylko wierzymy. Tylko Wam ufamy”. (...) „Żołnierze niepodległości i konstytucji, Wyście zrobili wszystko, co do Was należało. Uratowaliście honor ginącej, zbrczonej we krwi stolicy... Przyjęła Was Warszawa jak matka, ukryła w swoich podziemiach, gdy bomby niemieckie starały się Wasze zwłoki wykryć, przysypywała je gruzami swych domów. Wychowywała Was cała ziemia polska, której Warszawa jest częścią, a Wy tej części nie oddaliście bez boju. Cześć Wam za to i chwała. Dziś rozpoczynamy tak długą drogę w nieznanie. Musimy, choć z bólem serca, pożegnać ukochane gruzy i zwaliska, te kamienie i głązy, które do dziś zdają się grozić okupantom. Wiemy i znamy pełne prawo przemawiania do wszystkich Polaków. Korzystamy też z niego i życzeniem naszym jest, aby każdy Polak znał słowa konającej Warszawy. Wiemy, iż godziny panowania Niemców są już policzone. Naród Polski był, jest i będzie. Oszuści, mimo swego barbarzyństwa, nie zdołają wymordować trzydziestu milionów bohaterskiego narodu polskiego”.

Komunikat z tego samego dnia przynosi nam ostatni rozkaz generała Bora: „Walczyliśmy o cele wzniosłe, o wyzwolenie narodu polskiego i wszystkich państw, dzielących jego losy, o przywrócenie ogólnego porządku w powojennej Europie i ogólnego bezpieczeństwa jej obywateli. O odrodzenie świata. Nie danym nam było tej walki dokończyć. Ulegliśmy przemocy, ale armie nasze na obczyźnie walczą do dziś. Walka o Polskę i wolność nie kończy się tu, w Warszawie. Kapitulacja stolicy nie świadczy, że zaprzestaliśmy walki z Niemcami. Polska, która walczyła z nimi przez 5 lat okupacji, dziś po tak bolesnej stracie i w tak okropnej sytuacji politycznej, w walce tej nie ustanie...” [...]

„Nie dano nam pomocy. Walczyliście bez niej. Spełniłmy swoje zadanie, bez zarzutu i do końca... Jestem pewny, że godziny Niemiec, z którymi walczymy nadal, są policzone. Generał dywizji Bór-Komorowski”.

A więc koniec walki, która trwała 63 dni. Kapitulacja.

Równoległe z walką prowadzoną w Warszawie widzimy gorączkową działalność na całym świecie, mającą na celu szkalowanie polskich sił walczących. [...] Po namiętnych

atakach przeciwko naszemu Wodzowi Naczelnemu gen. Sosnkowskiemu, [...] mamy teraz nową kampanię przeciwko generałowi Bór-Komorowskiemu. Telegramy z Moskwy nazywają zbrodniarzami tych, którzy są odpowiedzialni za powstanie Warszawy, powstanie, do którego właśnie Moskwa zachęcała ze wszystkich sił, którego się domagała. [...]

30-milionowy naród, skazany na zniszczenie biologiczne przez dwa państwa totalitarne 80- i 180-milionowe, kraj, który pierwszy powiedział „nie” Hitlerowi, ze stolicą zamienioną w gruzy, nie może nawet dojść do głosu. Zakneblowano mu krwawe usta i mówią nam, że to jest konieczne w imię wspólnej sprawy. Ale jakąż jest ta wspólna sprawa? Jeżeli pogrzebano Kartę Atlantycką, jeżeli zamierza się zrobić z połowy Polski prezent Rosji, obiecując nam rekompensaty na zachodzie, jakby ojczyzna była szafą, którą się przenosi z miejsca na miejsce.

Naród polski ze wzruszeniem zachowa na zawsze wspomnienie i wdzięczność dla lotników brytyjskich, południowoafrykańskich, australijskich, amerykańskich, którzy polegli w próbach niesienia pomocy stolicy Polski.

Dowiadujemy się dzisiaj, że Churchill złożył hołd w Izbie Gmin obrońcom Warszawy. Wdzięczni mu jesteśmy za piękne słowa, powtórzone przez prasę: „Warszawa przeżyła cierpienia, które przewyższają wszystkie cierpienia tej wojny”. Te piękne słowa nie zbawią wszakże Warszawy. Nie towarzyszyło tym słowom nic, co by świadczyło o rozumieniu istoty celu, o który Warszawa walczyła: o całość i niepodległość Rzeczypospolitej.

Rozumiemy, że politycy mają swoje kombinacje, wielkie i małe, że oni nieraz ulegają względom taktycznym. Toteż nie do nich się zwracam.

Ale są myśliciele, pisarze, których rolą zawsze było mówienie prawdy. To oni mówili „obwiniam”, to oni „nie mogli milczeć!”, to oni byli „ponad zamętem”. Wiem dobrze, gdzie się znajdują ci, którzy pozostali w Niemczech, w Rosji czy w Polsce. Jeżeli tacy jeszcze istnieją, jeżeli nie zostali wszyscy wymordowani, to są w każdym razie skazani na milczenie, w katowniach, w obozach od Holandii do Pacyfiku. A gdzie są wielcy pisarze angielscy, amerykańscy, dlaczego oni milczą?

Rozumiem, że w tragedii polskiej jest mało materiału dla dowcipnych paradoksów Bernarda Shawa, ale gdzie jest subtelny, szlachetny Aldous Huxley, gdzie jest Sinclair Lewis, Dreiser?

Zupełne milczenie wielkich pisarzy. Czyżby i oni byli zmuszeni do milczenia przez cenzurę?

Może nigdy jeszcze brak Francji, ta luka, którą stworzyła jej porażka w 1940, nie wydawała się nam tak jaskrawa i tak bolesna. Do Was, którzy wracacie do swej ojczyzny zranionej, ale uwolnionej, do Waszej stolicy wspaniałej, nie naruszonej, do Was to należy odrodzić sumienie świata, kontynuować tradycję, która jest Wasza; nie uratujecie od wyschnięcia podwójnego nurtu Waszej tradycji chrześcijańskiej i rewolucyjnej, jeżeli nie wystąpicie jednocześnie w obronie narodów, które są wcieleniem tej samej istoty kultury.

Sprawa Polski i sprawa narodów europejskich ujarzmionych jak ona – to sprawa moralna, to sprawa sumienia świata.

Jeżeli dla gry, krótkowzrocznej polityki czy taktyki, Francja tak jak inne wielkie narody zlekceważy ich los, przestanie być w oczach świata tym, czym była, spadkobierczynią i wyrazicielką wspólnej tradycji, obrońcą uniwersalnych idei. Waszym milczeniem będziecie współdziałać w zniszczeniu – może na zawsze – tak drogiego, dla Was i dla nas, autorytetu moralnego i intelektualnego Francji na świecie.

5 X 1944

Józef CZAPSKI

Polską wersję „Lettre ouverte à Jacques Maritain et François Mauriac” wydano na prawach rękopisu – prawdopodobnie w Rzymie – podajemy – z niewielkimi poprawkami – za przedrukiem – w *Orle Białym* nr 34/124 z 15 X 1944.

Skróty redakcji *Orla* oraz ingerencje cenzury brytyjskiej oznaczono w kłamek [...] – według odręcznej noty J. Czapskiego na egzemplarzu podarowanym Danielowi Halévy wiosną 1945 roku (kopia w zbiorach Instytutu Literackiego).

Krzysztof TARKA

TAK BYŁO*

Tom dedykowany prof. Marcinowi Kuli składa się z 14 artykułów jego uczniów z młodego i najmłodszego pokolenia polskich historyków. Mimo różnorodnej tematyki pokazują one – jak kolejne kadry filmu – powstawanie, przekształcanie, ale także trwanie i ciągłość systemu.

Piotr Osęka analizując mechanizm zmiany na stanowisku I sekretarza KC PZPR zauważył, iż statut partii nie tylko nie określał czasu trwania jego kadencji, nie mówił nic o trybie odwoływania ani powoływania na to stanowisko, ale aż do lat 80. nie wspominał nawet o istnieniu takiej funkcji! Brak prawnych reguł sukcesji był jedną z totalitarnych cech ustroju PRL. Wypracowanie mechanizmu zmiany na najwyższym stanowisku nieuchronnie musiałyby przecież prowadzić do wewnętrznej demokratyzacji systemu i stopniowego zrzucenia sowieckiej kurateli. W realiach PRL za każdym razem u podstaw zmiany przywódcy partii leżał kryzys legitymizacyjny rządzącej ekipy. Stwarzał on pole do rozgrywek i zakulisowych spisków. Upadek „pierwszego” traktowany był jako przejaw słabości władzy, ugięcie się pod społecznym naporem.

* „PRL. Trwanie i zmiana”, pod red. D. Stoli i M. Zaremby, Warszawa, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości i Zarządzania im. L. Koźmińskiego, 2003, 424 s.

Marcin Zaremba pokazuje, iż nie tylko Bolesław Bierut otaczany był kultem, ale również wokół jego następców tworzono atmosferę apoteozy: „Pierwszy sekretarz – jak Orwellowski Wielki Brat – nie tylko zewsząd patrzył na Polaka, ale i ciągle coś do niego mówił. Jego myśli wywieszano w fabrycznych halach i gablotach, na ulicach i podczas akademii”. Nie można jednak – co zaznaczył autor – postawić na równi bizantyjskiego spektaklu wokół towarzysza „Tomasa” z wywyższaniem Gomułki, Gierka czy Jaruzelskiego.

Paweł Machcewicz zastanawia się, w jakich dziedzinach i w jakim stopniu Październik przyniósł zasadnicze zmiany, na ile zaś nie przerwał ciągłości procesów oraz mechanizmów politycznych i ustrojowych. Skala i zasięg kryzysu systemu w 1956 r. porównywalna jest tylko z okresem 1980–1981. „Tylko w tych dwóch momentach doszło do oddolnego, masowego zakwestionowania podstawowych elementów ustroju i fundamentów władzy PRL”. Mimo zmian system komunistyczny po roku 1956 zachował swoje cechy konstytutywne: monopol polityczny i ideologiczny PZPR, kontrolę państwa nad gospodarką, podległość wobec ZSSR. Z drugiej strony znacząco zmniejszył się strach przed represjami, kolektywizacją, ingerencją państwa w życie prywatne.

Autorem bodaj najciekawszego tekstu jest Dariusz Stola. Przedstawił on powstałe na przełomie lat 40. i 50. instytucje, przepisy oraz działania służące uszczelnieniu granic. Celem było – jak pisze – zamknięcie Polski, odgradzenie (dosłownie i w przenośni) jej mieszkańców od świata zewnętrznego. Zniesienie swobody wyjazdu było istotnym elementem nieograniczonej władzy nad poddanymi. Wzdłuż granic państwa biegł pas zasieków z drutu kolczastego, zbudowano kilkaset wież strażniczych, montowano specjalne czujniki wykrywające wejście intruza, systematycznie bronowano szeroki na ok. 10 metrów pas kontrolny. Na początku lat 50. całkowita liczba wyjazdów obywateli PRL w ruchu paszportowym nie przekroczyła w skali roku 10 tys. (w większości były to wyjazdy służbowe do państw komunistycznych). W 1954 r. zgodę na prywatny wyjazd czasowy na Zachód uzyskały zaledwie 52 osoby!

Krzysztof Persak omawia poprawki Józefa Stalina do

konstytucji PRL z 1952 r. Publikowane *in extenso* fragmenty konstytucji z odrębnymi poprawkami sowieckiego dyktatora są jaskrawym dowodem niesuwerenności i zależności PRL od wschodniego sąsiada. Paradoksalnie, to najprawdopodobniej interwencji Stalina możemy „zawdzięczać”, że już wówczas w konstytucji nie znalazł się artykuł o kierowniczej roli PZPR w państwie, sojuszu z Krajem Rad, nie wprowadzono też nazwy Polska Republika Socjalistyczna, ani nie zmieniono tradycyjnego godła państwowego. Zmiany idące w tym kierunku znalazły się w pierwotnym projekcie konstytucji. Po konsultacjach Bieruta u Stalina postanowiono sprawę suwerenności postawić w konstytucji mocniej. Nie ulega wątpliwości, że nikt z polskich towarzyszy nie odważyłby się na to bez zaleceń wodza światowego proletariatu.

W państwie komunistycznym obywatel nie mógł być pozostawiony samemu sobie, nawet w czasie wolnym od pracy. System państwowego organizowania wypoczynku w latach 1956-1980 przedstawił Paweł Sowiński. Pokazuje on stopniowy uwiad kolektywistycznych ambicji władz przejawiający się w odchodzeniu od wypoczynku zbiorowego w stronę indywidualnego.

To tylko część z zamieszczonych w tomie artykułów. PRL zmieniał się, to oczywista konstatacja. Nie był to jednak proces wyłącznie o jednokierunkowym charakterze. W czasach „realnego socjalizmu” nie brakowało przecież okresów trwania czy cofania się, na co liczne przykłady czytelnik znajdzie w omawianej książce.

Krzysztof TARKA



STOSUNKI ESTOŃSKO-POLSKIE W DWUDZIESTOLECIU MIĘDZYWOJENNYM

Z trzech państw bałtyckich – Litwy, Łotwy i Estonii, ta ostatnia jest chyba najmniej w Polsce znana, a zapewne podobnie jest, gdy chodzi tam o znajomość Polski. Cenny przeto wkład w lepsze poznanie się i wzajemną współpracę wnoszą publikacje prof. Raimo Pullata, Estończyka – przyjaciela Polski, jakich mało – świetnie znającego język polski, autora kilku książek na temat naszego kraju. Jego ostatnia książka „Od Wersalu do Westerplatte. Stosunki estońsko-polskie w okresie międzywojennym” została wydana bardzo starannie, w albumowej prawie szacie, w Krakowie¹.

Zanim o książce – kilka słów o Autorze. R. Pullat, profesor i kierownik Katedry Kultury Miast na Uniwersytecie Pedagogicznym w Tallinie był dyrektorem Instytutu Historii Akademii Nauk Estonii i profesorem Uniwersytetu w Tartu. Jest także członkiem Polskiej Akademii Umiejętności. Zakres jego pracy naukowej to historia społeczno-gospodarcza, szczególnie historia demografii oraz historia stosunków estońsko-polsko-fińskich. Żonaty jest z Polką, okulistką, dr Wiesławą Barbarą Pullat-Multańską. Żonie też i synowi Risto zacydował książkę, którą tutaj bardzo skrótowo omawiam.

Książka wyszła najpierw w języku estońskim w 2001 roku. Polskie wydanie zostało poprzedzone wstępem Aivo Orav, ambasadora Republiki Estonii w Polsce, i Wojciecha Wróblewskiego, ambasadora RP w Estonii. Aivo Orav pisze, że w okresie międzywojennym sporo osób w Polsce znało Estonię, a w Estonii sporo wiedziano o Polsce. W ostatnim

1. R. Pullat, „Od Wersalu do Westerplatte. Stosunki estońsko-polskie w okresie międzywojennym”. Przełożył Aarne Puu. Kraków, PAU 2003, 360 s., il.

jednak półwieczu obopólna znajomość naszych krajów znacznie się zmniejszyła. „Mieszkaliśmy, co prawda, po jednej stronie żelaznej kurtyny, ale niestety, pomiędzy Polską a Estonią istniała jeszcze jedna kurtyna”. W Estonii mieszka obecnie kilka tysięcy Polaków, a w Polsce około stu Estończyków.

Niewiele jest jednak osób, przypomina ambasador Aivo Orav, które władają obydwoma językami, co jest przecież bardzo ważne dla zbliżania naszych narodów, w czym dużą rolę odgrywa znajomość literatury, która nie może być jednak znana bez odpowiednich przekładów z jednego języka na drugi, o co ciągle jest trudno przy braku właściwych tłumaczy. Tym większe przeto uznanie należy się prof. Raimo Pullatowi za to wspaniałe dzieło, w którym autor – jak podkreśla amb. Aivo Orav – przedstawia obszernie stosunki estońsko-polskie z okresu sprzed ponad pół wieku.

Z kolei Wojciech Wróblewski zwraca uwagę, że jeżeli kilkadziesiąt lat temu potrafiąco utrzymać żywe kontakty – jak to potwierdza R. Pullat – to tym bardziej teraz potrzebne i możliwe jest osiągnięcie wysokiego poziomu współpracy polsko-estońskiej. „Książka ta – oprócz interesującego zbioru informacji historycznych – stanowi dobry punkt odniesienia, ukazujący, że po ponad 50 latach przerwy nie wznowiliśmy naszych stosunków od zera”.

Prof. Wojciech Rojek pisze w postłowie, że praca prof. R. Pullata wnosi wiele nieznanych faktów dotyczących stosunków bilateralnych. „Autor zadał sobie trud zobrazowania także, niedocenianych do tej pory, kontaktów gospodarczo-społecznych i kulturalnych. Książka ta stanowi zarazem dobry punkt wyjścia do podejmowania w tej dziedzinie dalszych badań”.

Przy lekturze trzeba pamiętać, że książka jest pisana z myślą o czytelniku niewiele wiedzącym nie tylko o stosunkach estońsko-polskich, ale w ogóle o poszczególnych krajach – Estończyków o Polsce, a Polaków o Estonii. To też Autor nie ogranicza się do stosunków dwustronnych, ale ujmuje je na szerszym tle, z przedstawieniem elementarnych nieraz danych, niezbędnych do wzajemnego poznania się i lepszego zrozumienia.

Republika Estońska została proklamowana 24 lutego

1918 roku. Jej obszar wynosił 47 549 km², zamieszkały przez około 1 350 000 Estończyków. Podobnie jak Polska, Estonia była krajem rolniczym. Również, podobnie jak w Polsce, proces urbanizacji w Estonii przebiegał wolniej niż w Europie Zachodniej. Dla estońskiej natury i sposobu myślenia, kraju w przeważającej części luteranckim, katolicka Polska była krajem obcym i odległym. W maju 1919 roku Zgromadzenie Konstytucyjne ogłosiło, że kościołem państwowym jest kościół luterancki. Około 20% ludności stanowili jednak prawosławni, wśród których istniał podział na część rosyjską i estońską. Kościół katolicki poszerzał swoje wpływy i powstawały nowe parafie. W 1939 roku przebywało w Estonii, oprócz biskupa, 15 księży katolickich.

Estonia nigdy nie była obszarem emigracyjnych zainteresowań Polaków. Spis ludności z 1922 roku podaje, że w Estonii mieszkało 600-800 Polaków, przeważnie w Tallinie. Według prof. Pullata, który opiera się na danych Związku Narodowego Polaków w Estonii, w 1938 roku zamieszkiwało tam 2500-3000 Polaków rozproszonych po całym kraju bez odgrywania jakiejś szczególnej roli w społeczeństwie estońskim.

Podwaliny pod estońsko-polskie stosunki dyplomatyczne zostały położone już na Konferencji Pokojowej w Paryżu, a głównym ich architektem był Leon Wasilewski i Bronisław Bouffał. Utworzonym w 1920 roku poselstwem polskim w Estonii kierował *chargé d'affaires* i sekretarz ambasady – Władysław Neuman. Od grudnia 1921 obowiązki posła w Tallinie przejął Michał Sokolnicki, sprawujący jednocześnie funkcję posła Polski w Helsinkach. Kolejnymi później posłami w Estonii byli: Wacław Tadeusz Dobrzyński, Franciszek Charwat, Józef Wołodkiewicz (w randze *chargé d'affaires*), Konrad Libicki, Jan Starzewski (również w randze *chargé d'affaires*). Ostatnim posłem przedwojennej Polski (do 30 września 1939 roku) był Wacław Przesmycki.

Równoległe z przygotowaniem utworzenia Poselstwa Polski w Tallinie, Estończycy czynili starania o utworzenie swojego przedstawicielstwa w Warszawie. W tym też duchu Tymczasowy Rząd Estonii uchwalił dnia 28 października 1919 roku rezolucję, w myśl której został wydelegowany do

Warszawy oficer łącznikowy, Jaan Junkur, z misją nawiązania stosunków wojskowych pomiędzy obu państwami. Rezultatem tej misji było przekształcenie w 1921 roku przedstawicielstwa wojskowego w poselstwo, które miało swoją siedzibę w Alejach Ujazdowskich w Warszawie. Posłem Estonii w Polsce został Aleksander Hellat, następnym po nim posłem był Johan Leppik, a później funkcję posłów sprawowali: Otto Strandman, Konstantyn Schmidt, Karl Tofer, Karl Robert Pusta, Johannes Markus. We wrześniu 1939 roku Poselstwo Estonii w Warszawie spotkał podobny los, jak inne ambasady oraz poselstwa. J. Markus wyjechał z Polski przez Rumunię.

Część poświęconą polityce zagranicznej prof. Pulllat rozpoczyna od przedstawienia, szkicowo ujętych, etapów walk Polaków o odzyskanie niepodległości, od okresu wojny napoleońskiej poczynając, a na rozbieżnych orientacjach Dmowskiego i Piłsudskiego kończąc. Autor pisze, że odzyskanie niepodległości przez Estonię i Polskę odbywało się w tym samym czasie i w podobnych warunkach. Ale – i co też niezbędnie wymagało przypomnienia – podczas gdy w przypadku Polski uznanie państwa zostało przyjęte na arenie międzynarodowej za rzecz całkowicie naturalną, to „Estonia i inne kraje bałtyckie musiały swoje prawo do suwerenności udowodnić zarówno przy pomocy oręża, jak i na froncie dyplomatycznym”. Pod względem bezpieczeństwa, podkreśla dalej Autor, to oba kraje były w podobnej sytuacji, gdyż „zarówno Estończycy jak i Polacy uznawali za pierwsze źródło niebezpieczeństwa Moskwę”.

Kontakty wojskowe między Estonią i Polską rozpoczęły się w czerwcu 1919 roku. Wtedy to, po opanowaniu przez Polaków Wilna, wspomniany już Jaan Junkur, wysłany na Litwę w charakterze oficera łącznościowego, skontaktował się z polskim dowództwem wojskowym i w sierpniu spotkał się w Wilnie z Piłsudskim. Piłsudski zaproponował wówczas utworzenie wspólnego polsko-łotewsko-litewskiego frontu przeciwko bolszewickiej Rosji. Poczynając od lata 1919 roku, w Warszawie widoczne było coraz większe zainteresowanie wzajemnym współdziałaniem. Bliższa jednak współpraca wojskowa nie była możliwa choćby ze względu na dystans geograficzny. Pomimo tego, ze strony polskiej padały zapewne-

nia o gotowości pomocy dla Estonii, gdyby zaszła taka potrzeba. Uważano, że rozmowy pokojowe z bolszewikami należy prowadzić wspólnie z państwami bałtyckimi.

W dziejach rozwoju stosunków pomiędzy Finlandią, krajami bałtyckimi a Polską znaczącym wydarzeniem była konferencja w Helsinkach w styczniu 1920. Głównym celem rządu Estonii na tej konferencji było utworzenie związku wojennego o charakterze obronnym, sięgającego od Finlandii po Polskę. Zdawano sobie sprawę, że interesy państw biorących udział w tej konferencji są rozbieżne, ale łączyło je wspólne niebezpieczeństwo i potrzeba stworzenia wspólnego frontu przeciwko Rosji. Na przebiegu konferencji, jak i później na innych – z marca 1920 w Warszawie i września tego samego roku w Rydze (czy też ściślej w uzdrowisku nadmorskim Bulduri, w pobliżu Rygi) – zaciążył konflikt polsko-litewski o Wilno. Rząd estoński starał się w tej sprawie zachować neutralność, ale w rzeczywistości Estonia przedkładała Polskę nad Litwę.

W następnych latach stosunki polsko-estońskie przechodziły różne koleje losu w coraz bardziej napiętej sytuacji międzynarodowej, co Pullat szczegółowo przedstawia. Jedno w tym wszystkim, jak pisze, można bez wahania stwierdzić, a mianowicie to, że „estońsko-polskie stosunki wojskowe były od początku poprawne”. Tej też problematyce poświęcona jest trzecia część książki zatytułowana: „Za naszą i waszą wolność”.

Na wstępie czwartej części tej książki, opatrzonej tytułem „Most kulturalny”, prof. Pullat podkreśla, że „pisząc o stosunkach między dwoma państwami nie sposób pominąć stosunków kulturalnych, szczególnie ważnych dla małego państwa. Kontakty kulturalne odgrywają istotną i przeważnie pozytywną rolę w ideowym zbliżeniu narodów i państw”. Autor przedstawia współpracę i kontakty z wszystkich ważniejszych dziedzin życia naukowego i kulturalnego. Zwraca uwagę na istotne znaczenie, jakie miały polskie uczelnie wyższe dla kształtowania inteligencji estońskiej.

Istotna rola przypadała, jak wszędzie zresztą, literaturze. Pierwsze próby przekładów z literatury estońskiej sięgają początku lat dwudziestych, ale trudno o bliższe na ten temat

dane. Wiadomo jednak, że zainteresowanie literaturą estońską było znaczne, ale dużą przeszkodą w tłumaczeniu książek był brak ludzi dobrze znających język estoński. Jeśli chodzi o przekłady z literatury polskiej, to niemałe zasługi położył Bernhard Linde, wielki przyjaciel naszego kraju. Dość żywe były kontakty osobiste. Wiosną 1930 w Estonii przebywał Juliusz Kaden-Bandrowski i podzielił się później, na łamach prasy, swoimi wrażeniami o estońskiej kulturze i literaturze. Na początku lat trzydziestych zaczęto też organizować gościnne występy polskich artystów. Dość owocna okazała się również estońsko-polska współpraca w dziedzinie dziennikarstwa. Wymiany dziennikarzy trwały do wybuchu II wojny światowej.

We wzajemnych kontaktach ważną rolę odgrywały Towarzystwa Przyjaźni. W grudniu 1929 roku powstało Stowarzyszenie Polsko-Estońskie, a rok później, 9 listopada 1930 zostało założone Stowarzyszenie Estońsko-Polskiego Zjednoczenia, którego celem było „rozwijanie wzajemnych estońsko-polskich kontaktów i przyjaźni obu państw i narodów, zwłaszcza pogłębianie stosunków ekonomicznych i kulturalnych w przyjaznej współpracy między obu państwami i narodami”. Członkami zarówno jednej, jak drugiej organizacji byli przedstawiciele elit społecznych Polski i Estonii, znani działacze społeczni, politycy i przedstawiciele świata kultury. Polonia w Estonii miała również swoje organizacje. Z początku brak było jedności i dopiero w 1930 roku powstała organizacja – Związek Narodowy Polaków w Estonii skupiająca wszystkich Polaków zamieszkałych w tym kraju.

Prof. Pullat pisze, że w dziedzinie kultury „współpraca między naszymi krajami układała się szczególnie dobrze. Jednak wojna przerwała wszelkie kontakty”. Autor ma nadzieję – zdaniem moim uzasadnioną – iż zdołał naszkicować i wymownie przedstawić główne dziedziny estońsko-polskich stosunków kulturalnych i społeczno-gospodarczych w stopniu, jaki ułatwi i zachęci do dalszych badań i opracowania tematów, mało ciągle znanych, a potrzebnych do poznania i pogłębienia znajomości naszych wspólnych dziejów.

Autor zwraca uwagę na to, że gdy prześledzi się rozwój historyczny krajów bałtyckich, i w tym kontekście rozwój sto-

sunków estońsko-polskich, to dostrzega się coś bardzo cennego, a mianowicie, że mimo różnych zawirowań w historii Europy, potrafiliśmy „zachować niepowtarzalną kulturę narodową i sposób życia. Do zrozumienia oryginalności narodowych kultur niezbędna jest otwartość, kontakty z innymi kulturami, a nie zamykanie się w sobie. Może udało mi się w pewnym stopniu swoją pracą odświeżyć naszą pamięć kulturową”. Jestem przekonany, że Autorowi udało się to bardzo dobrze².

Tadeusz WYRWA

2. Prof. Henryk Ratajczak, dyrektor Stacji Naukowej PAN w Paryżu, zaprosił prof. Raimo Pullata do przedstawienia swej książki. W wygłoszonym 1 kwietnia 2004 roku odczycie Prelegent ze swadą przedstawił rozwój stosunków estońsko-polskich na ogólnym tle problematyki tej części Europy. Oby podobnych prelegentów było jak najwięcej!

CI, CO ODESZLI

Bohdan OSADCZUK

MELVIN LASKY – PIERWSZY STRZELEC W OKOPACH ZIMNEJ WOJNY

W 1947 roku na zjeździe pisarzy niemieckich w Berlinie zgłosił się do dyskusji nieznany kierownik imprezy młody, lekko łysiejący człowiek z czarną brodą i wyciągnąwszy fajkę z ust, oświadczył, z silnym amerykańskim akcentem, że w krajach opanowanych przez Związek Sowiecki mieszkańcom odebrano wolność, a literaci służą doktrynie komunistycznej. Organizatorzy i goście sowieccy, jak pułkownik Dymyszyc, który kontrolował życie literackie w okupowanych Niemczech Wschodnich, czy Ilia Ehrenburg, osłupieli. Na nieprozowanego śmiałka, który zepsuł ukartowaną grę, posypały się epitety o imperializmie amerykańskim.

Człowiekiem z fajką był Melvin Lasky, zdemobilizowany dwudziestosiedmioletni oficer amerykański, który nie powrócił na studia do Nowego Jorku, lecz zajął się polityką w okupowanych Niemczech. Jego rodzice pochodzili z żydowskiej rodziny z Łodzi i przed pierwszą wojną światową wyemigrowali do Ameryki. Na studiach młody Lasky był pod wpływem środowisk trockistowskich, ale miał też koneksje z mieniszewikami Borysa Nikołajewskiego.

Lasky swoją interwencją wyprzedził wybuch zimnej wojny o niecałe dwa lata. W stosunkach amerykańsko-sowieckich panowała jeszcze, choć już w szczątkowym stanie, złuda mi-

nionego sojuszu. Niektórzy urzędnicy w administracji amerykańskiej w Berlinie potraktowali wystąpienie byłego oficera jak prowokację i uważali, że dla dobra sprawy należy go odstawić ciupasem do Stanów Zjednoczonych. Przeciwstawił się temu szef administracji wojskowej generał Lucius Clay, który już wiedział, co w trawie piszczy. Poradził Lasky'emu, aby utworzył pismo literacko – społeczne dla inteligencji niemieckiej, aby wyprowadzić ją z izolacji. W ten sposób powstał, w październiku 1948 roku, miesięcznik *Der Monat*, który wnet stał się dla inteligencji niemieckiej biblią nowej świadomości.

Lasky rzadko pisywał, ale miał dobry zespół redakcyjny, w którym przewodził Hellmut Jaesrich, liberał i erudyta. Niestety, jak się po latach okazało, nie odbyło się bez wtyczki komunistycznego wywiadu w osobie członka redakcji, syna japońskiego dyplomaty i Niemki, Erika Nohary... Pismo zgromadziło wielu wybitnych autorów, jak André Gide, Ignazio Silone, Arthur Koestler, Fritz René Allemann i przetrwało do czasów antyamerykańskiej kompanii w związku z wojną w Wietnamie i powstania rozmaitych niezależnych periodyków niemieckich.

Drugim wielkim szlagierem Lasky'ego było zwołanie w 1950 roku do Berlina Kongresu Wolności Kultury, zjazdu zachodnich intelektualistów celem stworzenia zapory przeciwko sowieckiej mobilizacji goszyistów i pacyfistów na rzecz interesów imperium sowieckiego. Lasky'emu udało się zgromadzić wiele wybitnych jednostek z USA i Europy oraz emigracji politycznej. Niezwykle ważnym elementem był udział dawnych komunistów jak Koestler, Borkenau czy Löwenthal. Ich nazwiska były jeszcze świeżo w pamięci wielu ludzi a upływ czasu od ich zerwania z komunizmem w połowie lat 30-tych był niewielki. Kongres poważnie osłabił wpływy sowieckie wśród intelektualistów europejskich. Ale błędem Lasky'ego – przez co doszło do konfliktu między nami – było wykluczenie krytyki sowieckiej polityki narodowościowej z agendy Kongresu. Głos protestu Józefa Czapskiego – Jerzy Giedroyc nie przemawiał – został skwitowany (z wyjątkiem poparcia szwajcarskiego historyka Waltera Hofera) milczeniem. Stąd też ochłodzenie stosunków z *Kulturą*, które mimo wszelkich prób zbliżenia nie uległo ociepleniu.

Kongres otrzymał w ciągu najbliższych lat liczne przybu-

dówki w postaci miesięczników: *Preuves* we Francji, *Tempo Presente* we Włoszech, *Encounter* w Wielkiej Brytanii.

Kultura dzięki instynktowi Jerzego Giedroycia odmówiła akcesu i dobrze zrobiła, bo po ujawnieniu faktu finansowania Kongresu Wolności Kultury przez wywiad amerykański nastąpił szybki zmierzch. Nastąpiłoby to i bez owego skandalu na skutek utwierdzania się demokracji w Europie i klęski komunistów jak też malejącej roli intelektualistów w tworzących się społeczeństwach przemysłowych oraz narodzin nowej cywilizacji w postaci kultury masowej.

Kiedy Irving Kristol, wydawca miesięcznika *Encounter*, pod koniec lat 50-tych wyjechał do Ameryki, Melvin Lasky przejął jego obowiązki w Londynie. Wytrwał na tym stanowisku do końca, do upadku ostatniej cytadeli Kongresu w 1990 roku. Z Londynu powrócił na miejsce startu, do Berlina. W międzyczasie wyszła jego książka „Utopia i rewolucja”.

Brakowało mu trybuny do szerzenia poglądów przeciwko niebezpieczeństwu prowincjonalizmów. W tym duchu zawarłiśmy sojusz weteranów zimnej wojny...

Zmarł w Berlinie 19 maja 2004. Wdowa, Helga Hege-wisch, napisała w klepsydrze: „Miał zmysł do szczęścia i wojowniczą naturę”.

Bohdan OSADCZUK



Natalia GORBANIEWSKA

PAMIĘCI JACQUES'A ROSSI

30 czerwca 2004 zmarł w Paryżu dziewięćdziesięcioletni Jacques Rossi, autor słynnego na całym świecie „Przewodnika po GUŁAG-u” i zbioru wybitnych opowiadań „Ach, jaka to była piękna utopia!”

Rossi był w młodości gorącym komunistą, później agentem Kominternu, a jeszcze później spędził dwadzieścia cztery lata w sowieckich obozach i na zesłaniu. Na wolność wyszedł dopiero w 1961 roku. Przyjechał wtedy do kraju, w którym się urodził – Polski. Dopiero później, w połowie lat osiemdziesiątych, udało mu się osiąść we Francji, ojczyźnie matki i ojca, który zmarł, zanim Jacques przyszedł na świat.

Jeszcze w strasznych latach norylskich obozów Żak-Francuzik, jak go nazywano w łagrze, przyrzekł sobie dochować pamięci o GUŁAG-u, w tajemnicy kompletował słownik języka obozowego. Potem – wciąż w tajemnicy – kontynuował pracę w Polsce, wreszcie zakończył ją na Zachodzie.

„Przewodnik po GUŁAG-u” stanowi dokonanie niebywałe. Pod postacią słownika opisane w nim są wszystkie więziennie-obozone realia epoki Lenina i Stalina. Książka ukazała się po rosyjsku po raz pierwszy w roku 1989 w „tamizdacie”, to znaczy w londyńskim wydawnictwie „Overseas”. Ja dostałam „Przewodnik” od samego autora, z którym się wtedy, mimo niemałej różnicy wieku, zaprzyjaźniłam. Bywał u nas w redakcji *Kontynentu* i *Russkoj Mysli*, zbliżył się szczególnie do nieżyjącej już Nataszy Djużewoj, zastępcy redaktora naczelnego *Russkoj Mysli*, którą przeżył. Przez nią zaprzyjaźnił się ze mną.

Kiedy w owym 89 roku wyjechałam na urlop, wzięłam ze sobą „Przewodnik po GUŁAG-u” i z redakcyjnego nawyku robiłam na marginesach uwagi, opierając się na własnym, krótkim, ale znacznie późniejszym, doświadczeniu więziennym. Powiedziałam to potem Jacques’owi. Poprosił mnie, żebym mu oddała ten egzemplarz. „Dam Pani czysty”, zapewnił i nie zapomniał. Książka ta do dziś stoi u mnie na półce i nierzadko służy mi pomocą w pracy. A dwa lata temu, kiedy „Przewodnik” wydawali w Moskwie, Jacques wziął moje spostrzeżenia pod uwagę i zaszczycił mnie wpisując moje nazwisko jako redaktora drugiego, uzupełnionego wydania. Mnie samej „Przewodnik” Jacques’a okazał wielką pomoc, kiedy zabrałam się do tłumaczenia jego książki „Ach, jaka to była piękna utopia!”, która w odcinkach i z uzupełnieniami ukazywała się w latach 2002-2003 w *Russkoj Mysli*. Pozwolę sobie przytoczyć cytat z mojego posłowania tłumacza.

„W ubiegłym roku, kiedy odwiedziłam Jacques’a w polskim klasztorze w Paryżu, sama zaproponowałam mu, że spróbuję przetłumaczyć fragmenty jego książki. Potem nastąpiły długie wahania: czy warto? Przecież wszyscy wszystko od dawna wiedzą, wszyscy dawno czytali – i u Sołżenicyna, i u niezliczonych autorów wspomnień i badań... Postanowiłam spróbować. Wybiorę najciekawsze kęsy do dwóch-trzech numerów... Zaczęłam i nie mogłam się oderwać (dodatковым natchnieniem był odzew czytelników). [...]

Czar opowiadań Jacques’a Rossi polega chyba na tym, że nie przyjmujemy ich jako wspomnień i nie odnosimy wrażenia, że czytamy wspomnienia. Autor za każdym razem przenosi dawno minioną epokę w czas teraźniejszy, bezlitośnie przygważdża nas do niego, wraz z nim czujemy głód, chłód, ciasnotę baraków i więziennych cel, przeżywamy losy jego (naszych!) sąsiadów z pryczy, własne zaślepienie i stopniowe opadanie bielma z oczu”.

Przekładałam dość swobodnie, biorąc pod uwagę, że Jacques pisał z myślą o czytelniku francuskim. Tu i ówdzie musiał wyjaśniać rzeczy, które dla każdego rosyjskiego czytelnika są jasne (na przykład fakt, że Krasnojarsk leży na Syberii i inne takie); wtedy opuszczałam zbędne szczegóły. W innych miejscach francuski nie oddawał bogactwa rosyjskiej mowy obozowej: wówczas – nietrudno zgadnąć – szukałam rosyjskich synonimów (np. słowa „pajka”) w „Przewodniku po GUŁAG-u” tegoż Jacques’a Rossi. Być może dlatego największą pochwałą było dla mnie kilka słów od Jacquesa: „W przekładzie tekst brzmi inaczej. I bardzo, bardzo mi się podoba”. Podobał mu się, mam nadzieję, także dlatego, że to „inne brzmienie” było jego własne, autorskie, że taki był rosyjski tekst opowiadań Jacques’a Rossi.

W posłowniu wyrażałam nadzieję, że także ta książka Jacques’a zostanie wydana w Rosji, tak jak jego „Przewodnik po GUŁAG-u”. W przedmowie do drugiego wydania napisałam w czasopiśmie *Nowaja Polsza* (2003, numer 10): „Napisała dla politycznie mało rozgarniętych Francuzów, książka ta mogłaby stać się doskonałą lekturą szkolną dla rosyjskich uczniów, urodzonych po upadku komunizmu. Niestety, moje starania o znalezienie wydawcy na razie spełzły na niczym”.

Myślę, że trudno godniej uczcić pamięć Jacques'a Rossi, który zawsze starał się wpoić ludziom pamięć o totalitarnej przeszłości, anizeli wydając wreszcie jego tom opowiadań o Rosji.

Natalia GORBANIEWSKA



Monika SĘDŁAK

ZYGMUNT HERTZ
(W DWUDZIESTĄ PIĄTĄ ROCZNICĘ
ŚMIERCI)

*Drogi Zygmuncie,
dopiero teraz zrozumiałem,
jak bardzo Cię kochałem¹.*

Czesław Miłosz

Mówili o nim: „buczący trzmiel”, *filanthropos*, Sanczo Pansa laffittowskiego domu, minister spraw zagranicznych *Kultury*. 5 października mija 25 lat od śmierci Zygmunta Hertza, człowieka dziś już prawie całkowicie zapomnianego. Zresztą i za życia znany był tylko niewielkiemu gronu osób związanych z *Kulturą* i Instytutem oraz odpowiednim służbom w „zakurtyennej” Polsce, dla których był wrogiem systemu. O Jerzym Giedroyciu i Zofii Hertz napisano i wciąż pisze się bardzo wiele. Nie przyznaje się jednak takiego samego miejsca w historii tego niewielkiego ośrodka emigracyjnego Hertzowi, co widać po opracowaniach dotyczących

1. Depesza po śmierci Zygmunta Hertza, odczytana na pogrzebie przez Józefa Czapskiego.

wspomnianych instytucji, gdzie zazwyczaj jego rola i osoba spychana jest na margines. A przecież Zygmunt Hertz to nie tylko dyrektor administracyjny Instytutu. Zygmunt Hertz to również wózki pełne książek i *Kultury*, pchane niestrudzenie na oddaloną o kilometr stację kolejową, dzień za dniem, przez wiele lat – bez słowa skargi². Zygmunt Hertz to dziesiątki, jeśli nie setki zagranicznych stypendiów i zaproszeń, dla pisarzy i młodych ludzi z Polski, to zabieganie o nagrody dla tych najlepszych, to organizowana pomoc dla osób w kraju, które były w „niełasce” panującej władzy, (m.in.: pomoc dla sygnatariuszy Listu 34, dla uczestników marca '68 czy wydarzeń z 1976 roku). Z drugiej strony Zygmunt Hertz to ponad 330 zachowanych listów, napisanych do Czesława Miłosza, jego najbliższego przyjaciela. To dziesiątki listów do innych, uznanych ludzi pióra – m.in. Marka Hłaski, Agnieszki Osieckiej, Jerzego Andrzejewskiego, Aleksandra Wata, Zbigniewa Herberta, Jarosława Abramowa-Newerlego. Nie na darmo mówiono o nim: przyjaciel pisarzy. Zygmunt Hertz to także przechowywana do dziś w domu *Kultury* słynna kolekcja „obrzydliwości”³, oraz setka książek z najczulszymi dedykacjami od autorów.

Urodził się w Warszawie w zamożnej, żydowskiej rodzinie 18 stycznia 1908 roku, lecz całe dzieciństwo i młodość spędził w Łodzi⁴. Pieniądze i pozycja ojca pozwoliły mu na prowadzenie beztrudnego i pełnego zabawy życia. Był przystojny, bogaty, obyty w świecie, znał języki obce. Typowy

2. Jak ciężka była to praca, pisał Wacław Zbyszewski: „[...] Czasem próbowałem mu pomagać, ale szybko zrezygnowałem. Zły stan mego serca był idealną wymówką od przerażającej harówki. Ale on ze swą taczka nigdy nie ustawał, jak polscy zesłańcy w kopalniach w Nerczyńsku. [...]”. W. Zbyszewski, „Zagubieni romantycy” [w:] „Zostało tylko słowo... Wybór tekstów o *Kulturze* paryskiej i jej twórcach”, Lublin, Wydawnictwo FIS, 1990, s. 37.

3. Z pasją zbierane odznaczenia i medale z różnych okresów historycznych, których wspólnym mianownikiem była zdrada Polski lub służalstwo Polaków wobec carskiej lub sowieckiej Rosji.

4. Najprawdopodobniej lata 1926-1928 spędził w Wielkiej Brytanii, gdzie zapisał się tam na studia ekonomiczne w Owens College w Manchesterze, a następnie przeniósł się do London School of Economic. Niestety nie wiemy, czy ukończył te studia i z jakim tytułem. Archiwum Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte [dalej: AIL-ML].

złoty chłopak. Sam po latach tak wracał pamięcią do tamtego okresu:

Przeżyłem [...] do 1939 roku w luksusach jak na Polskę – zdążyłem do 31 roku życia mieć 3 samochody [...]⁵.

Ojciec znając upodobania syna do prowadzenia lekkiego i rozrywkowego trybu życia postanowił „ustawić” go życiowo, co w praktyce oznaczało posyłanie go do różnych prac fizycznych⁶. Na początku 1938 roku, na balu zorganizowanym przez kolegę poznał swą przyszłą żonę Zofię Neuding. Snob – wspominała Zofia Hertz pierwsze wrażenie, jakie wywarł na niej młody Zygmunt. Rok później byli już małżeństwem. Wakacje 1939 roku, które spędzali nad Bałtykiem⁷, przerwała powszechna mobilizacja. Zygmunt będąc podporucznikiem rezerwy został zmobilizowany do 1 Pułku Artylerii Przeciwlotniczej w Warszawie. Zosia wraz z teściem pozostała w Łodzi.

Po kilku dniach kampanii wrześniowej Zygmunt na rozkaz dowódcy udał się na wschód kraju⁸. Zdezorientowany wskutek zaistniałej sytuacji politycznej i militarnej postanowił przedostać się do Rumunii. W drodze do granicy był dwukrotnie aresztowany przez żołnierzy sowieckich. Za pierwszym razem, po kilku dniach niewoli, na jednym z dworców kolejowych udało mu się uciec. Stacją docelową transportu,

5. Z. Hertz, „Listy do Czesława Miłosza 1952-1979”, Paryż 1992, s. 469.

6. „[...] pracowałem jako doker (bez bujd – było takie kilka miesięcy [...] targałem wory z sodą w Neufährasser, tj. gdańskim Nowym porcie u ujścia Wisły)” – pisał w listach do Miłosza. *Ibidem*, s. 352; por. I. Chruślińska, „Była raz *Kultura...*”, Rozmowy z Zofią Hertz”, Warszawa 1994, s. 17.

7. *Ibidem*, s.16.

8. „[...] Trzeciego dnia wojny Zygmunt wraz z dwoma innymi kolegami został wysłany przez swojego dowódcę do Brześcia nad Bugiem. Miał rozkaz zorganizowania do Warszawy transportu dział przeciwlotniczych, które znajdowały się w twierdzy. Ale kiedy Zygmunt dotarł w końcu do Brześcia, rozkaz okazał się nieaktualny. O powrocie do Warszawy nie było mowy. Brześć był okrążony, komendant kazał rozebrać działa na drobne części i zatopić je w Bugu, aby nie dostały się w ręce Niemców. Zwolnił również żołnierzy do domu, gdyż nie było się czym bić. Zygmuntowi doradził zrobić to samo. [...]”. *Ibidem*, s. 18.

z którego zbiegł, był Katyń⁹. Drugi raz schwymano go kilka dni później.

[...] jak się ogromnie bałem w Nadwornej zatrzymany na granicy – pisał do Miłosza – [...] na szczęście wszystkie kryminaly nadworniane były przepełnione. [...]. No i z braku miejsca puścili. [...]¹⁰

Zniechęcony i nie widzący możliwości bezpiecznego przedarcia się przez granicę, postanowił poczekać na lepszą okazję u swego stryja w Stanisławowie¹¹. W międzyczasie dołączyła do niego żona, której udało się przejść zieloną granicę. W czerwcu 1940 roku oboje wyjechali do Lwowa¹², (skąd mieli zamiar przedostać się do Warszawy). Po kilku dniach pobytu zostali aresztowani¹³ i wywiezieni do Cyngłoku w Maryjskiej Republice Autonomicznej. Spędzili tam 14 miesięcy¹⁴ pracując przy wyrębie lasu¹⁵.

9. „[...] Zygmunt [...] postanowił przedostać się na Zachód przez granicę z Rumunią. W drodze jednak złapali ich Rosjanie, dołączyli do dużej, około dwutysięcznej, grupy oficerów polskich. [...] postanowił, że jak tylko będzie możliwe, spróbuje uciec. Taka okazja nadarzyła się w Czortkowie [...]”. *Ibidem*, s. 18; Z. Hertz, *op.cit.*, s. 482.

10. *Ibidem*, s. 194.

11. Przebywał tam aż do czerwca 1940 roku. „[...] w swoim czasie «bawiłem» w Stanisławowie (1939–1940) u mego stryja, zaraz po ucieczce z niewoli sowieckiej. [...]” – pisał w liście do Czesława Miłosza. *Ibidem*, s. 238.

12. „[W Stanisławowie] Rosjanie wydali rozporządzenie, że kto nie ma sowieckiego paszportu lub pozwolenia na pobyt, nie może mieszkać w mieście wojewódzkim, tylko w obrębie 100 km od tych miast. [...] Postanowiliśmy więc jechać do Lwowa, a stamtąd przedostać się z powrotem do Polski. Przyjechaliśmy w najgorszym momencie. Rosjanie wydali rozporządzenie [...] nie opuszczać mieszkań. [...] W rzeczywistości w ciągu tych trzech dni rozpoczęto ogromne wywózki, głównie Polaków. [...]”. I. Chruślińska, *op.cit.* s. 19.

13. „[...] Następnego nocy zostaliśmy razem obawiając się aresztowania. Rzeczywiście nie omyliliśmy się. Na szczęście nie rozdzielono nas. [...]”. *Ibidem*, s. 20; Według G. Hryciuka, „Polacy we Lwowie 1939–1944. Życie codzienne”, Warszawa 2000, s. 90 – „szczyt wywozów nastąpił w nocy z 28 na 29 czerwca 1940 roku”.

14. Od chwili aresztowania w czerwcu 1940 roku, do sierpnia 1941 roku, kiedy to na mocy układu Sikorski–Majski, zostali zwolnieni. Z. Hertz, *op.cit.*, s. 17.

15. W listach do C. Miłosza pisał: „[...] było 14 miesięcy w pracy w charakterze drwala [...]”. *Ibidem*, s. 482.

[...] Wyżyliśmy cudem. Pamiętam, niedługo po przyjeździe Zygmunt powiedział mi, że na pewno tam umrzemy, że nie przeżyjemy. Odpowiedziałam mu wtedy, że nie ma mowy, abyśmy zginęli, że musimy przeżyć. W przeciwnym wypadku powinniśmy natychmiast powiesić się na najbliższym kołku, bo po co się tak straszliwie męczyć się przed śmiercią¹⁶.

I doczekali. W ramach amnestii, po podpisaniu w lipcu 1941 roku układu Sikorski–Majski, zostali zwolnieni z obozu i wyruszyli do Buzułuku, gdzie tworzyło się Wojsko Polskie. Zygmunt od razu został przydzielony do 6 Dywizji Armii Polskiej¹⁷. Wraz z II Korpusem przeszedł cały szlak bojowy przez Irak, Egipt¹⁸. Z wojskiem został przerzucony do Włoch, gdzie brał udział w bitwie o Monte Cassino. Tam też zastał go koniec wojny.

W 1946 roku przyłączył się do zespołu Instytutu Literackiego¹⁹. Zajmował się działem gospodarczym, sprawami kwaterunkowymi (wynajmowanie lokali, samochodów, zdobywanie żywności itp.), administracją, kolportażem książek Instytutu i innych na terenie Włoch, ekspedycją książek za granicę i spraw z tym związanych²⁰. 27 sierpnia 1947 roku gen. Anders podpisał rozkaz przeniesienia siedziby Instytutu do Paryża, a tym samym zatwierdził skład osobowy Instytutu w stolicy Francji. Do Paryża przyjechał 13 października 1947 roku²¹, a już 17 dni później wprowadził się (wraz z Zofią Hertz i Jerzym Giedroyciem) do domu przy 1, Avenue Cornille w Maisons-Laffitte.

16. I. Chruślińska, *op.cit.*, s. 23.

17. Następnie został przeniesiony do 7 DAPI. 12 sierpnia 1942 roku został ewakuowany z terytorium ZSSR. Do października 1942 roku przebywał w British Evacuation Base w Pahlevi. 12 listopada 1942 rozkazem personalnym Armii N. 10/42 został przeniesiony do 8 Pułku Artylerii Przeciwlotniczej Ciężkiej, AIL-ML.

18. W wywiadzie Zofia Hertz wspomina o wspólnych urlopach z mężem w Jerozolimie i nad Morzem Martwym. I. Chruślińska, *op.cit.*, s. 33.

19. 26 czerwca 1946 roku kierownik Instytutu Jerzy Giedroyc wystosował pismo do Szefa Sztabu 2 Korpusu z prośbą, o odkomenderowanie do Instytutu porucznika Hertza z 8 Pułku Artylerii Przeciwlotniczej Ciężkiej, ze względu na konieczność jak najszybszego załatwienia spraw gospodarczych i kwaterunkowych Instytutu, którymi Zygmunt Hertz ma się zajmować, AIL-ML, Materiały Instytutu Literackiego w Rzymie.

20. *Ibidem*.

Decyzja o własnej inkorporacji w skład Instytutu, jaką podjął jeszcze we Włoszech, była ze wszech miar świadoma, choć niekoniecznie Giedroyc, jak i Hertzowie zdawali sobie sprawę, jak to wszystko będzie wyglądać i funkcjonować w przyszłości. Z czasem sytuacja stała się klarowna, co w praktyce oznaczało wyraźny podział ról i rozkład obowiązków. Redaktor był Redaktorem²², a reszta pracowników pozostawała w jego cieniu, dotyczyło to głównie Zygmunta, który czasami odczuwał to dość boleśnie.

[...] Wystawiony zostałem na boczny tor, doskonale zroźnięty z trawą. Jerzy chce być wszystkim, o wszystkim decydować. „Monsier *Kultura*”, zidentyfikowany z pismem – i nikt nie śmie mieć cudzych bogów przed nim [...]”²³.

Ale raz podjętej decyzji nie zamierzał zmieniać. Aczkolwiek w pierwszych latach istnienia *Kultury*, kiedy to powszechnie wierzone w rychły wybuch nowego konfliktu zbrojnego w Europie, Zygmunt próbował „opukać” możliwość powrotu do koncernu Solvay, w którym pracował przed wojną.

[...] mimo to nie wiem czy mogę tu liczyć na ustabilizowanie się, muszę przecież myśleć o dalszej przyszłości. W związku z tym mam do ciebie wielką prośbę. Chciałbym żebyś mi napisał zupełnie szczerze czy uważasz, że istnieją możliwości zaczepienia się o Solvaya. Od czasu naszej wspólnej bytności w Belgii nie poruszałem w ogóle tej sprawy. Czy widzisz jakieś możliwości dla mnie dostania się do Twojego przedsiębiorstwa w Brazylii? Czy to zależy od miejscowych czynników brazylijskich, czy też od centrali brukselskiej? Jeżeli mógłbyś mi podać dane byłbym Ci bardzo wdzięczny. Czy możesz mi pomóc w zrealizowaniu tego planu? Przez kogo należy

21. „[...] Przyjechaliśmy w dniu największego w historii Francji strajku generalnego. Stało wszystko. Zamieszkaliśmy w małym hoteliku w Quartier Latin, przy rue de Deux Ponts. Ale krótko. Bardzo szybko okazało się, że z pieniędzy, które przywieźliśmy, nie będziemy w stanie kupić mieszkania, które mogłoby być jednocześnie naszym biurem. [...] I wtedy z pomocą przyszedł nam Józio Czapski. [...]”. I. Chruślińska, *op.cit.* s. 50.

22. „[...] do Zespołu należą: Redaktor Jerzy Giedroyc, Redaktor Giedroyc Jerzy; Giedroyc Jerzy, Redaktor; J. Giedroyc, Redaktor; Giedroyc Jerzy; Jerzy Giedroyc; Redaktor; Giedroyc; Jerzy; oraz inni członkowie Zespołu *Kultury*”. „Nasza stała lektura – pastiche *Kultury*”, *Kultura*, 1955, nr 3/89.

23. Z. Hertz, *op.cit.*, s. 210.

się starać i czy możesz w tym pomóc. Uważałbym za idealne rozwiązanie, gdybym mógł praktykować w ich biurze paryskim powiedzmy przez kilka miesięcy z tym, że po tym okresie mógłbym wyjechać do Brazylii już na zafiksowane miejsce [...]”²⁴.

W archiwum Instytutu zachowała się kopia tego listu, niestety brakuje odpowiedzi. Nie wydaje się jednak, patrząc na późniejsze życie i dokonania Hertza, aby desperacko szukał innej posady i próbował odejść. Bo niemożliwością jest, aby on ze swoimi umiejętnościami i bądź co bądź niezłą znajomością Europy – tej przedwojennej, nie miał na to szans. Przeciwnie, ci, co go znali twierdzili, że niewątpliwie zrobiłby karierę w biznesie. Ale w tym wypadku zwyciężyła lojalność. Bo odejść, oznaczało odejść od Zosi.

I tak z rozpieszzonego przez życie, bogatego, typowego przedwojennego *bon vivanta* został anonimowym, pełnym poświęceń marynarzem, który nie próbował już nigdy opuścić niewielkiego stateczku, jaką była *Kultura*. I płynął nim przez całe życie, choć niestety nie dane mu było dobić do brzegu. Przychodziły momenty zwątpienia.

[...] Nie potrafiłbym żyć w izolatorze, a właściwie Maisons-Laffitte jest dla mnie czymś w tym rodzaju. Nie chcę, to nie miałyby sensu, żebym przekonywał Zosię, że właściwie cacy-cacy, ale u Boga ojca, gdzie jest jej i moje miejsce w tym „interesie”. Że poświęcenie całego wysiłku i przekreślenie życia osobistego w imię dość problematycznego ideału nie ma wielkiego sensu. Stanie się wtedy przed pustką, w jakiej ja jestem. Więc po co? [...]”²⁵.

Były też chwile prawdziwej satysfakcji i zadowolenia z dokonań.

[...] Właściwie jestem zadowolony z tego, że tu jestem. Oczywiście, są „poświęcenia” i rezygnacje z wielu rzeczy, z własnego domu, z życia osobistego. Ale w zamian przyczyniłem się do tego, że TY miałeś gdzie przyjść, Wat, Hłasko, że miał gdzie wyjść Jerzy [Andrzejewski], że coś się zrobiło. [...]”²⁶.

24. AIL-ML.

25. Z. Hertz, *op.cit.*, s. 248.

26. *Ibidem*, s. 282.

Aby ocalić resztki swojego prywatnego życia Zygmunt, który posiadał nie tylko dar bratania się z ludźmi, ale wręcz pasję ich poznawania, połączył tę niezwykłą umiejętność, z pracą dla dobra Instytutu. Wyciągając z tego korzyści również dla siebie, w postaci przyjaźni i znajomości, które niekiedy trwały całe życie.

[...] stworzyłem sobie jakąś fikcję własnego życia, polegającą na własnych kontaktach z ludźmi [...]²⁷.

Ktoś kiedyś o nim powiedział, że z pomagania innym uczynił sport. Zdaje się, że przez całe życie zastanawiał się: komu by tu można było jeszcze pomóc. A jego często powtarzane w listach do Miłosza słowa: „Oj Cześ, jak łatwo, mimo wszystko, jest ludziom dobrze robić”, stanowiły swoiste *credo* jego życia. Pomagał wszystkim, załatwiał wszystko, przedkładał sprawy innych nad własne. Wykorzystując własne i cudze znajomości i możliwości, chodził i pukał do różnych drzwi z prośbą o pomoc dla wybitnych i utalentowanych osób: artystów, dziennikarzy, literatów. W ich interesach pisał setki listów, nawet w prywatnej korespondencji zawsze znalazło się pytanie, czy nie dałoby się konkretnej osobie pomóc. Komu tylko mógł, polecał wyłowione z tłumu spotkanych rodaków jeszcze nie oszlifowane talenty, które z czasem dzięki jego pomocy zaczynały błyszczeć. Nie jest możliwe zliczenie ile osób z Polski wyjechało dzięki niemu na studia zagraniczne, ilu osobom pomógł w zdobyciu stypendiów, dzięki którym mogli przez jakiś czas przebywać na Zachodzie. Pilnował, aby wydawnictwa wypłacały honoraria za artykuły i odczyty autorstwa polskich intelektualistów. Dziś nazwano by go managerem. Nie należy zapominać, że to on był siłą napędową pomocy dla szykanowanych przez władze osób, które jawnie powiedziały głośno „nie” systemowi. Pomoc była dla niego priorytetem. Sygnatariuszy Listu 34, uczestników marca czy KOR dopisał do prywatnej listy potrzebujących wsparcia (głównie finansowego).

[...] Jak tylko protest doszedł tutaj, pogalopowałem do

27. *Ibidem*, s. 210.

Kota [Jeleńskiego] z tym, że na pewno podpisujący zostaną uderzeni po kieszeni. [...]28.

[...] mam na rozkładzie intrygę o płacenie złotówkowych honorariów na KOR, [...] podrzucenie tych kamikadze z KOR-u (mam na myśli młodych, wylanych z wszelkich posad) rozmaitym panom na emigracji, którzy ich uczyli tych brzydkich rzeczy i wyjechali na Zachód [...] – niechaj im posyłają po te 30 dolarów miesięcznie [...]29.

[...] Marek Nowakowski ma 17.2.[1972] jechać do Iowa – to bardzo świetny facet. Moja zasługa, że dusiłem Artura [Międzyrzeckiego], Artura zasługa, że dusił dalej.[...]30.

[...] We Włoszech wyciągnąłem dla Jerzego [Andrzejewskiego] 80 tys. frs od Lericciego [...]31.

[...] Kończę, bo mam jeszcze ze trzy listy w cudzych interesach do napisania. [...]32.

Przyjeżdżający do Paryża zaczynali zwykle pobyt od spotkania z Hertzem. Nie zawsze chcieli odwiedzać Maisons-Laffitte z obawy przed szykanami ze strony władzy po powrocie, woleli ustronne, bezosobowe knajpki Paryża.

[...] Przed chwilą znowu telefon – [Aleksandra] Ślaska – wraca z festiwalu w Cannes – powiada, że dzwoni do mnie z duszą na ramieniu, że „parszywie” upokarzające te „tajne” spotkania. [...]33.

[...] Rodaków w Paryżu sporo – starannie unikają sytuacji niewygodnych. Widuję mimo to sporo ludzi, niby są optymistyczni, ale każdy z nich obawia się zrobić jakieś złe posunięcie, coś nieostrożnego, aby nie mieć niemożliwego przyjazdu ponownego do Paryża. [...]34.

28. *Ibidem*, s. 159.

29. *Ibidem*, s. 449.

30. *Ibidem*, s. 377.

31. *Ibidem*, s. 56.

32. List do W. Iwaniuka, z dn. 12.12.1961 r., „Listy Zygmunta Hertza do Wacława Iwaniuka”. Oprac. H. Wójcik, *Kresy*, 1993, nr 15, s. 102-125.

33. Z. Hertz, *op.cit.*, s. 168.

34. List do Wacława Iwaniuka, z dn. 29.12.1961 r., *op.cit.*

Był pełen wyrozumiałości dla ludzkich słabości i namiętności. Nie oceniał, nie groził palcem, nie wydawał wyroków, w przeciwieństwie do Redaktora nie żądał od rodaków bohaterских postaw wobec krajowej rzeczywistości. Trochę jak biblijne: nie sądzicie, a nie będziecie sądeni.

Ze znanstwem wytrawnego polityka wnikliwie analizował wszelkie doniesienia o sytuacji politycznej kraju i świata. Miał ambicje być jak najlepiej poinformowanym o tym, co się dzieje w „jego” Nadwiślanii – jak zwykły mawiać o Polsce. Z pieczołowitością godną zapalonego filatelisty zbierał plotki, ploteczki, informacje o codziennym życiu ludzi znanych i nieznanym, o wydarzeniach w kraju i o najnowszym decyzjach władzy. Wszystko widział w dość paskudnym barwach i nie wierzył w zakończenie lub jakąkolwiek ewolucję komunizmu. Daleki był od optymistycznego patrzenia w przyszłość. Ciepło podkpiwał z przejętych rozmowami z Redaktorem gości, za każdym razem pytając: znowu zmienialiście świat?

Czy można pisać o Zygmuncie, pomijając rolę Miłosza w jego życiu? Dla Hertza był to jeden z najważniejszych rozdziałów w życiu, choć jakże oryginalny – korespondencyjny. Od chwili, kiedy Miłosz przekroczył próg domu przy Avenue Corneille, Zygmunt stał się jego stróżem. I to dosłownie. Chodził za nim krok w krok przez pierwsze miesiące jego pobytu w *Kulturze*, kiedy to istniało zagrożenie porwania lub prowokacji ze strony tajnych służb polskich. Z czasem ta znajomość przekształciła się w przyjaźń. Gdy poeta wyjechał do Stanów Zjednoczonych, rozpoczęła się wieloletnia wymiana listów pomiędzy Berkeley a Maisons-Laffitte.

Przy Twoim wyjeździe – pisał do Miłosza – ba, grubo przed Twoim wyjazdem wiedziałem, że będziemy ze sobą korespondować [...]³⁵.

Listy, które pisał, traktował jako rozmowę:

Kochany Czesławie. List kolorowy dostałem. Zaraz odpisuję, bo jak się pisze od ręki, to trochę jak rozmowa. [...]³⁶.

35. Z. Hertz, *op.cit.*, s. 371.

36. *Ibidem*, s. 325.

W poecie znalazł doskonałego rozmówcę – „czytacza”. Pisał o wszystkim. O rzeczach mniej lub bardziej ważnych, o ludziach, o wiadomościach z kraju, o własnych problemach i rozterkach. Miłosz dzięki listom z Francji dowiadywał się o docieraniu i poczytności jego wierszy w kraju, o paszkwilach na swój temat. Zygmunt był dla niego źródłem informacji o nim samym. Efektem tej dziwnej transatlantyckiej korespondencji jest ponad 330 listów, z pewnością było ich więcej, ale część została zniszczona na prośbę nadawcy. Rachunek jest prosty. Zygmunt wysyłał do przyjaciela co najmniej 1 list w miesiącu, systematycznie przez 27 lat. Na marginesie należy wspomnieć, że Czesław Miłosz był jednym z kilkudziesięciu „regularnych” korespondentów Zygmunta.

Listy pisane jego ręką – nie tylko te do przyszłego noblisty, to kunszt sztuki epistolarnej.

[...] Mój list nie będzie taki błyskotliwy jak Twoje (jesteś mistrzem gatunku). [...] ³⁷

[...] dziękuję za obszerny, serdeczny i wykazujący pazur literacki list. Czyta go się z przyjemnością – jest bez dłużyzn. Ale nie suchy i zawiera w skrótach masę myśli i wiadomości. [...] ³⁸

[...] duża frajda Twój list a właściwie to już nie list tylko literatura. [...] ³⁹

Bowiem Zygmunt miał talent, co nie dziwi – wszak pochodził z rodziny o bogatych tradycjach literackich. Mógłby zostać świetnym pisarzem. Pisarzem istotnie był, ale pisał zawsze tylko dla jednego czytelnika – adresata listu.

Był człowiekiem niezwykłym. Zresztą niezwykle domy – a takim niewątpliwie była *Kultura* – zawsze tworzą niezwykli ludzie. Nie może być inaczej. Zaistniało zjawisko, które zaistnieć nie miało prawa. Odeszło wraz z twórcami. Pozostały nazwiska w encyklopediach, zapelnione półki w domach i bibliotekach. Nie zapominajmy jednak, że część z nich dźwigał na własnych barkach pewien ciepły, dobry i niezwykle skromny człowiek – Zygmunt Hertz.

Monika SĘDŁAK

37. List od Jarosława Abramowa z dn. 29.10.1973 r., AIL-ML.

38. List od Antoniego Idźkowskiego z dn. 26.09.1960 r., AIL-ML.

39. List od Krystyny Tarnowskiej z dn. 01.06.1959 r., AIL-ML.

WSPOMNIENIA

Adam O. UZIEMBŁO

PO WOJNIE. WSPOMNIENIA

Pod koniec 1944 r. w obozie przygotowywaliśmy się już na koniec wojny. Jeżeli chodzi o naszą organizację, która w tym czasie wzrosła do około 40 osób, to staraliśmy się nawiązać kontakty ze wszystkimi innymi czynnikami, aby przygotować ludzi do współpracy z nową rzeczywistością, w nowej Polsce. Przede wszystkim mieliśmy już wtenczas wiele informacji dzięki temu, że przyszli starsi oficerowie po Powstaniu Warszawskim. Przeprowadziliśmy rozmowy z Rzepeckim, który nas najdokładniej poinformował o układzie sił politycznych w Polsce (od Rzepeckiego wtedy dowiedziałem się, że Ojciec bierze udział w pracy Biura Informacji i Propagandy w Krakowie), z Hermanem, Sanojcą i kilkoma innymi oficerami AK. Pierwszym naszym posunięciem było doprowadzenie do deklaracji możliwie szerokiego grona o powrocie do kraju i o współpracy z nową rzeczywistością na podstawie uznania manifestu PKWN. Na ten temat rozmawialiśmy w ramach „ósemki”. „Ósemka” to była komisja porozumiewawcza czterech organizacji: Koła Spółdzielców, reprezentującego komunistów, Koła Socjologicznego, reprezentującego pepeesowców, Studium Kultury Wsi, reprezentującego ludowców i koła Związku Nauczycielstwa Polskiego. Pepeesowcy, t.j. Koenig, Cohn, Bronisław Lipiński wycofali się z „ósemki”. Mogę powiedzieć, że pepeesowcy byli bardziej skłonni do współpracy przed przyjazdem Bronisława Lipińskiego. Bronisław Lipiński usztywnił ich stanowisko.

Artur Leinwand: – *Kiedy pepeesowcy wycofali się?*

Adam Uziembło: – Na jesieni 1944 r. Natomiast nastąpiło duże przesunięcie w stanowisku ludowców. Ci sami, którzy przedtem dokonali rozłam w Studium Kultury Wsi, ażeby odciąć się od komunistów (Piłat, Sadrakuła), poszukiwali z nami współpracy, niezależnie od tego, że przyjechał wówczas ludowiec Sobieraj, mocno zaangażowany partyjnie. On też zmienił swoje stanowisko. Natomiast w pełni popierali nas nauczyciele – Kwiatkowski, który przedtem podkreślał wyraźnie swoje polityczne poparcie dla PPS, zaczął się od nich dystansować i coraz bliżej z nami współpracował. Poprzez Kuropieskę zabiegałem o współpracę z organizacją wojskową, a więc przede wszystkim z dwójką, tzn. z mjr. Floryanowiczem, kpt. Mizerskim i grupą, która zajmowała się wywiadem. Skontaktowałem mnie z nimi Kuropieska w noc przed wymarszem z obozu. Zgłosili się także kapitanowie Szaad, Kołodziejski, Witold Kirchmayer, Bochenek, ppor. Roman Paszkowski, późniejszy generał dywizji LWP. Wybiegając trochę naprzód w momencie likwidacji obozu zgłosili się oni do nas o ścisłą współpracę. Oświadczyli, że mają radiostację, którą wezmą ze sobą, że służą nam wszelkimi informacjami, sporządzonymi przez siebie mapami, w wypadku, gdybyśmy chcieli uciekać, i trzymali się z nami stale razem. Z tych nazwisk pamiętam m.in. por. Hersego (to był syn (senatora Bogusława Hersego, późniejszy profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, pasierb gen. Floryanowicza, wówczas majora). Zaczął się zmieniać zupełnie stosunek starszyny wojskowej do nas. Wielu spośród nich zgłaszało się do nas, a w szczególności do mnie, wyraźnie z propozycjami współpracy. M.in. komandor, późniejszy admirał Steyer, kilku innych oficerów pochodzących z armii rosyjskiej. Zaznaczali również chęć współpracy niektórzy katolicy, m.in. mgr Gniadek, późniejszy, chyba, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, romanista, Pawłowicz – prawnik, asystent czy adiunkt Uniwersytetu Stefana Batorego. Nie wiem, co się z nim później stało, ale zdaje mi się, że współpracował z władzami w Polsce Ludowej.

Już z nasłuchu radiowego (bo mieliśmy nasłuch radiowy), wiedzieliśmy o zbliżaniu się frontu i spodziewaliśmy się lada dzień ewakuacji obozu. Nastąpiła ona rzeczywiście 25 stycznia. Obóz podzielono na dwie części: część zachodnią, którą ewakuowano dzień wcześniej i szła naprzód, i część wschodnią, którą ewakuowano dzień później. Chorych zostawiono w obozie.

Jeśli chodzi o nas, o organizację konspiracyjną, to na

wiadomość o tym, że obóz będzie podzielony, podzieliliśmy też i naszą organizację, z tym, że na obóz „Zachód” wyznaczaliśmy jako komendanta Berka, przydzielając mu jako doradcę wojskowego kpt. Kuropieskę. Później okazało się, że kpt. Kuropieska nie przestrzegał lojalności w stosunku do Berka, który po powrocie miał do niego bardzo wiele zastrzeżeń. Natomiast jeśli chodzi o „Wschód”, to kierownictwo organizacji spoczywało w rękach Pietrusiewicza i moich. Ja, jako znający język rosyjski, zostałem przydzielony bezpośrednio do kontaktów z komendantem obozu płk. Szalewiczem, który pragnął, abym w wypadku wyzwolenia obozu przez wojska sowieckie, występując jako tłumacz, odegrał rolę pośrednika między dowództwem sowieckim a nim. Właściwie to tłumacz Szalewiczowi nie był potrzebny, ponieważ długie lata służył w wojsku rosyjskim, kończył rosyjski korpus kadetów, mówił więc po rosyjsku nie gorzej ode mnie. Ale to była forma, w której mogłem zjawić się oficjalnie nie dekonspirując organizacji.

Marsz był bardzo ciężki – zima, śnieg, mróz, ludzie pozabierali ze sobą, do sanek, strasznie dużo rzeczy. Przy okazji ja zarobiłem buty: okazało się, że wszyscy chomikowali i taki Żarnowski miał dodatkową parę butów, której nie mógł zabrać ze sobą, takie ładne buty, saperki. Ubrałem się w ładny mundur. No i po czterech dniach marszu, dnia 29 stycznia zakwaterowano nas w Barlinku. I tutaj w pewnym momencie wjechał na podwórze czołg sowiecki. Ponieważ myśmy byli schowani w zabudowaniach gospodarczych, w jakiejś stodole, gdzie byli marynarze i kręcił się żołnierz niemiecki, czołg strzelił i tam kilkanaście osób zostało zabitych, a między innymi rękę stracił późniejszy kwatermistrz LWP, generał, wówczas kapitan – Zimiński. Przy tym „wyzwoleniu” my też ponieśliśmy ciężką stratę: zginął nasz ekonomista por. Polak, który oddalił się na własną rękę.

Początkowo trzymaliśmy się kupy. Ja byłem przy Szalewiczu. Oficerowie sowieccy uprzedzili nas, że wolna jest tylko wąska szosa, że po lewej i prawej stronie są jeszcze nie zlikwidowane oddziały niemieckie.

Przez pierwszy dzień szliśmy bardzo długo, dlatego że płk Szalewicz, jako komendant, chciał koniecznie zezwolenia władz sowieckich na zatrzymanie. A tymczasem te władze sowieckie, z którymi mieliśmy do czynienia, były wszystkie absolutnie pijane i o żadnym pozwoleniu czy jakimkolwiek dogadaniu się z nimi

nie było mowy. Po prostu regulirowczyca mówiła: „A chcecie nocować – to nocujcie”. No i w jakiejś wsi zanocowaliśmy. Ten pierwszy nocleg na wolności, ta wolność... więc zajęliśmy, zajmowaliśmy jakiegokolwiek bądź mieszkania, w których pełno było rozmaitego jedzenia... Niemcy już uciekli.

W grupie mniej więcej zorganizowanej dotarliśmy do Piły. W Pile obóz się rozwiązał, pomimo tego że chcieliśmy, żeby obóz skontaktować z władzami polskimi. Ułatwiłoby to, naszym zdaniem, wejście do Wojska Polskiego. No ale już poza Piłą nie dało się tego przeprowadzić. Nasza grupa, która składała się przeważnie z oficerów zawodowych i kilku oficerów z naszej organizacji konspiracyjnej, zarekwirowała jakiś samochód ciężarowy i tym samochodem ruszyliśmy dalej. Chcieliśmyjechać do Poznania, ale zatrzymali nas żołnierze sowieccy. Przejechaliśmy ich linię i dostaliśmy się pod ogień niemiecki. Wróciliśmy. Ale wówczas sowieci odebrali samochód i dalej posuwaliśmy się już na własną rękę. Ja szedłem z komendantem naszego baraku, por. Bogusławem Krukowskim. Takeśmy się dostali do Gniezna. Ludność nas przyjmowała z dużą serdecznością, ale na terenie Reichu – poznańskiego, panowała wielka bieda, tak że nie bardzo mieli się czym podzielić, jeśli chodzi o jedzenie – gorzka kawa, kartofle i chleb.

To była wędrówka narodów. I tu ciekawa rzecz – były wyraźne różnice między narodowościami. Polacy trzymali się na ogół w grupach w sposób zorganizowany, starali się wyglądać jako tako. Francuzi, którzy byli przecież zaopatrzeni zupełnie tak samo jak Polacy, wyglądali jak skończone łajzy, brudni, nieogoleni, nieumyjni. Rosjanie byli mocno wystraszeni, łączyli się w grupki, niechętnie rozmawiali z innymi. Zresztą bardzo szybko wyłapywali ich sowieci i włączali w większe grupy. Miałem taką przygodę: przyjęli nas jacyś gospodarze bardzo niechętnie – była zima – 1 lutego dali nam spać bez słomy. Przyszło dwóch żołnierzy sowieckich, zobaczyli, co się dzieje, zrobili awanturę i spalili stodołę, a może nawet całe gospodarstwo. Rosjanie byli niepohamowani.

A.L.: – *Może o pierwszym spotkaniu z oddziałami polskimi?*

A.U.: – W Gnieźnie wsiedliśmy do pociągu i wyładowaliśmy gdzieś koło Skierniewic. I tam nas przyjęła jakaś po-

kątna szynkarka. Tam miałem bardzo nieprzyjemną historię z sowietami. Przyszedł patrol sowiecki sprawdzać. Myśmy nie mieli żadnych dokumentów. Ja chciałem pokazać numer jeniecki, który był przymocowany do zegarka. Więc on oczywiście powiedział, że nie byłem żadnym jeńcem, jeżeli mi nie odebrali zegarka. No i dopiero knajpiarz, który go upił dwoma litrami wódki, uratował sytuację.

Pierwsze moje spotkanie było z majorem, nazwiska już nie pamiętam, zdaje się, że Mróz, zastępca dowódcy dywizji piechoty, bodaj w Skierniewicach. No i ten wypytał nas, porozmawiał i poradził, żebym jak najprędzej zwrócił się do Głównego Zarządu Politycznego w Warszawie.

Dnia 11 lutego byliśmy już w Warszawie. Tam przenocowaliśmy u jakiegoś krewnego Bogusława Krukowskiego na Pradze. Potem zameldowałem się u sekretarza Komitetu Dzielnicowego na Pradze (bodaj jakiś pułkownik, ale nie pamiętam jaki) i ten skierował mnie do Komitetu Centralnego, gdzie przyjął mnie Kliszko, jako kierownik Wydziału Personalnego, i Gomułkowa.

A.L.: – *Kto z panem był u Kliszki?*

A.U. – Albo sam, albo z Krukowskim. Wtedy był tam ktoś z Zarządu Politycznego chyba Groszowa albo Wągrowski, no i zaprowadzili mnie do Grosza. Grosz przeprowadził ze mną długą rozmowę i natychmiast zmobilizował. 13 lutego.

Trzynastego lutego 1945 r. zaczyna się moja służba w Odrodzonym Wojsku Polskim.

Co działo się ze mną między 11, kiedy zgłosiłem się do KC, a 13 lutym – tego już nie wiem. Tam były jakieś rozmowy. Tam było jakieś badanie lekarskie. Badać mnie chciała kobieta, nie chciałem się przy niej oczywiście rozbierać. Powiedziałem, że jestem zupełnie zdrow. Potem zaprowadzili mnie do płk. Zawadzkiego, który był wówczas zastępcą szefa Biura Personalnego. Szefem był Rosjanin. Oczywiście namawiał mnie, żebym pozostał do jego dyspozycji, ale ja się nie zgodziłem. Chciałem być w aparacie politycznym, więc zostałem skierowany do GZP.

Szefem GZP był Grosz. Jego przełożonym, zastępcą Ministra Obrony Narodowej do spraw polityczno-wychowawczych, był początkowo gen. Aleksander Zawadzki, a później płk Sychalski. Zaś szefem Wydziału Propagandy był Mieczysław

Wągrowski, jego zastępcą Grosfeld, chyba wówczas podpułkownik, i kpt. Groszowa, moja znajoma jeszcze ze Stowarzyszenia Urzędników Państwowych. Przed wojną pracowała w Ministerstwie Rolnictwa.

Grosz zapytał mnie, do jakiej chcę służby: personalnej, propagandowej czy organizacyjnej. Nie bardzo wiedziałem, na czym polega różnica tych służb, ale ponieważ nie chciałem iść do personalnego i miałem dość negatywny stosunek do propagandy – skierowano mnie do oddziału organizacyjnego. Szefem wydziału był oficer sowiecki, Polak, poczciwy człowiek, ale pod względem poziomu intelektualnego daleko odbiegał od wszystkich oficerów GZP. No a szefem wydziału personalnego był Anatol Fejgin, stary komunista, dąbrowszczak, a jego zastępcą był płk Minorski.

Pierwszym moim zadaniem było spisanie członków naszej organizacji i zaproponowanie ich na odpowiednie stanowiska. Byłem wtedy na tyle mało zorientowany w sytuacji personalnej aparatu politycznego wojska, że czterech tylko zaproponowałem na stanowiska zastępców dowódcy batalionu, a całą resztę na stanowiska zastępców dowódcy kompanii. W przeciągu krótkiego czasu – kilku miesięcy – ci, których zaproponowałem na zastępców dowódcy kompanii byli co najmniej zastępcami dowódcy pułku. Nie zdawałem sobie wtenczas sprawy, że dowódcami pułków byli podporucznicy albo porucznicy o nieporównanie mniejszym zasobie wiedzy niż którykolwiek z członków naszej organizacji, bądź co bądź wyszkolony oficer.

Otrzymałem stanowisko najpierw inspektora, a później zastępcy kierownika wydziału organizacyjnego GZP. Ale dostałem bezpośredni przydział do komisji rehabilitacyjnej. Mianowicie postanowiono utworzyć trzy komisje rehabilitacyjne – w Warszawie, w Łodzi i w Krakowie. Najpierw muszę wyjaśnić, co znaczy „rehabilitacja”. Każdy oficer, który dostał się do niewoli, jest automatycznie przez to samo skompromitowany i nie może powrócić do służby czynnej przed przeprowadzeniem przewodu rehabilitacyjnego. Właściwie myśmy o tym zapomnieli. Znałem te przepisy, zasady wojskowe, i tego rodzaju trzy komisje rehabilitacyjne utworzono po to, aby wybrać spośród zgłaszających się z niewoli tych, którzy zostaną zakwalifikowani do służby w wojsku, oraz, aby na podstawie naszej znajomości oficerów, polecić tych, którzy nie nadają się do wojska, do innych funkcji. W tej akcji wzięli udział dwaj oficerowie: kpt.

Olszewski i kpt. Grankowski, którzy byli również członkami naszej organizacji i którzy bezpośrednio zgłosili się do płk. Zawadzkiego, do służby personalnej. Jeszcze kpt. Bortnowski, zdaje się. Oni w niewoli właściwie nie byli członkami naszej organizacji, a przystąpili do niej na samym końcu. To była taka grupa trzech oficerów zdyskwalifikowanych przez sąd honorowy oficerski za głoszenie zanadto wolnościowych poglądów. Do Grankowskiego mieli pretensję jeszcze i o to, że podał narodowość litewską, a była to narodowość uprzywilejowana. To było troszkę „lepiej” aniżeli podać narodowość niemiecką, ale to, podobnie jak narodowość rosyjska czy ukraińska, dawało pewne przywileje. Poza tym sam fakt, że są skazani przez sąd honorowy... Oni z nami próbowali nawiązać kontakty, a myśmy dopiero na samym końcu formalnie włączyli ich do naszej organizacji i polecili jako jej członków. Oni jako oficerowie zawodowi zamelinowali się w Wydziale Personalnym.

Ja zostałem skierowany z GZP do sprawowania opieki nad wszystkimi trzema komisjami i w przeciągu marca i kwietnia, a bodaj prawie do połowy maja, właściwie spędzałem część czasu w Warszawie, część czasu w Łodzi, a część w Krakowie. W marcu dopiero pojechałem do Krakowa i zobaczyłem moją Matkę, która mieszkała na ul. Miodowej 10. Spotkałem Matkę na ulicy. W pierwszej chwili nie poznałem Jej. Zapytałem, gdzie tu jest Miodowa 10. Mama powiedziała: „Chętnie pana zaprowadzę”. Kiedy się obróciła do mnie – poznałem Ją i zacząłem całować. I wtedy Mama tak zabawnie mówi: „Panie poruczniku! przecież ja nie mam dwudziestu lat!

To był okres euforii. Wolność! Wyjście z podziemia na pracę legalną, jednolitofrontową. Tak że ja w gruncie rzeczy nie potrafiłem tego filmu pamięci puścić w sposób sprawny, jakiś systematyczny.

Mogę opowiedzieć kilka fragmentów. Np. fragment z pracy komisji warszawskiej. Ponieważ praca komisji postępowała stosunkowo wolno, więc gromadzili się ludzie – tych ludzi umieszczano w szwadronie administracyjnym Wyższej Szkoły Wojennej na ul. Koszykowej. I tam przyszedł do nas z departamentu uzupełnień płk Redlich, który wpadł na „genialny” pomysł: zaproponował nam, ażeby nie tracić czasu na próżno i żebyśmy się dobrowolnie zajęli opróżnianiem z nawozu stajni szwadronu konnego Wyższej Szkoły Wojennej. Nie mogłem zrozumieć, że proponować po powrocie z niewoli, wtedy

kiedyśmy przez 5 lat powołując się na konwencję genewską odrzucali najrozmaitsze propozycje niemieckie, aby zatrudnić się za pieniądze, czy to przy wyrobie trepów, czy coś takiego, zapędzić tych wyzwolonych oficerów do wyrzucania nawozu, byłoby w normalnych warunkach rzeczą zaskakującą. A już w tej sytuacji, kiedy w gruncie rzeczy przedwojenni oficerowie, nawet rezerwiści byli co najmniej nieufni, jeżeli nie wrogo nastawieni do Związku Radzieckiego i do sprzymierzonej z nim Polskiej Armii Ludowej! Dopiero musiałem interweniować bezpośrednio u płk. Grosza, żeby spowodować cofnięcie tego rodzaju idiotycznego zarządzenia.

Druga rzecz, która mnie tak uderzyła. Byliśmy w Łodzi. Komisja miała kilku oficerów. Dostaliśmy wspólną kwaterę – nas było trzech czy czterech młodych oficerów. I wtedy skierowano nam do posługi z obozu koncentracyjnego dla folksdojczów szesnastoletnią dziewczynę. Bądź co bądź ona była dzieckiem wtedy, kiedy rodzice zdecydowali się na folksdojczostwo. Była Polką po prostu. Jak można było taką 16-letnią dziewczynę postawić w tak dwuznacznej sytuacji!

Potem w Krakowie. W Krakowie wprowadzono mnie do mieszkania, które zajęli po Niemcach, ze wszystkimi pierzynami, jacyś kombinatory. Mnie jako oficera ulokowano w najmniejszym, nieopalanym pokoju i dali mi do spania siatkę, bez niczego i jeden koc. Na drugi dzień powiedziałem, że nie uważam tego rodzaju traktowania oficera na kwaterze za rzecz właściwą. Na to mi odpowiedzieli, że oni nic innego nie mają do zaoferowania. Wtenczas ja zadzwoniłem do komendantury sowieckiej, że jest takie mieszkanie, gdzie można zakwaterować łatwo 6 osób. No i zakwaterowano im 6 żołnierzy. W Krakowie był bardzo negatywny stosunek do wojska.

Tutaj też po pewnym czasie spotkałem się z siostrą i jej matką. Ona mi podała adres, gdzie ukrywa się Ojciec. Ale ze względu na moją sytuację oficera politycznego, iść na adres konspiracyjny uznałem za niewłaściwe i zbyt ryzykowne. W tym czasie z Ojcem się nie zobaczyłem.

Pyta mnie interlokutor, jakie myśmy mieli kryteria, czy wskazówki, jeśli chodzi o rehabilitację oficerów. Więc ta rehabilitacja nie była rehabilitacją, dlatego że nie badaliśmy, raczej tylko *pro forma*, okoliczności znalezienia się w niewoli. Również jeśli chodzi o zachowanie się w niewoli, dostaliśmy wyraźne wskazówki, żeby żadnych konsekwencji w stosunku do

niewłaściwego zachowania w niewoli nie wyciągać. Przede wszystkim Grosz i Fejgin powiedzieli, że najważniejsze jest, ażeby nikogo nie zrażać, ażeby zrobić pełną ewidencję tych oficerów, którzy zgłosili się z oflagu, i że władza ludowa i LWP nie chce w stosunku do nich wyciągać żadnych konsekwencji, że stara się ich jak najpełniej wykorzystać zgodnie z ich możliwościami. Jeżeli chodzi o przyjęcie do wojska, należało przyjąć tych wszystkich, którzy nie wyrażali w sposób zbyt jaskrawy negatywnego stosunku do Wojska Polskiego, do władzy ludowej i do Związku Radzieckiego. Tak samo jeśli chodzi o oficerów zawodowych i rezerwy. Natomiast jeśli chodzi o sympatyków naszej organizacji to szczególnie Fejgin prosił mnie o to, żeby starać się wybrać jak największą ilość osób do aparatu politycznego. M.in. zabawne, powiedział, że aparat polityczny jest rasowo zanadto jednostronnie dobrany. Mówił: „czy wy dacie wiarę, że oprócz mojej sekretarki, to nawet szofer jest Żydem. Dajcie mi jakichś inteligentnych, dobrych, zdolnych ludzi, którzy mogliby zasilić GZP. I rzeczywiście udało nam się wprowadzić Kruczkowskiego, Dobrowolskiego, Kazimierza Rudnickiego – statystyka, który później był dyrektorem Głównego Urzędu Statystycznego, Garbowskiego, który był później zastępcą kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC, Pietrusiewiczza, który potem został ministrem budownictwa, całą grupę teatralną: Kazimierza Rudzkiego, Sławomira Lindnera: dałem mu do szkolenia Krawczenkę, do szkół oficerskich – Tomasika i cały szereg innych ludzi. Razem około 60-70 osób.

Myślę, że zgłosili się prawie wszyscy. Dlatego, że nawet zgłosili się tacy, którzy byli znani jako czy to sanatorzy, czy... zgłosił się Puciata, przywódca endecji, zgłosił się Potworowski, przewodniczący koła etyczno-religijnego, zgłosił się doc. Górski, taki prawicowy działacz, nie mówiąc już o Jerzym Hryniewieckim... Staniszkis – przywódca endecji i drugi Staniszkis – rolnik.

Jeżeli chodzi teraz o oficerów zawodowych, to ja pamiętałem rady Kuropieski (wtedy go jeszcze nie było), który uważał, że należy pozyskać dla Wojska Polskiego młodych oficerów do kapitana włącznie, przede wszystkim absolwentów polskich szkół oficerskich, a raczej nie zabiegać o oficerów starszych. Dziwiłem się, że jeśli chodzi o oficerów zawodowych, dawnych, przedwojennych w Wojsku Polskim, to byli tam nawet powołani z rezerwy, z głębokiej emerytury, ludzie powyżej

60 lat. Myśmy stosowali inną zasadę – myśmy zasadniczo majorów, pułkowników, podpułkowników brali tylko wówczas, gdy byli po kursie rembertowskim, po kursie oficerów sztabowych czy po kursie dowódców pułków. Przy tym zdarzały się zabawne rzeczy. Np. był taki pułkownik, który miał za całe wykształcenie wojskowe trzymiesięczną podchorążówkę rosyjską w czasie wojny. Ale zasadniczą rolę odgrywały właściwie chęci. Nikogo nie namawialiśmy, żeby szedł do wojska. Jeśli chciał, to zastanawialiśmy się. Jeśli chodzi o oficerów rezerwy, to braliśmy tylko tych, którzy bardzo tego chcieli. Ale przede wszystkim zależało nam na oficerach dyplomowanych, którzy z nami utrzymywali stosunki wtedy, kiedy byliśmy w oflagu. Wówczas kwestia oflagowców miała dla korpusu oficerskiego szczególne znaczenie. Jeśli chodzi o AK-owców, to AK-owcy pozostawali z AL-owcami i pepeerowcami w ostrych osobistych konfliktach. Wiedzieliśmy, że po Powstaniu Warszawskim, w związku z echami Powstania Warszawskiego, a również w związku z pogłoskami, w które wówczas, muszę przyznać, niestety nie wierzyłem – nastroje były dość różne i istniały tendencje do tego, żeby oficerów z Armii Krajowej odsuwać, a przede wszystkim nie kierować na front. I to była zasadnicza rzecz, właśnie tutaj. Szczególnie po powrocie Kuropieski, który wrócił w maju, zaraz po zakończeniu wojny. Zobaczyliśmy, że pomiędzy PPR-em i Armią Ludową a Armią Krajową narosło tyle wrogości, że oficerowie przedwojenni, którzy przeszli przez Armię Krajową, byli trudno przyswajalni w LWP. Spotkałem się z taką historią w jednym z pułków na Pomorzu, gdzie cały batalion został wyprowadzony do partyzantki przez dowódcę batalionu, czy zastępcę dowódcy pułku do spraw liniowych. Z drugiej strony – spotkałem się z tym afiszem „zapłute karty reakcji NSZ i AK”. Na ten afisz zwrócił uwagę Egersdorff podczas mojej inspekcji w Rembertowie w Wyższej Szkole Oficerskiej. Dowiedziałem się, jak zareagował na to Spychalski. Kiedy zobaczył ten afisz w GZP, kazał go natychmiast zdjąć i zwolnić z wojska wszystkich tych, którzy byli za niego odpowiedzialni – za wydrukowanie i rozplakatowanie. Wściekł się po prostu. Uważał to za karygodną głupotę i karygodny błąd.

W ogóle to były sprawy bardzo złożone, bardzo trudne i bardzo bolesne. Mogę powiedzieć, że wielu spośród nas, tzn. tych wszystkich, którzyśmy przyszli z oflagu, a nawet wielu innych towarzyszy, których znałem przed wojną, to myśmy

naprawdę wierzyli, że niezależnie od tego wszystkiego, co się stało, Związek Radziecki musi zaproponować jakieś względnie równorzędne stosunki i inne, mniej okrutne formy panowania politycznego. Dalej sądziłem, że ponieważ w zasadzie zarówno reforma rolna, jak upaństwowienie przemysłu jest, moim ówczesnym zdaniem, zgodne z interesami większości narodu, myślałem że po pewnym czasie będzie możliwość przywrócenia i rozszerzenia form demokratycznych. Przecież wtenczas rozmowy z innymi partiami czy innymi kierunkami były naprawdę rozmowami, szczególnie po przyjsciu do rządu Mikołajczyka.

Tymczasem w oflagu tych ostrych konfliktów nie było. Może dlatego, że nasza organizacja komunistyczna nosiła jednolitofrontowy i patriotyczny charakter. Przecież to coś takiego mówi, jeśli np. w jakimś towarzystwie o mnie coś źle powiedziano, a na to mjr Świtalski: „Proszę panów, znam panią Uziembłową i pana Uziembłę i jest mi nieprzyjemnie, jeżeli w mojej obecności brzydko się o nim mówi”. Więc to był jakiś luz. I to są rzeczy, które dla dzisiejszych ludzi są zupełnie niezrozumiałe. Był jakiś luz, było to, że czuliśmy się wszyscy polskimi oficerami, że czuliśmy jakąś lojalność w stosunku do wojska, lojalność między sobą. I powiedzmy, takie fakty, jak napisanie „Żyd” przy nazwisku Landego, występującego przy fortepianie, było traktowane jako coś nieładnego. Później siedziałem w więzieniu z jednym takim oficerem, nie pamiętam nazwiska, który w oflagu należał do dwójki obozowej. Opowiadał mi, że były tego rodzaju odprawy (nasza organizacja nie była tak głęboko zakonspirowana), gdzie oceniano nas, gdzie mówiono, że, co prawda Uziembło i Pietrusiewicz są komunistami, ale są patriotami. A więc to była wtedy nasza szansa.

Wszyscy oficerowie, którzy przyjmowani byli do wojska, otrzymywali jeden albo dwa stopnie wyżej. Czterech – wśród nich ja – zostało podanych do stopnia majora.

A.L.: – *W jakim stopniu pan był wtedy?*

A.U.: – Byłem podporucznikiem. Sprzeciwił się temu podobno marsz. Żymierski i cała czwórka, tzn. Pietrusiewicz, Rudnicki, Garbowski i ja – do stopnia kapitana, a reszta – o jeden stopień wyżej, wszystko jedno czy zawodowi, czy nie. Zresztą to było zupełnie sprawiedliwe, dlatego że zarówno pod

względem wieku, jak doświadczenia i wyszkolenia wojskowego w stosunku do tych podporuczników ówczesnego wojska myśmy naprawdę bardzo górowali, już nie mówiąc o tym, że wszyscy mieliśmy pełne średnie, a duża część i wyższe wykształcenie.

Mam takie śmieszne wspomnienie z pracy w komisji rehabilitacyjnej. Później, grubo później, w r. 1954, po wyjściu z więzienia, podchodzi do mnie w „Krokodylu” jakiś pan, pyta mnie o zdrowie, jak się czuję, pyta czy mam mieszkanie, posadę itd. Mówię „nie mam mieszkania ani posady”. „No to wie pan, ja zajmuję jakieś stanowisko w przemyśle węglowym w Katowicach, wiem, że pan się trochę interesował ekonomią, niech pan przyjedzie do Katowic, dostanie pan mieszkanie, posadę i będzie pan mógł się urządzić”. Ja tak nieokreślenie odpowiadam, bo nie wiem, kto to jest. A on mówi: „A pan mnie sobie nie przypomina?” „Nie poznaję pana”. „A ja jestem Potworowski”. W oflagu ja byłem komunistą, a on był przewodniczącym koła etyczno-religijnego. Byliśmy w przeciwstawnych obozach. Myśmy się tak dobrze nie znali, raczej z widzenia. „No tak. A pan nie przypomina sobie naszego ostatniego spotkania?” „Nie pamiętam”. „Proszę pana – jechałem do Warszawy na komisję rehabilitacyjną. Byłem zaniepokojony. Pan uspakajał mnie, że mnie nic złego na tej komisji spotkać nie może. Wtedy źle się czułem. Pan wziął mnie do swojego mieszkania, Mama pańska zajmowała się mną przez dwa dni (a trzeba wiedzieć, że myśmy tam mieli jeden pokój przy rodzinie. Bardzo skromnie było). A po dwóch dniach poszedłem na komisję. Dobrzeście mnie potraktowali”. Śmieszne spotkanie dwóch przeciwników.

Pod koniec maja przyjechał Kuropieska. Bardzo liczyliśmy na niego. Grosz chciał go zrobić zastępcą (do spraw politycznych) dowódcy okręgu. Oczywiście Kuropieska na to się nie zgodził. Ja też byłem przeciwny, żeby dawać oficerów o poglądach lewicowych wyłącznie na stanowiska polityczne. Uważałem, że oficerów zawodowych, którzy współpracowali z naszą organizacją, jak Zbyszewski, Ostrowski, Zawadzki, należało przyjąć i awansować na stanowiskach liniowych. Wtenczas było dla mnie bardzo ważną sprawą to, o czym bezpośrednio rozmawiałem z Groszem czy Fejginem i co stawiał również na odprawach Spychalski – kwestia polonizacji korpusu oficerów liniowych. Po pewnym czasie zaczęto niektórych oficerów stawiać na stanowiska półliniowe.

Kuropieska był inicjatorem utworzenia misji wojskowej w Londynie, celem oddziaływania na oficerów PSZ na Zachodzie, by powracali do kraju. Już na jesieni 1945 r. wyjechał w misji, na czele której stanął Grosz, a którą następnie kierował już w charakterze *attaché militaire*. W ten sposób do Wojska Polskiego zostali przyciągnięci tacy oficerowie, jak ppłk Mossor, późniejszy dowódca Okręgu Krakowskiego i dowódca GO „Wisła” z oflagu w Grossborn, adm. Mohuchy, później dowódcy marynarki, późniejszy generał Franciszek Skibiński, szef sztabu, a następnie dowódca brygady w dywizji gen. Maczka, później szef katedry broni pancernej w Akademii Sztabu Generalnego, gen. Szystowski, i wielu, wielu innych. Pod koniec 1948 r. ok. 80% oficerów na stanowiskach kierowniczych w Sztabie Generalnym i innych agendach centralnych MON stanowili przedwojenni oficerowie, przeważnie z oflagów i PSZ, a na stanowiskach dowódców dywizji i pułków 70%. Stanowiło to później koronne dowody i właściwy powód dla t.zw. Procesu tatarowskiego, a przede wszystkim do oskarżenia Kuropieski i mnie o przygotowania do uchwycenia kierownictwa wojska przez „reakcyjnych” oficerów przedwojennych.

Pyta pan o lato 1945 roku i ogólne sprawy polityczne. Chciałbym panu zwrócić uwagę na kilka rzeczy. Po pierwsze – jeśli chodzi o wojsko, to właściwie na bardzo wysokim szczeblu wogóle nie mówiło się prawdy. Na bardzo wysokim szczeblu ograniczano się do referatów i nie bardzo wychodzono poza materiał drukowany. To jest zdumiewające, że kiedy później byłem zastępcą dowódcy okręgu, tzn. przewodniczącym zespołu, wiceprzewodniczącym komitetu bezpieczeństwa w naszym okręgu, to w gruncie rzeczy nie otrzymywaliśmy żadnej godnej tej nazwy politycznej informacji. Ja podejrzewam, że szczerze rozmowy polityczne chyba nie bardzo przekraczały Biuro Polityczne. To jest raz. Dwa – zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że to jest rewolucja, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że komunizmu, czy też ustroju, powiedzmy, demokracji ludowej, nie można narzucić inaczej niż siłą i że nie możemy się utrzymać inaczej niż siłą. Że możemy starać się tylko w możliwie szeroki sposób neutralizować naszego przeciwnika. Zdawaliśmy sobie sprawę również z tego, że w całej Polsce istniała wówczas partyzantka, istniały organizacje, które strzelały. Jeżeli chodzi o białostockie, to nie można się było poruszać w sile mniejszej niż pluton, jeżeli chodzi o Lubelszczyznę, to bez 10-20 żołnierzy nie można było wyjeżdzać

poza miasto, jeżeli chodzi o Rzeszowszczyznę, to garnizon mogła opuszczać kompania. Tak że proszę nie zapominać, że sytuacja była taka, że albo ja ciebie zastrzelę, albo ty mnie zastrzelisz. Wobec tego myśmy aresztowania trochę inaczej przyjmowali niż to teraz widać. Myśmy wówczas nie wiedzieli, czy ten, który został aresztowany, jest aresztowany z jakichś powodów politycznych, czy też za kierowanie akcją zbrojną. Trzecia rzecz. Bardzo rażące było dla mnie to, że delegacja podziemia została aresztowana, pomimo że przysłała jako delegacja – za gwarancją. Nie mówiłem o tym z moimi kolegami, ale dla mnie to było rzeczą niesłychanie rażącą. Niesłychanie rażący był cyniczny stosunek do tego. Czwarta rzecz – bardzo ciekawe było, że jednak można było ludzi przyciągnąć. Najrozmaitsi ludzie wtenczas do mnie, jako starego komunisty, znanego z oflagu, zgłaszali się do współpracy. I sądziłem, że ta polityka, która zrażała, utrudniała sprawę. Ale składałem to na rozmaite błędy. Wydawało mi się, że duże zdolności zjednywania ludzi, zjednywania ludzi i kierunków – i chyba było tak naprawdę – mieli Gomułka i Spychalski. Z czasów pracy w komisji zgłosił się do mnie Mossor. O Mossorze wiedzieliśmy, że przed wojną, jako członek klubu „11 listopada”, może jeden z założycieli, głosił zasadę, że Polska nie może walczyć sama, że musi się oprzeć o Rosję albo o Niemcy. Przy tym pod koniec uważał, że raczej o Niemcy aniżeli o Rosję. Idąc po tej samej linii, Mossor złożył memoriał do władz niemieckich o stworzenie armii polskiej po stronie niemieckiej. Został skierowany do jakiegoś zamku, gdzie był przez pewien czas internowany. Z tego nic nie wyszło i przyszedł z powrotem do oflagu. Później, w czasie sprawy katyńskiej, Mossor został wyznaczony przez Niemców na przewodniczącego delegacji z oflagu do Katynia. I zachował się tam w sposób niesłychanie przyzwoity: musieli tam pójść, musieli to wszystko obejrzeć, po czym, nagabywany przez Niemców o wydanie oświadczenia, odpowiedział, że on sam nie wyda żadnego oświadczenia i zakazuje wszystkim swoim podwładnym występowania z jakimikolwiek oświadczeniami, dlatego że oficerowie będący w niewoli nie są upoważnieni do wygłaszania jakichkolwiek oświadczeń. Mógłby zmienić swoje stanowisko tylko w wypadku, gdyby dostał odpowiedni rozkaz od naczelnego dowództwa polskiego. To już jest charakterystyczne dla ówczesnych stosunków pomiędzy wojskiem niemieckim a jeńcami, że Niemcy nie wyciągali w stosunku do niego żadnych konsekwencji.

Po oswoobodzeniu Grossborn zgłosił się do GZP bezpośrednio do mnie. Odbyliśmy przeszło godzinną rozmowę. Przy tym opowiedział o całej swojej przeszłości i oświadczył, że zmienił swoje poglądy, że teraz uważa, że należy współpracować z armią sowiecką i oddaje się do dyspozycji władz polskich, i prosi mnie o radę. Uważałem, że to jest sprawa zbyt wielkiej wagi politycznej, ażeby ją można było stawiać na naszej komisji. Zameldowałem o tym Groszowi. Grosz zameldował Spychalskiemu, Spychalski skierował go do Gomułki, po czym Gomułka po godzinnej rozmowie zdecydował o przyjęciu Mossora do wojska. Tego rodzaju fakty, z którymi się osobiście spotkałem, mówiły mi, że Gomułka jest zdolny do jednania sobie ludzi o innych poglądach politycznych i współpracy z nimi.

W połowie maja powróciłem do pracy w GZP.

Przede wszystkim trzeba było uregulować sprawę partyjną. Przez pewien czas żądałem, żeby wszystkich członków naszej organizacji, według spisu, włączyć do partii z zaliczeniem stażu z obozu. Ale akurat wtedy nie było sekretarza – Pietrusiewiczza, który zresztą nie przywiązywał do tego wagi. Początkowo Gomułkowa i Kliszko obiecywali, później sprawa się przeciągała, tak że w rezultacie członkowie naszej organizacji wstępowali każdy osobno i osobno byli rekomendowani. Mnie udało się tylko przedstawić Fejginowi listę członków naszej organizacji jako kandydatów.

Ja – nie chciałem wstępować do PPR, a chciałem, żeby uznano moją przynależność partyjną, bowiem wydawało mi się, że należałem do partii aż do jej rozwiązania, aczkolwiek w ostatnim roku, kiedy przyjechałem do Gdyni (1937 r.), nie zdołałem nawiązać kontaktu partyjnego. Ostatecznie musiałem prosić o rekomendację. Prosiłem o nią Ańka Bermána-Borowskiego, ale mi odmówił, ponieważ straciliśmy kontakt strasznie dawno, przed 1930 rokiem. Następnie zwróciłem się do Minca. I tu ciekawa rzecz. Hilarego Minca znałem jeszcze z czasów, kiedy byłem w ósmej klasie, w 1924 czy 23 r. Zakładaliśmy koło wolnomysłieli. I tam pozarliśmy się: on żądał, by, na wzór Stalina, który nie przyjął stanowiska przewodniczącego, tylko sekretarza, w tym naszym sześciuosobowym kółku wybierać także sekretarza. Później w 1935 r., w Głównym Urzędzie Statystycznym, miałem przyjemność pracować pod jego kierownictwem. Pan Hilary był zastępcą, a faktycznie kierownikiem Sekcji Naukowo-Redakcyjnej. Wściekł się

pewnego dnia, że robiliśmy błędy w obliczaniu procentów, i zarządził przymusowe pozabiurowki, poświęcane nauczaniu procentów. Ja w tym czasie byłem w Zarządzie Stowarzyszenia Urzędników Państwowych, ówczesnego niby to Związku Zawodowego. Jako taki uznałem, że to jest złamanie zasady. Wówczas były bardzo rozpowszechnione w urzędach państwowych bezpłatne godziny pozabiurowe. Ale w GUS, może dzięki dyrektorowi Szturm de Sztremowi (dotąd ich nie było), to było pierwsze tego rodzaju posunięcie. Wobec tego założyłem protest i nie przyszliśmy, organizując swego rodzaju strajk. Równocześnie zwróciłem się po linii partyjnej. Chodziło o pociągnięcie do odpowiedzialności partyjnej za takie zarządzenie. Pamiętam, że również należał do partii jego szef – Baranowski. Przyjeżdżał do mnie do domu, do Radości, tłumacząc gęsto Minca, że nie chciał tak źle itd. Wydawało mi się, że chociaż z tego rodzaju zetknięcia mógł mnie pamiętać. Minc, bardzo grzecznie, nie zignorował mojego powołania się, ale zatelefonował do mnie i powiedział, że mnie sobie zupełnie nie przypomina. Mam wrażenie, że był szczery, kiedy to mówił. Ale wydaje mi się, że to jest taka charakterystyczna cecha, którą u Minca niejednokrotnie zauważyłem: on nie widział rzeczy drobnych, nie zauważał człowieka. Dla niego człowiek czy sprawa ludzka, w ogóle nie istniała. Dla niego istniała jakaś idea, jakieś pojęcie ogólne. Przed wojną komunistów nie było tak wielu, nawet w GUS, żeby nie pamiętać. To jest tak samo zabawne, jak jego żona, która się chwaliła tym, że płaciła służącej 15 zł miesięcznie. To było na owe czasy zupełnie niesłychanym wyzyskiem. Wydaje mi się, że gdyby się coś takiego zdarzyło komunistce, to powinna starannie ukryć, bo w gruncie rzeczy jest to coś haniebnego. W owym czasie służącej płaciło się 30-40 zł, a zamożniejsi ludzie płacili 45-50 zł. No ale to tak, na marginesie...

W rezultacie tym, który mnie wprowadził, był Naumienko, w owym czasie był komendant Wojskowego Instytutu Geograficznego. To był przedwojenny kreślarz WIG-u, z którym się zapoznałem podczas mojej pracy w SUP. On mianowicie był razem z Lechowiczem i Jaroszewiczem, przedstawicielem koła SUP w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Trochę dziwiłem się, że to on mnie wprowadza do partii, bo wtedy – w SUP – ja byłem komunistą, a on był od komunizmu bardzo daleki. Kto był drugim (wprowadzającym), nie pamiętam. A o to mnie

bardzo ostro pytali później, kiedy byłem aresztowany. Prawdopodobnie to było coś, co powinno być dla mnie mocno kompromitujące. Chyba nie Wągrowski ani Groszowa.

Członkowie naszej organizacji zostali bardzo szybko wciągnięci do partii. W każdym razie wtenczas do partii kto chciał, to się zapisywał. Pamiętam, że byłem w takiej komisji przyjmującej. Przedwojenny porucznik zawodowy na moje pytanie, dlaczego zgłasza się do Polskiej Partii Robotniczej, a nie do Polskiej Partii Socjalistycznej, oświadczył, że PPR to jest jak NPR partia narodowa, a PPS jest partią socjalistyczną, a on nie jest zwolennikiem socjalizmu. Przyjęto go, przy moim jedynym głosie sprzeciwu.

Po skończeniu działań w komisjach, do października pracowałem jako inspektor w Zarządzie Organizacyjnym. Był tam Wydział Inspekcji i Wydział Instruktażowy. Instruktorami byli: Baczek, Kalinowska, Zawadzka, a inspektorami Siuda, Adrian z AL, Minor, późniejszy sekretarz łódzki, i ja.

Moja robota polegała na tym, że jeździłem po kraju i dokonywałem inspekcji. Zwykle przedłużałem te inspekcje – jechałem na dzień lub dwa, a siedziałem tydzień lub dwa. Robiłem jakieś analizy. Dość ciężko było materialnie. Mamie oddawałem tzw. suchy prowiant. Ponieważ z tego suchego prowiantu musieliśmy wyżyć we dwójkę, nie brałem więc tzw. atestatu. Przyjeżdżałem do jednostki, tam byłem żywiony bez niego. W ogóle to były takie czasy, że normalnie nie można było wyżyć, tak że nie bardzo czuję się tym zawstydzony.

Mieszkałem w Warszawie. Początkowo gospodyni była „na noże”, jak na pierwszej kwaterze. Poprosiłem służącą o ciepłą wodę do nóg, to odpowiedziała, że nie ma. Dopiero kiedy gospodyni wyszła, jej szesnastoletnia córka powiedziała: „Ja panu przyniosę, tylko niech pan nic nie mówi mamusi, bo mamusia mówi, że tym berlingowcom nic nie należy dawać”.

Z takich większych inspekcji przypominam sobie – pułku zapasowego w Lublinie, urzędującego na Majdanku, z którego wyniosłem bardzo przykre wrażenia, pułku zapasowego w Olszynie, gdzie przedłużyłem sobie czas chyba do 10 dni. Potem odbywałem inspekcję granicy, od Śląska, prawie do Zielonej Góry – konno. Wizytowałem WOP. Cały czas starałem się zapoznać z tym, co się dzieje. Nie wysyłano mnie do I Armii, przypuszczam dlatego, że szef naszego Wydziału Organizacyj-

nego wolał posyłać innych, z którymi był bliżej i którzy przywozili mu rozmaite rzeczy – aparaty zagraniczne, majtki jedwabne itd., a ze mną – jakoś nie wypadło.

Stąd garść wspomnień. Była inspekcja brygady zaporowej. Wtedy dopiero dowiedziałem się, że w I Armii istniała taka jednostka, której zadaniem było powstrzymywanie żołnierzy przed uciekaniem z frontu. Już wtedy – 8-9 maja, już nie brygada, a większy szwadron. Stało to wtenczas w CIWF. I właśnie rano, ósmego maja, słyszymy przez radio wiadomość o końcu wojny. Siedzimy przy śniadaniu – zastępca dowódcy, kapelan i ja. Mówię: „Wobec tego – msza polowa”. Kapelan się sprzeciwia – raz, że nie ma zezwolenia na mszę polową, a po drugie: „Dobrze wam, wy tu macie dobre śniadanie, a ja muszę suszyć”. To ja: „Zabrać całe to śniadanie. I aparat polityczny, i kapelan – suszymy, pościmy”. Kapelan odprawił mszę. A kazanie to już ja wygłosiłem.

A.L.: – *O czym pan mówił w kazaniu?*

A.U.: – No – o tym, że wojna się skończyła. No, Boże drogi! Potem kazali mi pójść do Iwazkiewicza. Takie to na mnie śmieszne wrażenie zrobiło: Iwazkiewicz tak poważnie się skarżył, że żołnierze niszczą mu ogród warzywny. O czym on ze mną mówi!

Straszne wrażenie robiło wyganianie Niemców z Pomorza. Były rokowania w sprawie Ziem Odzyskanych. Dano nam do zrozumienia, że powinniśmy postawić rokujących przed faktami dokonanymi.

A.L.: – *Kiedy to było?*

A.U.: – Maj-czerwiec 1945 r. To było straszne. Starcy, kobiety, dzieci. Mężczyzn prawie nie było, bo przedtem uciekli. Bez uprzedzenia wypędzali z osiedli. Otaczano i pędzono na piechotę, bez wody.

W ogóle dużo rzeczy było wtedy bardzo smutnych, bardzo przykrych. Oczywiście połączone z rabunkiem. Przynoszono walizki z różnymi rzeczami – kobiecymi. Obrzydliwe było zachowanie oficerów sowieckich: kradzież, rabunek, gwałcenie w stosunku do Polaków i Niemców było na porządku dziennym. Przeciwdziałanie temu było zwalczane. Był taki płk. Zieliński,

który bardzo ostro występował przeciwko wypadkom rabunków i gwałtów dokonywanych przez sowieckich oficerów. Bardzo ostro represjonowano go. Uważano to za rzeczy naturalne. Kary dla oficerów, którzy się tego dopuszczali, prawie nie stosowano. Nagana partyjna – to było już bardzo dużo. Natomiast złodziejstwo, kradzież były jak najbardziej tolerowane. Żadnych konsekwencji w stosunku do tak postępujących nie wyciągano.

Miałem na dworcu, chyba we Wrocławiu, taki śmieszny przypadek. Naprzeciwko mnie siedział jakiś kapitan, powiedzmy, już trochę zamroczony. I zaczyna do mnie „per ty”. *Ty kapitan? Da, ja kapitan.* Popatrzył jeszcze i powiada: *A ty AK-owiec, no tak ja ciebia razstrelu* i chwyta za pistolet. Ja mu na to: *Wiedź, ja kapitan, ty toże kapitan, nu tak kakoj ja AK-owiec? Prawda, ty kapitan, tak wypijom.* I tak musieliśmy pić do rana, żeby zrezygnować ze strzelania.

Z drugiej strony, w jednostkach była jakaś praca w kierunku propagandy propolskiej. Ale ona była utrudniana przez niektóre takie sprawy. Miałem np. taką historię w pułku w Szczecinie czy na Mazurach. Zobaczyłem gazetę rosyjską, wywieszoną jako gazetka ścienna, w której Europa była podzielona na strefy wpływów sowieckich i zachodnich. Kazałem ją natychmiast zdjąć i ściałem się bardzo ostro z dowódcą pułku, który twierdził, że to jest mapa z *Prawdy* czy *Izwestii*, i jak ja mogę kwestionować. Mówię mu: „W *Prawdzie* to co innego dla oficera sowieckiego, to nie jest rzeczą szokującą, że znajduje się w strefie wpływów sowieckich. Natomiast dla oficera i żołnierza polskiego – to jest wroga propaganda. Tutaj my – aparat polityczny płuca sobie wygadujemy, żeby udowodnić, że jesteśmy państwem niepodległym, a nie znajdujemy się w jakiejś «strefie wpływów», a tu – czarno na białym – ma się coś podobnego kolportować!

Ale tego rodzaju propaganda szła.

Były śmieszne rzeczy. GZP. A jak człowiek jeździł, musiał mieć sowiecką przepustkę. Tam było napisane *Gławnoje Politczeskoje Uprawlenie* – GPU. Oficerowie dobrze znali te trzy litery i, choć GPU już nie istniało, robiły na nich duże wrażenie i z tym się liczyli.

Po pewnym czasie nasz oddział przeorganizowano. Odszedł Minecki, kierownikiem Oddziału został Zarzycki, ja zostałem szefem Wydziału Inspekcji. Szefem Instrukcji został Brandstetter, który później nazywał się Braniewski. W czasie

mojej pracy starałem się przekształcić pracę instruktorów. Zarzycki w końcu to zrozumiał i popierał mnie: uważałem, że inspekcjonować poszczególne jednostki powinny okręgi wojskowe, natomiast my powinniśmy możliwie głęboko badać problematykę jednostki i zrobić sprawozdanie, które by dawało możliwość wyciągnięcia jakichś ogólniejszych wniosków dla pracy GZP. Na jedno z takich moich sprawozdań zwrócił uwagę Jaroszewicz, który mnie nawet wezwał, pytał. Wtedy awansowałem na majora.

W tym czasie nastąpiła zasadnicza zmiana: powstał Rząd Jedności Narodowej. Powstała sprawa stosunku do Mikołajczyka. Mnie nie bardzo odpowiadało to, że cały aparat polityczny już od samego początku został wciągnięty do zwalczania Mikołajczyka. Mnie się zdawało, że wojsko powinno być odsunięte od bezpośrednich walk partyjnych, że mamy reprezentować ogólnonarodowy punkt widzenia, zwalczać nawet i Mikołajczyka, ale tylko w tych wypadkach, kiedy jest przeciwny interesom kraju.

Pod koniec października, niespodziewanie dla mnie, my, którzyśmy zostali wciągnięci do GZP, stopniowo rozchodziliśmy się: Rudnicki odszedł do planowania, a później do GUS, Pietrusiewicz został wiceministrem budownictwa. Bardzo krótko byli w GZP Kruczkowski i Dobrowolski, odeszli do pracy kulturalnej, wciągnięci przez nas członkowie teatru – Rudzki i Lindner – przeszli do Teatru Wojska Polskiego, a później do innych teatrów. Garbowski, nieco później, przestał być zastępcą szefa Oddziału Personalnego, a został komendantem Wyższej Szkoły Oficerów Politycznych. Tomasik przeszedł do pracy politycznej w Wyższej Szkole Oficerskiej w Łodzi. Mój przyjaciel Egerszдорff – do Rembertowa itd. itd.

I na mnie przyszła kolej. Pod koniec października, już jako majora, wezwano mnie – czy jeszcze Świetlik, czy już Zarzycki, ale chyba Świetlik, i oświadczył mi, że przenoszą mnie do Poznania na zastępcę gen. Świerczewskiego. Był to ogromny zaszczyt dla mnie. Trochę się broniłem.

Nie dostałem absolutnie żadnych wskazówek. Jedyne, co mi Spychalski powiedział, że w którejś dywizji piechoty są jakieś zarzuty przeciwko jakiemuś oficerowi, że występuje przeciwko rządowi albo też, że jest w kontakcie z bandami. Jedyne zapytanie, które mi zadał szef GZP: jaka będzie pierwsza wizyta,

jaką złożę po przyjeździe do Poznania. Odpowiedziałem na to, że w Komitecie Wojewódzkim.

Jeszcze byłem ubrany w oflagowy strój – amerykański mundur, w jakichś podartych butach. Gen. Spychalski rozkazał uszyć mi buty i ubranie. Kiedy poszedłem do krawca i szewca – wyśmiali mnie: no tak, niech Spychalski da materiał na ubranie i skórę na buty! No więc w tym starym oflagowym ubraniu pojechałem.

Zameldowałem się u gen. Świerczewskiego. Przyjął mnie bardzo serdecznie. Kazał uszyć mundur i buty, dać samochód. I zacząłem urzędowanie.

Moim poprzednikiem był płk Górecki, który był szefem zarządu politycznego II Armii. Przed nim zastępcą był mój przedwojenny znajomy Edmund Pszczółkowski, który odszedł do Warszawy, na stanowisko chyba prezesa Związku Rewizyjnego Spółdzielni Rolniczych. Jego zastąpił Górecki, który z kolei odszedł z Poznania na zastępcę głównego kwatermistrza – Jaroszewicza.

Zastępcą moim był Leon Łustacz z II Armii. Tam też spotkałem jako szefa zarządu propagandy mojego kolegę z oflagu, pepesowca, który tuż przed końcem dołączył do naszej organizacji – Mariana Wadeckiego. Potem został skierowany do II Armii, był jednym z niewielu oficerów z naszego oflagu, który drugi raz poszedł na front. Zaraz potem poszła dyrektywa, żeby przedwojennych oficerów na front nie wysyłać. Wybiegając naprzód mogę powiedzieć, że taki rozkaz dostał również szef sztabu okręgu lubelskiego – major, czy już pułkownik, Floryanowicz. Później aresztowano go. Wmawiano mu wtedy, że nie kierował na front przedwojennych oficerów na rozkaz organizacji podziemnej. Przy mnie, na konfrontacji, pyta go oficer: „To wyście nie kierowali na front na rozkaz waszej konspiracyjnej organizacji, tak?!” „Miałem również rozkaz od dowództwa, żeby nie kierować na front”. „Ale wyście nie spełniali rozkazu dowództwa, a rozkaz organizacji podziemnej!”

Szefem wydziału operacyjnego, albo może wyszkolenia, był Kaseja, przedwojenny pułkownik. W II Armii odznaczył się jako pracownik sztabowy. Świerczewski bardzo go cenił i popierał. Szefem Wydziału Zwiadu był płk Dobriański, który starannie ukrywał swoje oczywiste polskie pochodzenie. Udawał, że nie umie po polsku, choć w gruncie rzeczy był Polakiem. Tylko uważał, tak jak wielu oficerów radzieckich, że za samą Polskę

można było stracić głowę. Szefem oddziału wojsk inżynieryjnych był płk Gaberman, bardzo kulturalny, wykształcony i dobrze wychowany człowiek, który z góry patrzył na całą resztę. W ogóle oficerowie saperów trzymali się osobno, byli kulturalniejsi i bardziej wykształceni niż reszta oficerów, i zadawali się tylko z lekarzami. Zastępcą wydziału wojsk inżynieryjnych był płk Jaxa-Rożen, syn przedwojennego generała Jaxa-Rożena. Bardzo religijny, aż do bigoterii. Miałem z nim konflikt. Dostał ponieemiecki fortepian. W jakiś sposób dowiedział się o tym przedwojenny właściciel fortepianu i prosił o zwrot. Jaxa-Rożen kategorycznie odmówił, argumentując, zupełnie w stylu oficera sowieckiego, że on walczył na froncie, a właściciel nie wiadomo, jakie ma zasługi dla Polski. Powiedziałem mu, że jeżeli zupełnie zapomniiał, jak się zachowywali przedwojenni oficerowie zawodowi, mogę mu to przypomnieć, stawiając wniosek o natychmiastowe zwolnienie z wojska z powodu niezdolności do pełnienia służby. Ustąpił, ale z nieukrywaną pretensją. Później, po odejściu Gabermana, został szefem wydziału wojsk inżynieryjnych.

Poza Kaseją, a później Jaxa-Rożenem, wszyscy szefowie wydziałów byli oficerami sowieckimi. Szefem służby zdrowia był płk Tiekłow, okropny szabrownik. Była z nim nieprzyjemna historia. Mianowicie sprowadzono mu z Moskwy żonę. I on w nocy wyrzucił, na słomiankę pod drzwi swoją PPŻ – *polowaja pachodnaja žena* – w dziewiątym miesiącu ciąży. Wynikła z tego duża sprawa partyjna.

Szefem personalnym był płk Denisenko, bardzo rozsądny i dobry oficer do spraw osobowych. Znał na pamięć nazwiska prawie wszystkich oficerów, a było ich około trzystu. Zastanawiał się nad tym, który z nich nadaje się na jakie stanowisko, jakie ma perspektywy. Bardzo dobrze się z nim współpracowało.

Szefem wydziału pracy wśród oficerów był inteligentny i sympatyczny mjr Kazaczyński. W owym czasie zajmowali się oni pracą partyjną wśród oficerów sowieckich. Później, kiedy w związku ze zmniejszeniem się liczby oficerów radzieckich wydział ten przejął kierowanie niejawną pracą organizacji PPR, na jego miejsce przyszedł płk Piasecki, poprzednio zastępca dowódcy V Dywizji.

Nie pamiętam nazwiska kwatermistrza. Był to wyjątkowej klasy złodziej, który majątki służące jako pomocnicze dla okręgu traktował jako osobiste folwarki.

Dowódcą artylerii był gen. Skokowski. Nie należy go mie-

sząć z PAL-owcem, również gen. Skokowskim, który swojego czasu był dowódcą Okręgu Krakowskiego.

Szefem organizacyjnym był Stebelski, szefem personalnym Szmidlin.

Dowództwo Okręgu to było właściwie pomniejszone dowództwo II Armii.

Okręg obejmował województwo poznańskie, teren obecnych województw gorzowskiego i zielonogórskiego, co wówczas było jakimś komisariatem, bo nie było oficjalnie włączone do administracji polskiej, i województwo pomorsko-toruńskie.

Z wielkich jednostek była IV Dywizja w Kaliszu, pułki w Ostrowiu i jeszcze gdzieś tam, V Dywizja z siedzibą w Międzyrzeczu, jeden z pułków w Skwierzynie, jakiś oddział był chyba w Zielonej Górze. Były brygady artylerii chyba w Toruniu i w Biedrusku, pułk saperów, pułk ciężkich czołgów.

Właściwie zacząłem pływać na głębokiej wodzie, nie bardzo orientując się, co się w ogóle dzieje. Poszedłem do Komitetu Wojewódzkiego. Bardzo serdecznie przyjął mnie Izydorzcyk, który, jak się potem okazało, wcale nie był dla mnie przychylny. Natomiast przychylna mi była Maria Kamińska-Eigierówna, zresztą oficer polityczny, zastępca dowódcy baterii. Z nią jako z inteligentną kobietą można było jakoś rozsądnie porozmawiać.

Współpraca ze Świerczewskim układała mi się bardzo dobrze. Świerczewski jeszcze nieźle mówił po polsku, prosił, żeby do niego mówić po polsku. Dosyć dobrze rozumiał polską psychikę. Podkreślał, że jest Polakiem, poszukiwał towarzystwa i opiekował się polskimi oficerami.

Świerczewski od razu kazał mi przyczepić drugą gwiazdkę podpułkownika, bo twierdził, że jako major nie będę miał potrzebnego na tym stanowisku autorytetu. Ja się temu sprzeciwiłem. Pojechał do Warszawy i powiedział mi, że Spychalski sprawę mianowania załatwił. Miałem kilka dni strachu, pamiętam, że tak samo powiedziano pierwszemu dowódcy Okręgu Poznańskiego, potem okazało się, że nie – musiał odejść do cywila, a przyszedł Świerczewski.

Gen. Świerczewski miał w sobie jakąś delikatność, serdeczność. Nie wiem, czy on to udawał, czy rzeczywiście był zadowolony, że powrócił do Polski. Podkreślał swój pozytywny stosunek do polskiej mentalności, obyczajów. Prosił np. moją Mamę, by urządziła mu polską wilię. Do nas przyszedł sam. Byliśmy we trójkę i we trójkę spędziliśmy wigilię 1945 r.

Mieszkał ze swoją nieoficjalną żoną, nauczycielką polskich oficerów. Mieli syna, którego bardzo kochali. Było to dobre, kochające się małżeństwo. Pił za dużo. Ona starała się bardzo, by go od tego pijaństwa odzwyczaić. Taka zabawna historia: dzwoni do mnie – „Słuchaj Uziembło, musisz do mnie przyjść i przynieść trochę wódki”. Pytam „Dlaczego?” „Bo jesteśmy z ks. Żebrowskim (a dziekan Żebrowski specjalnie go rozpijał), żona nie pozwala nikomu wejść z wódką, a ty będziesz mógł wódkę przynieść”. Na to ja: „Generale, też bez pozwolenia żony nie mogę przynieść. Muszę zadzwonić”. Zatelefonowałem do niej i otrzymałem zezwolenie przyniesienia, nie pamiętam, ćwierć czy pół litra na trzech. Publicznie Świerczewski się nie upijał. Na przyjęciach czy gdziekolwiek, kazał sobie nalać szklankę i pił tę szklankę przez cały wieczór. Sprowadzono mu pierwszą żonę-Rosjanekę. To była baba z piekła rodem. W ten sposób rozłączono go z żoną i z dzieckiem. Później odwiedzałem go w Warszawie. Czuł się bardzo niedobrze. Mam wrażenie, że szukał śmierci. Po jego śmierci, tej jego drugiej, polskiej żonie, nie pozwolono iść za trumną. Szła między dąbrowszczakami. Ani nią, ani synem nie zajęto się. Nie dostali żadnego zaopatrzenia. To była taka fałszywa moralność. Potem dąbrowszczacy zbierali fundusze między sobą, by zapewnić im jakieś środki utrzymania. Zresztą tych dąbrowszczaków później w większości poaresztowali. Ona zajmowała jakąś skromną bardzo posiadkę w Łodzi. Syn nazywał się Karol Świerczewski i miał bardzo wiele nieprzyjemności w szkole. Nie wierzono, że Karol Świerczewski, syn bohatera narodowego, żyje w takiej biedzie, w takich warunkach. Co się z nimi stało później – nie wiem. To jest też pewien element tej fałszywej moralności w stosunku do ludzi naszej partii PPR.

Świerczewski nie był wybitnym wojskowym, ale był krytyczny. Bardzo krytycznie ustosunkował się do swojej własnej kampanii, którą przeprowadził w Czechach. Była to chyba największa kampania odrodzonego Wojska Polskiego, chyba znacznie przewyższająca tzw. operację kołobrzeską. Ale sam przyznawał, że popełnił wiele błędów. Chciał w okręgu przeprowadzić ćwiczenia na podstawie dokumentów, ażeby rozegrać to raz jeszcze i starać się wyodrębnić i uniknąć błędów wówczas popełnionych. Tę ideę ćwiczeń przejął od niego Strażewski i później, na jesieni 1946 r. przeprowadził ćwiczenia w okolicy Kalisza. To były dwustronne ćwiczenia dwóch dywizji z użyciem

środków łączności, w których brała udział: IV Dywizja i jako przeciwna – chyba V Dywizja. Innej w okręgu nie było. To były ćwiczenia szczeblowe. Odznaczył się w nich młodziutki porucznik Bień, który wtenczas pełnił rolę oficera operacyjnego. No i został zakwalifikowany najpierw do Wyższej Szkoły Oficerskiej w Rembertowie, a stamtąd do Akademii, chyba Woroszyłowa, do Moskwy. Stąd ta kariera gen. Bienia. Muszę powiedzieć, że to wspólnie ze Strażewskim zwróciliśmy na niego uwagę, jako na takiego „wunderkinda”. To był taki dwudziestoparoletni chłopiec, bez żadnego w gruncie rzeczy wykształcenia wojskowego, w roli pierwszego oficera sztabu dywizji. To był nie lada widok.

Jeśli chodzi o politykę odznaczeniową Świerczewski starał się podawać oficerów sowieckich do odznaczeń sowieckich, polskich do odznaczeń polskich. Oficerom sowieckim odznaczenia polskie po powrocie do Związku Radzieckiego nie były potrzebne, a nie wszystkim oficerom polskim podobały się odznaczenia sowieckie.

Miał dobry stosunek do księży. Mieliśmy takiego dziekana Żebrowskiego – taka barwna postać.

Trochę się te stosunki zmieniły, kiedy przyjechał gen. Strażewski. W Warszawie był drugim wiceministrem Obrony Narodowej. Przed Bożym Ciałem 1946 r. Świerczewski odszedł do Warszawy na stanowisko II wiceministra, a Strażewski objął dowództwo okręgu. Tłumaczono to w ten sposób, że gen. Świerczewski jest bardziej odpowiedni na wiceministra, który ma do czynienia z różnymi partiami politycznymi, działaczami, aniżeli Strażewski, który był oficerem rosyjskim. Wydaje mi się, że to było trochę coś innego, że Świerczewskiego chciano mieć na oku. Uważano, że za dużo *opolacził*.

Strażewski był wprawdzie synem urzędnika w Pińsku, ale za Polaka się nie uważał. Aparat polityczny w Warszawie przyswoił mu imię Witold, co się Strażewskiemu bardzo nie podobało. Twierdził, że jest Wsiewołod. Twierdził, że mimo wyglądu – taki wąsaty szlachcic polski (sądzę, że wąsy były wzorowane raczej na Stalinie niż na Sobieskim) – jest Rosjaninem z pochodzenia. Mówił, że był nauczycielem, jako nauczyciel został komisarzem pułku, jako komisarz walczył pod Stalingradem, no i później, z racji nazwiska o brzmieniu polskim został skierowany do Wojska Polskiego.

Ciekawe, że Strażewski nawet się czasami zwierzał. W ogóle

oficerowie sowieccy zwierzali się – przy wódce, a i bez wódki. Strażewski opowiadał, że był represjonowany z racji swego polskiego nazwiska. Przesiedział 17 miesięcy w więzieniu, w strasznych warunkach: 17 czy 18 osób w celi tak małej, że równocześnie nie mogli się wszyscy położyć. Spali na zmianę – połowa spała, a połowa musiała stać. W ogóle o tych czasach represji mówił z dużym przejęciem. Od niego się również dowiedziałem, że prawie wszyscy oficerowie sowieccy polskiego pochodzenia byli represjonowani. Od jednego z oficerów o polskim nazwisku, ale który też wypierał się polskiego pochodzenia, dowiedziałem się, że pod koniec lat trzydziestych Polaków aresztowano nie za jakiegokolwiek przewiny, a tylko i wyłącznie za pochodzenie. Jeden z takich dowódców pułków opowiadał, był synem polskiego komunisty, który wyemigrował do ZSSR i tam zmarł. Syn wstąpił do armii radzieckiej. Pewnego dnia znajomy oficer NKWD wezwał go do siebie i oświadczył, że znalazł w jego ewidencji pomyłkę. Napisano tam mianowicie, że urodził się w jakimś miasteczku w Polsce, a tymczasem urodził się przecież na Białej Rusi sowieckiej czy też w innej miejscowości Związku Radzieckiego. Nie rozumiejąc ostrzeżenia, nasz oficer zaprotestował i stwierdził, że rzeczywiście urodził się w Polsce, pomimo usilnych nalegań oficera NKWD, ażeby zmienił swoje twierdzenie. W kilka tygodni później jako Polak został aresztowany i w strasznych warunkach pędzony na Syberię. Za kolumną posuwało się stado wilków i ciała maruderów zastrzelonych przez posuwającego się z tyłu oficera NKWD były natychmiast przez nie uprzątane. Teraz już tak dokładnie tych rzeczy nie pamiętam. Ale taka rozmowa: Korczyc, Strażewski i jeszcze jeden oficer radziecki opowiadali o tych sprawach. Wyrażali zdziwienie, że wtedy, kiedy wszyscy Polacy byli represjonowani – Świerczewski nie był. To był jedyny znany im przypadek nierepresjonowania starszego oficera Polaka-komunisty. Drugim wypadkiem, o którym jednak nie mówili, była dr Ziemięc, której mąż był represjonowany. Wielokrotnie przesłuchiwana i zmuszana do samokrytyki nie zgodziła się i ocalała. Uprzedzała mnie, żeby w podobnym wypadku nie pozwolić się wciągnąć w samokrytykę. Jej mąż zresztą został zrehabilitowany jeszcze podczas wojny – ale pośmiertnie. Później, jeśli chodzi o Świerczewskiego, dziwili się też oficerowie sowieccy.

Pomimo wysokiej pozycji, oficerowie liniowi nie utrzymy-

wali stosunków z oficerami NKWD i nie ukrywali zdziwienia, że Świerczewski wydał swą córkę za oficera informacji płk. Wozniesińskiego, który później został zastępcą szefa informacji, a następnie, w okresie procesów tatarowskich jej szefem. Również budziło zgorzienie, że córka Strażewskiego wyszła za mąż za oficera informacji, płk. Popiołka, znanego później ze szczególnego okrucieństwa w Zarządzie Informacji Lotnictwa.

Odpowiedź na pytanie, które mi pan postawił, jak się układały stosunki między oficerami polskimi a sowieckimi, jest dość złożona. Już w 1945 roku odesłano pewną ilość oficerów sowieckich, a rok 1946 był okresem wielkiej polonizacji korpusu oficerskiego. To jest wielka zasługa Spychalskiego. A zdaje mi się, że przyczyniliśmy się do tego i Kuropieska, i ja. Jeszcze w Lublinie Spychalski usiłował pozyskać niektórych oficerów przedwojennych i z Armii Krajowej do służby w Wojsku Polskim, starając się w ten sposób o spopularyzowanie wojska i władzy ludowej, rozładowanie podziemia i uzyskanie dla Wojska Polskiego specjalistów spoza oficerów sowieckich. Zetknął się z tym, że po pierwsze, władze sowieckie wyrażały wiele wątpliwości co do uczestników Armii Krajowej i innych polskich formacji podziemnych, a po drugie – wielu AK-owców źle czując się w Wojsku Polskim, prowadziło swą własną politykę, organizując sprzeciwy, dezercję, a nawet uciezki całych zwartych oddziałów do partyzantki. Utrzymywali się zasadniczo starzy oficerowie, którzy już dawno przeszli na emeryturę, jak np. płk Wecki, który na czele 10 pułku piechoty opowiedział się w 1926 roku przeciw Piłsudskiemu i od tego czasu pozostawał w stanie spoczynku.

Proces polonizacji korpusu oficerskiego w r. 1945 obejmował przede wszystkim młodszych oficerów. Odeszli przede wszystkim młodzi oficerowie sowieccy, przeważnie awansowani w czasie wojny. Zostali oni zastąpieni bardzo szybko przez, będących początkowo na trzymiesięcznych, a później – rocznych kursach oficerskich, żołnierzy I i II Armii, a następnie inteligentniejszych czy też rekomendowanych przez organizacje polityczne i społeczne, młodych ludzi z Polski. Nie mogli oni oczywiście zajmować stanowisk wyższych niż dowódca plutonu czy najwyżej kompanii. I dopiero dopływ oficerów z oflagów i następnie z PSZ umożliwił obsadzenie stanowisk dowódców batalionów, pułków i dywizji. Przypadło to właśnie na pierwszą połowę i lato 1946 r. Na żądanie władz polskich odsyłano

przede wszystkim takich, którzy nie potrafili się zachować odpowiednio, mówiąc bardzo łagodnie, albo wykazywali ignorancję i nieumiejętność zaadaptowania się do warunków pokojowej służby koszarowej. Zaś na żądanie organów partyjnych sowieckich – tych oficerów, którzy, ich zdaniem, zanadto asymilowali się w społeczeństwie polskim – *opolaczilisia*. To prowadziło do wielu tragedii, bo większość oficerów sowieckich w Wojsku Polskim była pochodzenia polskiego i marzyła o pozostaniu w Polsce. Do takich należał np. dowódca IV Dywizji, pierwszy dowódca Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. gen. Kieniewicz, na jesieni 1946 r. zastąpiony przez gen. Konrada Świetlika. Kieniewicz, chory śmiertelnie, wiele lat później prosił o skierowanie do polskiego szpitala wojskowego, gdzie zmarł po kilkumiesięcznej chorobie w szpitalu w Warszawie na Szaserów. W Okręgu Poznańskim prawie wszyscy kierownicy wydziałów zastąpieni zostali przez oficerów polskich, przeważnie przedwojennych. Wymieniono też dowódców dywizji, większości pułków.

Na miejsce szefa służby zdrowia Kiełkowa, przyszedł Samet, przedwojenny komunista, który kończył medycynę w Pradze czeskiej i brał udział w wojnie hiszpańskiej. Ożeniony był z Rosjanką, która wiele lat później opowiadała, jak to pod koniec lat trzydziestych gasły światła w poszczególnych mieszkaniach Arbatu i stąd wiadomo było, kogo już zabrali. Samet nie był przystosowany do gospodarzenia w ówczesnym wojsku. Jego poprzednik, Kiełkow, kiedy gościł go jego zastępca, polski lekarz płk Kryska i podał na kolację wytwornie przyrządzone kanapki, oburzył się, kazał to wszystko sprzątnąć i posłał do siebie po tuszonkę, szynkę i inne mięsiwa. A na przyszłość – powiedział – nie chce, by jego zastępca żył tak biednie. Zresztą zastępca potrafił doskonale zarobić na sprzedaży wojskowych samochodów, a kolacja była raczej zbyt skromna dla wytworności.

Samet głódował. Trzeba mu było posyłać jedzenie z zapasów szpitalnych. Nie potrafił „organizować sobie odpowiednich” warunków życia.

Na miejsce Skokowskiego przyszedł płk Grabczyński, przedwojenny saper, inżynier z wykształcenia, człowiek inteligentny; bardzo nam pomógł podczas wyborów. Staraliśmy się, zwłaszcza za czasów gen. Świerczewskiego, zgromadzić pewną ilość takich naprawdę przedwojennych oficerów, jak zastępca Gabermana Jaxa-Rożen i inni. Kiedy przemawiał taki przedwojenny oficer –

pułkownik czy major – to robiło ogromne wrażenie, pomagało akcji propagandowej, akcji nawiązywania stosunków z ludnością.

Historia Grabczyńskiego była ciekawa. Był on później organizatorem i pierwszym komendantem Wojskowej Akademii Technicznej – nie pamiętam, czy ta akademia od początku nosiła tę nazwę. W związku z tym został generałem. Na wręczenie nominacji poszedł do Bieruta. I rozpoznał Bieruta. Spotkał go był w takiej sytuacji: w r. 1920 brał udział w sądzie doraźnym, w którym oskarżono kogoś o zdradę na podstawie zeznań jednego konfidenta. Grabczyński głosował przeciw skazaniu i wobec tego sprawa została odesłana do postępowania zwykłego, dlatego że uważano, iż nie można skazywać na śmierć jedynie na podstawie zeznań jednego konfidenta. Twierdził, że tym konfidentem był Bierut; kilka tygodni po wręczeniu nominacji został aresztowany i zwolniony chyba dopiero po śmierci Bieruta.

Dowódcą V Dywizji przed wymianą był oficer radziecki, Ukrainiec, który jawnie nie lubił Polaków i darł koty ze swoim szefem sztabu. Ten szef sztabu skompromitował się w kampanii łuzyckiej, kiedy podczas natarcia gen. Schrödera dywizja została rozbita i zginął cały jej sztab, z gen. Waszkiewiczem na czele. On jeden, w tajemniczych okolicznościach, ocalał. Ten dowódca V Dywizji, pomimo swej niechęci do Polaków, był byrdzo zdyscyplinowany, sprężyście się meldował podczas inspekcji, zarówno w sztabie, jak nawet w mieszkaniu prywatnym, co mnie wprawiało w zakłopotanie. Zresztą było w tej dywizji moc kłopotów, spowodowanych nieumiejętnością postępowania z ludźmi. Został on zastąpiony przez generała polskiego, którego nazwiska nie pamiętam. Ten odziedziczył po sowieckich oficerach najgorsze cechy. Kiedy objął dywizję, zażądał od kwatermistrza, żeby mu w najkrótszym czasie wyposażył mieszkanie w meble, dywany, w ogóle we wszystko, co uważał za właściwe dla stojącego na wysokim poziomie generała. Wprowadził tym kwatermistrza w niemały kłopot, bo w owym czasie – druga połowa 1946 r. – mienie ponemieckie było już na ogół zagospodarowane i trzeba było się starać o rzeczy z pewnymi trudnościami w Urzędzie Likwidacyjnym. Aparat polityczny i zastępcę traktował „per nogam”. Kiedy przyjechałem do sztabu na inspekcję, nie raczył się zjawić. Znalazłem sposób. Jako zastępca przewodniczącego Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa, zarządziłem alarm plutonu alarmowego, który powinien być

gotów w ciągu 15 minut. Okazało się, że nie zdążył się wygrzebać nawet przez dwie godziny. Wtedy generał speszony zjawił się natychmiast i zameldował się grzecznie, tak jak jego poprzednik. Niestety w krótkim czasie potem zachorował i zmarł w szpitalu w Poznaniu.

Tempo tego procesu wywoływało u mnie często niepokój. Nie miałem przecież tego przekonania, że przy wszelkich okolicznościach oficerowie przedwojenni, wychowani w tradycji wojny polsko-bolszewickiej i wrogości do komunizmu, w każdej sytuacji zachowają lojalność. Szczególnie niepokoiły mnie zmiany na stanowiskach dowódców pułków. Pamiętałem, że w r. 1926, z wyjątkiem jednego przypadku płk. Więckowskiego, który popełnił samobójstwo, nie zdarzyło się, by pułk postąpił inaczej, niż zdecydował dowódca. Dwa incydenta: w Lesznie był 86 pułk artylerii przeciwlotniczej, którym dowodził oficer ormiański Eliaszewicz. Został on wymieniony na oficera polskiego, nazwiska nie pamiętam, chyba Takaszwili – mogę się mylić, w każdym razie oficera przedwojennego – Gruzina. Złożyłem sprzeciw. Sądziłem, że oficer specjalnie utrzymywany w Wojsku Polskim dla dywersji antysowieckiej (to była myśl idei „prometejskiej”, służby oficerów kontraktowych – Gruzinów w Wojsku Polskim), nawet jeśli zachowa lojalność, trudno mu będzie ułożyć stosunki z oficerami sowieckimi i zdobyć ich zaufanie. Ustąpiłem na osobistą prośbę Spychalskiego (wówczas jeszcze nie było możliwe, aby dowódcy albo zastępcy dowódcy okręgu ministerstwo narzucało oficerów wbrew ich woli). Ale Spychalski telefonował do mnie i przekonywał, że zna tego oficera, że się pięknie spisywał podczas okupacji i, niestety, ustąpiłem. W krótkim czasie doszło do bójk między żołnierzami sowieckimi, a polskimi z 86 pułku artylerii przeciwlotniczej. W wyniku czego postawiono zarzuty dowódcy pułku i został usunięty. Nie wiem jak się sprawa skończyła, ale jest rzeczą możliwą, że został oskarżony. Gdyby na tym miejscu był nadal Eliaszewicz – prawdopodobnie sprawa skończyłaby się ukaraniem winnych awantury.

Zabawna historia była z dowódcą brygady artylerii, stacjonującej w Biedrusku, płk. Leszko. Był to oficer zawodowy, prawdopodobnie Ukrainiec, bardzo kulturalny i przywoity człowiek. Przyszedł do niego na zastępcę dowódcy pułku pewien oficer przedwojenny i przyjęty życzliwie, zwierzył mu się, że obawiał się oficera sowieckiego i ucieszył się, że będzie nim

dowodził oficer polski. Leszko wyprowadził go z błędu, a potem z uśmiechem opowiadał mi tę historię.

Zupełnie inaczej było w IV Dywizji. Tam był pułkownik radziecki. Jeździłem na inspekcje z reguły z płk. Kaseją, dzięki czemu mogłem bez obaw kompromitacji sprawdzać nie tylko stan pracy politycznej, ale służby i wyszkolenia bojowego. Kiedy pierwszy raz przyjechałem na inspekcję, płk Kaseja zawiadomił dywizję wg nomenklatury przedwojennej, że przyjechał zastępca dowódcy korpusu (w przedwojennej nomenklaturze dowódca okręgu był dowódcą korpusu), a w LWP jedynym korpusem był Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wobec tego dopiero mój telefon do zastępcy dowódcy wyjaśnił sprawę i obaj panowie zjawili się z przeproszeniem na dworzec. Miałem wobec tego okazję skorygować błędy popełnione przez dowódcę dywizji podczas ćwiczeń, oczywiście po uzgodnieniu z Kaseją.

W tej podróży miałem taką przygodę. W przedziale jechała jakaś panienka. W rozmowie okazało się, że jest telefonistką na dworcu. Chwaliła się, że jeśli telefonuje oficer polski – łączy, jeśli odzywa się głos rosyjski – telefon zawsze jest zajęty. Zrobiła głupią minę, kiedy przekonała się, bo poprosiłem ją o zaprowadzenie do telefonu, że rozmawiała z zastępcą dowódcy do spraw politycznych. Miałem próbkę, jakie miała zdanie o nastrojach oficerów-Polaków, jeśli ze mną rozmawiała tak szczerze.

Po odejściu Kazaczyńskiego, kierownika Wydziału do Spraw Pracy z Oficerami, przyszedł na jego miejsce Piasecki. Wydział ten zmienił swój charakter. O ile przedtem był to wydział do pracy z oficerami radzieckimi, to w połowie 1946 r., stał się wydziałem do pracy partyjnej. Kierownikiem Wydziału do Spraw Pracy wśród Oficerów, w GZP został Strasser – już na całą Polskę. A tutaj szefem został Piasecki. Miał dwóch pracowników: kpt. Kieka i panią por. Furman, bardzo zabawną. Wtenczas robiono tak, żeby na widoczne stanowiska – zastępcy, szefa zarządu – obsadzać przy pomocy oficerów pochodzenia polskiego, natomiast na niewidoczne – oficerów pochodzenia żydowskiego. Tu tak się zdarzyło akurat, że cały aparat partyjny okręgu, zarówno Piasecki, jak Kiek czy panna Furman byli pochodzenia żydowskiego. Podpowiadają mi tutaj, że Kiek był Cyganem, to znaczy, że miałem fałszywe wrażenie. Otóż Piasecki był bardzo dobrym kierownikiem pracy partyjnej, rozsądnym człowiekiem. Pomógł mi wyjść z kłopotu, kiedy szef personalny,

pułkownik czy major, już nie pamiętam, oskarżył mnie o antysemityzm.

Sprawy, które ujęła w swoje ręce Informacja (a Informacja cała w terenie była w ręku oficerów sowieckich), były beznadziejne. Już na wiosnę 1945 r. szefem Informacji został przedwojenny komunista, dość dobrotliwy płk Rutkowski, a po nim oficer polityczny, szef Wydziału Wyszkożenia GZP płk Stefan Kuhl, który później został wiceministrem rolnictwa. Zastępcą szefa Informacji został na jesieni 1945 r. płk Fejgin, późniejszy szef X Departamentu MBP. Ale całe kierownictwo Informacji pozostawało w rękach oficerów sowieckich, z wyjątkiem napływającego powoli aktywu młodych ludzi po trzymiesięcznych kursach, wytypowanych na ogół przez organizacje polityczne, którzy się nadawali wyłącznie do pełnienia funkcji podrzędnych. Szefem Informacji w Poznaniu był płk Zajcew i dopiero pod koniec 1946 r. zastąpił go polski oficer, mjr Kochan, późniejszy zastępca szefa ZG Informacji. Dwa charakterystyczne wypadki anegdotyczne: wspomniana już komendant szpitala wojskowego ppłk Ziemięć, w gospodarstwie pomocniczym szpitala, podczas inspekcji zaordynowała zastrzyk koniowi, który w parę dni później zdechł. Otóż Informacja prowadziła dochodzenie w tej sprawie przeszło pół roku, bo na p. Ziemięć przyszło doniesienie oskarżające o sabotaż. I drugi: partia była w wojsku wówczas „nielegalna”, nieujawniona. Pewien oficer Informacji, jeszcze bezpartyjny, wykrył tajne zebrania, odbywające się w gabinetach szefa sztabu i zastępcy do spraw politycznych. Złożył więc meldunek jako o odkrytej przez siebie nielegalnej organizacji. Zwierzył mi się z tego sam płk. Zajcew. Oczywiście trzeba było zdjąć tego chłopca.

Miałem zatargi z oficerami Informacji w terenie, którzy nie chcieli się meldować podczas inspekcji, chodzili nieprzepisowo ubrani. Dzięki płk. Zajcewowi sprawy te udało się kończyć we właściwy sposób. Nie wiedziałem, że i przeciwko mnie odbywa się zbieranie materiałów. Aresztowania oficerów odbywały się bez żadnego wyjaśnienia. Na zebraniu zespołu byłem świadkiem konfliktu między gen. Strażewskim a płk. Zajcewem, kiedy za zaginionym oficerem podejrzanym o dezercję rozestano listy gończe, gdy on przebywał w areszcie Informacji. Strażewski żądał, żeby, jeśli sprawa musi pozostać w absolutnej tajemnicy, przynamniej on, jako dowódca okręgu, został powiadomiony, dla uniknięcia kroków kompromitujących dowódcę. Dzięki taktowi

Zajcewa niektóre rzeczy udało się załatwić polubownie. Zastępca komendanta szpitala d/s leczniczych, Czech, który z czeskich oddziałów przy Armii Czerwonej został przeniesiony do Wojska Polskiego, usiłował zbiec do Czech i przyłapany na granicy został odesłany do Poznania. Udało się przekonać Zajcewa, by sprawę uznał za niebyłą, i wszczęliśmy starania, ażeby w drodze normalnej i legalnej, skierować tego oficera do Czech. Nie pamiętam końca tej sprawy.

Sprawa oficerów sowieckich.

Oficerowie radzieccy zachowywali się jak wypuszczeni na przerwę uczniowie. Zdawało się im, że są w kraju kapitalistycznym i powinni się zachowywać tak, jak im opowiadano, że zachowywali się oficerowie gwardii carskiej z kiepskich romansów. Np. gen. Skokowski. Ożenił się pod Warszawą z córką jakiegoś karczmarza i realizował wzór życia stanowiący syntezę marzeń córki właściciela knajpy z powieści „z życia wyższych sfer”. Artyleria miała transport i w mundurach sowieckich można było jeździć po całej okupacji sowieckiej i szabrować bez ograniczeń. Później – wszystko się dało sprzedać. Na terenie Niemiec konfiskowali samochody i grabili, co się dało, samochody zdobywali w rozmaity sposób. Np. robili „kontrolę” na szosach – samochody konfiskowali i sprzedawali. Co pewien czas zaczynało samochodów brakować. Wtedy Świerczewski, a później Strażewski zarządzali kontrolę, odbierali wszystkie samochody i przydzielali do jednostek. Po czym dysponenci sprzedawali je znowu. Znam pewnego pułkownika służby zdrowia, który potrafił „zagonić”, jak się to mówiło, pięć samochodów. Ten *nota bene* był oficerem polskim i autentycznym lekarzem. Po odejściu Skokowskiego, kiedy przy jakiejś okazji zaprosiłem dyrektora Opery Poznańskiej, Latoszewskiego, zwierzył mi się, że adiutant Skokowskiego (a był to wyjątkowy drań, prawnik, przedwojenny aplikant adwokacki z Krakowa, który napuszczał generała na takie zabawy), telefonował do niego o 10 czy 11, w nocy, że generał potrzebuje dwanaście czy też dwadzieścia baletniczek do kolacji. Kiedy pytałem dyrektora, dlaczego się przedtem nie poskarżył, odpowiedział, że baletniczki bardzo chętnie udawały się na przyjęcia, bo wracały stamtąd po dobrej kolacji i z odpowiednią ilością jedwabnej bielizny. Tak, że nigdy nie było kłopotu ze skompletowaniem w ciągu godziny odpowiedniego zespołu.

Inna, na mniejszą skalę, a bardziej wulgarna historia syna

gen. Nosa, porucznika, który po pijanemu zaszedł do szpitala i zażądał pielęgniarki do natychmiastowego użytku, nie licząc się nawet z tym, że płk Ziemięć – komendant szpitala, była oficerem radzieckim. Dla likwidacji incydentu musiała przybyć sama komendantka, bo w całym personelu wojskowego szpitala nie znalazł się nikt, kto by śmiał przeciwstawić się starszemu lejtnantowi. Skończyło się na tym, że zarówno ze względu na osobę ojca – szefa sztabu okręgu, jak i komendanta szpitala, na drugi dzień odjechał do Związku Radzieckiego.

Bardzo nieprzyjemną rzeczą były transporty oddziałów frontowych czy wojsk okupacyjnych – pociąg, albo dwa pociągi. Ci żołnierze byli całkowicie zdemoralizowani. Ogłaszało się wtedy alarm, pociągi zatrzymywały się tylko na stacjach węzłowych. Kierowano tam co najmniej batalion wojska z karabinami maszynowymi. Przy czym żołnierze ci często terroryzowali swoich oficerów. Oficerowie nieraz obawiali się nawet wyjść na peron w czasie postoju. Odważali się tylko oficerowie NKWD. Mogła być największa awantura, wystarczyło, że jeden oficer NKWD się pokazał – uspakajało się. Zresztą były czasem straszne rzeczy. Np. na jakimś postoju obrabowano kobietę. Poskarżyła się oficerowi NKWD. On zrobił zbiórkę: „Pokaż, który”. Pokazała. Wyciągnął pistolet z kabury i zabił. Ona błagała, żeby nie zabijał, chciała tylko odzyskać walizkę. To były okropne rzeczy.

Na terenie województwa poznańskiego większych konfliktów nie było.

Za czasów Świerczewskiego współpraca dowództwa okręgu z kierownictwem partii układała się dobrze. Za czasów Strażewskiego wydawało się, że również. Później okazało się, że Strażewski miał w stosunku do mnie zastrzeżenia, i odpowiednio meldunki posyłał do góry. Chodziło mu przede wszystkim o to, że mówiąc o trzech elementach korpusu oficerskiego: oficerów radzieckich, oficerów powojennych polskich i oficerów dawnej armii polskiej, ująłem rolę oficerów radzieckich jako instruktorów. On uważał, że są dowódcami i chyba rolę tę uważał za najważniejszą. Izydorzycy, ale o tym także dopiero później się dowiedziałem, również sądził, że przeceniam rolę przedwojennych oficerów polskich, a nie doceniam – sowieckich. Lepiej mi się współpracowało z Marią Kamińską, II sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego. Izydorzycy nie był o niej zbyt dobrego zdania. Przed Izydorzycykiem Kamińska była I

sekretarzem i organizowała poznańską PPR. W krótkim czasie liczebność partii wzrosła nadzwyczajnie. Kiedy później Izydorczyk sprawdzał stan organizacji wiejskiej, jeden sołtys mówił mu, że zapisał wszystkich gospodarzy poniżej 10 ha do PPR, a powyżej – do PPS, że składki płać regularnie, ale o żadnych zebraniach mowy nie było i na zebrania to oni się nie godzą. Faktem jest, że Kamińska była bardzo wymagająca, często nietaktowna. Np. pozwalała sobie wzywać wojewodę, co w owym czasie nie było w stylu, bo zachowywano pozory nadrzędności władzy państwowej. Humorystycznym przykładem może być że w noc powyborczą, kiedy mój zastępca przyszedł do niej z pilnym meldunkiem, wyrzuciła go za drzwi, dlatego że był nieogolony.

Dobre stosunki utrzymywaliśmy z Widy-Wirskim, ówczesnym wojewodą poznańskim, który udawał przedstawiciela Partii Pracy, a faktycznie był komunistą.

Utrzymywaliśmy dobre stosunki z Kościołem. Musieliśmy mieć uznanie arcybiskupa Dymka dla naszych kapelanów, zwłaszcza na pozwolenie na odprawianie nabożeństw poza kościołami. Prawo to miało duszpasterstwo wojskowe, a prawo duszpasterstwa wojskowego było wówczas przekazane na armię poza granicami państwa i posiadali je kapelani AK i WiN, nie nasi. Kontakt z arcybiskupem Dymkiem nawiązaliśmy przez dziekana Żebrowskiego, już nie za czasów Świerczewskiego, a ze Strażewskim. Poprosiliśmy Jego Ekscelencję o przyjęcie nas. Poszliśmy we trójkę – gen. Strażewski, ks. Żebrowski i ja. To było takie śmieszne: schodzi Jego Ekscelencja, Żebrowski klęka, całuje w rękę. Nam biskup podaje rękę. Trzeba przyznać, że z arcybiskupem Dymkiem utrzymywaliśmy przyjazne stosunki. Umówiliśmy się, że w wypadku jakichkolwiek konfliktów w sprawach bieżących, kontakt będzie utrzymywał kanclerz Kurii Biskupiej z moim szefem propagandy, mjr Wadeckim. Chodziło o rozmaite sprawy, np. takie, jak asysta na Boże Ciało. Dowiedziałem się, że przed wojną wojsko dawało ją w trzynastu miejscach. Ale biskup Dymek miał apetyt – żądał jej w przeszłości. Zażądał też, żebyśmy, gen. Strażewski i ja, prowadzili go podczas procesji. Ja uważałem, że jest to troszeczkę za dużo. Mógł to robić Jaroszewicz. O Jaroszewiczu wiadomo było, że nie był przed wojną komunistą. Ale żeby oficer sowiecki i komunista prowadzili pod rękę arcybiskupa, to było coś takiego obłudnego. Zaproponowałem, żeby prowadził płk Jaxa-Rozen. Ale to było

za mało. W procesji Bożego Ciała musieliśmy, Strażewski i ja, iść w pierwszej czwórce, tuż za celebransem.

Duszpasterstwo to były rozmaite historie. Ciągłe przychodziły jakieś skargi, tak że ja w końcu prosiłem ks. Żebrowskiego, żeby zapraszał mnie do siebie na odprawy kapelanów. Wygłaszałem do nich przemówienia mniej więcej tego gustu: ja Was, księża kapelani, nie proszę o to, żebyście się zachowywali tak, jak na księży przystoi, ale żebyście nie robili takich bezceństw, za które natychmiast wyrzuciłbym z wojska każdego żołnierza. Np., żeby po pijanemu wychodzić z kościoła i przechodzić przez miasto w towarzystwie panienek wiadomej konduity itp. O to chodziło, że kapelani byli w dwuznacznej sytuacji. Zgłaszali się na te stanowiska nie najlepsi księża, ale tacy, którzy mieli już jakieś kłopoty na skutek takich czy innych moralnych wykroczeń. Zresztą przykład najlepszy stanowił ks. dziekan Żebrowski, który nawiązał publiczny romans z córką dowódcy okręgu, Leną Strażewską. Miałem z nim zabawną historię. Wysoki, postawny. Byliśmy kiedyś razem na jakimś wiecu w fabryce. Poprosiłem prowadzącego ten wiec o głos. On wiedział, że jest zastępca dowódcy okręgu i dziekan. Bardziej na dowódcę wyglądał dziekan Żebrowski. Zwrócił się więc do niego o zabranie głosu. I dopiero później wyjaśniło się, kto kim jest.

Duże wrażenie zrobił na mnie pierwszy zjazd – legalny – Polskiej Partii Robotniczej, na którym byłem delegatem wojska w grudniu 1945 r. Właśnie podczas tego zjazdu, czy bezpośrednio po nim zostałem mianowany podpułkownikiem. Tam, na tym zjeździe była zupełnie specjalna atmosfera, dlatego że po raz pierwszy spotykaliśmy się legalnie.

Potem trudno było wrócić do Poznania. Starłem się prowadzić pracę zgodnie z linią, którą wyniosłem jeszcze z czasów przedwojennych, linią jednolitofrontową. Jeśli chodzi o samo wojsko, podkreślałem stronę patriotyczną, starałem się wytworzyć normalne stosunki między trzema rodzajami oficerów. To zostało później przeciwko mnie wykorzystane. Mówiłem, że są to trzy równoprawne grupy: są oficerowie radzieccy, którzy na razie przebywają w naszym wojsku jako instruktorzy, są oficerowie przedwojenni, którzy przynoszą ze sobą fachową wiedzę, są oficerowie nowego chowu, już z nowych szkół oficerskich. Gen. Strażewski oburzył się na mnie za to, że oficerowie radzieccy są w charakterze instruktorów: „My jesteśmy nie instruktorami, a dowódcami”.

W naszej wewnętrznej pracy politycznej starałem się z jednej strony zjednać sobie oficerów sowieckich, w jakiś szczególny sposób wprowadzać ich w zagadnienia polskie, starać się wpływać na nich w kierunku zwiększenia dyscypliny. Starałem się dodać ducha oficerom polskim.

Kamińska wprowadziła mnie do kontaktów ze światem intelektualnym. Uważała, że ja się do tego nadaję. Istotnie – poznałem się z dr Kurkiewiczem, Szczurkiewiczem, bywałem u nich z Mamą. W ogóle starałem się prowadzić życie towarzyskie na jakimś poziomie, zapraszać ludzi, bywać. Nawiązałem kontakty z uniwersytetem – z prof. Wojciechowskim, z prof. Skałkowskim. I tu była zabawna historia. O ile chodziło o ludzi tzw. postępowych, to na ogół w województwie poznańskim byli to sanatorzy. Z nimi gorzej się kontaktowało aniżeli z osobami „endekoidalnymi”. Zaskoczeniem dla mnie było, kiedy zaś prosiłem Skałkowskiego do okręgu na prelekcję o powstaniu styczniowym, tzn. to był styczeń 1946 r., że wyrażał się negatywnie o Komitecie Centralnym, o Czerwonych, a pozytywnie o Wielopolskim. Szokiem było dla mnie, dla mojego zastępcy Wadeckiego, mniej dla Łustacza, który się wywodził z Poznania, bo myśmy w naszej propagandzie historycznej nawiązywali do Czerwonych, a nie do konserwatystów. Natomiast Wielopolski jako prekursor przyjaźni polsko-radzieckiej – to coś zabawnego, coś, co mi przypominało anegdotę o pogadance oficera politycznego na temat bitwy pod Grunwaldem, kiedy „wojska polskie i radzieckie walczyły przeciw hordom hitlerowskim”.

Już we wrześniu zawiadomił mnie Garbowski, który został w tym czasie szefem personalnym GZP, że szykuje się odwołanie mnie. Zbierają na mnie materiały, a przeciwko mnie występuje chyba Strażewski, który uważał, że za dużo popieram oficerów przedwojennych i kilka razy startłem się z oficerami sowieckimi, którzy w niewłaściwy sposób zachowywali się w stosunku do oficerów politycznych. I Izdorczyk. Później wezwał mnie na rozmowę Świetlik. Zaczęli zbierać jakieś materiały, jakieś wypiski. Potem Zarzycki powiedział, że nie mają mi nic do zarzucenia, ale chodzi o to, że Łustacz, jako Poznaniak, przed wojną był asystentem prawa w Poznaniu, więcej się na to stanowisko nadaje. Ale to chyba było zdjęcie, ponieważ nic mi nie zaproponowano. Potem Łustacz uległ katastrofie, więc pozostałem do końca wyborów, a po wyborach – zdjęto mnie.

I wtedy gen. Świetlik zaproponował mi, żebym przeszedł do KBW. Był to już ten czas, kiedy zaczęto przesuwac oficerów politycznych na niektóre półwojskowe stanowiska. A więc Graniewskiego zrobiono dowódcą Wojsk Ochrony Pogranicza, a Świetlika dowódcą KBW. Jeszcze przedtem Jaroszewicz poszedł na trzeciego wiceministra, czyli na głównego kwatermistrza.

Ja się nie orientowałem wtedy, ale właściwie od drugiej połowy 1946 r., od chwili gdy Strasser został kierownikiem Wydziału Pracy, wśród oficerów nastrój zaczął się trochę zmieniać. Ten rok 1945/46, mniej więcej od czerwca do lipca, jest okresem względnej współpracy z Mikołajczykiem. Cały szereg akcji w kierunku otwarcia, tak czy inaczej – amnestia, wielu ludzi na jesieni 45 r. wychodzi z podziemia, wraca razem z Cyrankiewiczem. A od połowy 1946 r., w sposób jakby dla mnie niezauważalny, zaczyna się jakieś zagęszczanie atmosfery, zaostrenie walki z PSL. Mam wrażenie, że jeśli chodzi o Poznań, o zarzuty w stosunku do mnie, to chyba Izydorczyk wyczuwał, że ja nie chcę wykorzystywać autorytetu wojska do walki z PSL. Mnie się wówczas wydawało, że wojsko powinno odgrywać bardziej obiektywną rolę.

Jedyną właściwie propozycją, którą otrzymałem, poważną propozycją, było KBW. Strażewski, kiedy odchodziłem, pożegnał mnie bardzo uprzejmie i radził, żebym przyjął stanowisko zastępcy komendanta Wyższej Szkoły Oficerskiej w Rembertowie, skończył tam kurs wyższych oficerów sztabowych i przeszedł do pracy liniowej. Twierdził, że widzi we mnie możliwości na oficera liniowego. Nie bardzo to mi wtenczas odpowiadało.

A Świetlik, wydaje mi się, skorzystał z tego, że byłem do dyspozycji, bo właśnie prowadził wielką akcję polonizacji KBW. W rozmowie, którą przeprowadził ze mną, mówił, że przecież jest rzeczą niesłychanie niezdrową, niesłychanie szkodliwą, że na czele oddziałów KBW, zbudowanego „na bazie”, jak się to nieładnie mówi, IV Dywizji Piechoty, którą podzielono na dwie części, stoją oficerowie radzieccy. Jeżeli np. podczas rozruchów w Krakowie oficer zaczyna wydawać rozkazy po rosyjsku, to robi wrażenie, jakby polskie powstanie uśmierzało wojsko rosyjskie. Tego rodzaju nastrojów nie można robić. Wykorzystywał różne sposoby dla odsyłania Rosjan. A oficerowie sowieccy po prostu się podkładali. Dwóch pułkowników pokłóciło się o to, który

któremu buty ukradł. Pojechali do Krakowa na inspekcję i jednemu zginęły buty. W trzy tygodnie później znalazł je niedaleko, kilka kroków od lokalu KBW, na wystawie w komisie. U jednego z dowódców wojsk wewnętrznych, to się nazywało Oddział Wojewódzki, znalazł „w pewnym miejscu” na ścianie gazetę z portretem Bieruta. No więc wytoczył mu sprawę o znieważenie Prezydenta Rzeczypospolitej i w ten sposób odesłał do Związku Radzieckiego.

Trzeba zdawać sobie sprawę, że rok 1947 to są jeszcze bardzo poważne oddziały partyzanckie. Całe Bieszczady były w rękę partyzantki ukraińskiej do tego stopnia, że wieczorem poza roгатki Baligrodu nie można było wyjść bez przepustki ukraińskiej. Do tego stopnia, że nasze oddziały zbierające kontyngent musiały ustępować, kiedy gospodarze pokazywali kwit UPA. UPA zbierała też. Była równoległa administracja. Na całym terytorium przylegającym do Bieszczad aż do Leska istniała administracja, z wojewodami, starostami i oczywiście wójtami. Wybierali kontyngenty i powoływali młodych do służby wojskowej. Po drugiej stronie granicy, w Czechach, mieli swoje półlegalne instytucje, gdzie oddziały wojskowe szkoliły się i wypoczywały. Gen. Pożoga w swoim artykule w *Polityce*, mówi o współpracy z władzami przez granicę. Otóż ta współpraca istotnie była – z władzami sowieckimi. Ale władze czechosłowackie były całkowicie obojętne i nie chciały mieć konfliktu z Ukraińcami. Ludność polska mogła egzystować na tym terenie pod warunkiem całkowitego podporządkowania się władzom ukraińskim. W zamian za to one pozwalały im zachować przedwojenny styl życia. W szkole w Baligrodzie najspokojniej pozostawał krucyfiks i portrety prez. Mościckiego i marsz. Rydza-Śmigłego.

Uważałem, że w takich warunkach, jeśli nie rewolucji to walk zbrojnych, nie można propozycji Świetlika odrzucić. I dlatego ją przyjąłem.

Przejąłem stanowisko od płk. Pundy, który przejściowo przejął je od płk. Tokarskiego, który przeszedł na Informację. Szefem Zarządu był Birecki. Od razu z Bireckim miałem stanowczą rozmowę. Birecki nie chciał mi się podporządkować. Zaproponowałem mu, że on obejmie sprawę propagandy, a ja pracę partyjną.

KBW to było około 30 000 ludzi, około 3 000 oficerów, około 300 oficerów politycznych. Był Świetlik, który był

przedwojennym komunistą, robotnikiem rolnym, pracował u Ulrycha jakiś czas, taki brat-łata, ale człowiek prostolinijny, wydaje się, człowiek uczciwy. Szefem zarządu politycznego był przedwojenny komunista Mieczysław Birecki, fizyk czy inżynier, brat literata. Kto był szefem sztabu wówczas – nie pamiętam, zdaje się jakiś oficer sowiecki, ale dość krótko, bo niebawem Świetlik sprowadził, również z Poznania, płk. Kaseję. Jeszcze przypominam sobie pracowników Zarządu Politycznego – Baumana, późniejszego socjologa-rewolucjonistę, no i Prejbisza, późniejszego dyrektora departamentu w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego, który w międzyczasie był wykładowcą Akademii Sztabu Generalnego, wtedy, kiedy ja tam przyszedłem na stanowisko kierownika katedry nauk społecznych. Nie miałem tak wiele do roboty. W stosunku do Poznania, gdzie w gruncie rzeczy w całej pracy województwa i w całej pracy okręgu brałem udział, tutaj sytuacja była odmienna. W samej centrali było dowództwo, pułk ochrony Rządu, jakieś oddziały gospodarcze, jakaś eskadra samolotów, a całe siły – brygady czy pułki, czy powiększone bataliony, znajdowały się w każdym województwie. KBW działał w ramach Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Dowódcą KBW do spraw liniowych był Hübner, fizyk, nie wiem, czy ukończony, czy po wyjęciu z KBW i z wojska skończył, zrobił magisterium i został rzeczywistym fizykiem. Hiszpan. Inteligentny człowiek, dobry oficer, był zastępcą dowódcy w bitwie pod Lenino i tam, niektórzy mówią, że trochę przez przypadek, został jednym z niewielu „bohaterów Związku Radzieckiego”. Może to był i przypadek, ale wydaje mi się, że to był naprawdę zasłużony i odważny człowiek, że nie robił wstydu swemu orderowi.

W krótkim czasie przekonałem się, że tam, w tych warunkach, nie miałem nic do roboty ani do powiedzenia.

Po śmierci gen. Świerczewskiego na terenie Bieszczad rozpoczęła się akcja Grupy Operacyjnej „Wisła”. Po śmierci gen. Świerczewskiego zespół KBW – i to jest ta sprawa, która dla mnie zawsze będzie wstydliva – podjął uchwałę, żeby przeprowadzając akcję uspakajania ludności, wysiedlić ludność ukraińską z tego terenu. Była ona już kilkakrotnie wysiedlana do Związku Radzieckiego i – ludzie wracali, poprzez granicę wracali. I teraz postanowiono wysiedlić tę ludność nie do Związku Radzieckiego, a na tereny polskie.

Śmierć gen. Świerczewskiego wygląda prawie na samobójstwo. Stosunki na terenie Bieszczad były takie, że nie można się było posuwać w oddziale mniejszym niż batalion. Ta strażnica, którą miał Świerczewski wizytować, o 1,5 km od Baligrodu, zapomniałem nazwy, była zaopatrywana raz na dwa tygodnie przez batalion. Osobista inspekcja tego terenu, przy Świerczewskim, posuwającym się z przodu, była w gruncie rzeczy szaleństwem. Rzeczywiście, kiedy Świerczewski przysunął się, został skoszony ogniem karabinu maszynowego. Miałem pretensję do zastępcy dowódcy okręgu krakowskiego, który był przy Świerczewskim, że mu chociaż nogi nie podstawił. Sam się położył, a Świerczewski – nie. Mnie się wydaje, że on po prostu szukał śmierci.

Z tej śmierci skorzystano, by podjąć wielką akcję pacyfikacyjną, na czele z gen. Mossorem, który urzędował w Sanoku. KBW wysłał tam pułk kombinowany z trzech batalionów, złożony z delegowanych tam trzech „wojsk” („wojskiem” nazywano oddział o sile pomiędzy pułkiem a brygadą – na województwo).

Tam zauważyłem – autentyczną i rzeczywistą nienawiść między Ukraińcami a Polakami. Jeżeli chodziło o działania partyzanckie na innych terenach, to w gruncie rzeczy żołnierz był bardzo taki miękki, nie chciał się bić. Natomiast tutaj była rzeczywista nienawiść. W Baligrodzie stało dowództwo oddziału KBW. Oprócz tego w skład GO „Wisła” wchodziły dwie dywizje piechoty. KBW miał ten teren najgorszy, teren Bieszczad. Początkowo był spokój, tak że ja, np. kiedy przyjechałem tam, mogłem w takiej tankietce przejechać z Baligrodu do Ustrzyk bez przeszkód. Oni się jakoś zamknęli. Ale jeżeli się żołnierz oddzielił na kilkaset metrów od oddziału – ginął. Z kolei nienawiść była tak wielka, że nie brali jeńców, co utrudniało ogromnie działania. A więc na żądanie Różańskiego wydaliśmy rozkaz, kto złapie jeńca, ma prawo i obowiązek przyprowadzić go żywego do głównego dowództwa. Dostanie za to wynagrodzenie. Dlatego że wtedy, ze względu na chęć otrzymania wynagrodzenia, nie zabije. Były tego rodzaju przypadki, że konfident, który przychodził z meldunkiem, zanim stanął przed oficerem śledczym, został zamordowany. Ja tam byłem niedługo, zdaje się dziesięć dni czy dwa tygodnie, ale w bardzo krótkim czasie zorientowałem się, że przecież na głowie tego biednego dowódcy w Baligrodzie siedział płk Hübner,

który kazał składać sprawozdania i wtrącał się do dowodzenia. Więc dwóch takich ludzi, jak zastępca do spraw liniowych i zastępca do spraw politycznych – to za dużo. Nasza uchwała, która została zaaprobowana przez Biuro Polityczne, została zrealizowana w sposób ogromnie rozszerzający. Nie tylko wysiedlano ludność z tego wąskiego terenu Bieszczad, ale wysiedlano Ukraińców od Krynicy do Przemyśla i od Przemyśla prawie pod sam Lublin. Przy tym były ogromne nadużycia, ogromne tragedie. Trudno mi jest się przed kimkolwiek wytłumaczyć, że ja wtenczas również głosowałem za tym nieludzkim postanowieniem. Ale po prostu z punktu widzenia KBW nie widzieliśmy żadnego innego sposobu zaprowadzenia porządku, spokoju, ładu na tych terenach.

Powróciłem do Warszawy no i w gruncie rzeczy zobaczyłem, że to jest codzienna robota policyjna, w której nie ma mowy o tym, żeby się narażać, czyli, że nie ma żadnej potrzeby tkwić. Powołania na policjanta nie miałem.

W tym czasie trochę częściej spotykałem się ze Spychalskim, który, jako członek Biura Politycznego, nadzorował nie tylko wojsko, ale również sprawy odbudowy, szczególnie aktywizował się w Biurze Odbudowy Stolicy, oraz angażował się w sprawy oświaty i szkolnictwa wyższego. Wyciągnął z wojska Garbowski, zrobił go dyrektorem Departamentu Szkolnictwa Ogólnokształcącego w Ministerstwie Oświaty. Zdawało mi się, że mam większe powołanie do tego, żeby pracować w oświacie. Poprosiłem Spychalskiego, żeby mnie tam skierował. Ponieważ nie wiedziałem, jak mi pójdzie w Ministerstwie Oświaty, poprosiłem Spychalskiego, aby na razie nie zwalniał mnie z wojska, ale jako wojskowego odkomenderował do Ministerstwa Oświaty. Spychalski zgodził się i gdzieś przed majem zostałem odwołany ze stanowiska zastępcy dowódcy KBW i skierowany do oświaty.

Chcę jeszcze wrócić do spraw wojska. Moje uwagi są bardzo mało interesujące z tego powodu, że nie zdołałem przekazać żadnej syntezy. Wynika to stąd, że nawet na stosunkowo wysokim szczeblu byliśmy bardzo mało zorientowani. W gruncie rzeczy po moich rozmowach wtedy, kiedy zajmowałem się jeszcze werbunkiem oficerów do Wojska Polskiego, rozmów merytorycznych z szefami, z szefostwem, nigdy żadnych nie uzyskałem. Odprawy nosiły charakter często formalny. Jeśli

chodziło o tzw. „szkolenie”, to zajmowało się ono sprawami zupełnie oderwanymi. Przykład: „Rola PPS”, czy „PPS-lewica przed wojną, stosunek do niepodległości”. Ciekawą jest rzeczą, że podczas pracy w Wydziale Organizacyjnym, oczywiście Sergiusz Minecki, szef wydziału, nie mógł dać żadnego sensownego nastawienia, ze względu na swój niski poziom. Ale przecież nawet kiedy chodziłem do Komitetu Centralnego... Przed inspekcją pułku zapasowego w Olsztynie zwróciłem się do ówczesnego szefa Wydziału Propagandy KC, którym wtenczas była Ola Kozłowska, przed wojną żona działacza komunistycznego Kozłowskiego, którego znałem z Mińska Mazowieckiego, i prosiłem o wskazówki dotyczące współpracy z ludnością polską na terenie Prus, okazało się, że dopiero ode mnie dowiedziała się, że taka ludność mazurska czy pruska istnieje. Wskazówek co do postępowania więc nie dała. Po przyjeździe na miejsce, do pułku, stwierdziłem, że dowództwo pułku w ogóle Mazurów nie odróżnia od Niemców, tak że na moje pierwsze spotkanie z młodzieżą mazurską gdzie przyszły dziewczęta mazurskie i Niemki – nasze wojsko czy nasze władze jeszcze żadnej różnicy nie potrafiły zauważyć.

Nie otrzymałem także wskazówek co do tego, z czego się składa np. „reakcyjne podziemie”, czym się różni Armia Krajowa czy co to jest WiN, czym się różni AL czy Polska Armia Ludowa. W gruncie rzeczy nasza znajomość konspiracji, wówczas to był rok 1945, kiedy będąc w GZP jeździłem bardzo dużo po terenie i niejednokrotnie o te rzeczy się ocierałem, opierała się wyłącznie na tym, czego się dowiedziałem od Rzepeckiego i Hermana w oflagu. Np. kiedy zostałem wysłany do Białegostoku po to, by organizować taki ZBOWiD (to się wtedy inaczej nazywało) – wysłał mnie Józwiak dla zorganizowania związku byłych uczestników wojny w białostockim – dał mi kilkaset złotych i skierowanie, żadnych wskazówek, jak postępować. Tam była taka sytuacja, że nie bardzo można się było poruszać. Z Białegostoku do Bielska wysłali mnie samochodem, ciężarówką pełną w wojska. Jakoś odbyłem zebranie, później rozmawiałem z nauczycielkami, które zrobiły jakieś przyjęcie. Rozmawiałem tak czy inaczej. Wydawało mi się, że mówiłem bardzo spokojnie o tym, że partyzanci spod jakiegokolwiek będą znaku, powinni się tu zapisywać dlatego, że Polska Ludowa jest kontynuacją Polski (przedwojennej) itd. I one mi powiedziały: „Jak będzie pan wracał, to my pana odprowadzimy”. „Dlaczego?” „Bo po

tym wszystkim, co pan powiedział, gdyby pan sam chciał wrócić na kwaterę, toby pana sprzątnęli”. Taka była sytuacja. Później uderzające mnie fakty miały miejsce podczas pracy w okręgu. Pierwszy moment to był moment tworzenia Komitetu Bezpieczeństwa. Że przewodniczącym Komitetu był dowódca okręgu – to w każdym województwie tak było, zastępcami przewodniczącego byli zastępcy dowódcy. Otóż żadnych dokładniejszych informacji, jaki typ, rodzaj organizacji, żadnych takich szczegółów, nawet teoretycznych, nie mówiąc już o jakichkolwiek bądź organizacyjnych czy personalnych ani szef bezpieczeństwa Antosiewicz, ani szef informacji – Zajcew – nie przekazywali, nie dzielili się. Odprawy dla dowódców i zastępców dowódców okręgów odbywały się w ogromnym gronie. Byli zawsze specjaliści z MON, Sztabu Generalnego, GZP, kwatermistrzostwa – ok. 40 osób. Takie grono, w którym nawet zadać jakiegoś pytania rzeczowego, czy zapytać się o coś, w ogóle nie było można. Nie wiem czy wszyscy zdawali sobie sprawę, że o rzeczach poufnych w towarzystwie 40 czy 50 osób nie można mówić. Wobec tego ci zastępcy dowódców okręgów właściwie pozbawieni byli informacji. Wskazówka, którą ja otrzymałem obejmując pracę, była: ostrożnie z kontaktami z jakimś tam zastępcą komendanta pułku, który jest podejrzany o kontakty z bandami. Postarajcie się wyjaśnić i zawiadomić telefonicznie. I takie pytanie szefa GZP, wówczas płk. Zarzyckiego „dokąd pójdziesz na pierwszą wizytę?” To były wskazówki, kiedy się jechało na teren endeki, ponemiecki. Poznań to była przecież bardzo skomplikowana sytuacja. Myśmy po prostu nie mieli żadnych informacji.

Byłem członkiem prezydium Rady Narodowej. Pamiętam, że na zebraniu Kamińska jedną rzecz mi powiedziała: „Uprowadzam cię, wyniknie ze strony PSL sprawa: oddaliśmy powiatowe UB – gmach. W piwnicy tego gmachu znaleziono kilkanaście trupów. Musimy przeciwdziałać, żeby nie dopuścić – bo PSL-owcy grożą, że wniosą interpelację na prezydium Rady Narodowej”. PSL-owcy nie podnieśli sprawy.

Dlatego, jeśli ja oceniam te rzeczy, to mogę oceniać z punktu widzenia raczej tego, czego dowiedziałem się później w więzieniu czy z literatury, aniżeli z tego, co wówczas było. Wtenczas nasza działalność była raczej praktyczna.

Na pytanie, jaka jest ogólna ocena województwa, czego od nas żądał GZP, po prostu nie można było odpowiedzieć,

ponieważ ze strony GZP nie było żadnych wskazówek. Później były takie sprawozdania GZP, np. „Nastroje polityczne wojska: Szeregowiec Świdzki powiedział na zebraniu aktywu to i to...” Jeśli ten przykład został dobrany przez tow. Kalinowską czy Zawadzką – a były to osoby, które opracowywały tego rodzaju sprawozdania dla GZP, to mówiło, że tego rodzaju sprawozdania szły do góry. A dlatego, że w gruncie rzeczy ani rzeczowej informacji od partii, ani rzeczowej informacji od Informacji czy bezpieczeństwa nie otrzymywaliśmy. Jeżeli egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego w Poznaniu odbywała zebrania w gronie około 20 osób, to była tylko ta informacja, że jej nie było.

A.L.: – *A czy władze wojewódzkie same miały rozeznanie w sytuacji politycznej?*

A.U.: – Sądzę, że bardzo niewielkie. Jeśli chodzi o kierownictwo – może Izydorczyk. Izydorczyk był dość skryty i mało mówił, może więcej mówiła Kamińska. Ale np. dawali mi takie rady, żeby np. gen. Strażewski urządzał spotkania z profesorami uniwersytetu. Ale nazwiska żadnego profesora nie potrafili podać. Coś może wiedział Widy-Wirski. Ale Widy-Wirski był dość mało poważny.

Przy okazji jeszcze jedna uwaga. Jeśli chodzi o kontakty, które ja nawiązałem na uniwersytecie, to raczej udawały się one z endekami (z Wojciechowskim i Strzałkowskim). A więc spośród przedwojennych zwolenników endecji udało mi się powołać pierwszy zespół partyjny na Uniwersytecie Poznańskim.

Opracowała Aniela UZIEMBŁO

Adam O. Uziembło (1906-1990), syn Adama (1885-1971) – działacza socjalistycznego, publicysty, krytyka literackiego.

Po studiach na Uniwersytecie Warszawskim zajmował się logiką matematyczną, pedagogiką i działalnością polityczną. Członek KPP od 1928 roku, działacz ruchu pracowniczego. Odnaczony Krzyżem Walecznych za obronę Warszawy, jeniec ołagiu Woldenberg.

Aresztowany w 1949 roku, uniewinniony po 5 latach śledztwa. Od 1956 komendant Wojskowej Akademii Politycznej, generał od 1957 roku. Prezes Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej, członek „Solidarności”.

OKNA W MURZE

Byłem chyba jedynym jawnym redaktorem nielegalnego wydawnictwa, którego komuniści nie zdołali wyrzucić z pracy, choć bardzo się starali: dowód, jakich wiele, że w ostatnich latach PRL-u można było być wolnym człowiekiem za stosunkowo niewielką cenę. W obliczu biurokracji śledczej stosunek sił układał się dla mnie korzystnie, ponieważ w żadnym momencie nie byłem sam. Miałem w pracy niezawodnego przyjaciela, a z czasem, po wykazaniu pewnej odporności psychicznej i zawodowej, mogłem liczyć na rosnące poparcie wielu innych pracowników Akademii Górniczo-Hutniczej. W tych warunkach stopniowo zmieniała się także i sama instytucja, przechodząc od pełnej dyspozycyjności wobec reżimu do samodzielnej pracy nad własnym losem i do wspierania, a w razie potrzeby inspirowania niezależności całego środowiska nauki.

Mój udział w tej historii sięga roku 1972. Byłem wówczas studentem trzeciego roku wydziału elektrycznego i z największym trudem uzyskałem zaliczenie z maszyn u doktora Tadeusza Sobczyka z Instytutu Maszyn i Sterowania Układami Elektromagnetycznymi AGH. Kiedy więc na piątym roku zwróciłem się do niego o przydzielenie mi tematu magisterium, wyglądał na zaskoczonego. Dał mi jednak temat związany z cyklicznymi przebiegami w maszynach z uszkodzonym wirnikiem, gdzie odkryłem pewien nieznaczący parametr i nazwałem go ó kreskowane. W następstwie tego wyczynu zasłużyłem na propozycję asystentury, wymazując zarazem własny obraz ignoranta.

Pomimo zasady wykluczania elementów niepewnych na samym wejściu, moja kandydatura rozwijała się pomyślnie, ponieważ Sobczyk nie robił ceregieli z wymaganej przez uczelnię opinii którejś z partyjnych przybudówek. Wprawdzie odrzucił przyzwoitą propozycję, jaką mu najpierw złożyłem („mogę przynieść zaświadczenie Kościoła Matki naszej..”), ale przyjął rozwiązanie realne („...sam sobie wystawię zaświadczenie na czystym formularzu SZSP”). Będąc członkiem PZPR, w pracy Sobczyk uznawał jedynie kryteria rzetelności zawodowej i

świadectwa ustrojowej lojalności go nie interesowały. Przykro mi, że nie trafił najlepiej, ale to z przyczyn, które nas przerosły; nie bacząc na czyjekolwiek zawodowe intencje historia odstoniła w roku 1976 dramatyczne sceny buntu i prześladowań robotników, po których trudno już było się skupić na badaniu uzwojeń maszyn wirujących.

Wróg na uczelni

W następnych miesiącach bywałem na mieście dość bezwzględny w ściąganiu haraczu na pomoc dla prześladowanych i zdarzało się, że na mój widok znajomi przechodzili na drugą stronę ulicy. Natomiast nie prowadziłem z początku żadnej działalności politycznej w Akademii, gdzie nie zależało mi na opinii agitatora. Nie kontaktowałem się nawet z zaangażowanymi studentami wydziału elektrycznego, od których oczekiwałem tylko zawodowej wiedzy. Zdarzało się, że agiehowscy współpracownicy SKS-u mieli wielkie trudności z uzyskaniem u mnie zaliczenia, całkiem jak wcześniej ja sam u Sobczyka. Wszelako strefa ciszy, jaką utrzymywałem wokół siebie, była tylko zasłoną dymną, wcale bowiem nie uważałem, że należy trzymać światło pod korcem. Wskazane jednak było, aby do konfrontacji zaprosiła mnie partia, otwierając działania wojenne, na które porządny człowiek nie może pozostać nieczuły.

Pierwsza utarczka z uczelnianym aktywem nastąpiła w maju 1977, kiedy rozlepiąłem na Rynku klepsydry po śmierci Staszka Pyjasa. Wylegitymowała mnie wówczas gwardia juvenaliowa pod dowództwem pracownika uczelni, niejakiemu Nazarewicz: na czas juvenaliów władza porządkowa w mieście przechodziła w ręce studentów, w praktyce partyjnego i propartyjnego aktywu. Parę dni później wezwał mnie rektor Henryk Filcek. „Osoby związane z ruchami niezależnymi powinny poszukać sobie pracy raczej w sektorze prywatnym”, powiedział, wcale się zresztą nie upierając przy swoim zdaniu. Wyraźnie natomiast potrzebował mojej deklaracji, że nie będę prowadził działalności politycznej na uczelni, co mu bezzwłocznie obiecałem.

Zażenowani nie swoimi rolami w tej policyjnej inscenizacji, a przy tym z lekka chyba wystraszeni, rozstaliśmy się po paru minutach, nie próbując nawet nawiązać jakiegos kontaktu. Odniosłem wrażenie, że rektor nie był w tej grze ani partnerem, ani przeciwnikiem, lecz wycierałem. Przy braku rezultatów tego sprzątnięcia, wcześniej czy później powinien się ujawnić sam jego reżyser.

W następnych miesiącach esbecy zatrzymywali mnie parę razy. Z początku składałem zeznania, jakich się domagali; najpierw nie przyszło mi do głowy, że można odmówić, a potem uważałem, że w roli bohatera daleko nie zajadę. Z trudem wypracowując swą własną formułę ryzyka uznałem, że mogę sobie pozwolić na dwie ulgi: opowiadać esbekom rzeczy oczywiste lub najwidoczniej im już znane, oraz deklarować wolę porzucenia działalności politycznej. Składałem zatem tego rodzaju zeznania, a po wyjściu wracałem do roboty. Ta dwuznaczna idylla trwała do końca roku 1977, po czym ją przerwałem, na co esbecja, zgodnie z podanym mi wcześniej ostrzeżeniem, podzuciła sprawę agiehowskiej egzekutywie partyjnej.

W czerwcu 1978 roku szef podstawowej organizacji partyjnej wydziału elektrycznego Piotr Włoka publicznie ostrzegł „osoby zaangażowane w działalność wrogą ustrojowi, że partia na razie nie wyciąga konsekwencji, dając im szanse naprawienia wyrządzonych krzywd”. Najwidoczniej ostrzeżenie nie poskutkowało, bo w parę miesięcy później pozbawiono mnie opieki naukowej. Mój promotor mógł się tu być podeprzeć brakiem postępów pracy doktorskiej, na którą żywcem nie miałem czasu, ale nie uczynił tego, nie miał zwyczaju chować głowy w piasek. Beznamiętnie i elegancko partyjny Tadeusz Sobczyk napisał mniej więcej tyle, że jako członek PZPR nie może nadal odpowiadać za mój rozwój naukowy i dał mi ten papier, wystawiając się na pewne ryzyko i ze strony partii, i z mojej.

Nieudany kontratak partii

Odejście opiekuna naukowego, raczej niż wroga ustroju, było wyraźną wskazówką słabości peerelowskiej represji, ale też sygnałem partyjnego przeciwnatarcia. W tej sytuacji przystąpiłem do rozprowadzania bibuły w samej Akademii, co przebiegało bez przeszkód do czerwca 1979 roku, kiedy kolega Pańków z Instytutu Maszyn odniósł do POP egzemplarz dopiero co u mnie nabytego *Merkuryusza Krakowskiego i Światowego*.

To był z ich strony duży błąd, bo partia musiała zareagować na materialną i najzupełniej drugorzędną prowokację, nie posiadając przy tym środków do represji skutecznej, to jest takiej, która budziłaby prawdziwy lęk. Z bibułą zetknęło się już wielu ludzi, a niektórzy czytali, nawet jeśli zdarzało się, że czytali w rękawiczkach, by nie zostawić odcisków palców. Kolportaż bibuły w środowisku stał się już rodzajem *non evenement*, który

nie zagrażał pokojowi społecznemu. To raczej represja budziła sprzeciw, właśnie z powodów zawodowych: ludzie chcieli pracować w spokoju, a partyjno-policyjna gorączka im ten spokój zabierała. Czepiając się zatem pojedynczego aktu sprzedaży bibuły uczelniana partia już na wstępie postawiła się w niewygodnej pozycji, nawet jeśli okoliczności pogłębiały moją winę, bo sprzedawałem Pańkowowi swój własny produkt.

Był to dwumiesięcznik liberalno-konserwatywny, wydawałem go od stycznia 1979 roku. Pierwsze numery były bardzo niedobre, choć z chwalebnyymi intencjami stworzenia krakowskiej alternatywy dla doskonale robionych, ale nużąco lewicowych wydawnictw KOR-u. Należało się więc bardziej skupić nad redagowaniem pisma. Własne inicjatywy społeczne, współpraca w SKS-em i KOR-em, kontakty z Warszawą, Wrocławiem i Gdańskiem, wszystko to mogło tylko zyskać na uwolnionym czasie pracy naukowej w AGH. Wszelako zdejmując mojego opiekuna komunizmu z pewnością nie to mieli na widoku; oni mieli swój plan.

Podstawę planu stanowił okólnik prorektora do spraw rozwoju uczelni Jana Janowskiego z listopada 1978 roku. Zawierał on wskazówki, jak oceniać pracowników naukowo-dydaktycznych, a w szczególności polecał zwolnienie nauczyciela, który dwukrotnie dostał ocenę niedostateczną z jednego przedmiotu. W grupie tych „przedmiotów” była oczywiście postawa społeczno-polityczna. Z końcem czerwca 1979 zastosowano okólnik prorektora w Instytucie Maszyn i Sterowania (IMiSUE), wlepiając mi z postawy dwóję. Komisja przychyliła się do partyjnego wniosku na podstawie czterech zarzutów: kolportaż nielegalnej prasy, przygotowywanie zamieszek w czasie pierwszej wizyty papieża, zatrzymanie przez milicję i grzywna 4000 zł.

Poza kolportażem reszta była wyssana z palca i raczej niewiarygodna, co dodatkowo osłabiało sytuację partii w oczach milczących jeszcze pracowników AGH. Tak czy inaczej, uznano, że podstawa do zwolnienia była i dyrektor Instytutu Kołek podpisał odpowiedni wniosek. Oprócz mnie dotyczył on jeszcze dwóch innych kolegów, którzy jednak nie dostali dwójki z postawy. Profesor Kołek nie zaniedbał przy tym uwolnienia jednego ze skazanych w drodze łaski; widocznie słyszał, że tak się robi.

W tej sytuacji napisałem parę listów. Do dziekana Wydziału Zdzisława Klonowicza o postawienie mnie przed kolegium kwalifikacyjnym; do prorektora Jana Janowskiego o odejście od

partyjnych kryteriów przy ocenianiu nauczycieli akademickich; do rektora Romana Neya, zastępcy członka biura politycznego KC PZPR, o porzucenie przez uczelnię służebnej roli wobec Służby Bezpieczeństwa; a na koniec do uczelnianych związków zawodowych o obronę. W listach wyjaśniłem też, że utajnienie procedury ze strony partii zmusza mnie do ujawnienia treści wszystkich moich listów. Puściłem je w obieg po uczelni i po Krakowie i sprawa nabrała rozgłosu. Ze swej strony dzielna Rada Zakładowa Związku Nauczycielstwa Polskiego w AGH wysłała do Rektora protest wobec metody opracowania wniosku o zwolnienie.

Chwilowo wstrzymano zatem jego wykonanie. Dotarł on już był do Działu Kadr, skąd jakaś dobra dusza donosiła mi o stanie sprawy. Jej ostateczny wynik zależał od reakcji środowiska Akademii. Wśród studentów Krzysztof Bialik z elektrycznego ze swą złotowłosą żoną Basią z górniczego zaczęli zbierać podpisy pod petycją, ale wyhamowałem tę inicjatywę przekonany, że pracownicy powinni się bronić sami.

W grudniu 1979 ni stąd, ni zowąd wlepiono mi ponownie dwóję z postawy. W odpowiedzi odważni koledzy z Piotrem Jasińskim na czele wybrali mnie na męża zaufania pracowników Instytutu. W tej funkcji byłem w zasadzie nietykalny.

Partia wzmaga natarcie

Rychło pozbawiono mnie zajęć ze studentami, zapraszając do pokazywania się na uczelni tylko po wypłatę. Ten kolejny numer wykazał jedynie rozdźwięki w kręgach uczelnianej władzy, odebrano mi bowiem dydaktykę jedynie na wydziale elektrycznym, zachowując ją na innych wydziałach. Ze swej strony prorektor Janowski zorganizował szkolenie dla pracowników AGH. Odbyło się ono w kwietniu i w maju 1980 roku w ośrodku wypoczynkowym pod Myślenicami.

Wykłady biegły wartko od rana do wieczora. W sprawach ustrojowych dało się wyczuć zanik argumentacji ideologicznej na rzecz twardych realiów. Żaden z prelegentów nie uzasadniał PRL-u zasadami sprawiedliwości dziejowej, wystarczała geopolityka. Wśród przeciwników socjalizmu miejsce warchołów zajęli marzyńcy, natomiast mężczyźni powołano do zagospodarowania nieuniknionej rzeczywistości.

Politolog doc. Wielgosz powiedział, że 15-20% społeczeństwa popiera socjalizm, 5-7% jest mu przeciwnych, a dla reszty

sprawa jest obojętna. Kwestia zmiany ustroju jest bezprzedmiotowa, bo nie istnieje żadna alternatywa. Jeśli chodzi o wojnę, to będzie ona realna za 10 lat (czyli w roku 1990), kiedy Zachód osiągnie nad Związkiem Radzieckim przewagę trzy do jednego, historia bowiem uczy, że w takich okolicznościach zawsze wybuchały wojny.

Docent Wielgosz pobrał 3110 złotych za 10 wykładów.

W drugim dniu szkolenia politolog dr Bujak był również przekonany, że to wszystko zmierza do wojny, ale widział już środki zaradcze. Stanowił je zespół działań ZSRR na arenie międzynarodowej, gdzie głównym zagrożeniem był Zbigniew Brzeziński, nieodrodny syn Wschodu, opętany przez instynktowny antysowietyzm. Z poparciem pastora, który przez pomyłkę znalazł się na czele Stanów Zjednoczonych, montował Brzeziński okrażenie Związku Radzieckiego poprzez utworzenie trzech jednostek, z których każda z osobna już w najbliższej przyszłości mogłaby przerosnąć siłą ZSRR: Chiny z Japonią, EWG oraz USA z Kanadą.

Realizacja tego zamiaru pociągnęłaby za sobą zmiążdzenie Związku Radzieckiego, a także Polski, bo główną siłę w europejskim członie sprzysiężenia stanowią gotowe na wszystko Niemcy. Na szczęście nic podobnego się nie zdarzy, ponieważ Związek Radziecki planowo przeciwdziała okrażeniu, zmierzając do kontroli kluczowych pozycji na kuli ziemskiej: Indochiny, dalej Angola, Mozambik i Etiopia, Afganistan, w ciągu roku – półtora Pakistan, a za parę lat Zatoka Arabska. Jest oczywiste, że polityka ta, niezależnie od ilości ofiar, umacnia pokój, bo działanie na rzecz pokoju to nie czcze frazesy na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ, lecz walka o równowagę globalną.

W dyskusji padł projekt uzupełnienia teorii dziejów politologa Bujaka o inne postulaty, na przykład praw człowieka, których przestrzeganie pozwoliłoby poddać większej kontroli polityczne mafie zmierzające do panowania nad światem. Powołano się tu na słowa papieża, którego zdaniem zarzewie wojny pojawia się wszędzie tam, gdzie łamane są prawa człowieka. W odpowiedzi Bujak z przykrością stwierdził, że papież dał się wciągnąć do polityki Brzezińskiego.

Doktor Bujak pobrał z kasy AGH 1980 złotych za 9 wykładów.

Wreszcie w kwestii wychowania prorektor Długosz ujawnił, że zarówno praktyka, jak i ankiety przeprowadzane wśród kandydatów na studia pokazały silne skłonności „indywidualistyczne” u większości z nich. Stąd konieczność wzmożenia

dyscypliny, co pozwoli wyrównać i uspokoić. Długosz nie wziął za to ani złotówki.

Poziom bredni, na jaki osunęli się prelegenci, sugerował zupełny brak ideologicznego zaplecza u nomenklatury, uprawiającej już tylko retorykę nagiej siły. Co do mnie, spędzałem czas na robieniu notatek do *Merkurego*. Wykładowcy się do mnie nie dobierali, sam też nie zabierałem głosu. Przypuszczam, że nikt nie oczekiwał załatwienia czegokolwiek na tej imprezie: ani normalni pracownicy, czyli „my”, ani mężczyźni historii, jak Wielgosz, Bujak i Długosz. Najpewniej obie strony nabierały oddechu przed nadciągającym przełomem.

Wraca nowe?

W rok 1980 weszliśmy z objawami nasilającej się nagonki policyjnej przeciw wicherzycielom, czemu towarzyszył rosnący jazgot PZPR, goniącej resztką sił i tym bardziej nieobliczalnej. Był to okres najazdu Sowietów na Afganistan, dotkliwych braków w zaopatrzeniu, ponure czasy.

Zbliżające się przesilenie samo w sobie nie budziło szczególnych emocji, jak bowiem uczyło doświadczenie, nie należało się tu spodziewać ani dobrego, ani złego. Kryzysy poprzednich dziesięcioleci niczego nie zmieniały w istocie, co najwyżej osobę genseka i retorykę politycznego gwałtu. I tak w roku 56 chodziło o łamanie robotniczych rąk podniesionych na ludową ojczyznę, w 66 – nauczki dla episkopatu zaprzędanego za marki, w 68 – oczyszczenie uczelni z wicherzycieli, a kraju z syjonistów, w 70 – odnowienie, za pomocą doskonałej formuły „pomożecie?”, kontraktu pracy za pół darmo, a w 76 – ukaranie pospolitych przestępców tchórzliwie kryjących się za plecami dobrych robotników Radomia i Ursusa.

Do częstotliwości kryzysów politycznych zdążyliśmy się przyzwyczaić, bez lęku wyczekując na kolejny spektakl. Codziennosc pozostawała stateczna, nawet jeśli irytująco siermiężna. Każdorazowo nowa szajka, natychmiast po wykorzystaniu społecznego niezadowolenia, starała się zabezpieczyć warunki niepisanej umowy społecznej, która oddawała nomenklaturze wszelkie prawa w zamian za minimum socjalne dla reszty narodu.

Tymczasem nadciągający w 1980 roku kryzys mógł obrócić tę umowę w niwecz, ponieważ socjalistyczna gospodarka doszła do granic ekstensywnego wzrostu, pozwalającego na drenaż narodowego majątku, nadmiaru siły roboczej i zagranicznych

kredytów. Rosło ukryte bezrobocie, przez samą partię oceniane na 10%. Gospodarka trzeszczała pod brzemieniem zewnętrznego długu i rdzewiejącej infrastruktury, a kontrola społeczeństwa słabła wobec demoralizacji aparatu ścigania, dla którego zaczynało brakować przywilejów. Na arenie międzynarodowej pogłębiało się osamotnienie Moskwy, w miarę jak ujawniały się gliniane podstawy jej potęgi, nieprzyjemna okoliczność dla kraju, który najazdem na Afganistan otwarcie zagroził interesom Zachodu. Imperium wpadło w tarapaty, a jego represyjna siła wyraźnie traciła skuteczność. Wewnętrznym następstwem tej sytuacji była rosnąca ruchliwość niezależnych inicjatyw.

Porażka partii w AGH

Na początku stycznia 1980 wybrany zostałem mężem zaufania w rodzimym Instytucie Maszyn i Sterowania Akademii Górniczo-Hutniczej. W tydzień później miały miejsce wybory do Rady Oddziałowej związków zawodowych AGH na wydziale Elektrotechniki, Automatyki i Elektroniki. Jednym z kandydatów był mój bliski przyjaciel Piotr Jasiński, który mi często pomagał, bardziej z przyjaźni i przyzwoitości, niż z potrzeby zaangażowania. Jego kandydatura do RO była oczywistą prowokacją, a głosowanie za nią – aktem dużej odwagi ze strony pracowników wydziału elektrycznego AGH.

W prezydium komisji wyborczej nieoczekiwanie zabrał miejsce Piotr Włoka i dość szybko zabrał głos. „Omówię – powiedział – wydarzenia od dawna bulwersujące nasz wydział, które umownie nazwę sprawą pana Kaczmarka. Pan Kaczmarek:

...od trzech lat prowadzi działalność wywrotową;

...zatrzymany z ulotkami obliczonymi na sianie niepokoju;

...dokonuje prób infiltracji środowiska nauczycieli akademickich i studenckich, prób zakończonych powodzeniem;

...w okresie pobytu papieża kolportuje na terenie Instytutu prasę nielegalną, która zawiera informacje zmierzające do wywołania zamieszek;

...Pan Kaczmarek szuka i znajduje oparcie w Radzie Oddziałowej, która broni go przed usunięciem z uczelni. To mu jednak nie wystarcza. Jego sprawę podejmuje Radio Wolna Europa i biuletyn KOR-u;

...przechodzi wówczas metamorfozę. Określa się jako niezależny chrześcijanin. Co to jest niezależny chrześcijanin? – Jest to chrześcijanin działający wbrew Kościołowi! Grupa

niezależnych chrześcijan realizuje swe własne polityczne cele;

...Propaganda przeciwko POP odnosi skutek. W niektórych Instytutach przepadają kandydaci partyjni, a w IMiSUE pan Kaczmarek wybrany jest mężem zaufania, w następstwie niedopuszczalnych manipulacji wyborczych;

...Czyż jednak można oczekiwać osiągnięcia w ten sposób wymuszonej współpracy partii z wrogami?

...Obecnie manipulacje zmierzają do obdarzenia mandatem popiecznika pana Kaczmarka. Apeluję o rozsądek i rozwagę. Apeluję o wycofanie swych kandydatur. Jeszcze nie jest za późno”.

Po wygłoszeniu swej mowy I sekretarz siada, pozostawiając mi całą przyjemność zdemolowania wystawionej przezeń gęby zatroskanego demokrata: „Niedopuszczalnymi manipulacjami nazywa kolega Włoka kampanię przedwyborczą w Instytucie. Kolegom, którzy w owej kampanii brali udział pozostawiam ocenę tego stanowiska. Jeśli zaś wyniki demokratycznych wyborów, w rezultacie których wybrany zostałem mężem zaufania stosunkiem głosów 45 do 15, nazwiemy «wymuszaniem na partii współpracy», to jaką nazwę przypiszemy partyjnej alternatywie w tym względzie?”.

Potem zgłaszam wniosek o tajne przegłosowanie protestu przeciwko brutalnej ingerencji partii, wywieranie nacisku na wyborców i zastraszanie kandydatów. W to ostatnie nikt nie wierzy, bo Jasińskiego trudno było wystraszyć, ale argument pozwala na przyduszenie Włoki przez niepodpadniętych jeszcze kandydatów, z których dwóch z naciskiem pyta sekretarza, czy jego wystąpienie mają oni odnieść i do siebie, zważywszy użytą przezeń liczbę mnogą w apelu o wycofanie kandydatur. Włoka z wysiłkiem informuje, że nie, a jego rosnące zmieszanie wyraźnie dodaje otuchy ludziom na sali. Janusz Starczewski z Automatyki i Tadeusz Syryjczyk z Informatyki zwracają uwagę, że pracownicy mają prawo wybrać sobie kogo chcą, a upolitycznianie tego aktu zakłóca spokój potrzebny do pracy naukowej. Pomimo pewnej dwuznaczności sformułowań wszyscy rozumieją, o co chodzi: ludzie przejęli nowomowę na swój użytek i przystępują do natarcia. Włoka się uspokaja, co pozwala mi, na prośbę prezesa Rady Zakładowej, na honorowe wycofanie wniosku o głosowanie protestacyjne.

Zgłaszam kandydaturę Piotra Jasińskiego: „Nie jest nowicjuszem w działaniu społecznym. Od lat pełni odpowiedzialne funkcje w wojewódzkich i centralnych władzach Polskiego Związku Alpinistycznego. Jako członek kadry narodowej represen-

tował kraj kilkakrotnie, co związane było nie tylko z jego umiejętnościami sportowymi, ale i z walorami moralnymi oraz umiejętnościami współżycia z ludźmi w wyjątkowo trudnych warunkach. W odróżnieniu ode mnie, czy kolegów należących do partii, pan Jasiński nie prowadzi działalności politycznej. Jego cechami są [...] odwaga, wielka prawość i poczucie miary..”..

Na 51 delegatów Jasiński dostał 42 głosy i wszedł do Rady Oddziałowej. Wybory te pokazały ludziom, że agiehowski oddział Związku Nauczycielstwa Polskiego wymknął się partii spod kontroli i że ziemia się od tego nie zapadła. Wybranie mnie w maju 1980 do plenum Rady Zakładowej było już wydarzeniem jakby naturalnym.

Wiosna związków zawodowych

Długo pogardzane jako agentury PZPR, wstydliwie służebne w zamian za możliwość korzystania z ochłapu przywilejów nomenklatury, związki zawodowe nieoczekiwanie stały się szkołą politycznej zaradności w ostatnich latach PRL-u. Siłą trzynastu milionów związkowców była ich liczebność, czego nie należy rozumieć w zwykłym sensie, ponieważ przy braku praktyki strajkowej liczebność nie liczyła się jako klasyczny składnik stosunku sił. Stawiając jednak na masowość komuniści powiększyli ryzyko objęcia związkowym ramieniem wolne elektrony, jakich nigdy nie brakuje w żadnym społeczeństwie. Takie jednostki łatwo uciszyć, ale rzecz w tym, by nie wywołało to społecznego odzwźwięku, czego jednak w Polsce nigdy nie można być pewnym.

Nowym orężem buntu stały się związki zawodowe, kiedy zdesperowani ludzie wzięli fałszywe walory peerelowskiego prawa pracy za dobrą monetę. Ożywienie społeczeństwa i ospałość reżimu związane były oczywiście z katastrofalnymi wynikami trzydziestopięcioletnich eksperymentów gospodarczych. W takich warunkach z początkiem 1980 roku wybuchła w Polsce wiosna związków zawodowych.

Sporo zajmowaliśmy się tym w *Merkuryuszu*, donosząc o zwycięstwach i o sposobach przygotowania wyborów. W kwietniu 1980 Jan Środoń („Borowik²³”) pisał: „W krakowskim biurze Urządzenia Lasów i Geodezji Leśnej przewodniczący Rady Zakładowej podpisał zarządzenie dyrekcji zmniejszające stawki akordowe pracowników o niemal 30%. Wydał tym samym wyrok na siebie i całą Radę. Rozjuszeni pracownicy zdołali się zorganizować, wysunąć do komisji-matki własnych kandydatów

i utracić w głosowaniu wszystkich kandydatów ustępującej Rady. Na UJ, na fizyce, pracownicy w głosowaniu utracili kandydatów ustępującej Rady, kontrolowanej przez organizację partyjną i przegłosowali kandydatury wysunięte z sali [...]. Do wysunięcia swojej autentycznej reprezentacji [...] niezbędna jest dobra organizacja przed wyborami ze względu na niedemokratyczną ordynację wyborczą. Powiada ona, że do listy proponowanej przez komisję – matkę można z sali zaproponować tylko 15% kandydatów, zaś warunkiem wyborów jest uzyskanie 50%+1 ważnych głosów. W tej sytuacji istnieją dwa sposoby przeforsowania własnych kandydatów: zmusić komisję-matkę do ich przyjęcia, albo skreślać proponowanych kandydatów tak, by nie uzyskali 50%+1 głosów. Wówczas można z sali zgłosić dodatkowe kandydatury [...]

Związkowej lawiny nic nie mogło już zatrzymać. Jedno z majowych posiedzeń Centralnej Rady Związków Zawodowych zakończyło się postulatem „poświęcenia szczególnej uwagi realnemu poziomowi płac”; ta nowomowa oznaczała prawdziwy kłopot dla reżimu, który ledwo dyszał pod finansowymi gruzami socjalistycznej gospodarki. CRZZ szła tu śladem niektórych Rad Zakładowych, na przykład krakowskiego oddziału Polskiej Akademii Nauk, gdzie opracowano krytyczny raport o systemie i realnym poziomie zarobków. Ze swej strony konferencja sprawozdawczo-wyborcza Rady Zakładowej ZNP Akademii Górniczo-Hutniczej zobowiązała swych delegatów na konferencję krajową do walki o zmianę niedemokratycznej ordynacji wyborczej w związkach zawodowych oraz o powrót do praktyki obieralności władz uczelni. Wreszcie związkowcy Politechniki Wrocławskiej przyjęli postulaty wychodzące poza partykularyzm środowiska, żądając zniesienia cenzury, transmisji mszy świętej w radiu i telewizji oraz udostępnienia dla publiczności Panoramy Raclawickiej.

O nowe kompetencje zz

Tymczasem po wyborach do agiehowskich związków zawodowych przyszedł czas na badanie terenu pod ich nowe kompetencje. Okazji dostarczyła inwestycyjna zaradność prorektora Janowskiego, zadziwiającego człowieka, który dzielnie pracował nad środkami politycznej kontroli uczelnianych kadr, ale także z lekka mieszał szyki uczelnianej partii, przepytując karne instancje o formalną zgodność zwolnień z obowiązującym prawem.

Akurat ukończono nowy budynek wydziału metalurgicz-

nego, a w tym czasie przepełniony wydział elektryczny bezskutecznie zabiegał o lokale. Czy metalurgia, rodzimy wydział prorektora, nie mogłaby podrzucić parę metrów kwadratowych elektrycznemu, do obrony interesów którego zostaliśmy z Jasińskim wybrani? Postarałem się o dostęp do dokumentacji technicznej nowego budynku, na którą składało się półtora metra bieżącego planów, kosztorysów i harmonogramów. Według założeń techniczno-ekonomicznych powierzchnia użytkowa budynku była dwa razy większa, niż powierzchnia oficjalnie przejęta przez wydział metalurgiczny. Gdzie się podziała reszta? Założyliśmy wytrwałe oblężenie wyższej administracji Akademii, natężeniem zabiegów pokrywając brak uprawnień w sprawie, do której mieszałem się prawem kaduka. W maju pisałem do Rady Zakładowej: ...marzec 1980: „Pan Fąfara zmienia pracę, zastępująca go pani Jedynak nie wie, jak wyjaśnić różnicę. Pan Mróz też nie wie, słyszy po raz pierwszy. Kwiecień – pan Mróz odmawia rozmowy na ten temat z panem Jasińskim, twierdząc, że nie może udzielać wyjaśnień każdemu członkowi Rady Oddziałowej zz. Na moją interwencję informuje, że dziekan elektrycznego otrzymał plan zagospodarowania B5, oraz radzi informować się u pani Jedynak. Pani Jedynak nadal nie potrafi wyjaśnić. Maj – dyrektor Mróz na urlopie, dyrektor Szymczyk po wielu telefonach przekazuje mi przez sekretarkę informację, że w sytuacji, gdy nie są rozdzielone funkcje w Radzie Zakładowej, on nie widzi możliwości przyjęcia mnie. Maj – dziekan Benesz odmawia informacji («a co to Radę obchodzi») [...] mimo, że wyjaśniłem, że powołane do tego instytucje nie mają o sprawie pojęcia”.

Kompetencyjne spory przygotowywały grunt pod lokalną samorządność i w tym sensie uważałem je za ważniejsze niż sam ich przedmiot. Wiele czasu poświęcałem też zwykłym pracom związkowym, po prostu – obronie interesów pracowniczych.

Okres przejściowy

Wiosną 80-go roku kierownictwo Rady Zakładowej ZNP AGH – Antoni Łopata i jego kolega Firlej – ujawniło mi plan wyprowadzenia Związku Nauczycielstwa Polskiego szkół wyższych z pionu komunistycznej centrali związków zawodowych CRZZ. Zamach stanu dokonać się miał we wrześniu 1980 roku na zjeździe ZNP, który po przyjęciu nowych zasad wybrałby Łopatę na prezesa. Obiecałem montowanie

poparcia moimi kanałami, co zadawałało spiskowców, bo przynosiłem im opozycyjną sankcję dyskretnie i bez własnych żądań osobowych czy programowych.

Chodziło o trudny mariaż inicjatywy umiarkowanych reformatorów z jawną opozycją. Przy wyraźnej sympatii, jaką reformatorzy okazywali prywatnie, trudno było ignorować ambaras, w jaki wprawiał ich status jawnego wroga ustroju. Bez trudu jednak dostosowaliśmy się do sytuacji. ZNP-owcy nie opowiadali mi o własnych postępkach, ale też nie bardzo byłem ciekaw; chodziło tylko o to, by na wrześniowym zjeździe spotkali się ludzie świadomi celu, a dalej już będą sobie radzić sami. Z Antkiem Łopatą spotykaliśmy się w jego maluchu na Czarnowiejskiej, z dała od przyczajonych korytarzy uczelni. Do Rady Zakładowej przychodziłem tylko po formularze związkowe, jakie wypełniałem sam i jakimi wymachiwałem na obcych uczelniach, jeśli nie miałem tam znajomych konspiratorów. Była to dość kłopotliwa robota, wiernie towarzysząca przygotowaniom kolegów z agiewowskiej Rady. W połowie sierpnia 80-go roku można już było z ufnością rozważać widoki wrześniowego zjazdu ZNP.

Tymczasem połowa sierpnia 1980 była początkiem nowych czasów, z czego najpierw nie zdawałem sobie sprawy, zajęty troskami własnego środowiska. Na Wybrzeże skierował mnie Jacek Kuroń, do którego przyjechałem po kontakty w ośrodkach naukowych na wschodzie kraju. Kuroń z sympatią wyrażał się o krakowskich inicjatywach, mieliśmy podobne poglądy na rolę związków zawodowych. „Jedź jednak do Gdańska, poradził mi, tam się dzieją ważne rzeczy”. Zmieniłem zatem swoje plany i wylądowałem na Politechnice Gdańskiej, gdzie od razu wyjaśniono mi sytuację: ZNP? jakie ZNP, tu jest wolna Polska. Bez zwłoki wyhamowałem wszelkie manewry nad nowym ZNP i osiadłem w Stoczni.

Do organizacji środowiska nauki powróciłem w pierwszych dniach września, niemal natychmiast po powrocie do Krakowa. Czas naglił, bo zetenpowska machina, której sam dołożyłem paliwa, nabierała przyspieszenia. Na tle rewolucyjnych postulatów „Solidarności” wyglądała jak oaza spokoju i ustrojowego kompromisu, co przysparzało jej wielu zwolenników, zwłaszcza na AGH, skąd wyszło wiele nitek tworzących osnowę koncepcji odnowionego ZNP. Nie można było tego ignorować. Nawet jeśli gdańskie przyspieszenie otworzyło horyzonty bardziej skutecznego działania, to nagłe odwrócenie się od okrzepniętej już koncepcji stworzyłoby na uczelni bolesny podział. Na wydziałach wrzało. W tej sytuacji otworzyłem na AGH biuro informacyjne, gdzie przez

dwa tygodnie spierano się od rana do wieczora. Codziennie pisałem jednostronicowy raport z tych dyskusji, dorzucając nowe dane o sytuacji związkowej w kraju. Wszystko podpisywałem własnym nazwiskiem. Adam Grudziński z agiehowskiej biblioteki powielał te raporty na uczelnianym ksero, formalnie nadal dla nas niedostępnym, a potem rozlepiełem je w krakowskich uczelniach i w Bibliotece Jagiellońskiej.

Na zewnątrz sytuacja skomplikowała się po błyskotliwym starcie kolejnej inicjatywy zwanej NSZZ Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty, w skrócie NTiO. Była to sprawa dość niejasna, prowadzona przez ludzi działających dynamicznie i mających dobre zaplecze organizacyjne, lecz trzymających się z daleka od innych środowisk zawodowych. W AGH związek ten nie miał żadnego wpływu, natomiast z każdym dniem rosła grupa zwolenników przyszłej „S”. Tymczasem zachowawcze, „ZNP-owskie” skrzydło nadal było dość liczebne, głównie wskutek silnego oporu Łopaty i Firleja. Dla przekonania ich o zasięgu solidarnościowej lawiny zabrałem ich 17 września do Stoczni, gdzie zjechali się delegaci komitetów założycielskich NSZZ z całego kraju. ZNP-owcy nie dali się przekonać, wobec czego natychmiast po powrocie na uczelnię 19 września ogłosiłem zakończenie dyskusji nad wyborem związkowej drogi w AGH i zaprosiłem zwolenników porozumień gdańskich do utworzenia komitetu założycielskiego NSZZ „Solidarność”. Ukonstytuował się on tego samego dnia, z Kazkiem Godlewskim jako przewodniczącym, a następnego dnia zarejestrował się w Międzyzakładowym Komitecie Solidarności, pociągając za sobą wszystkie inne uczelnie Krakowa. Po kilku tygodniach „S” AGH liczyła trzy tysiące członków, a w grudniu 1980 – 4300 z około pięciu tysięcy pracowników. Po Hucie Lenina była to największa organizacja „S” w Małopolsce. Dziś, z tysiącem członków, jest najliczniejsza w Regionie.

Dwuwładza

Począwszy od września 1980 mrowiała się na uczelni, jak wszędzie w kraju, spokojna i wytężona praca związkowa na wszystkich szczeblach i we wszystkich kierunkach: demokracja wewnętrzna, nowy podział kompetencji, współdziałanie w pracach nad ustawą o szkolnictwie wyższym i w przemianach politycznych w regionie i kraju. W praktyce mieliśmy w Akademii dwuwładzę, równoległe funkcjonowanie starych i nowych układów.

Pewnych wskazówek co do kierunku, w jakim rozwijać się będzie ta wyraźnie przejściowa sytuacja, udzielić mógł stosunek uczelnianych władz do swej własnej zwierzyny łownej, niedawnego wichrzyciela, który nagle otrzymał mandat pięćdziesięciu procent załogi.

W listopadzie, czyli kilka tygodni po powstaniu uczelnianej „Solidarności”, władze AGH przekazały wydziałowi elektrycznemu 500 metrów kwadratowych w nowym budynku metalurgii, a w grudniu, ni stąd, ni zowąd, mianowały mnie starszym asystentem. Formalną podstawę tego awansu stanowiła uchwała Rady Wydziału anulująca dwóję z postawy, ale jego data – dzień wyboru na prezesa „S” w AGH – wskazywała raczej na kwestie prestiżowe: na tym stanowisku rektorzy, w braku jakiegoś profesora, woleli mieć do czynienia ze starszym asystentem raczej niż z asystentem bez żadnego przymiotnika.

Największe umiejętności adaptacji wykazał prorektor Janowski, dostosowując się i do nowej rzeczywistości, i do nieodległej przeszłości. W sierpniu 1981 roku wysłał do „Pana Przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ «Solidarność» w AGH Roberta Kaczmarka” list, w którym czytamy m.in.: „W związku z zakończeniem kadencji obecnych władz w naszej Akademii pozwalam sobie tą drogą złożyć Panu Przewodniczącemu wyrazy serdecznych podziękowań za wieloletnią współpracę, dzięki której to współpracy i pomocy mogłem realizować różnorodne obowiązki wynikające z przydzielonych mi jako prorektorowi Akademii Górniczo-Hutniczej zadań i kompetencji [...]”. Jako członek peerelowskiego Stronnictwa Demokratycznego prorektor żył się z dwuznacznością swych kompetencji i zapewne myślał, że tak już musi być zawsze.

Problemów kompetencyjnych nie miała za to uczelniana egzekutywa partii, która w marcu 1981 przesłała mi propozycję „ściślej współpracy w zakresie podstawowych problemów funkcjonowania” administracji centralnej AGH oraz „dokonania wspólnej analizy przez odpowiednie Komisje Związków Zawodowych i Egzekutywę POP”. Krótko mówiąc, chodziło o kontrolę Akademii.

Na propozycję nie odpowiedziałem, a natknąwszy się całkiem przypadkowo na rozmowę moich zastępców z członkami egzekutywy w lokalach KZ „S” przerwałem spotkanie, zapraszając każdego do zajęcia się raz na zawsze własną robotą. W propozycji swej partia wykonała nie tylko zwód taktyczny, licząc na podzielenie Komisji Zakładowej w nieskończonej ilości politycznych sporów, jakie musiałyby iść śladem podobnej wspo-

łpracy. Strategicznym celem komunistów było wzmocnienie nowego ZNP, na czym mi szczególnie nie zależało. Nie byłem też skłonny do wspierania partii, przekonany, że wcześniej czy później obróci ona przeciwko nam wszystkie swe siły.

W stronę rozstrzygnięcia

Zajęty robotą organizacyjną, jak tysiące ludzi w „Solidarności”, straciłem partię z pola widzenia, kątem oka tylko chwytając niekiedy błysk oręża od strony czerwonego sztandaru. Potrząsano nim również na egzekutywie AGH. W październiku 1980 niektórzy członkowie Rady Wydziału Elektrycznego otrzymali następujący list:

„W dniu 13 XI 1980 Rada Wydziału Elektrotechniki, Automatyki i Elektroniki na wniosek przedstawiciela NSZZ «Solidarność» podjęła uchwałę następującej treści: «Rada Wydziału EAiE po zapoznaniu się ze sprawą kol. R. Kaczmarka uznaje, że jego ocena przydatności jako nauczyciela akademickiego została w sposób tendencyjny obniżona nie w związku z jego działalnością zawodową, ale w związku z jego przekonaniami. Nawiązując do powyższego RW EAiE uznaje za stosowne naprawienie wyrządzonych kol. R. Kaczmarkowi krzywd».

Egzekutywa Komitetu Uczelnianego PZPR AGH uważa, że jest to protest Rady Wydziału przeciwko metodzie dyskryminowania człowieka za przekonania polityczne, religijne itp. Podzielamy takie stanowisko w całej rozciągłości. W ostatnich latach żadna Wydziałowa Organizacja Partyjna w naszej uczelni ani Komitet Uczelniany nie podjął decyzji zobowiązującej swych członków do prowadzenia działań represyjnych w stosunku do kogokolwiek za jego przekonania. Natomiast wyrażamy wątpliwości, czy przykład mgr. inż. R. Kaczmarka najlepiej służy tak szlachetnemu celowi.

Mgr inż. R. Kaczmarek w ostatnich latach, jak sam się podpisywał, był redaktorem odpowiedzialnym nielegalnego, *Merkuryusza Krakowskiego i Światowego*, które wydawał i rozpowszechniał również w środowisku uczelnianym.

Trudno jest pokrótce streścić artykuły zawarte w kilku egzemplarzach tego periodyku, pełne napastliwych ocen dotyczących ustroju PRL, sojuszków Polski, szczególnie z ZSRR, naszej partii itp. Pozwolimy sobie przytoczyć jeden cytat. Jest to przypis redakcji do artykułu A. Romańskiego pt. „Jak zachować władzę w PRL”, pomieszczony w nr 6/II/80 str. 43. Oto pełny tekst tego przypisu:

„W wyniku rozmowy przeprowadzonej w kręgu przyjaciół, redakcji przypadł miły obowiązek uzupełnienia typologii aherentów firmy władającej chwilowo Polską o kategorię mianowicie baranów. Pana Romańskiego interesują głównie ci, których określić można jako cyników, albo ideologów czyli szaleńców, adresatami bowiem jego listu mogą być jedynie ludzie aktywni. Zasadom ścisłości analitycznej uczynimy zadość, gdy uzupełnimy obraz partii o przygniatającą masę ludzi bez oblicza. Istnieje jednak uzasadnione podejrzenie, że nie są oni bytami koniecznymi w tym sensie, że ich funkcje w pełni przejąć by mogły np. uchwyty do lampki nocnej z wetkniętą czerwoną książeczką. Stąd nie do końca wiadomo, czy ludzie ci istnieją naprawdę, a w tych warunkach trudno do nich kierować jakkolwiek adres.

Uważamy, że podjęcie polemiki z powyższymi tezami ubliżałoby naszej godności.

A zatem takie było oblicze polityczne nielegalnego czasopisma, które mgr inż. R. Kaczmarek jako «redaktor odpowiedzialny» wydawał i kolportował również wśród pracowników i studentów uczelni.

Czy jest to działanie zgodne ze statusem nauczyciela akademickiego, jak również pytanie, czy tzw. «sprawa Kaczmarka» powinna być rozpatrywana przez Radę Wydziału, pozostawiamy do osobistej oceny i refleksji Szanownemu Panu.

Na zakończenie przesyłając serdeczne pozdrowienia Egzekutywa Komitetu Uczelnianego PZPR Akademii Górniczo-Hutniczej uważa, że tym listem zakończymy „sprawę Kaczmarka” i z obopólnym pożytkiem przystąpimy do wspólnego rozwiązywania problemów, których bardzo wiele przed nami stoi.

Za Egzekutywę KU PZPR AGH, I Sekretarz Jan Wolny”.

W zakładzie pracy czy z wżyzn Komitetu Centralnego partia kasała, bo się szykowała do patetycznej próby utrzymania władzy przemocą na gruzach gospodarki. Komuniści potrzebowali bezpłodnych lat stanu wojennego, by pojąć, że czas politycznych dyktatur już minął i że lepsze akcje, zwłaszcza kradzione, niż złocony fotel i portret na ścianie. Na dodatek papiery wartościowe otwierały interesujące perspektywy i na fotel, i na portret. Wyczytać to mogli dziesięć lat wcześniej w *Merkuryuszu*, którego egzemplarz nabyli u mnie za 20 złotych, w artykule A. Romańskiego pt. „Jak zachować władzę w PRL”.

Robert KACZMAREK

LISTY DO REDAKCJI

Marly le Roi, wrzesień 2004

Szanowna Redakcjo,

W związku z artykułem Edwarda Kossoya w *Zeszytach Historycznych* nr 147 chciałbym dodać kilka uzupełnień i sprostować pewne nieścisłości.

Na stronie 44, w przypisie 1 autor pisze: „[Likiernik] w Keddywie Armii Krajowej od 1942 r. bierze czynny udział w szeregu akcji dywersyjnych. Wszystko to nie chroni go od tego, że pewnego dnia zostaje zatrzymany jako Żyd przez polskich „granatowych” policjantów [!], którzy nie dają się nawet przekonać pozytywnym wynikiem standardowej próby spuszczenia spodni i stawiają pytania dotyczące bliższej i dalszej rodziny”.

Rzeczywiście miała miejsce – w naszym mieszkaniu na Żoliborzu – wizyta 2 policjantów. „Ktoś nam powiedział, że w tym mieszkaniu są Żydzi”. Po pokazaniu im listów mojego ojca z Oflagu (m.in. Colditz) zapytali o innych lokatorów. Odparłem, że mamy jednego. „Może ten donos dotyczy jego” – stwierdzili. Powiedziałem im, że niczego o nim nie wiem. Następnego dnia uprzedziłem lokatora, który natychmiast się wyprowadził. Ja też przez jakiś czas mieszkałem gdzie indziej. Na Żoliborzu – w domu należącym do ZUS, administrowanym przez kolegę ojca z PPS z 1905 roku – mieszkaliśmy z matką do lutego 1944 roku.

E. Kossoy dalej pisze: „[...] za poradą swych towarzyszy [Likiernik] zaprzestał legitymować się prawdziwym, ale «żydowsko brzmiącym» nazwiskiem rodzowym i otrzymał fałszywe papiery na «czysto aryjskie» nazwisko”.

Papiery na inne nazwisko nie miały nic wspólnego z wizytą policjantów ani radami przyjaciół. Miałem 3 kennkarty: Stanisław Likiernik, ul. Mickiewicza 27 (prawdziwą), na to samo nazwisko (ul. Śmiała 41) – zrobioną przez AK oraz Henryk Wichowski (pokój na ul. Grzybowskiej) – też „prawdziwą”, zrobioną na podstawie metryki zmarłego noworodka. Wszystkie kennkarty potrzebne były mi ze względów konspiracyjnych. Papiery na nazwisko Likiernik miałem do „wpadki” w lutym 1944 roku.

Na stronie 57 w przypisie 30 autor pisze, że „doświadczyłem antysemityzmu na własnej skórze”. Wręcz przeciwnie, NIGDY go nie doświadczyłem.

Zgadzam się z konkluzją autora: „Chyba nie ma wątpliwości, że Likiernik walczył jako Polak”. Moi rodzice wzięli ślub w kościele Garnizonowym na Placu Krasińskich, a mnie wychowali tylko i jedynie jako Polaka i nigdy nie miałem innej narodowości (choć mam też obywatelstwo francuskie).

Chciałbym też dodać do listy nazwisk w artykule E. Kossoya zapomnianego dr Stanisława Wojeckiego (syna Aliny Likiernik, siostry mojego ojca), który zginął w płonącym kościele Garnizonowym wynosząc rannych w sierpniu 1944.

Łączę wyrazy poważania,

Stanisław LIKIERNIK



Forest Hills, NY, 4 sierpnia 2004

Szanowna Redakcjo,

W moim wspomnieniu o Bolesławie Wierzbiańskim w numerze 144 *Zeszytów Historycznych* z 2003 roku napisałem, że prochy redaktora złożone zostaną w grobie rodzinnym w Krakowie.

Już po publikacji mojego artykułu rodzina zdecydowała się zmienić te plany. W dniu 3 czerwca 2004 urna z prochami Bolesława Wierzbiańskiego spoczęła w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Powązkowskim (Wojskowym) w Warszawie.

Łączę wyrazy poważania,

Marek RUDZKI



Ustanów, 14 sierpnia 2004

Drogi Panie,

Radził mi kiedyś prof. Mazur, żebym koniecznie opisała ten fragmencik. Wybierałam się posłać to Miłoszowi, bo wiem, że o tym spotkaniu zapomniał – no i nie zdążyłam. Więc dziś piszę to Panu – może się to przyda.

To było tak: w r. 1957, kiedy „uchyliły się granice”, przyjechaliśmy z Bratem do „Lafitu”, na zaproszenie naszego Ojca. Brat po Październiku został powołany do wojska na stanowisko komendanta Wojskowej Akademii Politycznej (po prawie pięciu latach więzienia).

Kilka dni po przyjeździe, na ulicy spotkaliśmy Miłosza, którego Ojciec znał i, po krótkiej pogawędce, zaprosił do nas, „na górkę”. Po kilku dniach przyszła do Brata depesza gratulacyjna – z racji nominacji generalskiej (siedzieliśmy wtedy przed domem, a osoba przynosząca depeszę wręczyła ją Ojcu, wyglądał lepiej, młodziej niż jego syn). Nazajutrz czy pojutrze – „na górce” spotkało się śliczne towarzystwo: Redaktor, Miłosz, Zdzisław Broncel z BBC. Rozmowa – czego dotyczyła, nie umiem powtórzyć. Pamiętam, że w czasie naszego tam pobytu wiele mówiło się o staraniach o debit dla *Kultury* w PRL, o wymiennym numerze *Kultury* i warszawskiej *Kultury* czy *Przeglądu Kulturalnego* – nie pamiętam, które z tych pism wtedy wychodziło. Dyskutowało się o wydanych właśnie „Kolumbach” Bratnego, o nawiązaniu bliższych kontaktów z prof. Kotarbińskim, z którym Brat współpracował. W którymś momencie, przy toaście i gratulacjach (Redaktor pisze w liście do K. Jeleńskiego: „Kupiłem butelkę szampana” – „Listy 1950-1987”, s. 261, Czytelnik 1995) Brat mój, dziękując za życzenia, powiedział: „W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy oficerami politycznymi” i dalej uzasadnił to dość ściśle. Przy ogólnej wesołości wszyscy się z tym uzasadnieniem zgodzili.

No i tyle wesołego w tak bardzo bolesnym momencie.

Jeszcze jedno – jeśli będzie Pan sprawdzał w listach do Jeleńskiego – Redaktor się myli. Brat przed wojną nie był oficerem zawodowym, a rezerwy. A pracował jako nauczyciel.

Łączę serdeczności i wyrazy poważania,

Aniela UZIEMBŁO

SPIS TREŚCI

<i>Czesław Miłosz (1911-2004)</i>	3
---	---

*

Piotr Wandycz, Jerzy Borzęcki: <i>Rozmowy Piłsudskiego z Wojkowem. Fragmenty raportów</i>	10
Rafał Wnuk: „ <i>Powstanie Czortkowskie</i> ” 21 I 1940 .	21
Andrzej Friszke: <i>Początki Klubu Krzywego Koła</i>	44

OKRUCHY HISTORII

Edward Kossoy: <i>Chybiona parada. Dzieje pewnej fotografii</i>	87
---	----

POWSTANIE '44

Jan M. Ciechanowski: <i>Zmarnowana szansa. Uwagi i refleksje nad polskim wydaniem książki Normana Daviesa „Powstanie '44”</i>	99
Emanuel Halicz: <i>Cenny wkład</i>	118
Juliusz Łukasiewicz: <i>Powstanie, które nie powinno było wybuchnąć</i>	121

*

Józef Czapski: <i>List otwarty do Jacques'a Maritaina i François'a Mauriaca</i>	140
---	-----

KSIĄŻKI

Krzysztof Tarka: <i>Tak było</i>	148
Tadeusz Wyrwa: <i>Stosunki estońsko-polskie w dwudzie- stoleciu międzywojennym</i>	151

CI, CO ODESZLI

Bohdan Osadczuk: <i>Melvin Lasky - pierwszy strzelec w okopach zimnej wojny</i>	158
Natalia Gorbaniewska: <i>Pamięci Jacques'a Rossi (1909-2004)</i>	160
Monika Sędłak: <i>Zygmunt Hertz. W dwudziestą piątą rocznicę śmierci</i>	163

WSPOMNIENIA

Adam O. Uziembło: <i>Po wojnie. Wspomnienia</i>	174
Robert Kaczmarek: <i>Okna w murze</i>	219

LISTY DO REDAKCJI

Stanisław Likiernik	236
Marek Rudzki	237
Aniela Uziembło	237

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 05 OCTOBRE 2004
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 4^e trim. 2004
N° d'imprimeur : 7556

ZESZYTY HISTORYCZNE

ASSOCIATION INSTITUT LITTERAIRE KULTURA
Adres Redakcji: 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52
e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egzemplarz
pojedynczy

Cena
prenumeraty
rocznej

Ceny na rok 2004

AUSTRIA: Księgarnia Polska , 1070 Wien, Burggasse 22, tel.: (1) 526-31-14	€ 22,00	€ 80,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji i w księgarniach polskich w Paryżu	€ 22,00	€ 80,00
KANADA: Krystyna Krakowska , 770 rue Picard, Brossard, QC J4W 1S5, tel.: (450) 465-23-62; Księgarnia Polska w Ottawie , Andrzej Lifsches , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-82-60, fax: (613) 789-10-51	\$ can. 28,00	\$ can. 110,00
NIEMCY: Kubon & Sagner , Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel , Stephanstr. 11, 5000 Köln 1, tel.: 0221/24-61-60	€ 22,00	€ 80,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE, tel.: (22) 343-05-84	F. Szw. 32,00	F. Szw. 120,00
SZWECJA: Wojciech Luterek , PostGiro konto 614 8710-4	Skr. 210	Skr. 750
USA: Ada Dziewanowska , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, WI 53211; POLONIA Bookstore , 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Szwede Slavic Books , 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541, tel.: (650) 327-55-90 & (650) 851-07-48; Księgarnia «Nowego Dziennika» , 333, West 38th Street, New York, NY 10018, tel.: (212) 594-22-66	\$ USA 24,00	\$ USA 90,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books Ltd. , 206 Blythe Road, London W14 0HH, tel.: (020) 7602-55-41	€ 22,00	€ 80,00

Dopłata za wysyłkę pocztą lotniczą:

USA, Kanada:

4 USD (lub 4 €) za jeden egzemplarz; 16 USD (lub 16 €) rocznie

Azja, Oceania, Ameryka Południowa:

5 USD (lub 5 €) za jeden egzemplarz; 20 USD (lub 20 €) rocznie

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konta:

– pocztowe: La Poste, SCE 4797689V033

IBAN: FR 51 20041 01012 4797689V033 49

BIC: PSSTFRPPSCE

– bankowe: Credit Lyonnais, 2, Avenue de Longueil,

78600 Maisons-Laffitte, Agence 023 32, nr konta 79595 P.

IBAN: FR 13 3000 2023 3200 0007 9595 P53

BIC: CRLYFRPP

€ 22